

Monika B. Janowska

TRUPOSZ

za .....➔

potwierdzeniem

ODBI①RU



**Monika B. Janowska**

**Truposz  
za potwierdzeniem  
odbioru**



Radom 2023

# Spis treści

Karta redakcyjna

1. Tunel utraconej miłości
2. Stanowczy koniec z grzecznością
3. Czy teściową zostaje się na całe życie?
4. Dobre wiadomości dają porządnego kopa
5. Morderczy początek
6. Dzień z życia kuriera
7. Wszyscy kogoś znają
8. Nocne Polek rozmowy
9. Komu do śmiechu, a komu do płaczu
10. Babcie ruszają z kopyta
11. Jak Mieszko I zapewnia salomonowe rozwiązanie
12. Staramy się bardziej niż bardziej
13. Słowo się rzekło, kurierka u płota
14. Kto nie traktuje poważnie starszych kobiet?
15. Nowa postać nabiera rumieńców
16. Let's do it!
17. Kto grywa na dwa fronty?
18. Żeby wszystko było jasne
19. Nie taka leniwa niedziela
20. Spokojnie, to tylko wakacje
21. Odpowiedzi na małżeńską nieobecność
22. Jak wyjść z małżeństwa z twarzą?
23. Pierwsza wojna o serwis
24. Emerytki nigdy nie zasypiają gruszek w popiele
25. Misja specjalna nie wszystkim opłacalna

26. Co komu pisane, a co kto w lustrze widzi?
27. Ile można się dowiedzieć przez spóźnionego TIR-a?
28. Czy mleko się wylało?
29. Randka po ciemku
30. W upale o nieboszczyku
31. Teściowa w autobusie
32. Cementarny spokój
33. Dzień totalnego zakręcenia
34. Spacer z Sylwestrem
35. Zielone znicze kontra oczy zielone
36. Być jak Rocky?
37. Musztarda przed czy po obiedzie?
38. Mamy to!
39. Ostatnia prosta przed tunelem

Copyright © *Monika B. Janowska*

Copyright © 2023 by Lucky

Projekt okładki: *Ilona Gostyńska-Rymkiewicz*

Autor zdjęcia: *deagreez (stock.adobe.com)*

Skład i łamanie: *Michał Bogdański*

Redakcja i korekta: *Klaudia Jovanovska*

Wydanie I

Radom 2023

ISBN 978-83-67787-08-6

Wydawnictwo Lucky

ul. Żeromskiego 33

26-600 Radom

Dystrybucja:

tel. 501 506 203

48 363 83 54

e-mail: [kontakt@wydawnictwolucky.pl](mailto:kontakt@wydawnictwolucky.pl)

[www.wydawnictwolucky.pl](http://www.wydawnictwolucky.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

# 1. Tunel utraconej miłości

Śmiem podejrzewać, że rozpad mojego wieloletniego małżeństwa rozpoczął się pewnego popołudnia, kiedy w obecności małżonka zamierzałam sikać w JEGO samochodzie do... znicza! Dla uzasadnienia mego podejrzenia dodam, że audi a8 long w kolorze czarnym, rocznika nigdy nie pamiętałam, stanowiło integralną całość z właścicielem. Było bóstwem obdarzonym nadtroskliwą opieką i bezgranicznym uwielbieniem. Każdy, kto dostał się do samochodu, przestawał oddychać, mówić i myśleć w obawie, że narazi się na niezadowolenie, głośne uwagi czy pretensje właściciela. O jakimkolwiek brudzeniu, jedzeniu czy picciu nawet nie wspomnę. Pyłki kurzu same uciekały w popłochu z idealnie czystej i nieskazitelnej świątyni niemieckiej motoryzacji. A tymczasem ja...

Cóż, myślę, że takiej próby nie przetrwałoby żadne małżeństwo, żaden najmężniejszy mąż ani do szaleństwa zakochany w swojej wybrance kochanek. Ja też nie wytrzymałam ze zgoła odmiennych powodów. Otóż pewnego słonecznego majowego popołudnia zostaliśmy zatrzymani przez czerwone światło we wnętrzu praskiego tunelu. Właśnie przyjechaliśmy na weekend do czeskiej stolicy, by celebrować naszą piętnastą rocznicę ślubu. Tak, wzięłam ślub w maju, wbrew wszystkim głoszonym wszem wobec przesądom! Wytrwaliśmy piętnaście lat i wychowywaliśmy dwie fantastyczne córeczki: Tomirę i Elwirę. Kiedy na ściennym kalendarzu pojawiła się data 15 maja, mój mąż Waldemar oznajmił, że zarezerwował dla nas apartament w praskim hotelu z widokiem na Hradczany. Któż by się oparł takiej niespodziance?! Ja na pewno nie, gdyż podróże, wycieczki, przejażdżki rzadko odbywały się z moim udziałem. Aby wsiąść do audi a8 long, musiałabym się poddać takim rytuałom oczyszczającym, jakich nie powstydziliby się ortodoksyjni szamani dzikich plemion. Zresztą nie byłam wyjątkiem i nie przypominam sobie jakiegokolwiek pasażera od ostatnich trzech lat, gdy lśniące audi a8 long pojawiło się w naszej rodzinie i zamieszkało w dobudowanym do domku garażu. Obsesja Waldemara na punkcie samochodu wydawała mi się całkiem nieszkodliwa w porównaniu do mężów sadystów, pijaków, nierobów czy lowelasów, o których sporo się nasłuchiwałam od poszkodowanych znajomych, zaszlochanych koleżanek czy narzekających przyjaciółek, z którymi dość wcześniej potraciłam kontakt. Zatem dostałam zaszczytu wyjazdu z mężem,

poważnie rozważając, czy zamiast zakładać seksowną bieliznę, nie powinnam zabezpieczyć się folią, aby nie skazić audiczkii swoim śladem DNA.

Podróż minęła bez przygód, w promieniach słońca i na moim bezdechu. Fale radiowe przeskakiwały ze stacji na stację, aż w końcu do samej Pragi towarzyszyły nam już tylko wielkie światowe przeboje lat osiemdziesiątych w czeskiej aranżacji. Niezwykłe doświadczenie, którego nie polecam, ale jako że nie śmiałam niczego dotknąć, zniosłam to dzielnie. Muzyczny podkład naszej podróży potraktowałam jako wstęp do niezwykłej przygody i podbudowę pod atmosferę czeskiej stolicy. Pragę miałam zobaczyć po raz pierwszy, zatem z ogromnym podnieceniem i ciekawością mogłam znieść naprawdę wszystko. Okazało się, że taka deklaracja była mocno na wyrost.

Ledwie wjechaliśmy w praskie przedmieścia, nawigacja poprowadziła nas do tunelu. Dwie minuty później zatrzymaliśmy się przed czerwonym światłem. Tuż obok nas, na drugim pasie, stanęła stara skoda, jaką pamiętałam z dzieciństwa, bo sąsiad – szczęśliwy posiadacz jedynego auta w naszym bloku – regularnie grzebał w silniku z tyłu. Stąd zapamiętałam, że na odwrót niż w innych samochodach posiadała bagażnik z przodu. Dwie starsze panie, bardzo mocno posunięte w latach, może i pierwsze właścicielki skody, pomachały mi przyjaźnie. Uśmiechnęłam się i również odmachalam. Rozgąłzieniem przed nami nie jechał żaden samochód, za to za nami ustawił się całkiem imponujący sznur aut. Mijały kolejne minuty, a światło nie zmieniało się na zielone. Jedno spojrzenie na Waldemara wystarczyło, by wiedzieć, że zaczyna się niecierpliwić. Dłonie w skórzanych samochodowych rękawiczkach mocno zaciskał na skórzanej kierownicy, uważnie i w napięciu spoglądał przed siebie, jakby spodziewał się nadchodzącego z wnętrza tunelu kataklizmu, zdolnego wyrwać mu najukochańszy samochód, a któremu on stawi dzielnie czoła. Radio milczało, na elektronicznym zegarze zmieniały się kolejne cyfry, posuwając czas do przodu i wydłużając oczekiwanie. No i wtedy poczułam, że w moim pęcherzu nie ma już miejsca na czekanie. Zacisnęłam zęby i uda. Rozejrzałam się niespokojnie za jakimiś znakami lub strzałkami wskazującymi toaletę. Nic.

W sąsiedniej skodzie dwie starsze panie właśnie otwierały opakowanie pizzy i zaśmiewając się głośno, odrywały pierwsze kawałki. Kiedy ponownie spotkałyśmy się wzrokiem, w geście zaproszenia wskazały na opakowanie. Uśmiechnęłam się i zrobiłam minę w stylu: „nie rozumiem”, więc siedząca za kierownicą, pospiesznie odkręciła szybę. Odruchowo chciałam uczynić podobnie, ale okazało się, że istnieje coś takiego jak blokada.

– Możesz otworzyć okno? – spytałam Waldemara, nieprzerwanie kontemplantującą pustą przestrzeń tunelu przed nami.

– Spaliny nas uduszą – burknął.

– Te panie obok chcą nam coś powiedzieć. – Wskazałam ruchem głowy sąsiedni samochód, gdzie wesole czeskie staruszki machały rękoma nad podziw energicznie.

– I tak nic nie zrozumiesz.

– Po dwóch godzinach czeskiej wersji C.C. Catch, Michaela Jacksona, Madonna, Limalha i nawet Shakina Stevensa czuję, jakbym biegle władała językiem naszych sąsiadów – odparłam z pełnym przekonaniem. – Otwieraj!

Szyba poszła w dół, ale atmosfera zgęstniała od niemej pretensji.

– *Dobrý den!* – usłyszeliśmy od razu. Potem nastąpiła seria czeskich słów, które zaprzeczyły mojemu przekonaniu, że jesteśmy w tej samej grupie językowej – zachodniosłowiańskiej. Za to opanowałam bezsłowne kiwanie głową i przyjazne uśmiechy tępej idiotki. Odmówiłam pizzy i pomachałam na pożegnanie.

– Zamknij już to okno – wycedziłam przez zęby, które nadal grzecznie szczyrzyłam do wesołych staruszek.

– A nie mówiłem?! – parsknął z satysfakcją mój małżonek.

Zacisnęłam zęby, lecz nie z powodu chęci mordy na Waldemarze, ale pełnego pęcherza. Rozpięłam pasy, aby mieć więcej swobody, i zaczęłam głębiej oddychać. Karcące spojrzenie męża miało mnie bardziej zmotywować do kwestii bezpieczeństwa, ale mój pęcherz zajmował mi teraz wszystkie myśli, cały mózg! Bolesne uklucia w dole brzucha raz po raz sygnalizowały, że sprawa staje się bardzo poważna i niebezpiecznie rozwojowa.

– Siku mi się chce! – ryknęłam nieludzko we wnętrzu samochodowej świątyni.

Waldemar podskoczył na miejscu, ale nie puścił kierownicy.

– Jak to?!

– Normalnie! Zdarza się! – odpowiedziałam.

– Przecież sikałaś na stacji benzynowej! – Obrzucił mnie spojrzeniem pełnym wyrzutu i obrzydzenia, jakbym oznajmiła, że jestem kosmitką, a teraz wykluwa się we mnie obca forma życia, a ja zapomniałam mu o tym powiedzieć piętnaście lat temu.

Zacisnęłam mocniej szczęki. W bocznym lusterku widziałam kawałek nieba nad tunelem i sznur samochodów z równie niecierpliwymi kierowcami i pasażerami jak my dwoje. Poza leciwą skodą z leciwymi Czeszkami, które zaśmiewały się beztrudnie, zającując pizzę. Czerwone światło z sygnalizatora spoglądało na nas niewzruszone. Złowieszczo przeczuwałam, że szybciej popołudnie zmieni



się w noc, niż czerwone na zielone. Ból stawał się nieznośny i pragnęłam tylko uwolnić się od nadmiaru płynu!

– Nie wytrzymam! – krzyknęłam nieludzkim głosem. – Zesikam się! Co z tym światłem?!

Wizja skalanej mym moczem tapicerki samochodowej musiała zadziałać na mego małżonka błyskawicznie, bowiem wyłączył silnik i wysiadł z samochodu. Na chwilę moje myśli oddaliły się od pęcherza i poddały zaskoczeniu. Tymczasem Waldemar z niespotykaną energią ruszył pomiędzy samochody za nami i najwyraźniej zasięgał języka. Przez myśl przeszło mi, że rozpytuje o pieluchy dla mnie i w akcie desperacji gotów wyrwać je jakiemuś przypadkowemu niemowlęciu! Obserwowałam go we wstecznym lusterku, ale nie przejawiał agresywnych odruchów w stosunku do innych oczekujących w tunelu. Wreszcie, według mych obliczeń pod wpływem coraz bardziej napierającego na natychmiastową ewakuację moczu, powrócił po wiekach! Wsiadł i nie zaszczyciwszy mnie spojrzeniem, oznajmił:

– Gdzieś tam był wypadek!

– Iiiiiii?! – zawyłam.

– Wytrzymaj jeszcze kilka minut!

– Wykluczone! Idę przed siebie i wysikam się za zakrętem! – poinformowałam i nawet sięgnęłam do klamki.

– Poczekaj! Zaraz nas mogą puszczać!

– Stoimy tutaj prawie trzydzieści minut!

– Dwadzieścia pięć! – poprawił mnie, spoglądając na elektroniczny zegar. – Zaraz będą puszczać.

– Ja chcę się puścić! – zawyłam na tyle głośno, że wesołe staruszki przerwały konsumpcję i rozmowę, by z zaciekawieniem wpatrywać się w nasz samochód.

Podejrzewam, że moje desperackie wycie usłyszeli wszyscy przed i w tunelu, a nawet okoliczni prażanie mieszkający w promieniu pięciu kilometrów.

– Jezuuu, co się z tobą dzieje?! – zapytał odkrywco Waldemar, wzmacniając pytanie surowym zmarszczeniem czoła.

– Chcę siku! I nie wytrzymam! Dawaj coś!

– Co?! Wiadra nie mam! – rzucił chyba wesoło. – Kierowcy TIR-ów podobno sikają do butelek, gdy nie mogą się zatrzymać. Mam tutaj butelkę z wodą, ale czy trafisz? Zasikasz mi tapicerkę!

– Ciebie w głupi łeb trafię, na pewno! – ryknęłam w boleściach nadludzkich.

Z miejsca przypomniał mi się poród, kiedy pod wpływem straszego bólu wyrzucałam z siebie liczne przekleństwa, a chęć mordy mieszała się z chęcią rzucaenia się pod pociąg. Teraz wróciło do mnie to uczucie. Obdarzyłam Waldemara takim spojrzeniem, że w filmie Marvela na pewno wyparowałby jak kropla wody na słońcu. Zamknęłam mu tym samym usta, zanim wypowiedział ponownie: „wytrzymaj jeszcze trochę”. Mąż wzdrygnął się i po chwili pacnął otwartą dłonią w czoło.

– Mam! Mam w bagażniku znicze, które kupiliśmy na Boże Narodzenie, ale w końcu nie poszliśmy na cmentarz! – wykrzyknął, zacierając dłonie w rękawiczkach i oczekując na pochwałę.

To był już ostatni moment. Traciłam kontrolę nad pęcherzem i mózgiem. Miałam gdzieś to całe bóstwo o nazwie a8 long i nie dotarło do mnie, że w uporządkowanym świecie Waldemara pojawił się dysonans w postaci jakichś zniczy sprzed pół roku w bagażniku! A on już sięgał do tyłu i demontował jedno z tylnych siedzeń. Po chwili, w czasie której zmuszona byłam wpatrywać się w jego wypięty zadek, wyciągnął niewielki pakunek i podał mi go z uśmiechem szczęścia! Oddychałam głęboko i szybko, jakby to rzeczywiście był poród. Wyrwałam mu pakunek i poczęłam nerwowo szarpać folię, która szczelnie owijała znicz w kształcie choinki. Jednocześnie odsunęłam do tyłu siedzenie, by zrobić sobie miejsce. Brokat ze szklanej choinki posypał się obficie na samochodowy dywanik i tapicerkę. Błyskawicznie i sprawnie, jakbym nic innego w życiu nie robiła, tylko ćwiczyła sikanie w trudnych warunkach i okolicznościach, zdjęłam górę choinki i...

Powiem tylko, że... na szczęście światło na sygnalizatorze wreszcie zmieniło swoją barwę na kolor nadziei, lecz twarz mojego małżonka Waldemara długo pozostała krwistoczerwona i nadziei na udany pobyt w Pradze daremnie było wyglądać.

## 2. Stanowczy koniec z grzecznością

No i koniec. Koniec mojego wieloletniego, udanego, zgodnego, ocierającego się o ideał małżeństwa. Jakiś miesiąc po powrocie z Pragi Waldemar z niezwykłą stanowczością i w zaciętym milczeniu wkładał swoje koszule, spodnie i gacie do wielkiej walizy, którą kupiliśmy, gdy jeździliśmy w rodzinne podróże. Oczywiście w zamierzonych czasach sprzed audycjki, gdy podróżowaliśmy wspólnie, rodzinnie, choć również jedynym uznawanym przez mego małżonka środkiem transportu – mianowicie samochodem. Jeszcze nie tak bezkrytycznie wielbionym.

Imponujących rozmiarów waliza w zupełności starczała na naszą czwórkę. Teraz musiała zabrać Waldemara w ostatnią podróż i pomieścić wszystkie jego rzeczy. Pomyślałam, że rozmiary bagażu zawsze skazywały nas na transport samochodowy. Żaden samolot cywilny nie zgodziłby się zagrabić sobie połowy ładowni naszą walizą, nawet za solidną dopłatą. A transport wojskowy, który udźwignąłby i wagę, i rozmiar, z pewnością nie zgodziłby się, aby po pokładzie kręcili się jacyś cywile. Nawet mocno zasłużeni, jak mój małżonek Waldemar – honorowy obywatel miasta, znany i lubiany przedsiębiorca budowlany oraz, albo przede wszystkim, hojny sponsor.

Zatem waliza została spakowana i wciągnięta do wynajętego busa, po czym odjechała w towarzystwie telewizora, innego sprzętu RTV, dziewiętnastowiecznego biurka, komputera, drukarki oraz pralki i zmywarki. Za rozpad naszego wieloletniego pożycia uznana zostałam, jeszcze przed rozprawą sądową, winna ja i przykładowie ukarana. Teraz w ramach pokuty będę prała swoje i dziewczynek rzeczy w Kaczawie, trąc na tarce, i szorowała naczynia ręcznie. Skoro dopuściłam do tego, aby fizjologia wzięła górę nad cywilizacją, to i zdobycze cywilizacji nie powinny mi przeszkadzać w procesie totalnego zdziczenia.

Waldemar zadbał, aby wyprowadzka odbyła się, gdy nasze ukochane bliźniaczki będą w szkole, oszczędzając sobie pytań, szlochów i dramatycznych pożegnań. Jestem przekonana, że gdyby jego szalona babka Mauryca nie przepisała domku na nasze dziewczynki, to ja bym musiała wynajmować busa albo rower z przyczepką, bo tyle by mi pozwolił zabrać. Na szczęście dla mnie, niesamowita starsza pani, którą uwielbiałam za jej życia, a reszta rodziny uważała za wa-

riatkę, przewidziała moją przyszłość, czyniąc mnie jedynym prawnym pełnomocnikiem moich córek i ich majątku po sobie.

– Mój prawnik się z tobą skontaktuje – rzucił Waldemar, nawet nie zaszczyściwszy mnie ostatnim spojrzeniem.

– Prawnik... – westchnęłam głośno.

– Tylko nie rób scen – dodał jeszcze mój mąż, biorąc me westchnienie za wstęp do rozdzierającej sceny pożegnania.

Po czym tak szybko chciał już znaleźć się poza zasięgiem mych przewidywanych rozpaczliwych wrzasków, rwania włosów, tudzież rozszarpywania odzieży, że potknął się o wystający korzeń starej sosny, zamachał energicznie rękoma i omal nie wylądował na ziemi. Wzruszyłam ramionami całkowicie zobojętniała, a Waldemar, brunet mego życia, który niegdyś tak zawzięcie za mną łaził, pomyślowo zdobywał i ślepo wielbił... już uruchamiał silnik swego audi, by mnie opuścić na zawsze.

Cóż, oparta o ogrodzenie, przyglądałam się wszystkiemu, jakbym uczestniczyła w spektaklu teatralnym albo scenie filmowej. Nieobecna, niezaangażowana i nadal całkowicie zaskoczona. Czerwcowy, ciepły, jeszcze wiosenny dzień, zapach kwitnących kwiatów w naszym ogrodzie, lekki wiatr strącający liście klonu u sąsiada, dotarły do mnie dopiero, gdy przeladowany bus odjechał w ostatni kurs, a tuż za nim zniknęło za rogami czarne audi a8 long. A potem, to już mnie porządnie grzmotnęło i zamknęło w szaleństwie pytań bez odpowiedzi, dywagacji „dlaczego?”, samobiczowaniu, płaczu i śmianiu się na przemian i bez ustanku.

DLACZEGO? Dobre pytanie, które zadają sobie miliony kobiet w mojej sytuacji. Rozpamiętywanie każdego dnia małżeństwa w poszukiwaniu własnej winy. Prawdziwe śledztwo bez licencji, odznaki i... wypłaty. Gdzie popełniłam błąd? Co dalej? Jak teraz żyć? Tylko która z tych milionów porzuconych kobiet może powiązać rozwód z próbą profanacji znicza własnym moczem? No tylko ja! Bo i owszem, doprowadzona do ostateczności i bólu sięgnęłam po ów znicz i nawet ściągnęłam majtki, ale do aktu nie doszło. Zmiana świateł w tunelu i przekraczanie prędkości na praskich skrzyżowaniach przez mojego małżonka pomogły, aby dostarczyć mnie i mój pełny pęcherz do marketowej toalety, gdzie bezpardonowo dopadłam wreszcie właściwego miejsca. Znicz mimo wszystko wylądował w śmietniku, a atmosfera wyjazdu zepsuła się do końca pobytu. Praga, owszem, piękna, ale skwaszona mina Waldemara skutecznie zasłoniła mi Hradczany i Most Karola.

– Ależ on ma kryzys wieku średniego! – zawyrokowała moja mama, gdy w poszukiwaniu rodzicielskiego pocieszenia, zadzwoniłam do niej tuż po powrocie na ojczyzny łono. – Ten samochód, fochy, eleganckie ubiory. Jeszcze cię rzuci, zobaczysz! A gdzie ty lepszego zięcia dla mnie znajdziesz?

– Zięcia? – powtórzyłam z niedowierzaniem. – Chyba męża...

Głośne prychnięcie mojej mamy omal mnie nie ogłuszyło.

– Ja nie szukam męża! – zaprotestowała. – Jednego już miałam, umordowałam się strasznie i starczył mi na całe życie!

– Mamo, powtarzasz wszystkim wokół, że kobieta do szczęścia nie musi mieć męża, aby być spełniona – przypominałam.

– Właśnie! Dlatego ja nie mam!

– A ja to niby nie jestem kobietą? – oburzyłam się, lecz bez przekonania i nadziei na zrozumienie ze strony Bożenki Pawelek.

– Nie to miałam na myśli... – odparła zdeorientowana, jako że moją mamę ojciec zostawił, gdy skończyłam cztery lata, więc nie wiem, kiedy zdążyła się tak zmęczyć małżeństwem? Chyba że przeze mnie, bo nie dość, że ludzako przypominałam ojca, to jeszcze dostałam po nim imię: Krzysztofa.

– Myślałam, że jesteś po stronie wyzwolonych kobiet...

– Właśnie za dużo myślisz! – podchwyciła natychmiast. – Ostrzegałam cię, abyś nie dała się tak stłamsić. Namawiałam na studia! A teraz... Lepiej posprzątaj, ugotuj Waldemarowi coś dobrego, co lubi, i bądź grzeczna.

– Taaak.

Nie ma to jak wsparcie ukochanej mamuni! Spieranie się z Bożenką Pawelek nigdy nie przynosiło zwycięstwa. Pan Bóg obdarzył mnie stereotypową mamusią, o jakich mnóstwo napisano w poradnikach, czasopismach czy powieściach. W dodatku wychowaną w PRL-u, co znacznie wzmacniało charakter.

– On na pewno sobie znajdzie młodszą! – zawyrokowała demonicznie na koniec. – Zostawi cię! Jak twój ojciec, kanalia! A tyle razy mówiłam ci, dziecko, że o męża, dzieci, dom trzeba dbać... I o siebie...

Ten znany mi monolog o roli kobiety w małżeństwie i rodzinie nieco mnie nużył. Nasłuchiwałam się go w dzieciństwie i młodości. Mnie wpajała tradycyjne wartości, głosząc feministyczne hasła. Matka, porzucona przez mojego ojca, nigdy nie przestawała obarczać winą; naprzemiennie siebie, byłego męża i wszystkich wokół. Dlatego mnie wychowywała na grzeczną, cichą, zgodną dziewczynkę, aby ów wybrany, ukochany do grobowej deski nigdy nie musiał mnie porzucać. Grzeczność przede wszystkim i nade wszystko. Po pierwsze, po drugie, po ostat-

nie! Bądź grzeczną dziewczynką w szkole, to nauczyciele cię polubią. Bądź grzeczna na podwórku, w kościele, na kolonii, na dyskotecie, na wizycie rodzinnej, na spacerze, w autobusie... Bądź grzeczna, bądź grzeczna! Statystycznie te dwa wyrazy zdominowały matczyne wypowiedzi.

\* \* \*

– No i mi wykrakałaś, mamusiu... – wypowiedziałam smętnie, zamykając bramę wjazdową jak automat.

Weszłam do domu, powlóczęc nogami, niczym powracający z przegranego boju rycerz. Zakluczyłam drzwi i oparłam się o nie plecami, rozglądając się ze smutkiem po zagraconym przedpokoju. Nasze zimowe kurtki, jeszcze nie schowane na strychu, obciążały wiekowy wieszak. Zimowe obuwie zagracało większą część podłogi, niemo świadcząc o mojej marnej kondycji jako idealnej pani domu. Reprezentacyjną kobietą życia również nie byłam, sądząc po mojej rozciągniętej pidżamie w krasnale, a było już po południu. Fakt, ostatnimi czasy Waldemar sknerzył mi na wszystko, wydzielał marne grosze na dom, wymagając jednocześnie ponad miarę, ale nawet nie buntowałam się przeciw takiemu traktowaniu. Przyjęłam rolę kury domowej i nie czułam się w niej fatalnie, ale żebrać u niego o pieniądze, czy nawet słusznie się upominać, to przekraczało moje wyobrażenie. Po prostu czyniłam cuda, abyśmy nie chodziły głodne, bo przecież mój mąż bywał na biznesowych „lunchach” i mógł z pogardą spoglądać na domową pomidorową czy kapuśniak. A o mielonych, które wcześniej tak uwielbiał, wypowiadał się teraz, że to dość obciachowe polskie danie.

Nagle z niespodziewanym zapalem rzuciłam się, aby to wszystko posprzątać, wreszcie poskładać w pojemniki i złożyć na strychu. Zajęło mi to zaledwie pół godziny i już ponownie stałam pośrodku przedpokoju. Tym razem idealnie wysprzątanego, ale magia porządków nie zadziałała. Waldemar nie pojawił się w progu, by z zachwytem zlustrować wysprzątany hol, porwać mnie w ramiona i powrócić na łono rodziny.

– No i co teraz? – rzuciłam z rozpaczą swemu zużytemu odbiciu w lustrze w holu. – Grzeczne dziewczynki nawet nie myślą, aby sikać do zniczy!

Co powiedziawszy, wybuchnęłam słusznym płaczem, rozdzierającym serca wrażliwszych sąsiadów. Potem przez dwie godziny użalałam się nad sobą, by przed samym powrotem córek ze szkoły wyskoczyć z pościeli z postanowieniem:

– Już nigdy! Nigdy! – krzyczałam z zaciśniętymi zębami, grożąc oknu w sypialni. – Nigdy nie będę grzeczna, mammo! I cały świecie!

Wysmarkałam nos, umyłam twarz i zesłam na dół w samą porę, by powitać moje dwie przecudowne córki.

– Mamo, co na obiad? – Tomira jako pierwsza wpadła do domu i od razu penetrowała wnętrze lodówki.

Jak zwykle potknęłam się o plecak w motyle, który niedbale rzucała w przejściu. Dopiero teraz do domu dotarła Elwira, ciężko dysząc.

– Cześć! – rzuciła od niechcienia w moją stronę. – Próbowałam ją dogonić, ale... nie udało mi się.

– Umyjcie ręce – odpowiedziałam, nieco rozczarowana brakiem spostrzegawczości u córek, które nie skomentowały uporządkowanego przedpokojku.

Niczym znakomicie zaprogramowany robot, ruszyłam do kuchni. Dziewczynki wróciły z łazienki i usiadły przy małym kuchennym stole.

– Już grzeję krupnik – poinformowałam beznamiętnie.

– Znowu krupnik? – wyjęczała niezadowolona Tomira. – Mogę pominąć zupę i zacząć od głównego dania? Widziałam mielone w lodówce.

– Boże! Ileż ona mieści tego jedzenia? – Elwira oburzyła się i teatralnie złapała się za głowę.

– A co to za puste miejsce? – Spostrzegawcza Tomira wskazała na dziurę w meblach po zmywarce.

Oparłam się tyłem o blat zlewozmywaka i przyjrzałam się moim córkom. Czas odbyć poważną rozmowę. Jak zwykle wsparłam się obfitą lekturą na ten temat, więc powinno pójść profesjonalnie i bez emocji.

– Tato wziął ze sobą zmywarkę – zaczęłam. – Wziął również pralkę i telewizor.

– W delegację? – wtrąciła ze zdumieniem Elwira.

Mimowolnie parsknęłam śmiechem, ale błyskawicznie się zdyscyplinowałam. Przecież od tej rozmowy zależy, czy nasze córki nie pozostaną strauumatyzowane do końca życia! Rozwód rodziców to katastrofa, szczególnie w okresie dojrzewania. Próby samobójcze, złe towarzystwo, sekty, narkotyki... Wszystko to czyhało na moje ukochane bliźniaczki!

– No... nie w delegację – sprostowałam, zbierając się powoli.

– Kurczę! – wykrzyknęła Tomira. – Rozwodzicie się? Serio?

Zatkało mnie zupełnie i musiałam prezentować całkiem ogłupiałą minę, bo obie parsknęły śmiechem.

– Skąd wiecie?! Ojciec wam powiedział?!

– Mamo, to nudne! – prychnęła Tomira. – Wszyscy się rozwodzą. Możesz już podać te kotlety?

Elwira ponownie złapała się za głowę, a ja poprawiłam:

– Najpierw krupnik.

– No, doooooobra...

I tyle w kwestii poważnych rozmów z nastoletnimi córkami.



### 3. Czy teściową zostaje się na całe życie?

We wszystkich wyczytanych przeze mnie poradnikach czy powieściach porzucona kobieta dźwiga się ostatecznie z dna rozpacz i niskiej samooceny, by w finale znaleźć mężczyznę swego życia. Rzadko staje się to niespodziewanie, nieczęsto musi wziąć sprawy w swoje ręce i przerandkować parę miesięcy, aż do happy endu albo namiętnej sceny erotycznej.

Kobieta porzucona w polskiej rzeczywistości, zawsze z perspektywą fatalnej sytuacji ekonomicznej, ale z ambicjami, przede wszystkim musi znaleźć pracę. Widmo pustej lodówki i portfela, głodujących i obdartych własnych córek, błyskawicznie zmobilizowało mnie do zaniechania użalania się nad sobą. Do tej pory zajmowałam się dziećmi, domem, ogrodem, porzucając za namową Waldemara pracę. Znow taki stereotyp w związku, że aż zgrzyta w zębach, ale wówczas między nami panowała miłość, wierność i uczciwość małżeńska oraz obietnica nieopuszczenia aż do śmierci.

Oczywiście mogłam domagać się alimentów również na siebie i takowe bym otrzymała, ale kiedyś byłam kobietą z ambicjami i postanowiłam do takiej wersji siebie powrócić. Dość szybko porzuciłam ambicje, gdy okazało się, że za wcześniej wyszłam za mąż, by skończyć studia czy zdobyć jakiejkolwiek kwalifikacje. Postanowiłam nie wybrzydzać i następnego dnia zjawiłam się w pośredniaku, by wziąć cokolwiek, byle wreszcie wyjść, jak to powiadają, „do ludzi”.

W poczekalni, która jednocześnie stanowiła korytarz, czekały już dwie kobiety w podobnym do mojego wieku. Dla kontrastu o dwóch odmiennych obliczach. Ciemnowłosa, szczupła, z zaciętą miną i zmrużonymi podejrzliwie oczyma, w pomarańczowej sukience za kolano, rozglądała się nerwowo wokół, jakby węsząc spisek. Obandażowanymi dłońmi kurczowo ścisnęła torebkę na kolanach. Druga z kobiet o krótkich, nastroszonych blond włosach uśmiechała się przyjaźnie całą swą twarzą i nadwagą. Tryskała tak pozytywną energią, że nie musiała się odzywać, a już zyskała moją sympatię.

– Dzień dobry – powitałam obie z niepewnym uśmiechem.

Chwilę później już rozmawialiśmy wesoło z blondynką o dzieciach i ulubionych potrawach. Brunetka mierzyła nas niechętnym spojrzeniem, więc porzuciliśmy dobre humory i beztraskie tematy.

– Proszę pani, ja tutaj jestem pierwszy raz – przyznałam się. – Boję się, że z moimi... albo z brakiem kwalifikacji, to nic nie dostanę.

– Nie po to wybudowano potężną strefę ekonomiczną w Legnicy, aby teraz panoszyło się w naszym mieście bezczelne bezrobocie! – zakomunikowała ponuro brunetka.

Spojrzałyśmy na nią z zaciekawieniem. Ciemne chmury przesłoniły korytarz i jakoś ochłodziła się atmosfera.

– A pani to nie pomyliła pośredniaka z lekarzem? – spytała blondynka, wskazując na obandażowane dłonie kobiety.

– Ja to zmieniam pracę już po raz dziesiąty! – Z dumą odrzekła brunetka, jakby chwaliła się otrzymaniem nominacji do wyższego państwowego odznaczenia. – Tym razem muszę zaznaczyć, że żadnych nocnych zmian! Zasnęłam normalnie na taśmie i wredna brygadzystka nawet jej nie wyłączyła. Zdarłam sobie cały naskórek na dłoniach! – I tytułem prezentacji uniosła obie zabandażowane dłonie.

– Dobrze, że twarzą pani nie straciła... – odparła ze współczuciem blondynka.

Nie zdążyłyśmy poznać całej historii zawodowej brunetki, niewątpliwie obfitującej w równie ciekawe przygody, bowiem obie zostały zaproszone do pokoju. Pozostałam na korytarzu sama, zastanawiając się, czy naprawdę chcę być jakąś pracującą?

Kiedy wreszcie i ja weszłam do środka i miła pani Gosia zaproponowała ofertę „pracownica produkcji na dwie zmiany”, „kasjerka w markecie” albo „pomoc kuchenna”, dokonałam szybkiego wyboru. Kasjerka nagle wydała mi się pracą marzeń, gdzie spotyka się ludzi. „Wreszcie wyjdę z domu” – pomyślałam w dość ograniczony i wyidealizowany sposób.

Od poniedziałku miałam zacząć pracę i nowy rozdział w moim życiu. Od razu wypełniłam się wizjami lepszej przyszłości. Za pierwszą pensję kupię pralkę! Albo wezmę na raty razem ze zmywarką! Radość, słońce i nadzieja wypełniały mnie po brzegi, więc na wszelki wypadek nie dzwoniłam do mamy, by nie sprowadziła mnie na ziemię.

– Serio? Kasjerka? – rzuciły zgodnym chórem moje córki, gdy podzieliłam się z nimi moimi planami.

– Przecież coś muszę robić, bo za chwilę zabraknie nam pieniędzy – wyskoczyłam ze standardowym tłumaczeniem.

Zgodnie wzruszyły ramionami.

– Daję ci góra tydzień – rzuciła niedbale Elwira.

– A ja dwa dni – uzupełniła Tomira.

Po czym powróciły do swoich laptopów, a ja do swoich planów i marzeń.

\* \* \*

Cóż, można sobie coś zakładać, planować, zamierzać, ale gdzieś na górze albo na dole ktoś czasem objawia wyjątkowe poczucie humoru i potrafi splatać człowiekowi niezłego figla, udaremniając wszelkie ludzkie wysiłki. Tak też było w moim przypadku. A żadne znaki na pogodnym tego dnia niebie nie zapowiadały zbliżającego się kataklizmu. Ot, zwyczajna sobota rozplanowana w najdrobniejszych szczegółach, poczawszy od przedłużonego leniuchowania w łóżku, poprzez ogólne porządki, pielenie w ogródku i warzywniku, posiłki, spacer, aż po wieczorne samotne oglądanie seriali. Może wieczór z książką?

Moje ukochane córeczki, nadzwyczajnie pogodzone z nową sytuacją, również lubiły pospać dłużej. Zatem spałyśmy smacznie i błogo, zupełnie nie słysząc, że ktoś gmera przy zamku, otwiera drzwi i wchodzi jak do siebie.

Kiedy jednak moje łóżko ugięło się pod ciężarem siadającej nań kobiety, zerwałam się obudzona i przestraszona. Serce waliło mi bardzo mocno, a ja pospiesznie identyfikowałam zagrożenie.

– Wiedziałam! To skończony drań! – usłyszałam od mojej teściowej Marzeny, która tak ciężko opadła na mój materac, że prawie uniosła mnie o parę centymetrów wyżej. – Wpadłaś w depresję! Dziewczyno, co on najlepszego zrobił?!

Pomyśleć, że zanim zostałam niespodziewanie obudzona i brutalnie zaskoczona, a teraz grzmotnięta pospieszną diagnozą mego stanu psychicznego, to śniłam jakiś pozytywny sen o morskich klimatach. Niestety, moja teściowa Marzena z niekłamany z troską pochyliła się nade mną i nawet wylewała łzy. Co nie powinno mnie zaskakiwać, bo odkąd pamiętam, bywała strasznie płaczliwa. Teściowa, odziana jak zwykle elegancko w granatowy żakiet i szerokie spodnie z kantem, ostro kontrastujące z moją wyciągniętą lumpowato pidżamą w krasnale, prezentowała się, jakby właśnie zesza z planu filmowego *Mody na sukces*. No, może ciemne, krótko ostrzyżone włosy miała w lekkim nieładzie, co zauważyłam z ukrywanym zadowoleniem.

– Nie tak go wychowałam! Co za kanalia! – pochlipywała, załamując nade mną ręce w nieskazitelnym pomalowanych hybrydą różowych paznokciach.

Naprawdę chciałam coś powiedzieć, lecz zupełnie odebrało mi mowę. Jak mam potraktować tę niespodziewaną wizytę?

– Nie mam pojęcia, czy teściową zostaje się na zawsze, czy ta rola kończy się wraz z rozwodem swojego syna? – rzuciła od niechcienia Marzena, w zamyśleniu

kontemplując dach sąsiada z podejrzeniem o tej porze roku kopającym kominem. – Jak myślisz?

Opadłam z powrotem na łóżko i zamknęłam oczy w nadziei, że to wszystko na pewno mi się śni. Zaraz otworzę oczy i znów będę sama. Ale nie udało się. Marzena wciąż siedziała na brzegu mojego małżeńskiego do niedawna łóża. Przy najmniej przestała chlipać, bo zapadła cisza. Dość dziwna. Z mojej strony wynikająca z całkowitego zaskoczenia. Natomiast po stronie Marzeny z kontynuowania kontemplacji komina mojego sąsiada z przeciwka.

– Przemysślałam wszystko! – odezwała się jako pierwsza.

Uniosłam się na łokciach, nie kryjąc zaciekawienia. Zupełnie nie miałam pojęcia, co mam o tym wszystkim myśleć? Moja teściowa, szara myszka, totalna nudziara i elegancka sztywniara, istota kompletnie niewidzialna i zdominowana przez cholerycznego męża, objawiła się w podejrzanym metamorfozie.

– Jestem kobietą i solidaryzuję się z tobą całą duszą! Mam w nosie, że nie łączą nas więzy krwi! Mój żaloszny syn nie zasługuje na taką kobietę! Nigdy nie zasługiwał! Porzucić wspinałą matkę swoich dzieci i dwie cudowne córeczki!

Zamrugłam powiekami, uszczypnęłam się pod kołdrę w udo, ale to nadal nie był sen. Marzena siedziała tuż obok, wyprostowana obfitych kształtów sylwetka, noga na nogę, wysoko uniesiony podbródek, zaczerwienione policzki i błysk w oczach, jakiego chyba nigdy u niej nie zauważyłam. Pomyślałam, że tak przemawiali niegdyś wielcy i charyzmatyczni przywódcy albo zacni rzymscy senatorowie. Ale co to dla mnie oznacza, dowiedziałam się kilka sekund później:

– Wprowadzam się do was!

– Jezuuuu! – zdołałam jęknąć i ponownie opadłam na poduszki oraz nakryłam się kołdrą.

„Czy naprawdę nie może być normalnie, tylko musi być dziwacznie?” – zastanawiałam się w ciemnościach i przeleciało mi jeszcze przez myśl, że naprawdę mogłam się zeszczuć do tego znicza, to przynajmniej wiedziałabym, za co ta niechciana karma! Odrzuciłam gwałtownie kołdrę z twarzy, bo już brakowało mi powietrza do dalszych rozważań.

– Ale jak to sobie wyobrażasz? – spytałam, siadając na łóżku.

– Normalnie! – prychnęła zaskoczona, jakbym spytała, czy Ziemia na pewno kręci się wokół Słońca, a nie odwrotnie.

– To nie jest normalne... – podsunęłam.

– A czy to jest normalne, że mój jedyny syn Waldemar opuszcza z dnia na dzień swoją rodzinę? – rzuciła argument, który trudno mi było zbić. – Nie mogę

zostawić was na pastwę losu! Zajmę się domem, dziewczynkami, a ty spokojnie znajdź jakiegoś faceta.

Nie mogłam uwierzyć w to, co przekazywały mi do mózgu moje własne uszy.

– Dlaczego mam szukać faceta? Może najpierw pójde do pracy – zaproponowałam zdezorientowana.

– To strata czasu! – prychnęła moja teściowa. – Żadna praca nie zapewni wystarczającego standardu życia ani tobie, ani dziewczynkom, ani mnie. Waldemar przecież sporo zarabiał, więc postaramy się o alimenty, ale to nie wszystko. Wstawaj, zaraz zrobię wam śniadanie, a potem omówimy plan działania.

Ranyyyy! Może i twardo postanowiłam nie być już grzeczna, ale zapomniałam wspomnieć o asertywności. Nad tym aspektem powinnam mocno popracować, bo Marzena zajęła gościnny pokój.

## 4. Dobre wiadomości dają porządnego kopa

Naiwnie liczyłam, że przynajmniej niedziela okaże się stabilniejsza i nieobfitująca w zaskakujące zdarzenia. Marzena od rana krzątała się w kuchni. Zwyczajne życie budziło się i toczyło, a ja mogłam spokojnie poleżeć w łóżku. Rześkie wiosenne powietrze wypełniało pokój. Zakopana głęboko w pościeli, tylko na twarzy czułam delikatny chłód. Rozkoszne ciepło i brak pośpiechu właśnie przywoływało sen, gdy usłyszałam z dołu:

– Śniadanie!

Westchnęłam i niechętnie odrzuciłam ciepłą kołdrę. Od razu skuliłam się z zimna i szcękając zębami, dotarłam do okna, by zamknąć temat wietrzenia i rzeźkości poranków. Mimo to opatuliłam się moim misiowym szlafrokiem, którego nienawidził Waldemar, a który wydobylam z mroków szafy. Lata temu, aby już nie słuchać wrednych komentarzy o tym „dziadowskim kawałku szmaty” i gróźb palenia na ognisku takich „aseksualnych ciuchów”, ukryłam go głęboko. Jednak nadszedł dzień wolności dla mojego ulubionego szlafroka, bo na ciepło męskiego ciała już nie mogłam liczyć. Przynajmniej na razie.

– Zrobiłam jajecnicę i parówki – odezwała się Marzena, gdy pojawiłam się w kuchni. – Chyba że wolisz omlet, to zaraz zrobię, bo zostały jajka.

Tuż za mną zbiegły po schodach rozespiane dziewczyny.

– Dzień dobry! – wykrzyknęły nadzwyczaj radośnie i natychmiast zajęły się palaszowaniem śniadania.

Zanim sięgnęłam po widelec, pierwszą porcję jajecznicy Tomira miała już za sobą. Nadludzkim wysiłkiem powstrzymałam się od komentarza i też zaczęłam jeść.

– Kawę wypijemy w ogrodzie, jak już się ubierzesz – powiedziała wesoło Marzena. – Zapowiada się całkiem słoneczny i spokojny dzień.

Parujące parówki wylądowały na naszych talerzach, a ja zdążyłam tylko pomyśleć o tym, jak bardzo się zgadzam z moją teściową, gdy drzwi naszego domu gwałtownie się otworzyły.

Jeszcze przez chwilę myślałam, że to niespodziewany podmuch wiatru, lecz zaraz pojawiła się w progu moja mama z charakterystyczną dla siebie marsową

miną.

– To jest bezczelne, że tak sobie tutaj zamieszkałaś! – oznajmiła Bożenna, rzucając torebkę na stół kuchenny i wbijając morderczy wzrok w Marzenę.

Parówka z mojego talerza, który w efekcie niespodziewanego kontaktu z torebką mamusi, stracił na pozycji poziomej, zsunęła się na podłogę. „No i po śniadaniu i świętym spokoju” – pomyślałam.

Dziewczynki zgarnęły swoje talerze i błyskawicznie ewakuowały się z pola bitwy.

– A co w tym bezczelnego? Że chcę pomóc? – prychnęła zdumiona Marzena, zamiast paść trupem pod wpływem morderczego spojrzenia mojej mamy.

– Od pomagania jest matka, a nie była teściowa!

– Nie podoba mi się to określenie.

– A mnie nie podoba się, że twój syn porzucił moją córkę, a ty się jeszcze wprowadziłaś, by się nad nią pastwić!

– Nie pastwię się, tylko robię śniadanie – odparła spokojnie Marzena, a po chwili spytała, zastygając z czajnikiem elektrycznym w dłoni: – Chcesz herbatę czy kawę?

Bożenna, zupełnie zbita z tropu, zaniemówiła. Potem wbiła wzrok we mnie:

– Kawę! A ty nic nie powiesz?! – zaatakowała tym razem mnie.

– Ja na razie wolę herbatę – odpowiedziałam, choć doskonale wiedziałam, że nie o to mojej mamie chodziło.

– To jest chore! – wykrzyknęła z resztką oburzenia Bożenna, choć już bez przekonania.

– Zaparzę ci melisy – stwierdziła Marzena.

– Ani się waż! – zaprotestowała moja mama i opadła bezradnie na wolne krzesło. – Kawę poproszę!

– Doskonale – podsumowała radośnie moja teściowa. – To sobie też zrobię. Wczoraj upiekłam pyszny sernik, zaraz was poczęstuję.

„Mnie się to śni – powtarzałam sobie w myślach. – Mnie się to śni”. Na przemian patrzyłam na dwie kobiety, dotąd nieobecne w moim życiu albo obecne od święta. „O co tutaj chodzi? – rozmyślałam. – Czy naprawdę nie mogę mieć świętego spokoju? Co mnie jeszcze spotka? Grom z jasnego nieba czy karna teleportacja na Marsa?”.

Jeżeli Marzena sądziła, że pyszną kawą i domowym wypiekiem jest w stanie ułagodzić drzemiącą bestię w mojej mamie, to się pomyliła. Sernik, owszem, smakował wszystkim, lecz żadnych nastrojów nie poprawił.

– Długo zamierzasz tutaj siedzieć? – spytała wprost moja mama, gdy już z kawą przeniosłyśmy się do salonu.

– Właśnie się wprowadziłam. Rozwodzę się.

Omam się nie zadławiłam małym kawałeczkiem sernika.

– Ty też?! – podchwyciła Bożenna. – Też cię zdradzał?! To draństwo przenosi się genetycznie czy zaraża się tym jak bakterią?

– Jak to „też zdradzał”?! – Tym razem ja podchwyciłam. – Czy Waldemar kogoś ma, a ty mi nic nie powiedziałaś?!

Moja mama zbagatelizowała moje pretensje machnięciem dłoni.

– Ma, ma. Tylko kryzys wieku średniego. Twój ojciec też miał. Cóż, taki los... – westchnęła i sądząc po minie, szykowała się do tyrady na temat facetów.

Marzena uśmiechnęła się, jakby świetnie się bawiła.

– Nie, ja go rzuciłam – odparła z satysfakcją. – Rozpoczęłam nowy rozdział w życiu. Tak jak twoja córka.

– To mogłaś wybrać się na misję do Afryki albo w podróż dookoła świata! A nie kotwiczyć w domu byleż synowej! Czy nie masz sumienia?! Nie widzisz, jak cierpi?

Rozumiem teraz doskonale powiedzenie „przecierać oczy ze zdumienia”, bo właśnie w onej chwili to zrobiłam. Tymczasem Marzena nie dała się pozbawić świetnego humoru i uśmiechu. Machnęła lekceważąco dłonią, uśmiechnęła się i odparła:

– Wiesz, ja już wiele widziałam, wszędzie byłam... Nawet w czarnej dupie! I koniec z tym!

Parsknęłam śmiechem i od razu zostałam nagrodzona potępiającym spojrzeniem Bożenny.

– Dobra! Ja też się tutaj wprowadzam, aby mieć cię na oku, czy czasem czegoś nie knujesz! – stwierdziła moja mama i obrzuciła nas triumfującym spojrzeniem.

– Muszę się zająć córką i wnuczkami!

Od mojej mamy nigdy nie udało mi się uciec. Nawet, gdy dzieliły nas setki kilometrów, gnieździła się w mojej głowie i przebijała w moim zachowaniu czy nawet języku. Każda próba ucieczki kończyła się rezygnacją. Kochałam ją, bo mimo wszystko zapewniła mi dzieciństwo pełne atrakcji, miłości i ciepła. Fakt, życie przeszłością, słoniowa pamięć do wszelkich krzywd, zniewag i przykrości oraz nieustanne narzekanie na nieobecnego ojca towarzyszyło mi, odkąd pamiętam, lecz poza tymi „drobiazgami” była i jest absolutnie cudowna i nieskończenie do-



bra. Nierzadko musiałam przyznać jej rację, a to nigdy nie jest komfortowe, gdy racja nie leży po naszej stronie. Cóż, taka moja mamusia na wieki wieków amen.

Dzisiaj jednak czułam, że nie mam najmniejszej ochoty wysłuchiwać ani tyrad, ani pouczeń, ani tym bardziej znosić prowokacyjnego zachowania Bożenki. Pragnęłam spokoju, ucieczki do miejsca wolnego od mojej rodziny, by choć przez dłuższą chwilę przemyśleć swoje położenie. Nawet nie fatygując się przebieganiem, wyszłam w pidżamie z domu. Żaden przeraźliwy chłód nie pozostał mi straszny, ani porywisty wiatr, który sprawiał, że musiałam ostro napinać mięśnie, by przeć do przodu. Globalne ocieplenie? Dobre sobie! Przyroda najwyraźniej nie trzymała mojej strony. Wreszcie dotarłam do ogrodzenia, którego mogłam się bezpiecznie uchwycić i trzymając się, skierowałam się do sąsiada.

Nasze poniemieckie domki, miniaturowe z perspektywy współczesnego budownictwa, były połączone w pary. Z jednym sąsiadem zawsze byliśmy połączeni nie tylko płotem, ale i wspólną ścianą. To właśnie odgłosy zza tej ściany sprawiły, że poznaliśmy „Grigorija”. Już pierwszej nocy po przeprowadzce jęki, posapywania i okrzyki rozkoszy sprawiły, że oboje z Waldemarem nie mogliśmy zasnąć. Ledwie się skończyły i z ulgą zamykaliśmy powieki, by po chwili zacząć koncert na dwa głosy od nowa. Imponująca kondycja i zapach, ale po nieprzespanej nocy nie zamierzałam składać sąsiadowi gratulacji. Wręcz przeciwnie. Nazajutrz, bladym świtem załomotałam w drzwi i bez litości naciskałam dzwonek. Chwilę trwało, zanim zmęczony nocnymi wyczynami sąsiad pojawił się w progu. O dziwo, kompletnie ubrany i gotowy do wyjścia.

– Dzień dobry, coś się stało? – spytał przystojny brunet z gęstym, aczkolwiek eleganckim wąsem.

Oparłszy się ramieniem o futrynę, powoli mierzył mnie czarnymi oczami. Kędzierzawa czupryna wystylizowana na Hugh Granta i ciemny wąs, trącający Lechem Wałęsą przyciągały mój wzrok. Nie tylko złość mi wyparowała w błyskawicznym tempie, ale i zdolność mowy. Tkwiłam przed niebotycznie przystojnym trzydziestolatkiem o wysportowanej sylwetce, w głowie wciąż słysząc całonocne odgłosy, i nie mogłam powiedzieć słowa. Mężczyzna uśmiechnął się i rzekł wesoło:

– Miło, że pani wpadła z sąsiedzką wizytą, ale śpieszę się do pracy.

Wyminął mnie, zamknął drzwi, wszedł do busa stojącego na podjeździe i odjechał. Takie właśnie było moje pierwsze spotkanie z Łukaszem, od łudzącego podobieństwa do filmowej postaci z *Czterech pancernych i psa*, zwanego Grigorijem.

– Mogę trochę posiedzieć u ciebie na strychu? – spytałam, gdy wreszcie dotarłam do jego drzwi i mocno przewietrzyłam głowę z ostatnich rewelacji, które mnie dopadły.

– Tam jest zimno, brudno i leży mnóstwo gratów.

– Tam jest idealnie do mojej sytuacji – przekrzykiwałam wiatr.

– Jesteś aż tak zdesperowana? – Uśmiechnął się i wpuścił mnie do środka.

Bez zaproszenia weszłam do kuchni równie miniaturowej co moja i usiadłam przy stole. Oparłam się łokciami o blat, by ukryć twarz w dłoniach.

– Może pomyślisz o terapii, skoro aż tak bardzo ci go brakuje – zasugerował Łukasz, od razu uruchamiając ekspres do kawy.

– Kogo?

– Waldka.

Obdarzyłam go stuprocentowym zaskoczeniem.

– Jezuuu, dlaczego tak myślisz? – rzuciłam z oburzeniem.

Wzruszył ramionami i usiadł po drugiej stronie.

– No bo cię rzucił po kilkunastu latach małżeństwa? Bo był całym twoim światem i teraz już nie jest? – podsuwał wytłumaczenia.

– Dlaczego wszyscy uważają, że powinnam albo że już rozpaczam po opuszczeniu przez męża? Coś ze mną musi być nie tak, że nie przeżywam tego tak tragicznie? – dopytywałam bardziej samą siebie niż przyjaciela.

Ekspres dyskretnie dał znać, że kawa już czeka, więc Łukasz podniósł się od stołu, by po chwili postawić przede mną parującą, aromatyczną filiżankę. Z szafki wyciągnął tabliczkę czekolady, którą lubię, i podsunął w moją stronę. Spojrzałam nań z wdzięcznością i zachłannie rzuciłam się na opakowanie.

– Może nie przeżyłem żadnego rozstania po długo trwającym związku, ale wiem, że kobiety mniej lub bardziej, ale cierpią. No a Waldek nie zdradzał żadnych symptomów, że nagle cię... no... zostawi. Może jesteś jeszcze w szoku?

Popukałam palcem we własne czoło.

– Owszem, rzucił, odszedł czy jak tam kto chce, puścił w trąbę, zrobił w jajko – przyznałam. – Jednak okazało się, że są gorsze kataklizmy i jak zwykle musiały przydarzyć się mnie.

– Mianowicie?

– Marzena się wprowadziła, nie mam pracy i wprowadzi się też Bożenna, aby zrobić na złość Marzenie i mnie.

Poprawił się na krześle, nie kryjąc rozbawienia.

– Rzeczywiście, niezły kocioł. Możesz się wprowadzić do mnie! – zaproponował ze szczerym entuzjazmem. – Wiesz, może być nam całkiem przyjemnie... Wcześniej był Waldek...

Spojrzałam na niego, marszcząc brwi. Wzmocniłam przekaz, ponownie pukając palcem we własne czoło.

– Nie pograżaj mnie. Potrzebuję tylko chwilę samotności.

Awanse młodszego ode mnie o dziesięć lat Łukasza nigdy mnie nie obrażały ani nie interesowały. Kobiety pozostawały pod jego niezwykłym urokiem, lgnęły doń i oblepiały, choć żadnej nie udało się zagnieździć na stałe. Owszem, i mnie zdarzyło się zauroczenie przystojnym sąsiadem przy pierwszym spotkaniu. Owszem, kusilo mnie pójście dalej, lecz dość bezpiecznie dla mnie przeszło i Łukasz pozostał dla mnie najlepszym przyjacielem. Właściwie to przyjaciółką, którą kiedyś miałam, ale nie wypowiadałam tej myśli głośno przy wypełnionym w nadmiarze testosteronem sąsiedzie.

– Á propos pracy! – podchwycił. – Masz prawo jazdy?

– Mam, choć dawno z niego nie korzystałam. Waldemar nie miał zaufania do mojego stylu prowadzenia samochodu. A już jak pojawiło się audi...

– Cud, że pozwalał ci oddychać – prychnął. – Ale nieważne. U nas, jak to mówimy, w „kurierowni”, zwolniło się miejsce na Legnicy. Fatalny rejon, bo nikt tutaj nie lubi jeździć, ale na początek powinnaś sobie dać radę. Szczególnie że jesteś uodporniona na toksycznych ludzi.

– Myślisz, że się nadam? – ucieszyłam się, czując, jak zapal i entuzjazm rochodzą mi się po całym ciele.

Od razu widziałam siebie dostarczającą paczkę pod adres, z uśmiechem na ustach jak z reklamy. Wyobraźnia potrafi wzmocnić moją motywację. Tymczasem wizja mnie w roli kasjerki rozwiała się z wiatrem szalejącym za kuchennym oknem.

– Spokojnie. Najpierw muszę zobaczyć, jak kierujesz busem, a potem umówię cię na rozmowę z kierownikiem.

– Cudownie! Dzięki! – wykrzyknęłam, podnosząc się z krzesła. – Zaraz się przebieram i możemy jechać!

Podsłakiwałam z radości i odtańczyłam w wąskiej kuchni coś w rodzaju tańca dziękczynnego. Cóż, gdy chwilę później opuszczałam gościnne progi Łukasza, wyszłam wprost na szalejący niezmiennie wiatr, ale i straszną ulewę. Najwyraźniej specjalizują się w tańcach przywołujących deszcz i mam spore szanse na zarobek, ale w pustynnej części świata.

## 5. Morderczy początek

Z przejęcia nie mogłam zasnąć. Moja pierwsza praca, do której szłam, mając czterdzieści lat, napawała mnie mnóstwem obaw i czarnych myśli. W ciemnościach natychmiast znikła pewność siebie i kobieca siła, a wizja totalnej porażki rozprzestrzeniła się w mojej głowie. Przewracałam się z boku na bok, co chwilę zerkając na zegarek w telefonie. Mijające godziny bez snu coraz pewniej gwarantowały rankiem podkrążone i zaczerwienione oczy. Z takim wyglądem raczej nie zrobię dobrego wrażenia. Cóż, kiedy emocje całkowicie mną zawładnęły.

– Czemu jeszcze nie śpisz? – usłyszałam od progę, a potem wyłowiłam z ciemności potężną sylwetkę mojej teściowej. – Wiercisz się i wiercisz. Pobudzisz całe osiedle.

Podniosłam się na łokciach.

– To niech nie śpią! Ja też nie mogę spać! – odparłam bińczucznie, trzymając się wersji samej siebie jako niegrzecznej dziewczyny.

– Zaśpiewać ci kołysankę? – zażartowała Marzena.

– Dobra. Już zasypiam. Dobranoc!

Nakryłam się kołdrą razem z głową i rozpoczęłam liczenie baranów od setki do jedynki.

Nazajutrz wstałam bardzo wcześnie. Jeszcze nie świtało, gdy stanęłam gotowa w drzwiach w swoim kurierskim umundurowaniu. Cóż, nie był to szczyt stylu i szyku. Zdaje się, że projektant nie przewidział w swych najśmielszych fantazjach, że stroje będą nosiły także kobiety. Najpewniej postrzegał kuriera jako potężnego osiłka o rozbudowanych na siłowni ramionach i mierzącego co najmniej dwa metry wzrostu. Całkiem możliwe, że gdzieś do roznoszenia paczek zatrudniano wyłącznie sobowtórów Arnolda Schwarzeneggera i Sylvestra Stallone’a i kurierskie wdzianko leżało na nich idealnie jak szyty na miarę włoski garnitur, lecz w mojej wersji, i tak po krawieckich przeróbkach Marzeny, wyglądało przekomicznie. Postanowiłam jednak się tym nie przejmować. Ostatecznie nie wybierałam się na randkę, tylko do pracy.

Wszyscy jeszcze spali, gdy wstawałam, ale ledwie stanęłam w korytarzu gotowa do wyjścia, pojawiły się obie mamunki. Tak, odkąd tydzień temu bezcere-

monialnie u nas zamieszkały, wymyśliłam dla obu taką nazwę zamiast imion, stopni pokrewieństwa i niezbyt pochlebnych określeń. I mamunki, owinięte powłóczyistymi szlafrokami, przy których mój misiowy wyglądał jak ostatni łach, tłoczyły się w wąskim korytarzu, by mnie zapewnić, że trzymają kciuki. Szczerze mówiąc, pozytywnie mnie zaskoczyły i omal się nie popłakałam ze wzruszenia. Wszystkie miałyśmy łzy w oczach, jakbym wybierała się na zsyłkę, a nie do pierwszej pracy. Marzena obiecała przygotować dziewczynki do szkoły, a Bożenna odprowadzić je na przystanek, więc mogłam nieco wcześniej zjawić się na bazie.

Osiedle spowijała gęsta mgła i złowieszcza cisza. W żadnym z domów moich sąsiadów nie paliło się światło. Łukasz tej nocy nie spał u siebie, więc mieliśmy się spotkać na miejscu w pracy. Nawet pracujący na budowie czy w pobliskiej strefie ekonomicznej robotnicy jeszcze się nie obudzili. Dopiero na Jaworzyńskiej mijałam pierwsze samochody, które zmierzały w stronę autostrady lub na pobliską Legnicką Specjalną Strefę Ekonomiczną. Przechodniów jednak zobaczyłam dopiero na przystanku przy urzędzie statystycznym, a wcześniej żywej duszy. Czas włókł się niemiłosiernie i nie pomogło nadłożenie drogi. Na skrzyżowaniu ulic Moniuszki z Wrocławską dopadła mnie myśl, że bycie za wcześniej może być postrzegane równie źle, co spóźnienie. Dlatego zaraz zjechałam na stację benzynową, aby się napić kawy i nieco poczekać do przyzwoitej godziny. Nadspodziewanie mocno się denerwowałam, choć zanim samodzielnie wyjadę na swój kurierski rejon, przede mną jeszcze dwa dni pracy – szkolenia z Grigoriem, osobą mi życzliwą i przyjazną. „To skąd te nerwy?” – pytałam siebie uspokajająco. Wzięłam też cztery głębokie oddechy i nieco pomogło. Piłam kawę już spokojniejsza; oparłam się o busa, obserwując poranny ruch wokół stacji.

Mimo postoju na kawę, wjechałam otwartą bramą na pusty plac. W części biurowej paliło się światło, więc pomyślałam, że nie będę tutaj całkiem sama. Ale... brak samochodów oznaczał, że nie pojawił się jeszcze ani jeden kurier. Za to w mojej głowie pojawiła się niepokojąca myśl, że inni uznają mnie za lizusa albo nadgorliwca... Nie tak wyobrażałam sobie pierwszy dzień w pracy – od przylepienia łatki. „Poczekam w busie” – postanowiłam, wyłączając silnik. Całe szczęście, że w radiu Doda krzyczała głośno i jakby specjalnie dla i do mnie: „Nie daj się, / ludzie niech swoje myślą. / Nie daj się, / z diabłem do piekła wyślą. / Nie daj się, / warto być zawsze tylko sobą!”. No właśnie, najwyższy czas porzucić dawne nawyki grzecznej dziewczynki, która zamartwia się, jak inni ją będą postrzegać! Jednym ruchem otworzyłam drzwi i stanowczym głosem rzuciłam w pustą przestrzeń:

– Koniec z tym!

Potem już zwinnie wyskoczyłam z busa i z rozmachem trzasnęłam drzwiami. Energicznym, pewnym siebie, męskim krokiem ruszyłam w stronę biura. Wskoczyłam na rampę, jakbym przeszła komandoskie szkolenie i do tej pory nic innego w życiu nie robiła, tylko wskakiwała na rampy. Tym samym pewnym i zamaszystym krokiem zamierzałam dotrzeć do biura, ale na mojej drodze zniecka pojawił się kawałek wystającego drutu, o który zahaczyłam na wysokości uda i rozerwałam sobie kieszeń nogawki spodni. Zamiast zakląć siarczyście i splunąć, omal się nie rozplakałam. By lepiej ocenić straty, podeszłam bliżej światła, gdzie z okna biura prostokąt oświetlał fragment rampy. Poza kieszenią w strzępach, spodnie nie ucierpiały. Własna skóra pozostała nietknięta, więc już wyprostowana podeszłam do drzwi. Nacisnęłam klamkę pełna pozytywnej energii, ogromnego zapału i siły superwoman, ale nasze biuro było zamknięte. Dopiero teraz zorientowałam się, że światło świeciło się w sąsiednim biurze, należącym do hurtowni tekstylnej, a okno sąsiadowało z naszymi drzwiami. Chyba straciłam rozeznanie w terenie przez ten parszywy drut! Już zrobiłam delikatny odwrót, gdy wprost na mnie wybiegła rozczochrana postać i z potwornym wrzaskiem powaliła mnie na ziemię. Też zaczęłam krzyczeć, usiłując zrzucić z siebie to wrzeszczące coś. Rozmiar decybeli wspólnie osiągnęliśmy imponujący i takich nie powstydziliby się hałaśliwy zespół heavymetalowy, gdzieś na koncercie na stutysięcznym stadionie. Zupełnie ogłuchłam, ale wreszcie udało mi się zrzucić z siebie tę zawziętą postać. Błyskawicznie zerwałam się na równe nogi i przezornie cofnęłam się w stronę naszego biura. Z niepokojem obserwowałam, jak postać, która okazała się kobietą, również się podniosła. Wyglądała przerażająco, ale nie miałam szans przyjrzeć się dokładnie, bowiem od razu złapała mnie za koszulkę pobrudzonymi chyba farbą dłońmi. „Zupełna wariatka” – przeleciało mi przez myśl i nawet zastanowiłam się, czy spotkanie z wariatką pierwszego dnia w pracy przynosi pecha czy szczęście? Po chwili znów zaczęła krzyczeć, ale teraz przynajmniej docierał do mnie sens wypowiedzi.

– On tam leży!!! – ryczała mi prosto w twarz, zalewając się łzami i rozmazując sobie makijaż, który znajdował się w bardziej niż oplakany stan. – Nie żyje! Ktoś go zabił!!!

Przed wszystkim starałam się uwolnić z uścisku, ale słysząc ostatnie słowa, omal się nie osunęłam na ziemię. Jak to nie żyje? Co za dowcipy?

– Proszę się uspokoić! – Zdobyłam się na stanowczość.

– Staszek! Staszek nie żyje! Rozumiesz?!!!

Serce mi ruszyło z kopyta i postanowiło się salwować ucieczką szybciej niż ja. Spojrzałam w stronę światła rzucającego jasność na szary beton rampy, otwarte na oścież drzwi biura hurtowni i przeszedł mnie dreszcz. Wzięłam głęboki od-

dech, aby nie zemdlec ze strachu, po czym przygarnęłam szlochającą kobietę niczym bohater Marvela, ratujący niewinną ofiarę straszego potwora, którego właśnie powalił swoją mocą. Jednak stanowczo za daleko mi było do superwoman, bo dostałam takich drgawek ze strachu, że ledwie zeszyliśmy z rampy. Dopiero w bezpiecznej odległości od miejsca zbrodni oparłam kobietę o mojego busa i sięgnęłam po telefon:

– Dzwonię po policję. Mam nadzieję, że to nie jest jakiś dowcip na pierwszy dzień pracy! – przestrzegłam, dodając poważne i nieco groźne spojrzenie. W rzeczywistości kotłowały się we mnie myśli pod tytułem: „Spierdalał stąd!”.

– Staszek... – wyjęczała kobieta, pociągając nosem. – On nie żyje! Nie żyje!

Żadna siła nie zaciągnęłaby mnie, aby sprawdzić prawdziwość tej kobiety. Chociaż może facet dostał zawału i ważne są te minuty, aby uratować mu życie, udzielając pierwszej pomocy? Zawahałam się przed wybraniem numeru alarmowego, a potem znów zerknęłam na kobietę, która zakrwawionymi dłońmi zakrywała swoją twarz. No z całą stanowczością nie kwalifikowałabym tego Staszka jako zawałowca. Wybrałam numer alarmowy.

Radiowóz przybył w towarzystwie dwóch busów naszych kurierów. Potem przyjechało ich więcej, lecz nikt nie zajmował się paczkami, ale zadawaniem pytań sobie nawzajem i odpowiadaniem na pytania policji oraz snuciem przeróżnych teorii na temat śmierci mało popularnego Staszka. Policjanci rozpoczęli od zamknięcia biura i spisywania naszych personaliów. Ledwie przytomna kobieta, która odnalazła zwłoki, okazała się sekretarką Staszka Migotki, właściciela hurtowni tekstyliów. Pytający o jej dane policjant musiał powtórzyć trzykrotnie pytanie i wreszcie dowiedzieliśmy się, że nazywa się Malwina Matuszek. Niestety, nic ponadto nie udało się ustalić, bowiem efektownie zemdląła, opadając wprost w stojącą nieopodal kałużę. Rozbryzg brudnej wody dopełnił zniszczenia moich spodni, jednak opieka nad nieszczęsnym świadkiem śmierci Staszka sprawiła, że nie zajmowały mnie moje własne emocje. Dopiero gdy Malwina Matuszek odjechała wezwaną wcześniej karetką pogotowia, znów zaczęłam dygotać na całym ciele.

Wokół mnie zaczęli pojawiać się kurierzy, przedstawiać się, choć w moim stanie nikogo nie zapamiętałabym, nawet gdyby sam Sylvester Stallone serdecznie poklepywał mnie po plecach.

– To ty go znalazłaś? Dużo krwi było? Czym dostał? – Zewsząd osaczały mnie pytania. – To ty jesteś nowa? Co tam się stało? Serio nie żyje? Jak wyglądał?

Nawet, gdybym chciała udzielić odpowiedzi, to zwyczajnie nie mogłam, bo od wrzasków straciłam głos i piałam jak kogut, w dodatku ściskany za gardziel.

Wkrótce przyjechała do pracy pani Jola, nasza kasjerka i sekretarka w jednym, i gdy tylko się dowiedziała, co się stało, uderzyła w potężny szloch i lament. Nie nadążaliśmy z podawaniem chusteczek higienicznych, a okoliczni mieszkańcy i pacjenci pobliskiego szpitala zapewne zatykali sobie uszy od produkowanego przez panią Jolę hałasu. Teraz dla odmiany musiałam się zająć kolejną roztrzęsioną niewiastą i znów skutecznie zapomniałam o sobie. Dopiero przyjazd cywilnych samochodów policyjnych położył kres tej obfitującej w wilgoć i decybele rozpaczy.

Z nieoznakowanego auta, nadal błyskającego na niebiesko światłem, wysiadł otyły starszy mężczyzna z brodą. Wypisz wymaluj Szymon Kobylński! I pierwsze, co uczynił, to wrzasnął:

– Ciszza!!!

No i błyskawicznie stało się zadość jego „życzeniu”. Wówczas zmierzył nas wszystkich bardzo krytycznie spod krzaczastych brwi, jakby włączył skaner wbudowany w komputer Terminatora. Z na w pół leżącą na naszych kolanach panią Jolą wyglądaliśmy jak *Grupa Laokona* albo dość rozbudowana w postaci – *Pietà*. Dopóki Szymon Kobylński nie znikł za drzwiami biura, nie poruszyliśmy się ani nie oddychaliśmy.

– Co my teraz mamy robić? – zapytał ktoś z tyłu.

– Magazynu nie zamkną, więc może się pakujemy – zaproponował ktoś inny. – Szkoda dnia.

– Szkoda tego Staszka... – odezwał się ktoś, uruchamiając lawinę opinii o niezującym właścicielu hurtowni.

– Boże, taki dobry człowiek... – jęknęła pani Jola i teraz po cichu, konspiracyjnie niemal, poczęła pochlipywać.

– Chyba go pani nie znała – westchnęła jakaś dziewczyna.

– Ale... że ktoś go kropnął? W biały dzień? – dziwił się ktoś inny.

Ręce mi już omdlały od trzymania pani Joli, więc kobieta wylądowała na rampie. Zaraz pochwycili ją kurierzy i pomogli się podnieść. Przywrócona na chwilę do pionu, znów osunęła się po ścianie. Dopiero gdy zjawił się w progu kierownik Ryszard Bączek i obrzucił najpierw wszystkich złowrogim spojrzeniem, a potem władczo ryknął: „Co tu się wyprawia?!”, wszyscy stanęliśmy na baczność, nie wyłączając półprzymotanej z szoku pani Joli i mnie.

– Zamordowali... zamordowali pana... – usiłowała wyjaśnić pani Jola.

– Czy pani jest pijana? – spytał kierownik, podejrzliwie zaglądając kasjerce w oczy.



Pani Jola, nie zastanawiając się zupełnie, chuchnęła potężnie w stronę swego szefa. Ów skrzywił się z odrazą, bowiem ewidentnie na śniadanie kasjerka nie pożałowała szczypiorku.

– Staszek został zamordowany! – rzuciła pani Jola tytułem wytłumaczenia.

– U nas?!

– Nie, u siebie – odpowiedział ktoś z boku.

Kierownik Bączek ze zmartwioną miną westchnął, otoczył ramieniem swoją sekretarkę i skierował w jej stronę śpiewającą wypowiedź:

– *That you are not alone / I am here with you/ Though you're far away/ I am here to stay*<sup>1</sup>.

– Kim pan jest? – usłyszeliśmy wszyscy za swoimi plecami pytanie skierowane do kierownika, które brutalnie przerwało jego solowy występ.

Po dokonaniu szybkiej prezentacji, Bączek i Szymon Kobyliński zniknęli we wnętrzu biura.

– Co to było? – spytałam zdezorientowana.

– Piosenka Michaela Jacksona! – prychnęła pani Jola i odsunęła się ode mnie z niechęcią, jakbym popełniła jakieś przestępstwo. – Pan kierownik jest zagorzałym fanem Michaela!!!

Po chwili kierownik pojawił się ponownie przed nami i z niewzruszoną miną Chucka Norrisa, na którym zawsze można polegać, rzucił cytatem z innej piosenki Michaela Jacksona:

– *Cause this is thriller!*<sup>2</sup> – I dodał w ojczystym języku: – Ale te paczki same się nie rozwiozą! Do roboty! Do roboty!

Skoro policjanci uniemożliwili nawet ciekawskie zagłądanie, kurierzy zabrali się do pracy. Kiedy zostałam na rampie jedynie z panią Jolą, podszedł do nas jeden z umundurowanych policjantów, spisujących wcześniej nasze dane:

– Proszę, aby pani przeszła do pomieszczenia gospodarczego. Pan komisarz chciał zadać parę pytań.

Poszłam za nim niczym automat, choć nie do końca pozbawiony emocji, bowiem strasznie mi drżały kolana i dłonie.

– Komisarz Sylwester Kluczyk – przedstawił się brodacem i wskazał krzesło, bym usiadła. – A pani to... – Zajrzał do notatek, które leżały na stole, ale go uprzedziłam:

– Krzysztofa Grądzińska – zapiszczałam, jakbym przechodziła mutację. – Przepraszam, ale krzyczałam i...

– Rozumiem. Proszę opowiedzieć, co się wydarzyło.

– Nie mam pojęcia, co się wydarzyło – zapiszczałam ponownie, a komisarz w międzyczasie nalał mi wody i podsunął kubek. – Przyjechałam, gdy jeszcze nikogo nie było. Zaparkowałam i szłam w stronę światła. Nagle wyleciała wprost na mnie pani Malwina. Wrzeszczała. Przewróciliśmy się. Szarpała mnie w szoku najwyraźniej i potem zeszliśmy do mojego busa. Zadzwoiłam po was. To wszystko.

Sięgnęłam po kubek i wypiliśmy całą jego zawartość. Od razu poczułam lekką ulgę.

– Dobrze. – Pokiwałam głową, skanując moją twarz w poszukiwaniu jakiejś luki w krótkiej opowieści. – Więc nie widziała pani denata? Ani nikogo poza panią Malwiną?

– Denata? To jednak trup? – Docierało do mnie, że omal nie zostałam bezpośrednim świadkiem zbrodni. Całe szczęście, że zajechałam na kawę, bo... Wzdrygnęłam się.

– To naprawdę pani pierwszy dzień pracy? – spytał z niedowierzaniem.

– Tak. Skąd pan wie?

– Kierownik Jackson nam powiedział – rzucił z uśmiechem, ale zaraz pośpiesznie i z powagą spytał: – I nie znała pani wcześniej denata?

– Nie, nigdy wcześniej go nie widziałam – odparłam zgodnie z prawdą.

– Dziękuję. Niewykluczone, że jeszcze będzie pani wezwana na komisariat, aby uzupełnić i podpisać zeznania.

Podniosłam się z krzesła i na drżących nogach ruszyłam w stronę wyjścia, gdy usłyszałam:

– Co się pani stało w spodnie i koszulkę?

Z miejsca zrobiłam się czerwona i odruchowo spojrzałam na swoją oberwaną kieszeń oraz okropnie poplamione nogawki. Natomiast koszulka, którą musiałam naciągnąć, aby się jej lepiej przyjrzeć, prezentowała się niczym zakrwawiony fartuch rzeźnika, który kończył zmianę po rozbieraniu mięsa.

– Rozerwałam sobie na rampie o wystający pręt. A ta krew, to pani Malwina, jak mnie złapała, to...

– Rozumiem – przerwał. – Mimo to proszę o pani ubranie.

– Ale... ja nie mam nic na zmianę i muszę do pracy... – mówiłam całkowicie zdeorientowana.

Brodacz poszeptał coś do siedzącego obok policjanta, który wyszedł i po chwili zjawił się z niezadowoloną panią Jolą. Nasza sekretarko-kasjerka trzymała w objęciach komplet nowego stroju roboczego, jeszcze zapakowanego w folię. Z suro-

wym wyrazem twarzy, jakbym już została skazana, przekazała mi pakunek i wyszła bez słowa. Również milcząc, przeszłam do toalety i przebrałam się nie bez kłopotów w mikroskopijnym pomieszczeniu. Jeżeli do tej pory myślałam, że strój może być za duży, to ten, który teraz włożyłam na siebie, śmiało mógł pomieścić jeszcze dwie takie jak ja. Spięłam się mocniej paskiem, ale i tak prezentowałam się nader osobliwie. Mój powrót do pomieszczenia gospodarczego wywołał uśmiech nawet na twarzy beznamiętnego komisarza Kluczyka i towarzyszącego mu mundurowego, który odebrał ode mnie ubranie. Natomiast moje pojawienie się na magazynie sprawiło, że nikt już nie rozmawiał ani nie myślał o morderstwie. Nie ma to jak zrobić dobre pierwsze wrażenie w pracy!

## 6. Dzień z życia kuriera

Łukasz zjawił się na magazynie w momencie, gdy odjechała ekipa techniczna i nieboszczyka zapakowano już w czarny worek. Z podkrążonymi z niewyspania oczami podszedł do mnie, bo zagubiona, próbowałam się zorientować, jak mam pakować paczki do busa. Oczywiście, po dwudniowym szkoleniu powinnam być mądrzejsza, ale poranne zdarzenie z panią Malwiną i tajemnicza śmierć nieznanego mi Staszka, nieco mnie ogłupily. Na szczęście inni litościwie pomagali mi jak mogli. Przy okazji poznawałam nowych kolegów i jedną koleżankę. Jednak wszystko leciało mi z roztrzęsionych rąk, przed oczyma co raz pojawiał się makabryczny widok, jaki ujrzałam bladym świtem. W dodatku te koszmarne wielkie spodnie nieustannie wysuwały mi się z paska i koniecznie zamierzały obnażyć mnie wszystkim.

Dlatego, gdy zobaczyłam w progu Łukasza, omal nie rzuciłam mu się na szyję.

– Co tutaj się stało, Krzyśka? – spytał z charakterystyczną dla siebie wesołością.  
– Podobno kogoś zamordowałaś? W pierwszy dzień w pracy?

Zamurowało mnie i z trudem powstrzymywałam wybuch płaczu.

– Ma dziewczyna pecha – odezwał się wielki niczym kombajn Bogdan, zwany pieszczotliwie przez wszystkich Bogusiem. – Na dzień dobry trup i to jeszcze nie jakiś tam zawał, tylko bestialsko zakrwawiony koleś!

– No co ty? – Z niedowierzaniem spojrzął na mnie Łukasz. – Aż strach z tobą dzisiaj jeździć, Krzyśka.

– Dam radę – odparłam twardo, wracając ambitnie do swej wymarzonej roli bohaterki Marvela.

– A ten koleś nieboszczyk, to kto? – spytał Łukasz pozostałych, którzy zajęci skanowaniem i ładowaniem paczek, nie wtrącali się do rozmowy.

– Staszek z hurtowni – rzucił Mateusz, którego poznałam na szkoleniu i zapamiętałam z powodu gęstej i intensywnie rudej brody, ostro kontrastującej z czernią włosów na głowie. – Aleśmy na początku myśleli, że nasz kierownik...

Łukasz machnął dłonią.

– Ten to nieśmiertelny jest! – skwitował i jako że nikt już nawet nie patrzył w naszą stronę, również podszedł do koszy i wyjął swój skaner.

– Lepiej ty dzisiaj prowadź auto – rzuciła od niechcienia do Łukasza Brygida, gdy mijala nas, prowadząc wózek widłowy w stronę rampy.

Fakt, ręce jakby się zbuntowały i za nic nie przestawały drżeć. Jednak wewnątrz czułam się już spokojniejsza i powoli wracał mi zapał do pracy. Kurde! To mój pierwszy dzień i nie dam go sobie odebrać!

Kiedy już usiedliśmy w samochodzie, Łukasz odłożył skaner i poważnie mi się przyjrzał.

– Ty, Krzyska. Ten Waldek, jak odchodził, to chyba jakąś klątwę na ciebie rzucił – powiedział i roześmiał się. – Może ty lepiej zamiast do pracy, to idź do egzorcysty?

Popukałam się palcem w czoło i od razu poczułam się lepiej. Na szczęście w kurierce nie ma czasu na rozmyślania egzystencjalne, więc nieboszczyk i Waldemar zeszli na bardzo daleki, zupełnie niewidoczny plan.

Grigorij okazał się świetnym nauczycielem, znacznie skuteczniejszym i bardziej zorientowanym w terenie od firmowego trenera, który doręczanie paczek znał chyba tylko z YouTube'a. Wbił mi do głowy niepraktyczne wskazówki i teorie, które do praktyki miały się jak bocian do wieloryba, a potem nerwowo patrzył na zegarek, by na czas odebrać dziecko z przedszkola. Dwa dni z Piotrem szkoleniowcem, trenerem czy jeszcze jak to się tam nazywa, który jak na złość wykladał monotonnym głosem bez żadnych emocji, sprawiły, że wynudziłam się okropnie i nawet zakiełkowałam we mnie myśl, aby przeprosić się z zawodem kaskjerki.

Wydzwaniałam do klientów, grzecznie się przedstawiałam i informowałam, że mam dla nich paczkę do odbioru. Przy czwartym adresie odebrała mocno zdenerwowana kobieta i tonem nieznoszącym sprzeciwu rzuciła: „Ale ja jestem teraz w pracy! Proszę zadzwonić później!” i rozłączyła się.

– Wiesz, ile razy słyszę: ale ja jestem w pracy? – odparł z uśmiechem Grigorij, gdy mu przekazałam efekt mojego wydzwania. – Ktoś zamawia paczkę i myśli, że kurier pracuje całą dobę. Dzwonisz i mówisz grzecznie: „Dzień dobry, tu kurier, mam dla pani paczkę”. I co słyszysz? „Ale ja jestem w pracy!”. No to odpowiadam: „ja też”.

Parsknęłam śmiechem.

– Wierz mi, że po całym tygodniu nie będzie ci do śmiechu. Komuś się wydaje, że jak zamówił paczkę, to poczekaś osiem albo dziesięć godzin pod jego domem, aby wrócił z pracy i ją osobiście odebrał. Bo ty nie masz domu, rodziny, czasu wolnego, tylko jesteś wynajętym sługą i warujesz na swoją panią czy pana. Kompletny brak wyobraźni i szacunku.

– To co mam zrobić? Jechać do tej pracy? – spytałam, patrząc na wyświetlacz mojego telefonu.

– Możesz, jeśli to jest na rejonie, który ci przypisano. Jeśli nie, to albo klient cię złapie na mieście, albo przywozisz na bazę niedostarczoną paczkę i tam może sobie ją odebrać do osiemnastej. Nie masz całego dnia, bo masz koleje paczki i przesyłki, a jak zaczniesz robić uprzejmości i jeździć po całym mieście, to się nie wyrobisz do dwudziestej.

– Rozumiem – przytaknęłam.

– Masz do kogo wracać o normalnej porze – podsumował i włączył się do ruchu na Wrocławskiej.

Po całym dniu pracy i jeżdżenia po Legnicy czułam się totalnie wyczerpana, ale bardzo szczęśliwa. Od nadmiaru informacji do spamiętania kręciło mi się w głowie.

– Zostawię cię już pod domem – oznajmił Łukasz, gdy odhaczyłam ostatni adres. – Na dzisiaj wystarczy i pracy, i wrażeń. Jutro jeszcze pojeździmy razem, a potem już sama. I jak?

– Super! – wykrzyknęłam z entuzjazmem, którego po ośmiu godzinach pracy się u siebie nie spodziewałam. – A nie muszę pojechać z tobą na bazę po swoje auto?

– Nie musisz – odrzekł wesoło. – Bus zostanie bezpiecznie na bazie. Poza tym ja nie jadę prosto do domu, tylko do Natalki. Rano po ciebie przyjadę.

Nawet nie pytałam, kto zacz, bo w imionach zdobywcy i podbojów Łukasza można było się zagubić niczym w amazońskiej dżungli. Domyślałam się, że to właśnie u Natalki spędził ostatnią noc, i to na tyle intensywnie, że spóźnił się do pracy.

Ledwie przekroczyłam próg naszego domu, gdy moja mama zamarła na mój widok.

– Coś ty na siebie włożyła?! – zapytała, łapiąc się za głowę.

– To zastępcze spodnie, bo moje oddałam policji – skwitowałam, nie wdając się w zbędne teraz wyjaśnienia.

– Policji?!?! – wykrzyknęła, ale zgrabnie wyminęłam ją w przedpokoj.

Razem weszłyśmy do kuchni, gdzie Marzena właśnie nalewała mi do talerza aromatyczny żurek. Umyłam ręce i usiadłam do stołu w towarzystwie już całej czwórki wiszącej mi nad głową, bowiem moje córki, zwabione hałasem, także zeszyły na dół, żądne relacji z całego dnia.

– Opowiadaj! – ponagliła niecierpliwa Bożenna.

– Niech najpierw zje – wtrąciła Marzena.

Zatem biłam rekord jedzenia żurku pod presją ponaglających spojrzeń, a czwórka kobiet zdawała próbę cierpliwości. Konsumpcja w takich warunkach mogła skutkować jedynie wrzodami żołądka, ale przez cały dzień zgłodniałam do tego stopnia, że żadna ponura wizja chorób gastrycznych mnie nie zniechęciła. Wreszcie, gdy odsunęłam od siebie pusty talerz, wszyscy odetchnęli, a ja rozpoczęłam opowieść. Kiedy zaczęłam od znalezienia nieboszczyka, moja mama krzyknęła w przestרחu, Marzena zrobiła zszokowaną minę, ale moje bliźniaczki wydawały się wręcz zachwycone. Opowiedziałam, jak dopadła mnie zakrwawiona Malwina i jak tarzałyśmy się na rampie, wrzeszcząc w niebogłosość, a potem przyjechała policja, a na koniec sekretarka wpadła do kałuży i zabrała ją karetka. Po rozczarowanych minach zorientowałam się, że nie posiadam daru opowiadania. Relacja z dnia kuriera nie cieszyła się już niczym zainteresowaniem do tego stopnia, że odniosłam wrażenie mówienia do samej siebie. Westchnęłam wyobcowana i postanowiłam na pocieszenie dołożyć sobie żurku.

– A widziałaś, jak został zamordowany? To znaczy jak zginął? Dużo było krwi?

– Elwira powróciła do najbardziej ekscytującego wszystkich wątku nieszczonego truposza.

– Gdybym widziała, to pewnie leżałabym obok niego. – Aż się wzdrygnęłam.

– A ten denat... to kto to taki? – Nie wytrzymała Bożenna.

– Jakiś Stanisław Migawka – odpowiedziałam, zanurzając wreszcie chochlę w garnku.

– Chyba Migotka – poprawiła mnie Bożenna i skutecznie ściągnęła na siebie nasze cztery zaskoczone spojrzenia, więc dodała, wzruszając ramionami: – Znałam Staśka Migotkę!

## 7. Wszyscy kogoś znają

Nie raz i nie dwa odnosiłam zaskakujące wrażenie, że Legnica, blisko stutyściężne miasto, to raczej mała wioska, gdzie wszyscy się znają. Jak nie wszyscy osobiście, to ktoś kogoś na pewno albo ten inny, to jeszcze kogoś znajomego na pewno zna, kto ciebie zna albo twojego znajomego i tak dalej, bez końca i coraz bardziej zagmatwanie. Nikt tego nie pojmie ludzkim rozumem i ja również nie zamierzam. Chyba że mieszkają tutaj ludzie, którzy nigdzie nie wychodzą, nigdy nie uczęszczali do szkoły, nie pracowali, nie chodzili do lekarza, to może oni nikogo znajomego w tym mieście nie posiadają. Ale ja takich nie znam. Niechaj będzie, że to miasto samych znajomych. Jak się okazało po beztrósko rzuconej przez Bożennę informacji, nie było to puste stwierdzenie.

Najpierw w naszej ciasnej, szczelnie wypełnionej kobietami kuchni, zaległa cisza. Ręka mi już ścierpła z talerzem w dłoni nad garnkiem żurku, a i nogi jakby nieco się zmęczyły, więc postanowiłam przerwać męczarnie własne i innych, pytając:

– Skąd znasz Stanisława Migawkę?

– Migotkę! – poprawiła mnie tym razem Elwira i efektownie wywróciła oczyma.

– Już nie pamiętam... – Zmarszczone czoło mojej mamy świadczyło dobitnie, że mozolnie rusza machina pamięci.

– To skąd wiesz, że go znasz? – dopytywała podejrzliwie Tomira.

– Tylu miałam uczniów, że mogę nie pamiętać, ale zdaje się, że to musiał być jakiś gagatek, skoro ciągnie się za mną – wyjaśniła Bożenna, która, jak nietrudno się domyślić, przepracowała w szkole trzydzieści pięć lat, by dopiero dwa lata temu udać się na zasłużoną emeryturę.

– Może sobie jutro przypomnisz – westchnęła Marzena i odebrała ode mnie pusty talerz, aby wypełnić go porcją żurku.

Uśmiechnęłam się z wdzięcznością i natychmiast rozpoczęłam intensywne wiosłowanie łyżką. Tomira też nałapała sobie zupy i teraz obie cicho pałaszowałyśmy posiłek. Bożenna zmierzyła nas posępnym i raczej niechętnym spojrzeniem,



rozczarowana naszą konsumpcyjną postawą. Być może powinniśmy odtańczyć jakiś taniec wywołujący nie deszcz, lecz przypomnienie?

– Dziewczynki, zasuwasz na górę, bo jutro klasówka z angielskiego – zakomenderowała Marzena, jednak bliźniaczki nadal nie ruszyły się z miejsca. – Po-tem babcia was odpyta ze słówek. Może to ją odblokuje.

– Nie jestem sklerotyczką! – wybuchnęła moja mama. – Wypraszam sobie ta-kie insynuacje!

– Dobrze, to ja je odpytam, a ty przewieziesz pranie do swojej pralki! – odparła moja teściowa.

– Odpytam! A tobie mogę dać klucze do mojego mieszkania. Tylko się tam nie zadawaj, co masz ostatnio w zwyczaju – rzuciła Bożenna z triumfującą miną.

– Ten zwyczaj zdaje się i tobie pasuje!

Zanosiło się na awanturę, więc pospiesznie zjadłam i ostrożnie przesuwalam się do wyjścia z kuchni, aby chwilę odpocząć od męczącego dnia i moich mamu-nek. I nagle w tym całym domowym rozgardiaszu zadzwonił mój telefon, który ściągnał uwagę wszystkich. Niby nic niezwykłego, ale dziwnie wszyscy na mnie spojrzeli. Odebrałam.

– No i gdzie pani jest?! – jakaś mocno zdenerwowana kobieta wrzasnęła mi do słuchawki, aż musiałam ją od siebie odsunąć, aby nie dobijać się później do fo-niatry na NFZ.

– W domu... – odpowiedziałam odruchowo i dla bezpieczeństwa swoich uszu, jak i ku zaspokojeniu nachalnej ciekawości wszystkich wokół, włączyłam głośnik.

– No ja też w domu i czekam na panią! Już wróciłam z pracy!

– Ja też wróciłam z pracy – grzecznie odpowiedziałam, zdeorientowana zu-pełnie.

– Ale się umawialiśmy, że jak skończę pracę, to pani przywiezie mi paczkę?!

– Ja?!

– A kto?! – prychnęła kpiąco kobieta. – Królowa angielska? Kto pani dał tę pracę?! Co za ludzi teraz zatrudniają?! Pewnie po znajomości!

Miny wszystkich zgromadzonych w kuchni dobitnie świadczyły, po czyjej stro-nie leży zbiorowa sympatia. Marzena wywracała oczami, Bożenna palcem pod-rzynała sobie szyję, a dziewczynki pokazywały języki. Pewnie bym parsknęła śmiechem, ale nagle, w cudownym olśnieniu, przypomniałam sobie mój poranny służbowy telefon. Zatem uśmiechnęłam się tylko do siebie i niemal zobaczyłam w pamięci adres.

– Wileńska 25 przez 4! – wyrecytowałam z dumą. – Tuż przy tym pomniku radzieckim!

– No proszę! Coś tam się kołacze w tej główce.... To czekam! – rzuciła kobieta, kończąc rozmowę bez zbędnych grzeczności w stylu: „do widzenia” czy „do zobaczenia”.

– Mam!!! Mam!!! – ryknęła dla odmiany teraz moja mama. – Jak tylko powiedziałaś „pomnik radziecki”, to sobie od razu przypomniałam! Już wiem!!!

– Co to za babsztyl?! – zastanawiała się głośno Marzena, ignorując taniec triumfalny mojej mamy po naszej kuchni. – Skądś znam ten głos...

– A ja wiem, skąd znam tego Staszka! – Bożenna wysapała, opadając zdyszana na krzesło, i mocno klepnęła Marzenę w plecy, aż ta syknęła z bólu.

– Dom wariatów – westchnęła Elwira, dla odmiany podnosząc się z krzesła. – Idę się uczyć albo przeczytać książkę. Naprawdę wolę szkołę. Aż nie wierzę, że to powiedziałam.

Natomiast Tomira wychodzącą siostrę odprowadziła jedynie wzrokiem, bo postawiła na nasze towarzystwo i bliską obecność pełnej lodówki. Koniec roku szkolnego i szalone poprawianie ocen nigdy nie wciągało mojej córki. Tym bardziej nauka czy intelektualne rozrywki. Tomira wołała telewizję i namiętnie oglądała filmy, seriale, biegała z kolegami do kina. „Właśnie. Tylko z kolegami” – przypomniałam sobie, ale tych myśli nie kontynuowałam z racji wypowiedzi mojej głośniejszej mamusi.

– To taki gagatek był! Dłubał w nosie bez przerwy! A potem wycierał wszędzie! Skaranie boskie z nim! A najgorsze było, że jeszcze zjadał te... te... kozy! – Bożenna zaszczyliła nas szczegółami z dzieciństwa Staszka Migotki.

– Rany! Pfuj! – jęknęła Tomira z wyraźnym obrzydzeniem. – Jeśli tak dalej robił, to nic dziwnego, że go ktoś kropnął. Ile tego można znieść?!

– Sama bym go zadźgała – potwierdziła Marzena, również nie mogąc ukryć niechęci. – Może ta Malwina go zabiła, bo codziennie musiała oglądać szefa dłubiącego i...

– Przestań! – jęknęłam, krzywiąc się ze wstrętem. – Mamo! Czy naprawdę nie masz innych wiadomości o swoich uczniach?

– Mam, ale chciałyście Staszka! – Bożenna wzruszyła ramionami. – Ile to on ma teraz lat? Czekaście... z pięćdziesiątkę, jak nic! Chyba tak z dziesięć lat jest starszy od ciebie, Krzysiu...

– Był... – poprawiła Tomira. – Ja też idę się uczyć i też nie wierzę, że to powiedziałam. Teraz mam przed oczyma tego obrzydliwca. Chyba się porzygam i nic już nie zjem!

– A ja zgarnę to pranie do walizki – westchnęła Marzena, podnosząc się od stołu, po czym zwróciła się do mojej mamy emanującej obrażeniem: – Daj mi te klucze, chyba że jedziesz ze mną? Zamówię taksówkę.

– Jadę – prychnęła. – Bo mi tam bałaganu narobisz!

– I jeszcze okradnę z rodzinnych sreber. – Uśmiechnęła się Marzena. – Wracając, zrobimy zakupy. Przydałby się samochód, bo nie wyrobimy na taksówki.

– Bus został na bazie – westchnęłam.

– Damy sobie radę! – wykrzyknęła Bożenna i razem z Marzeną wyszły z kuchni.

Z ulgą pomyślałam o chwili spokoju, ciszy i samotności. Niefrasobliwie pomarzyłam też o szybkim prysznicu albo relaksującej kąpeli i ukryciu się pod ciepłym kocym, by oddać się bezmózgiemu przeglądaniu Facebooka albo pstrykaniu pilotem po wszystkich telewizyjnych kanałach. Ale sobie przypomniałam, że nie mam telewizora. No to... może zrobię sobie cappuccino? I w tym momencie czar chwili przysł, bowiem ponownie zadzwonił telefon, a na wyświetlaczu pojawił się nieznan mi numer. Marzena i Bożenna zawróciły z przedpokoju, wiedzione nie tylko ciekawością.

– Powiedz temu babsztylowi, że pracę kiedyś się kończy! – rozkazała moja mama.

Odebrałam połączenie i przypominając sobie o obietnicy bycia niegrzeczną, a także poparta siłą stanowczych i gniewnych spojrzeń moich mamunek, włączyłam głośnik i ryknęłam, aby całe osiedle nie miało wątpliwości, że twarda ze mnie sztuka:

– Słucham, do cholery!!!

Zapadła cisza. Przez otwarte okno już nie dobiegały śpiewy ptaków ani odgłosy przejeżdżających w oddali samochodów, żadne psy nie szczekały, nikt nie włączał muzyki ani nie kosił już trawy. Przerażone moją niegrzecznością osiedle zamarło i ten ktoś po drugiej stronie również. Może babsztyl padł trupem i ten pierwszy dzień pracy zakończę bilansem dwóch nieboszczyków?

– Dzień dobry, tu komisarz Sylwester Kluczyk – usłyszałam znajomy już, tubalny głos policjanta. – Pani Krzysztofa Grądzińska?

Ależ spiekłam przysłowiowego raka! A Marzena i Bożenna złapały się za usta, jakby to one wrzasnęły policjantowi do słuchawki.

– Tak. To ja. Przepraszam... myślałam, że to ktoś inny.

– Na pewno mocno zalazł pani za skórę – nie krył rozbawienia. – Omal nie ogłuchłem.

– No tak. Przepraszam...

– Proszę jutro odwiedzić nasz komisariat. Powiedzmy o godzinie... dziesiątej.

– Ale... ja pracuję. Wątpię, aby mi się udało wyrwać... o tej porze – jękałam się.

– Wieczorem, gdy pani kończy pracę, to musiałbym się z panią umówić w kawiarni albo u pani w domu. – W poważnym przed chwilą tonie głosu pojawiła się nuta rozbawienia. Albo mnie się tak zdawało.

Bożenna i Marzena, podsłuchujące naszą rozmowę, zaczęły w tym momencie gwałtownie machać rękoma i potakiwać głowami, kompletnie mnie dezorientując. Od razu wyłączyłam głośnik i przystawiłam sobie telefon do ucha, a moje mamunki przegoniłam gestem ręki.

– Może tak będzie lepiej. Nie chciałabym mieć problemów w pracy.

– Rozumiem. Proszę zadzwonić, gdy pani wróci do domu. Do widzenia – pożegnał się grzecznie i rozłączył.

– Znam Sylwestra... – oznajmiła zniecierpliwiona Marzena. – Nie miałam pojęcia, że tak długo się pracuje w policji. Nie powinien być już na emeryturze?

– Skąd go znasz?! – zainteresowała się agresywnie Bożenna.

– Znałam go od dziecka... To znaczy kiedy był dzieckiem... – wyjaśniła Marzena i z podejrzanym wzrokiem dodała: – Ale... bardziej znałam Marka... jego ojca. Pamiętam, że pracował w straży pożarnej...

– Pewnie już nie żyje, chyba że syna dorobił się w podstawówce? – wtrąciła sarkastycznie Bożenna. – Chciałaś nam zaimponować znajomościami? Od razu słyszałam, że to młody facet!

– Młody? – spytała Marzena, spoglądając na mnie.

– Nie, no raczej... Sama nie wiem... Wyglądał jak Szymon Kobylński, to nieco zmienia perspektywę!

– Rany! Jak ty sobie jakiegoś faceta znajdziesz, dziecko, jak ty nie rozpoznajesz wieku! – załamała ręce moja teściowa.

– Moja córka nie musi opierać swojego życia na mężczyźnie! – wystrzeliła Bożenna.

– No tak, ma znakomity przykład, jak tego nie robić! – prychnęła niezadowolona Marzena.

– Jezuuuu – jęknęłam, łapiąc się za obolałą głowę. – Jedźcie już z tym praniem, bo zaraz was spakuję i wyprowadzę! I wyłączam już telefon, aby nikt mnie nie mordował!

## 8. Nocne Polek rozmowy

Chyba już wiem, dlaczego nie wpadłam w czarną rozpacz po odejściu Waldemara. Dlaczego, poza krótkotrwałym szlochaniem w poduszkę, nie pożegnałam naszego piętnastoletniego pożycia małżeńskiego jakimś godnym takiej zmiany utonięciem w rzece albo zażyciem nadmiaru leków i zaśnięciem na wieki. Tak! Oto bowiem dopaść mnie miały gorsze nieszczęścia niż porzucenie przez męża i strata pralki, zmywarki czy nawet telewizora. Moje dwie mamunki! To może przyśnić się w koszmarze albo zdarzyć w banalnej komedii z wampirami albo obcymi tańczącymi na lodzie, że mieszkasz pod jednym dachem z mamusią własną i mamusią byłego męża. A mnie się zdarzyło naprawdę!

– Nie śpisz już? – usłyszałam jak przez sen i poderwałam się gwałtownie na łóżku.

Zdezorientowana próbowałam pospiesznie umiejscowić się w czasie i miejscu. Serce na pewno posiadałam, bo dawało czadu na całego. Gdzieś za oknem budził się dzień, ale słońce jeszcze nie wyszło, więc ledwie rozpoznałam moją mamę, siedzącą na moim łóżku w mroku pokoju.

– Coś się stało? – spytałam już niemal w stu procentach obudzona i przytomna.

– Zamartwiam się tym Staszkiem...

– Jakim Staszkiem? A nie Waldemarem? – Usiłowałam zrozumieć.

Chyba machnęła ręką, ale nie mogłam potwierdzić tego na pewno. Bardziej sobie ją wyobrażałam, niż widziałam.

– Staszkiem Migotką! Co ty, nie słyszysz? Śpisz jeszcze? – zniecierpliwiała się i aby się upewnić, nachyliła się nade mną tak bardzo, że dotknęłyśmy się nosami.

– Wyobraź sobie, że jest trzecia dwadzieścia. – Zdążyłam zerknąć na wyświetlacz telefonu. – Normalnie ludzie śpią o tej porze. Chyba że mają nocny dyżur w szpitalu albo nie wiem... na komisariacie.

– Mnie się zupełnie nie chce spać! – zaprotestowała ostro Bożenna.

Opadłam na poduszkę. Zbyt długo nie pracowałam, bo wszyscy wokół się przyzwyczaili do mojej całodobowej dostępności. Zamknęłam oczy. Może jeszcze uda mi się zasnąć po takim gwałtownym przebudzeniu?

– No, tak. Tylko... ja dzwoniłam do jednej mojej koleżanki, też nauczycielki – kontynuowała z zapałem Bożenna, zupełnie niezrażona moim brakiem zainteresowania. – I ona powiedziała, że ten Staszek, to był całkiem porządny facet. Nawet zasponsorował wycieczkę dla całej klasy swojej córki. Wszystkim najbiedniejszym dzieciom. Klasę odmalował z jeszcze jednym ojcem. Na swój koszt. Koncerty muzyczne sponsorował. Biznesmen, żona, dwójka dzieci, filantrop. Ojcem chorym się opiekował i do domu opieki nie oddał, tylko do końca przy nim czuwał.

– Ale co ja mam do tego? Może powinnaś ten monolog spisać i sprezentować mordercy, aby miał wyrzuty sumienia – zaproponowałam, starając się nie wybuchnąć i nie obudzić wszystkich wokół. – Już i tak przez tego truposza ciągną mnie na policję. No i chcę spać, mamo, bo idę do pracy!

– Co tu się dzieje?! – usłyszałam głośny szept mojej teściowej, która od razu oślepiła nas zapalonym światłem. – Dlaczego nie śpicie, tylko szepczecie po nocach?

Wydałyśmy zgodny jęk, zasłaniając oczy.

– Nie martw się – prychnęła Bożenna. – Nie obgadujemy twojego synusia!

– Możecie obgadywać głośno. Nie zgłaszam pretensji! – stwierdziła, rozsiadając się na moim łóżku po stronie Waldemara.

– No popatrz! Jaka mamusia kochana. Teraz jej na synku nie zależy! Wszyscy jesteście zimni i dlatego tak łatwo przychodzi wam porzucenie biednej kobiety! – rzuciła z rewolucyjnym zapałem moja mama.

Przykryłam się poduszką Waldemara. Dlaczego nie może być w moim życiu normalnie, tylko przeważnie dziwacznie?

– Mówisz o sobie czy o mnie? Bo już się pogubiłam – westchnęła Marzena i ściągając mi z twarzy poduszkę, spytała: – To co takiego knujecie w środku nocy?

– Nad ranem – sprostowałam, spoglądając na przejaśniające się za oknem niebo.

Bożenna machnęła ręką.

– O Staszka się rozchodzi. Migotkę. Strasznie dobry człowiek! – jęknęła z mistrzowskim żalem moja mama, niczym aktorka obsadzona w roli zawodowej płaczki.

– Już go nie wskrzesisz... – westchnęłam nieporuszona. – Po co to gadasz? Ty zawsze masz jakiś cel. Mów!

– Trzeba znaleźć tego mordercę! – rzuciła moja mama i zerwawszy się na równe nogi, pogroziła pięścią w stronę okna, jakby świt wypowiedział wojnę spokojowi świata, a ona się temu walecznie przeciwstawiła.

– Co?! – wykrzyknęłyśmy jednocześnie z Marzeną, podążając spojrzeniami w stronę różowiejącego nieba za oknem.

– Padło wam na uszy? – zdumiała się, obdarzając karcącym spojrzeniem doświadczoną nauczycielki.

– Mamo, proszę, idź już spać – jęknęłam pojednawczo. – To jest strasznie głupi pomysł.

– Co tu się dzieje? – Tym razem pytanie padło z ust rozespanej i mrużącej oczy od światła Tomiry. – Dlaczego nie śpicie?

Moja córka, rozejrzawszy się wokół, przysiadła po mojej stronie łóżka i przeciągle ziewnęła. Zawtórowałam jej, marząc o powrocie w ramiona Morfeusza.

– No i masz! Wszystkich pobudziłaś! – prychnęłam ze złością. – Ani pracy jutro nie będzie, ani szkoły! Ty jutro będziesz spała, a my?

– Dzisiaj – sprostowała Marzena, również ziewając.

– Nie będę spała, bo ostatnio jakoś tak słabo śpię...

– No ale co tutaj się dzieje, że tak siedzicie? – dopytywała Tomira. – Powiecie?

Nie czułam się na siłach wyjaśniać cokolwiek i komukolwiek. Owinęłam się szczelnie kołdrą, chowając również głowę. W ciemności zatliła się we mnie słaba nadzieja, że wszystko mi się śni i zaraz zadzwoni budzik, by wyrwać mnie z koszmaru. Tymczasem czułam się jak zdrowa przekąska w kebabie, zawinięta szczelnie i towarzysko totalnie nie na miejscu. Marzena podjęła się wyjaśnień, a ja po cichu liczyłam, że wobec mojego ewidentnego braku zainteresowania, opuszczą mój pokój.

– Twoja babcia chce wyręczyć policję i osobiście odnaleźć mordercę Staszka Migotki.

– Po co? Przecież zjadał...

– Nawet nie kończ – zaprotestowała Marzena. – To obrzydliwe i nawet nie chcę sobie tego wyobrażać.

Tutaj wkroczyła do akcji moja mama, która ponownie naświetliła postać niezującego Staszka jako wzoru cnót wszelakich i pierwszego dobroczyńcę Legnicy. Sądzę, że nieco przesadziła i posłużyła się bardziej wyobraźnią niż faktami, ale nie zamierzałam niczego prostować ani weryfikować. Bożenna niespodziewanie uzyskała aprobatę i zrozumienie dla swego pomysłu prowadzenia śledztwa równoległego do policyjnego i oczywiście skuteczniejszego.

– Świetnie! Na wakacje będzie zajęcia! – zapaliła się Tomira. – A miałyśmy jechać na jakiś nudny obóz sportowy...

Tutaj zerwałam z siebie koldrę niczym romantyczny bohater w buncie przeciw niewoli ojczyzny.

– Dosyć! Nikt nie będzie biegał za mordercą! – wykrzyknęłam, stając na łóżku gotowa do walki o moje córki. – Przypominam, że to ktoś niebezpieczny i nas też może zakatrupić. Na pewno się nie zgodzę, aby dziewczynki narażały swoje życie! Po moim trupie! Czyście wszyscy poszaleli?!

– Przecież nikt nie będzie ich narażał! – jęknęła z przestraszeniem Bożenna.

– Wykluczone, aby tak było – potwierdziła Marzena. – Tomira, zasuwasz na łóżko. Żadnego śledztwa nie będzie. Babcia tylko żartowała.

– No tak – przytaknęła Bożenna, ale wychodząca z ociąganiem Tomira nie zdradzała przekonania.

„Uff! Wreszcie się skończy to wariactwo i może uda mi się zdrzemnąć godzinkę” – pomyślałam naiwnie, czekając na wyjście córki i mamunek. Tomira opuściła moją sypialnię, ale co do Bożenny i Marzeny...

– Jutro kupię taką tablicę, na której będziemy umieszczać podejrzanych – odezwała się moja teściowa, ostatecznie rozwiewając moje nadzieje na opanowanie kielkującego szaleństwa.

– Po cholere! wam to śledztwo?! Nie możecie się tym zajmować! Przecież jest policja! – broniłam zdrowego rozsądku.

– Policja! – prychnęła pogardliwie moja mama.

– Kiedy widziałaś jakiś patrol policyjny na ulicy? – Marzena zadała mi pytanie zbijające z toru logicznego myślenia. – W stanie wojennym!

– To była akurat milicja – przypomniała Bożenna, wywracając oczyma. – I Krzysia tego nie może pamiętać! Ale mogłabyś, dziecko, okazać więcej zaangażowania i szacunku dla nieboszczyka! W końcu poniekąd ty znalazłaś Staszka Migotkę...

Zupełnie skołowana i ogłupiała tokiem ich rozumowania przyjrzałam się obu mamunkom i nabrałam przekonania, że nie tylko obie oszalały, ale też nie zmieniają zdania. Ba! Nawet przyjęły, że będę w tym szaleństwie uczestniczyć przez grzeczność. Dość słaby argument, ale jednak. Wtedy przypomniałam sobie, że postanowiłam być niegrzeczną!

– Dobra, wariatki! – Złośliwie zmrużyłam oczy, ale nie poczuły się urażone. – Będę w tym szaleństwie uczestniczyła pod jednym... albo nie, pod dwoma warunkami.



- Nie zapłacimy ci – uprzedziła moja mama.
- Dawaj! – popędzała moja teściowa.
- Po pierwsze, przede wszystkim chronimy dziewczynki i utrzymujemy to w tajemnicy przed nimi! Po drugie, kiedy znajdziemy mordercę, oddajemy go policji i wyprowadzacie się z naszego domu! – zakomunikowałam twardo.

\* \* \*

Poranek rozpoczęłam od przeciągania się w oknie i podziwiania wspaniałego nieba, zabarwionego wschodzącym słońcem. Zupełnie, jakbym się przeniosła do Afryki; tak jakoś mi się skojarzyło. Zapowiadał się słoneczny i upalny dzień. Stres wczorajszego dnia pozostał w kościach i stawach, dlatego czułam się lekko obolała. Do tego dołączyło niewyspanie, ale zapał do pracy na szczęście nie opadł. Entuzjazm trzymał się na najwyższej skali, więc ubrałam się w błyskawicznym tempie i zesłam na dół.

Oczywiście, tak jak podejrzewałam, wszyscy odsypiali. Przygotowałam sobie śniadanie w samotności i ciszy, za którymi tęskniłam najbardziej, a które nieprędko do mnie powrócą. Nocne negocjacje zostały zakończone moim zwycięstwem, ale nie czułam z tego powodu satysfakcji. Wręcz przeciwnie. Gdybym kiedykolwiek miała stworzyć listę najokropniejszych rzeczy, których nie chcę zrobić, to uleganie paniom po sześćdziesiątce zajęłoby zaszczytne pierwsze miejsce.

## 9. Komu do śmiechu, a komu do płaczu

Odkąd pamiętam, nigdy nie byłam specjalnie ruchliwa, energiczna czy wyzwolona. Rola mamy bliźniaczek, idealnej pani domu, znakomitej kucharki, wzorowej sprzątaczkii na miarę mojego małego kręgu rodzinnego bardzo mi odpowiadała. Nie udzielałam się towarzysko ani kulturalnie. Jakkolwiek by pogardliwie o moich zajęciach domowych wyrażały się bardziej wyzwolone kobiety czy wujujące feministki, osobiście spełniałam się i NAPRAWDĘ byłam szczęśliwa. Odejście Waldemara zadziało na moją psychikę zaskakująco. Serce mi nie pękło, nie umarłam, nie uschłam, nie odjęło mi mowy ani nie dostałam obłądu. Oto zostałam pozbawiona nie tylko pralki, zmywarki i telewizora, czy nawet komputera, ale także sensu mojego dotychczasowego życia. Owszem, strata zdobyczy cywilizacji zapewne w zamierzeniu mego małżonka miała mnie cofnąć do epoki kamienia łupanego, ale zadziała mobilizująco. Nagle dostałam prawdziwego kopa w tyłek i musiałam się ruszyć z miejsca. Wszystko mi się chciało!

I cholernie spodobało mi się zaniedbywanie domu na rzecz pracy!

No, może dzisiaj nie zerwałam się energicznie, ale to z racji nieprzespanej nocy, a pośrednio przez Staszka Migotkę, którego nie znałam osobiście za jego życia, ale miałam już dość po śmierci. Po cichu liczyłam, że moim mamunkom zapał do ekstremalnych, ryzykownych i niebezpiecznych zajęć, typu poszukiwanie mordercy, przejdzie, zanim zdążę wrócić z pracy.

Łukasz zgodnie z obietnicą podjechał po mnie przed siódmą. Z trudem go poznałam, gdy już zajęłam miejsce pasażera. Pod prawym okiem rozrastało się oszałamiająco „piękne” limo, a na ramionach siniaki niczym efektowne w rozmiarach tatuaże, wykonane przez pijanego i ślepego tatuażystę, który nienawidzi swojej pracy. Aż jęknęłam w udawanym przestרחu, choć z trudem nie parsknęłam śmiechem.

– Zderzyłeś się z ciężarówką? – spytałam.

Kiedy obrócił się w moją stronę frontem, by zmierzyć mnie karcącym spojrzeniem, spostrzegłam jeszcze krwawe rany na wardze.

– Obiecaj mi coś... – rzekł poważnym głosem, od którego przeszły mi ciarki po plecach i odeszła wesołość chwili.

Włączył silnik i wyjechał na Tulipanową.

– Że mam się z ciebie nie śmiać? – domyśliłam się, gdy na wysokości Nowodworskiej nadal nie kończył wypowiedzi.

– Nie umawiaj się z mężatkami! A przynajmniej nie wierz im, że mąż jest w delegacji i o niczym się nie dowie! – rzucił już z uśmiechem.

Roześmiałam się również, po czym złożyłam dwa palce do przysięgi i rzuciłam z pełnym przekonaniem:

– Żadnych mężatek!

Zanim dojechalśmy do bazy, streściłam Grigorijowi postanowienia i ustalenia rodzinne w kwestii morderstwa Staszka Migotki. Jeżeli spodziewałam się, że poprzez moją niechęć do zajmowania się bezsensownym śledztwem, to okazałam się beznadziejną naiwniarą!

– Wchodzę w to! – wykrzyknął entuzjastycznie. – Staszka znałem ot tak, można powiedzieć: po sąsiedzku. Cześć, cześć i koniec. Bardziej rzucała się po oczach Malwinka. Zawsze odstawiona, aż miło popatrzeć, ale wdzięczyła się tylko do każdego, kto miał kasę. Nas, kurierów, to jak powietrze traktowała. Ale popatrz, kto mógł go zamordować? I to pod okiem kamer, no i naszym, bo przecież zaraz zaczynaliśmy pracę... Chyba że Staszek był przypadkową ofiarą, bo ktoś planował mord na naszym kierowniku albo na kimś innym, albo to jakiś serjny morderca! Patrz, jak to trzeba mieć oczy i uszy otwarte!

– Słuchaj, a nie chciałbyś się zamienić na mieszkania na czas tego durnego śledztwa? – zaproponowałam nieśmiało. – Bożenna i Marzena byłyby bardzo szczęśliwe, gdybyście tak bez końca omawiali szczegóły i kolejne etapy. Przynajmniej w nieprzespanych nocach masz wprawę i nie przeczołgują cię tak, bo jesteś młodszy.

Na dowód swej fatalnej kondycji porannej ziewnęłam głośno i przeciągle. Grigorij od razu wrzucił kierunkowskaz i wjechał na stację benzynową, na której wczoraj zatrzymałam się przed pracą.

– Stawiasz kawę! – zakomenderował i dodał, mrugając okiem z limem: – Wiesz, pracuje tam taka Natalka i nie chciałbym się pokazywać w takim stanie... Zaraz te pytania, włączony program siostry miłosierdzia na full i nie wyjdę stąd przez cały dzień!

Pokręciłam głową z niedowierzaniem, ale wyszłam po kawę. Natalka okazała się bardzo ładną, aczkolwiek smutną dziewczyną i jakby nieobecną myślami. Wciąż się myliła, ale grzecznie przeproszała. Gdyby nie kruczoczarne włosy, skwitowałabym, że zachowuje się jak blondynka. Klienci przyjmowali pomyłki ze zrozumieniem, aż trafił się taki, któremu nie o pomyłkę chodziło, ale o wyrzucenie swojej frustracji na uprzejmą i delikatną dziewczynę, która dzielnie, jednak

bardzo cicho stawiała opór chamskiemu klientowi. Facet blokował kolejkę, perorując na temat podniesionej zniecka ceny paliwa. Wszyscy obecni w pełni się z nim zgadzali, ale dysponowali ograniczonym czasem na publiczne debaty. W związku z tym omal nie doszło do bójki. Zniecierpliwiona chamskimi wstawkami pod adresem Natałki, typu „laleczko”, „laluniu” czy „dupeczkę sobie wozisz za moje pieniądze”, z trudem się powstrzymywałam, aby go nie oblać gorącą kawą, trzymaną w dłoniach. Na szczęście ktoś z tyłu mnie wyręczył. Szkoda tylko, że w impecie bronienia cnót niewieścich potrafił mnie mocno i to ja zostałam oblana gorącą kawą. Konkretnie moje spodnie! Wrzasnęłam przeciągle i wybiegłam do toalety, już nie zajmując się ani cenami paliwa, ani społecznym niezadowoleniem, a cnoty niewieście miałam głęboko gdzieś! Polewałam się zimną wodą, wsadziwszy nogę do umywalki i balansując niebezpiecznie, aby wytrzymać w tak akrobatycznej pozycji. Na szczęście dla mnie spodnie wykonano może nie z mocnego, ale na pewno nieprzemakalnego materiału, dzięki czemu się nie poparzyłam. Gdy wpadłam na pomysł, aby je ściągnąć i nieco odplamić po tej kawie, gwałtownie otworzyły się drzwi i w progu stanął jakiś zdyszany facet. Oczywiście spodnie wypadły mi z rąk. A scena pod tytułem *Napaleni kochankowie* powinna zostać kluczową w jakiejś komedii romantycznej. Tylko nie rzuciliśmy się na siebie w namiętym uścisku. On dyszał, czerwony na twarzy, wbijając we mnie wyczekujące spojrzenie, a ja patrzyłam na polskiego sobowtóra Toma Hiddlestona, znanego mi z uwielbianych przez córki *Avengersów* jako Lokiego. Czas sobie płynął, a co tam! W końcu pierwsza podjęłam decyzję o przerwaniu tej długometrażowej sceny, bo może faceta przycisnęła potrzeba, a ja mu tutaj prezentuję majtki i wątpliwej estetycznej wartości uda czterdziestolatki, więc podniosłam swoje spodnie. Rzeczywiście go odblokowało.

– Przepraszam. Nic się pani nie stało? – spytał już z przepaszającym uśmiechem i to takim, że żalowałam, że tych ud nie mam piękniejszych, aby go oszłomić. – Tak mnie ten facet zdenerwował, że straciłem panowanie nad sobą. Widzi, że dziewczyna nieśmiała, to sobie pozwala. Nie widziałem pani. Jeszcze raz przepraszam.

– Nic mi się nie stało – odparłam zmienionym dziwnie głosem i nawet się uszczypnęłam w udo, aby nie gapić się jak tępa dziewoja w malowany obraz.

Jeśli ktoś nie widział Toma Hiddlestona na żywo w damskiej toalecie na lennickiej stacji benzynowej, ten nie ma pojęcia o wrażeniu, jakie może wywołać. Nic dziwnego, że straciłam głos, ale i rozum najwyraźniej, bowiem rzekłam:

– Właśnie jadę sobie do szpitala, aby mi amputowano tę nogę. Zechce mi pan towarzyszyć, panie rycerzu?

Nie czekając na odpowiedź, energicznie wciągnęłam spodnie.

– Z największą przyjemnością – odparł, parszkając śmiechem. – Mógłbym zostawić ją sobie na pamiątkę naszego spotkania, ale się spieszę do pracy.

– Znakomicie. – Ukłoniłam się dwornie. – Jakaś zniewolona niewiasta zamknięta w wieży na pewno wyczekuje ratunku. Zatem i ja pojedę do pracy, bo co tak będąc stała beużytecznie w toalecie. Poza tym nic mi nie jest. Do widzenia.

No i koniec bajki, bo wyszłam pospiesznie z toalety, ze stacji benzynowej i z szelmowskim uśmiechem wsiałam do busa.

– Nie pijemy kawy? – zdumiał się Grigorij, ale uruchomił silnik.

– Wyobraź sobie, że jakiś cham wszystko wyipi!

– Niewiarygodne!

Tom Hiddleston ulotnił się z moich myśli, gdy tylko przekroczyliśmy próg magazynu. Niefortunnie od razu wpadliśmy na Ząbka, kuriera, którego wszyscy starali się omijać z daleka z racji porażającego smrodu ciała i ubrania. Prawdopodobnie brzydził się mydłem i proszkiem do prania od lat, więc nikt się doń nie zbliżał i nikt nawet nie wiedział, jak ma na imię. Po prostu wszyscy wołali go po nazwisku: Ząbek. Zresztą i on nie pragnął czyjegóż towarzystwa i przeważnie milczał z niechętnym wyrazem twarzy. Teraz zderzenie z nim okazało się odmóżdżającym doświadczeniem, bo niemal straciłam przytomność.

Grigorij złapał mnie za ramię w samą porę, bym nie przywitała się z podłogą, wręczył mi skaner, bym sprawdziła zlecenia, a sam odpowiadał na docinki na temat swojego wyglądu. Potem ustawiliśmy się przy rolkach po obu stronach, aby wylapać paczki przypisane do naszych rejonów. I tutaj, gdy wszyscy kurierzy uwijali się w komplecie, rozpoczęła się zażarta dyskusja na temat... wczorajszego morderstwa. Zaczęło się od rzuconej przez Bogusia informacji, że sąsiednia hurtownia została zamknięta na głucho przez żonę Staszka, która zjawiła się tutaj bladym świtem z nowymi zamkami i ochroniarzem o gabarytach co najmniej Pogorza Kaczawskiego. Z nikim nie zamieniła słowa, a kiedy nasz kierownik podszedł z kondolencjami, to ofuknęła go strasznie, że chyba żarty sobie stroi z tym smutkiem!

– Może to nie był taki sweet gościu – wtrąciła Brygida, puszczając do mnie oko. – Ilu takich z was krąży po świecie, co to dla ludzi macie inną twarz, a w domu awantury, bicie, picie i psychiczne tortury?!

– No, co ty?! – prychnął Albert, młody chłopak, tak szczupły, że szczudła przy nim prezentowały się jak grube drągi. – To był spoko gość! Wiesz, jak on opowiadał o swoich dzieciach, że takie utalentowane córeczki, że w szkole muzycznej są i koncertują.

– Zdjęcia tych dziewczyn stały na jego biurku – dodał Grzesiek, najmłodszy z kurierów o dziecięcej buzi, pełnej przyszczy, który nigdy nie odkładał swojego telefonu i nawet teraz zerkał do niego co chwilę. – Jedne odwrócone do niego, a drugie do tych, co tam przychodzili. Kochał te córki jak wariat! Z jedną chodziłem do szkoły. Nadęta jak balon!

– A żonę bił – wtrąciła ponuro Brygida.

– Jezuuu, co ty z tym biciem? – jęknął Andrzej zwany Miśkiem, jak się domyślałam z racji misiowatej tuszy i obfitego zarostu oraz owłosienia, które wyzierało z każdego odsłoniętego skrawka jego ciała. – Ten twój cię okłada czy jak? Jeśli potrzebujesz, aby mu mordę oklepać, to wiesz, że na kumpli z roboty zawsze możesz liczyć.

Brygida popukała palcem we własne czoło.

– Do jakiej szkoły chodziłeś? – spytał Grigorij.

– Do piątego ogólniaka, ale nie skończyłem, bo się na mnie uwzięli – skwitował Grzesiu, nawet nie patrząc na nas, tylko w wyświetlacz telefonu. – Melania. Tak miała na imię ta gwiazda. Tatuś kopnął w kalendarz, a ona relację robi na in-sta z pobytu na Djerbie. Influcercerka!

– No co ty? – Albert, który stał obok Grześka, zajrzał mu przez ramię do telefonu.

– A ta druga? – spytałam i zaraz sama siebie zgańiłam za bezsensowne wścibstwo.

– Natalia – powiedział Grzesiek. – Taka totalna sierota. Pracuje na stacji benzynowej przy cmentarzu. Podobno wyprowadziła się od rodziców do koleżanki. Może innej orientacji. Kto wie?

– Ty, gwiazdor Internetu, tutaj lecą twoje paczki! – wykrzyknął Mateusz, który stał na końcu rolek. – Odkładaj telefon i zasuważ!

Spojrzałam na Grigorija, podczas gdy Grzegorz i Mateusz zajęli się wymianą zdań na temat pośpiechu w pracy. W lot zrozumiałam, skąd u Natalii ta nieobecność myślami w pracy i smutek, który bił po oczach.

– Wiedziałaś, że to córka tego Staszka? – spytałam szeptem.

– Nie, ale to nawet dobrze. – Mrugnął okiem. – Mam pretekst, aby się koło niej zakreślić.

– Żadnej nie odpuścisz, lowelasie? – wtrącił Boguś, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Nic ponadto się nie dowiedzieliśmy, bo wszystkie paczki z koszy trafiły do naszych wózków, więc rozmowy teraz weszły na tory służbowe. Podczas gdy ja za-

bierałam dokumenty z biura, Grigorij ładował busa i skanował paczki.

## 10. Babcie ruszają z kopyta

Legnica, która do tej pory raczej mnie nie interesowała, teraz prezentowała się jako miejsce tajemnicze i nieznanne. Pomyśleć, że przeżyłam tutaj ponad czterdzieści lat, a dzisiaj na nowym rejonie, który od jutra stawał się moim rejonem pracy, większość ulic, kamienic i miejsc widziałam pierwszy raz i pojęcia nie miałam, że w ogóle istnieją. Każdy adres okazywał się niewiadomą. Masarska? Zupełnie oderwany od miasta rząd kamienic, ukryty w uliczkach za dworcem. A już Wałbrzyska, skryta za równie tajemniczą stacją Legnica Północna, czy Rybacka tuż za mostem na Czarnej Wodzie? Ktoś tam bywa poza nielicznymi mieszkańcami? Niesamowite miejsca. Albo park Gdański. Czy ulica Wazów? Wglądałam z ciekawością, gubiłam się, zamyślałam, dostarczając Grigorijowi wystrzałowej rozrywki. Całe szczęście, że bywał w tej wesołości na tyle czujny, aby w porę zauważyć przegapiony przeze mnie adres albo mnie ostrzec przed wolno sunącymi po tych okolicach samochodami nauki jazdy. Mimo to podobał mi się mój rejon, choć sam Grigorij określił go mianem „kurierskiej miny”. Sam jeździł po Złotorzy i Jaworze i jak twierdził, za nic nie wróciłby już do Legnicy i do jej mieszkańców. Przynajmniej jako kurier.

Rola Kolumba odkrywającego Amerykę w rodzinnym mieście okazała się na tyle męcząca, że kiedy dotarłam pod nasz dom, marzyłam jedynie o relaksującej kąpeli. Grigorij, wciąż pełen wigoru, postanowił spotkać się z Natalią Migotką i wówczas przypomniałam sobie z rozpaczą o wiszącym nade mną spotkaniu z Szymonem Kobylińskim, a właściwie Sylwestrem Kluczykiem. W drodze do drzwi zapatrzyłam się na moje ukochane róże, których widok zawsze poprawiał mi humor, a wciągany z rozkoszą zapach dodawał sił. Nie wymagały ode mnie zabiegów pielęgnacyjnych jak inne moje kwiaty, a cieszyły oko pięknem w każdym kącie ukwieconego ogrodu. Nieśmiało wypuszczały pąki w różnych kolorach, przyciągając pszczoły i jednego nerwowego trzmiela. Dotarłam do drzwi, powiedzmy, nieco pokrzepiona. Niestety, w domu nastroju sobie nie poprawiłam. Ledwie zamknęłam drzwi wejściowe, gdy dopadła mnie Bożenna z niezdrowymi rumieńcami na twarzy, w jednej ze swych najlepszych letnich sukienek w wielkie maki i pociągnęła za rękę do pokoju gościnnego, gdzie mieszkały obie z Marzeną. Łóżko w łóżko dwie mamunki! Na jednym z nich siedziała moja te-



ściowa, elegancko ubrana w letnią garsonkę w kolorze fuksji i przypinała coś na wielkiej tablicy korkowej.

– Dziewczynki pojechały do miasta – oznajmiła z chuligańskim uśmiechem, jakby niezauważona zwinęła kredę z klasy ku powszechnej radości i ocalała resztę świata przed straszną klasówką. – Spotkają się z koleżankami, więc my z Bożenką...

– Z Bożenką, powiadasz? – rzuciłam, niedowierzając w taką komitywę.

– No ze mną! A co się dziwisz?! – prychnęła moja mama i z dumą zaprezentowała tablicę korkową, której szczyt wieńczyła fotografia łysawego mężczyzny, uśmiechającego się w amerykańskim stylu. Poniżej wisiały karteczki z podpisanymi: „podejrzany” albo „podejrzana” i wielkie pytanie namazane czerwonym markerem: „Kto miał korzyść?”. Na samym dole na dwóch różowych karteczkach widniało: Malwina Matuszek i Roksana Janusz-Migotka. Pozostałe karteczki czekały na opisy. Na obu łóżkach leżały rozrzucone różne kryminalne czasopisma i książki autorów, którzy parali się kryminalnymi historiami. Babcie nie próżnowały. Westchnęłam ciężko i silnie, niemal unosząc firankę w pokoju. Zrezygnowana opadłam na jedno z łóżek.

– Na razie mamy dwie podejrzane – poważnie podsumowała Marzena. – Ale wciąż zbieramy informacje. Rozpuściliśmy wici i czekamy na spływ wiadomości.

– Ten łysy to pewnie Staszek Migotek? A ta Roksana, to jak się domyślam, żona... – rzekłam niezbyt odkrywco.

– Staszek Migotka – poprawiła mnie teściowa. – I tak. To jego żona.

– Pierwszymi podejrzanyymi zawsze są małżonkowie! – wykrzyknęła entuzjastycznie Bożenna, jakby już wiedziała, kto jest mordercą.

„Dlaczego mnie to nie dziwi?” – zadałam sobie to pytanie w myślach, przyglądając się rewolucyjnemu zapałowi mojej mamy i teściowej. Zastanawiała mnie ich niespodziewana elegancja i dopiero teraz spostrzegłam, że obie mają inny niż na co dzień... makijaż!

– Wybieracie się gdzieś? – spytałam wprost.

Jak wyćwiczone, obie w tym samym czasie machnęły rękami, bagatelizując pytanie i nie udzielając odpowiedzi. A ja w lot pojęłam, że wybierają się na randkę, i poszłam wyobraźnią dalej, że poznają jakichś przystojnych, fantastycznych facetów, zniechęcą się do śledztwa i znikną z mojego domu! Uff!

– Mają dwie córki – odezwałam się po chwili i sama sobie się dziwiłam, że w ten sposób wchodzę w to szalone śledztwo. – Melania i Natalia. Podobno oczka w głowie tatusia. Jedna pracuje na stacji benzynowej i Łukasz właśnie się z nią

umawia. Druga, Melania, bardziej przebojowa, wczasuje na Djerbie i robi relacje na Instagramie.

– Czyli tę Melanię możemy wykreślić – podsumowała Bożenna, sięgając po marker. – Jednak wpisujemy obie na tablicę, bo zbieramy wszelkie informacje. Nie wiadomo, co się może przydać. Musimy odtworzyć ostatnie dni Staszka. Myślę, że będą kluczowe. A teraz dzwoni do tego Sylwestra i zapraszaj go na herbatę. Musimy wybadać, co wie policja!

Oniemiałam. Czy to naprawdę się dzieje? Czy to jeszcze mój dom i czy to moje mamunki? Te pełne zapału i energii zachowanie sprawiło, że obie wyglądały młodziej. No i te ubrania, makijaż... Czy one nie planują uwieść komisarza? Z niedowierzaniem mrugałam oczyma, ale nie znajdowałam się na pustyni, gdzie wzrok ulega zwodniczym mirażom.

– A nie jest odwrotnie? – spytałam zdezorientowana, ale sięgnęłam po telefon. – To chyba policja przepytuje...

– Dzwoni i zaraz się przebierz, gdzie ty te spodnie tak poplamiałś? – jęknęła Marzena, załamując nade mną ręce jak nad małym dzieckiem powracającym z podwórka, gdzie wskakiwało w wielkie błotniste kałuże i utylało się niezmiernie. – Dobrze, że przetransportowałyśmy tę pralkę Bożenki do ciebie, bo inaczej byśmy oszalały, jeżdżąc autobusem z torbami brudnych rzeczy!

Komisarz Sylwester Kluczyk obiecał podjechać za dwie godziny, więc spokojnie mogłam odpocząć i zrelaksować się w wannie. „Naprawdę nic mnie już nie zdziwi” – pomyślałam, wchodząc do łazienki i rzucając spojrzenie na pralkę mojej mamy, prezentującą się dumnie w pustym miejscu po poprzedniczce.

\* \* \*

– Dzień dobry! – wykrzyknęły jednocześnie wystrojone mamunki, gdy Sylwester Kluczyk pojawił się w progu mojego domu.

Komisarz z wrażenia cofnął się o krok. Zdezorientowany spojrzał na numer domu wyeksponowany przy drzwiach. Odezwał się dopiero, gdy zmaterializowałam się za plecami moich mamunek.

– Dzień dobry.

Zaproszony do salonu z kurtuazją godną wizyty króla Szwecji albo Hiszpanii, usiadł za stołem i rozejrzał się wokół, wciąż chyba niepewny, czy dobrze trafił.

– Herbaty czy kawy? – zapytała Bożenna, szczerząc przy tym zęby, jakby domagała się podziwu dla swych koronek.

Tymczasem Marzena wbijała w policjanta wzrok, jakby usiłowała sobie przypomnieć, skąd może go znać. Miałam nadzieję, że jednak nie okaże się dawno niewidzianym znajomym albo znajomym znajomego.

– Wody, jeśli mogę prosić – rzekł komisarz.

Bożenna w podskokach pobiegła do kuchni, a Marzena z bliźniaczą energią podążyła za nią. Usiadłam przy stole i pochyliłam się nad blatem, lojalnie ostrzegając:

– Przepraszam, ale to moja mama i teściowa. Oszalały na punkcie kryminalów. Wizyta policjanta to dla nich jak wizyta papieża.

Uśmiechnął się i skinął głową w pełnym zrozumieniu, dodając:

– Oby mnie tylko nie całowały po rękach.

Wyciągnął swój notes i cicho zadawał pierwsze pytania. Głównie o godziny, gdy podjechałam na stację benzynową, a potem na bazę. Czy widziałam coś podejrzanego? Odpowiadałam nadspodziewanie spokojnie i bez komentarzy. Szczęka mi opadła i spokój opuścił dopiero chwilę później.

– Panie inspektorze... – Moja mama pojawiła się z tacą z serwisem kawowym, który wyciągała na szczególne świąteczne okazje, a który chyba tajemniczo przywędrował razem z pralką. – Czy moja córka jest podejrzana?

Marzena zajęła się rozkładaniem zawartości tacy. Komisarzowi na razie umknęło, że prosił o wodę, a otrzymał herbatę w serwisie pani Bukietowej z *Co ludzie powiedzą?* i kawał apetycznego sernika mojej teściowej.

– Jestem komisarzem... – poprawił uprzejmie Kluczyk. – O której wczoraj pani Krzysztofa wyszła z domu? Podobno któraś z pań może to potwierdzić?

– Obie! – wykrzyknęła Marzena. – Nastawiłyśmy sobie budziki na szóstą piętnaście i jak tylko zadzwoniły, to wyszłyśmy do przedpokoju, a Krzysia akurat wychodziła.

– Nie zdziwiłyście się panie, że ma do pracy na siódmą trzydzieści, a wychodzi godzinę i piętnaście minut wcześniej? – podchwycił komisarz.

– No i jednak jesteś podejrzana – smętnie zauważyła moja mama, spojrzała na mnie i sięgnęła po chusteczkę higieniczną, by otrzeć niewidzialne łzy.

– Ależ skąd! Strasznie się denerwowała, nie mogła spać w nocy – perorowała Marzena, niebezpiecznie nachylając się nad dzbankiem z herbatą. – To jej pierwsza praca w życiu!

– Nieprawda! – ryknęła moja mama.

Wszyscy spojrzeliśmy w jej kierunku. Mną targnęły wątpliwości, czy to przesłuchanie w domu nie zaprowadzi mnie do więzienia za czyn, którego nie popeł-

niłam? Nie wiem, może zapadają wyroki za posiadanie... nie zrównoważonych matek czy teściowych?

– Moja córka pracowała wcześniej! W domu! Zajmowała się dziećmi, domem, ogrodem i wiarołomnym mężem, który ją brutalnie porzucił i pozbawił dochodów!

– Jakim wiarołomnym?! – spytała Marzena, biorąc się pod boki. – No i jak brutalnie?! Co ty wygadujesz o moim synu? Porzucił, owszem, ale nie brutalnie i żadnej baby w tym nie było.

– A skąd wiesz?! Co ty możesz wiedzieć? Facet zawsze rzuca kobietę dla drugiej baby! I to młodszej! – broniła z zapalem swego stanowiska Bożenna, która w kwestii męskich porzuceń powinna robić habilitację na jakiejś uczelni.

Komisarz świetnie się bawił, nie kryjąc uśmiechu, a ja płonęłam ze wstydu żywym ogniem.

– Wracając do tych godzin... – usiłował przerwać kłótnię, ale udało mu się jedynie przekrzyczeć. – To czy ktoś jeszcze może potwierdzić, że pani wyjechała z domu o szóstej piętnaście?

– Nikogo znajomego nie spotkałam po drodze – głośno odpowiedziałam ze smutkiem. – Na stacji benzynowej byłam dziesięć, może piętnaście minut później. Tam jest monitoring i mogę zrobić wydruk z konta, bo za kawę płaciłam kartą, ale nigdzie nie znalazłam paragonu. No i gdzieś o siódmej postanowiłam jednak pojechać na bazę.

– Nie musi pani mi robić wydruku. Paragon był w kieszeni pani spodni, które oddaliśmy do laboratorium. Monitoring na stacji już sprawdziliśmy. Nawet ten po drodze, ale nie jechała pani Rzeczypospolitej? To najkrótsza droga.

– Nie, pojechałam inaczej. Przez Jaworzyńską, a potem przez Zakaczwawie? Przepraszam, ale mam problem z ulicami...

– W porządku. – Komisarz wszystko notował. – Nie jest pani z Legnicy?

– Jestem, ale... – Chyba zaczęłam się denerwować, bo dotarło do mnie, że jestem idealną morderczynią. Wyjeżdżam wcześniej, jadę okrężną trasą, dopadam Staszka, morduję i wracam cichaczem do busa, a potem czekam na innych kurierów, by z teatralnym zaskoczeniem pobiec z nimi odkryć zwłoki. Moja wyobraźnia zagalopowała się nieco.

– Ale? – Sylwester Kluczyk, świdrując mnie wzrokiem, dopominał się odpowiedzi.

– Wstyd się przyznać jako legniczanka od urodzenia, ale nie znam wszystkich ulic nawet na osiedlu, na którym mieszkam od piętnastu lat. Wcześniej, powiedzmy, że znałam tylko osiedle Kopernika. Mama i teściowa też tam miesz-

kają, więc raczej mam ograniczoną wiedzę o innych częściach miasta. Do tej pory nie przywiązywałam wagi do tego, a tymczasem mam taką pracę... Może to zabrzmie dziwnie, ale dopiero odkrywam Legnicę, jednak uczę się szybko.

– Oczywiście, córeczko! – potwierdziła moja mama i oboje z komisarzem z żalem odnotowaliśmy ogarniającą nas ciszę. Po kłótni nie pozostał nawet ślad. Obie mamunki wpatrywały się w nas z zachłanną ciekawością.

– Myślę, że to wszystko. – Policjant podniósł się energicznie z krzesła, schował notes do kieszeni marynarki i obdarzył wszystkich uśmiechem.

– Przepraszam, że spytam, ale... – zatrzymała komisarza Marzena. – Czy pana ojciec nie pracował w straży pożarnej?

Sylwester Kluczyk wydawał się mocno zaskoczony.

– Owszem, ale już dawno jest na emeryturze... Pani zna mojego ojca?

Marzena autentycznie spaşowiała i uśmiechnęła się tajemniczo.

– Stare dzieje! – Machnęła dłonią, ale nikt z nas nie uwierzył, że naprawdę bagatelizuje tę znajomość. – Proszę mu przekazać pozdrowienia od Marzeny.

– Marzeny? I będzie wiedział, jakiej Marzeny? – Sylwester nie krył zaintrygowania, lecz nie została mu udzielona ustna odpowiedź, ujrzał tylko bardzo delikatne skinienie głowy mojej teściowej.

Komisarz, odprowadzany przez trzy kobiety, ruszył do wyjścia.

– Czy nasze potwierdzenie alibi mojej córki ma znaczenie? – zagadnęła Bożenna, powracając do tematu.

– W jakim sensie? – spytał komisarz, zatrzymany w progu.

– No, bo potwierdziłyśmy z obecną tu Marzeną, że o szóstej piętnaście Krzysia wyszła z domu. Ale jesteśmy rodziną, jakby nie patrzeć, więc czy nasze zeznania są wiarygodne? Czy muszą być jacyś inni, obcy świadkowie, jak przypadkowi przechodnie, aby policja uwierzyła, że moja córka rzeczywiście wychodziła z domu o szóstej piętnaście?

Komisarz cmoknął.

– Na razie nie są potrzebni inni świadkowie. Do widzenia paniom.

## 11. Jak Mieszko I zapewnia salomonowe rozwiązanie

Przekleństwem legnickich podwórek w starszej części miasta stały się wybudowane w latach siedemdziesiątych garaże. Przeważnie rozplanowane na środku kwartału kamienic, z czasem coraz bardziej zohydzały krajobraz, uniemożliwiając budowanie zielonych skwerów, ogródków, placów zabaw, a i rozmieszczenie śmietników. Garaże wyrugowały drzewa, a rozmnażające się z biegiem lat samochody porozjeżdżały brzydko ziemię, tworzyły trwałe wyżłobienia, w których po deszczu powstawały prawdziwe jeziora, na których można było wodować małe łódki. Poza tym miejsc parkingowych nie przybywało wprost proporcjonalnie do liczby rejestrowanych w Legnicy aut. I tak oto podwórka wypełniły się po brzegi samochodami, ograniczając, a czasem uniemożliwiając dojazd służbom porządkowym, ale i nam, kurierom. Nie lepiej prezentowała się druga strona od tak zwanej ulicy, gdzie zdobycie wolnego miejsca do zaparkowania okazywało się wyczynem godnym medalu. Bywało, że nikt nie przejmował się nawet znakami oznaczającymi miejsce dla dostawców. Ile mi to zjadło nerwów w pierwszych dniach pracy, długo by opowiadać. Jednak szkoła Grigorija głosiła: „Po prostu stajesz obok, rozglądasz się tylko, czy aby nie na pasach, i gonisz z paczką. Jakbyśmy tak stawali tylko na wolnym miejscu, to zostałby nam jedynie zjazd na Ceglanej w Lasku Złotoryjskim i robotę musielibyśmy robić na piechotę!”.

Dlatego, gdy po trzecim okrążeniu, by wypatrzeć wolne miejsce, podjechałam pod dworzec PKP i kiedy dostrzegłam wielkiego czarnego SUV-a na miejscu przeznaczonym dla dostawców, bez wyrzutów sumienia stanęłam za nim, blokując mu wyjazd. Bynajmniej żadna złośliwość czy chęć dania lekcji uważności mną kierowała. Zwyczajnie czasu już nie miałam, bo klientka z zakładu fryzjerskiego dzwoniła tak nachalnie, jakbym wiozła dla niej serce do przeszczepu, a nie farby dla klientek. No i na pace busa czekał niemały stosik innych paczek, czytaj: grono niecierpliwych odbiorców.

Zaparkowałam, zabrałam paczkę i poleciałam jak do pożaru. Wpadłam zdyszana, doręczyłam, pokwitowałam odbiór. Wróciłam w pełni zrelaksowana, jakbym doskonale wykonała jakieś specjalne zadanie dla wywiadu Jej Królewskiej

Mości. Zasłużyłam na odznaczenie, lecz tym razem postanowiłam wynagrodzić się kawą po drodze do samochodu. Na skwerku przed dworcem ławki zajęte były przez kilka starszych kobiet z walizkami. Jedne wystawiały uśmiechnięte twarze ku słońcu, które dzisiaj nie żałowało promieni ani stopni Celsjusza, a drugie wesoło rozmawiały w grupkach. „Pewnie jakaś wycieczka optymistycznych staruszek” – pomyślałam z zazdrością, mijając wolne od zajęć codziennych i zawodowych kobiety.

Weszłam do restauracji przy dworcu i... zastygłam z ręką na klamce, rażona prawie śmiertelnie. Przez szybę wejściowych drzwi sparaliżował mnie zabójczy widok. Oto przy jednym ze stolików siedzieli Malwina Matuszek i... Waldemar! Z wrażenia tak ścisnęłam klamkę, że tylko konieczność natychmiastowej ucieczki uratowała mnie i ją przed katastrofą. Malwina i Waldemar! W ekspresowym tempie, jakiego nie powstydziliby się najnowsze ferrari, przebiegały mi przez skołowaną głowę różne myśli. Przede wszystkim powstrzymałam się przed wejściem i zrobieniem karczemnej awantury rodem z westernów, gdzie strzela się również do barmana i jego oszklonego baru, wywraca stoliki i zabija pianistę! To ja mam pracować rzeczy swoje i dziewczynek w Kaczawie, łupać kamień, a ten tutaj z tą...! – powinnam wykrzyknąć w słusznym oburzeniu. Serce próbowało się ewakuować z mojego ciała z takim hukiem, który słyszeliby mieszkańcy oddalonego Wrocławia, więc wzięłam parę relaksujących oddechów. Nie mogłam sobie pozwolić na awanturę, bo inaczej ciekawość, która też się rozpychała w mojej głowie, nie zostanie zaspokojona. Zatem tymczasowo schowałam swój gniew, jakby był zasmarkaną chusteczką higieniczną i próbowałam dociec, jakież relacje mogą łączyć Malwinę z moim byłym, ale jeszcze aktualnym mężem, i skąd u licha ciężkiego się znają? Na parę zakochanych raczej nie wyglądali, jeśli brać pod uwagę, że nie trzymali się czule za ręce ponad stołem, nie całowali namiętnie, nie gapili się sobie w oczy ze słodkimi dzióbkami. Zatem to nie randka. Może ze strony Malwiny wyłapałam kokieterijne, zalotne poprawianie rudych włosów, kręcenie loczka, ale Waldemar zdawał się być tym raczej poirytowany niż zauroczony.

Takie to rozważania i obserwacje czyniłam, w silnym uścisku rozgrzewając restauracyjną klamkę do czerwoności. Mocne walenie własnego serca w porę przywróciło mnie do przytomności, bowiem tych dwoje właśnie podniosło się od stolika i wychodziło wprost na mnie. Niewiele myśląc, rzuciłam się na schody na górne piętro, modląc się w duchu, by nie szli w tym kierunku. Skuliłam się na półpiętrze, skryta za rogiem, i nasłuchiwałam.

– Myślę, że jesteśmy dogadani – usłyszałam Waldemara po raz pierwszy od ponad tygodnia.

– Ale pieniążki takie, jak się umawialiśmy? – zaszczębiotała kobieta.

– Oczywiście! – I to było ostatnie słowo, które do mnie dotarło, gdyż trzasnęły drzwi wyjściowe.

Błyskawicznie i na palcach, wzorem tajemniczego Don Pedro z Krainy Deszczowców, dopadłam klamki i ostrożnie wychyliłam głowę na zewnątrz. Szli w stronę mojego fatalnie zaparkowanego busa. Pech okazał się tym większy, że zatrzymali się przy SUV-ie i ostro gestykulowali, wskazując mój samochód. W lot domyśliłam się, że zastawiłam auto Malwiny! Ale na rozwiązanie tej niekomfortowej sprawy mojego ilorazu inteligencji już nie starczyło. Sytuacja okazała się patowa. Ani nie wyjdę, aby się zdemaskować, narazić na cierpkie uwagi, kompromitację, tudzież awanturę. Ani nie będę się w nieskończoność ukrywać, bo zakończy się to wezwaniem policji, mandatem i odholowaniem auta, nie wspominając o konieczności rozwiezienia paczek!

– Szefowo, pożyczysz czterdzieści groszy? – usłyszałam tuż przy uchu i aż się cofnęłam w przestraszeniu, a i z racji straszliwego smrodu, stojącego obok pijaczka.

No i wtedy mnie olśniło! Pomimo że wyglądał nieatrakcyjnie w podartych, brudnych dżinsach i przepoconym T-shircie, które proszek do prania widziały ostatnio w latach siedemdziesiątych, a twarz najwyraźniej służyła za worek treningowy w filmie Rocky, spojrzałam nań z zachwytem.

– A nie chce pan zarobić dziesiątaka? – spytałam radośnie.

Facet ze świstem wciągnął powietrze. Zmierzył mnie dość niechętnie od stóp i głów, wywołując u mnie konsternację. Mój entuzjazm pospiesznie pakował walizki, a Waldemar z Malwiną nie próżnowali. Oboje w ewidentnie silnym wzburzeniu sięgnęli po telefony.

– Ja to się do pracy nie nadaję. Nie mogę dźwigać – wytłumaczył pijaczek i rozłożył bezradnie ramiona. – Chory jestem...

– Ta robota się panu na pewno spodoba. Lekka, prosta i dobrze płatna – zachęcałam, ponownie odzyskując nadzieję na salomonowe rozwiązanie mojej sytuacji. – Widzi pan tych dwoje? Trzeba ich zagadać, odciągnąć uwagę od samochodu na pięć minut! I płatne z góry!

Pijaczek, zmotywowany wizerunkiem Mieszka I, dopadł do Malwiny, opadł przed nią na kolana i pochwycił za łydki z rykiem godnym góralskiej trombity:

– Królowo moja! Tyle cię szukałem! Po świecie się tułam! Teraz odnalazłem! Kocham cię! – donośnie perorował, z zachwytem wpatrując się w przerażone oblicze Malwiny.

Mój wynajęty wybawca skutecznie skupił na sobie uwagę nie tylko Malwiny i Waldemara, ale i przechodzących w pobliżu ludzi. Wokół zgromadził się nie-



mały tłum ciekawskich i zablokował Malwinę i Waldemara oraz całe przejście na chodniku. Kobieta zaczęła głośno wrzeszczeć, ktoś z tłumu również i w ten sposób przedstawienie zyskało wymiar operowy. Bez wysiłku mogłam się dostać do mojego busa niezauważona i odjechać równie niewidziana nawet czołgiem z Czterech pancernych i psa. Rzucając ciekawskie spojrzenia w boczne lusterko, żalowałam nawet, że nie mogę dłużej podziwiać wykreowanej za dziesięć złotych sceny i obiecałam sobie, że gdy tylko spotkam mojego aktora, to dorzucę mu jakąś premię.

Z trudem udało mi się tak sensacyjną wiadomość utrzymać w tajemnicy do końca pracy, która szła mi nie najlepiej. Samodzielnie szukałam adresów, gubiłam się, znajdowałam. Dziwnym zbiegiem okoliczności wszystkie dzisiejsze przesyłki dostarczałam na najwyższe piętra, co sprawiło, że dostawałam zadyszki, a w nieprzepuszczającym wody ani powietrza stroju niemal ugotowałam się żywcem. Prawdopodobnie ciągnął się za mną smród spalenizny i potu, ale udawałam, że niczego nie czuję.

Na bazę dotarłam jako ostatnia, ku niezadowoleniu Joli, która w oczekiwaniu na mnie musiała zostać dłużej w pracy. Jeszcze natknęłam się jedynie na Ząbka, co mogłoby być całkiem wymowne z racji mego smrodku, ale i tak jestem przekonana, że nawet, gdybym bardzo się starała, to nie osiągnęłabym takiego poziomu, jak nasz kolega kurier. Grigorij zjechał już do domu, więc nie pozostało mi nic innego, niż pójść za jego przykładem.

Jednak nie spieszyłam się. Musiałam przemyśleć swoją sytuację życiową bez wiszących mi nad głową mamunek. Wrzuciłam w nawigacji „Legnica, Ceglana” i skierowałam się w stronę Złotoryjskiej. Męski głos gładko poprowadził mnie przez legnickie ulice aż do Lasku Złotoryjskiego i wyjazdu na Hutę Miedzi z dymiącym z daleka kominem. Wjechałam w asfaltową drogę, mijając stojącego w zatoczce TIR-a. Dalej po prawej jechałam wzdłuż muru po dawnym niemieckim, a potem radzieckim szpitalu, który długo przypatrywał mi się z daleka pustymi oczodołami okien. Zatrzymałam się dopiero, gdy minęłam schronisko dla zwierząt i tabliczkę: „Teren Huty Miedzi. Wstęp wzbroniony”. Wyłączyłam silnik i z oddali dopadły mnie ujadania psów oraz ruch samochodowy z pobliskiej obwodnicy. W zadumie przyglądałam się zdziczałej zieleni po dawnej wiosce, która przestała istnieć w latach dziewięćdziesiątych. Akurat tyle wiedziałam o Białce, bo podobno mój tata stąd pochodził. Ale zniknął, jak i ta wioska.

Á propos znikania. Przypomniałam sobie scenę z restauracji i kontemplując bujną i przepiękną przyrodę, rozpoczęłam rozważania na temat: co dalej? Waldemar do tej pory się nie określił. Zapowiedziany przez niego adwokat też jeszcze się nie odezwał. Zatem chce rozwodu, czy tylko tymczasowo wybył i zaraz

pojawi się z powrotem? Z tego, co wiedziałam od dziewczynek, z którymi na szczęście pozostał w kontakcie, wynajął mieszkanie gdzieś w nowych, pokoszarskich blokach w okolicy alei Rzeczypospolitej. Do mnie nawet SMS-a nie wysłał. Piętnaście lat pożycia i w dupę strzelił bez słowa! A ja? Dlaczego nie rozpaczam? Nie walczę? Pewnie to pytania do terapeuty, który wygrzebie pasujące odpowiedzi z mojego dzieciństwa. Tymczasem jeszcze trochę poczekam, a potem trzeba coś postanowić. Zresztą czy to naprawdę warte jest jakiejś walki? Przypomniałam sobie te długie okresy milczenia w naszym małżeństwie, to obrażanie się, stawianie wymagań, puszenie się swoją pozycją lubianego i szanowanego powszechnie człowieka, to sknerstwo i mniemanie o sobie jako o doskonałym mężu, którego winny mi zazdrościć wszystkie kobiety. Czy ja naprawdę chcę do tego wracać? Może rozkład nastąpił dla mnie niezauważalnie, a ten cholerny znicz wszystko wreszcie ujawnił, obnażył i rozświetlił? Chyba nie chce mi się powrotu do tego, co było. Na pewno nic nie będzie tak jak wcześniej, ale wiedza o moim statusie znacznie ułatwi mi myślenie, co dalej.

Nowa dobra, ale o co chodzi z tą Malwiną?

– Nie! – rzuciłam zdziżalą przyrodzie i włączyłam silnik. – To już wiedza operacyjna, którą koniecznie powinnam się podzielić z resztą mojego zespołu!

Dotarłam pod dom akurat w momencie, gdy Elwira i Tomira wracały wesoło z boiska. Oczywiście nie interesowały się, jak mnie minął dzień, ale przekrzykiwały się, aby opowiedzieć, co ta tępa Julka nagadała Pawłowi i on teraz się obraził, a one nie wiedzą, jak mają mu powiedzieć, że to głupia Julka takie głupoty nagadała, bo on się nie odzywa i nawet nie odbiera telefonów! Wywróciłam oczami. Zaczynałam podejrzewać, że to „nieodzywanie się” uplasuje się zaraz po Eboli jako najgroźniejszy wirus dopadający wszystkich facetów. Razem przekroczyliśmy próg naszego domu, więc o błyskawicznym dzieleniu się sensacyjnymi informacjami mogłam zapomnieć. Za to zorientowałam się, że Marzena i Bożenna nie próżnowały w kwestii śledztwa, bo aż się dusiły, by również mi coś powiedzieć.

## 12. Staramy się bardziej niż bardziej

Pokłócone ze wszystkimi koleżankami i kolegami, dziewczynki już nie wyszły z domu. Aż do wieczora przesiedziałyśmy w ogrodzie; Elwira z książką, Tomira z telefonem, a ja trochę drzemiąc na huśtawce, a trochę tak od niechcenia plewiąc grządki warzywnika. Mamunki od popołudnia krzątały się w kuchni, potem zamknęły się w swoim pokoju. Podobno wybierały się na spotkanie Szczęśliwych Seniorów, ale podejrzanie to zabrzmiało o tak późnej porze. Może nie specjalizują się w znajomościach ze starszymi osobami, ale nie słyszałam nigdy, aby prowadzili życie towarzyskie nocą. Kiedy wystrojone i pachnące mamunki właśnie zamierzały zamówić taksówkę, by udać się na to tajemnicze spotkanie, w naszym ogrodzie pojawił się Grigorij. Błyskawicznie zrezygnowały z jakiegokolwiek transportu i spotkania. Z rosnącym niepokojem obserwowałam, jak usiadły przy ogrodowym stole i wymieniały się spojrzeniami.

– Spotykam się z Natalką – poinformował nas na wstępie i usiadł z uśmiechem samozadowolenia za ogrodowym stołem, oczekując wiwatowania na swoją cześć.

Jednak ani on, ani ja nie spodziewaliśmy się takiego rozwoju wypadków, jaki błyskawicznie nastąpił. Otóż Marzena zerwała się gwałtownie z leżaka, strzepując niewidzialne pyłki z sukienki, a Bożenna podeszła do mojego sąsiada, położyła mu dłonie na ramionach, przesunęła się bokiem i kopnęła go w kostkę. Wrzasnął z bólu i omal nie przewrócił się na krześle, ale zreflektował się, że po pierwsze nie wypada macho zachowywać się jak delikatna panienka, a po drugie starsza pani kopiąca niespodziewanie w kostkę, to musi być chyba jakiś znak. Szczególnie że Marzena, pochylona teraz nad kępką trawy, udająca wyrwanie chwastów, krzywiła się do Grigorija z dziwacznie przechyloną głową. Oczywiście w jej mniemaniu puszczała oko, takie porozumiewawcze spojrzenie, ale powieka nie opadała, oko się nie zamykało, w przeciwieństwie do kącika ust. Jednym słowem prezentowało się to nie tyle dziwacznie, co strasznie. Wszyscy w milczeniu wpatrywaliśmy się w moją teściową, nie wyłączając moich córek.

– Co wy wyprawiacie?! – krzyknęła oderwana od lektury Elwira.

– Babciu, źle się czujesz? – zaniepokoiła się Tomira. – Może masz jakiś udar?!

– Udaru? – jęknęła zdezorientowana Bożenna.

Rozmasowujący bolącą kostkę Łukasz zaczął dusić się ze śmiechu. Mnie z jednej strony bawiła cała sytuacja, ale z drugiej też martwiła.

– Chciałabyś! – prychnęła Marzena. – Od razu byś tutaj osiadła na zawsze!

– To moja córka, a nie twoja! Mam większe prawa do osiadnięcia!

– Osiadnięcia! – poprawiła ją Marzena, stając w pozycji bojowej.

– Osadzenia chyba, niemoto gramatyczna! – podsumowała moja mama i usta-  
wiła się na wprost Marzeny cała w nerwach.

Dziewczynki jednocześnie podniosły się z leżaków i z jękiem dezaprobaty „tylko nie to”, opuściły nasze towarzystwo. Ledwie zniknęły w drzwiach domu, moje mamunki radośnie przybiły sobie piątkę.

– Nie jestem przekonana, czy to zawsze zadziała – westchnęłam, demaskując ich podstęp, i zwróciłam się do zdezorientowanego sąsiada: – Wybacz, ale umówiliśmy się, że nie wtajemniczymy dziewczynek w śledztwo. Zapomniałam ci powiedzieć i zaoszczędzić bólu.

– Przepraszam za tę kostkę – rzekła Bożenna i poklepała sąsiada po ramieniu.  
– Sądziłam, że to najlepszy sposób, abys powstrzymał się przed mówieniem.

– No taki... średni – odpowiedział wesoło i bez urazy Łukasz. – Myślałem, że pani Marzenie coś się stało... – Wciąż masował sobie obolałą kostkę, ale więcej współczucia i skruchy u emerytek nie znalazł.

– Przecież mrugałam do ciebie! – oburzyła się teściowa, przekonana, że wywiązała się z zadania.

– Dobra! Mów, chłopcze! – rozkazała moja mama. – Nie mamy za wiele czasu, bo jeszcze tutaj wróć.

Obie z Marzeną usiadły przy ogrodowym stole. Z torebki mojej teściowej została wydobyta butelka domowej roboty wina z porzeczek, a zawartość błyskawicznie rozlana do kubeczków jednorazowych, również z owej torebki.

– Miało być na spotkanie seniorów – stwierdziła Marzena z uśmiechem. – Ale jeszcze znajdzie się w piwniczce po Maurycy nieboszczce jakaś butelczyna.

Grigorij w mig ocknął się z oszołomienia. Porzucił masowanie własnej stopy, zgrabnie poprawił jednym pociągnięciem dłoni lecące na czoło włosy i ochoczo pochwyił przydzielony kubeczek. Nadpił odrobinę i cmokając z niekłamany-  
m uznaniem, wypił do dna.

– Mauryca nie żyje już trzynaście lat... – przypomniałam sobie, niepewnie zer-  
kając na swój kubeczek.

– Ma moc! – stwierdził Grigorij, klepiąc się po torsie.

Tymczasem Bożenna ze swojej torebki wyjęła okulary, długopis i gruby zeszyt formatu A4, po czym zastygła, gotowa protokołować zeznania. Zobligowany i zmotywowany do mówienia Łukasz chrząknął jak przed długim przemówieniem i zaczął:

– Co tutaj mówić? Dziwna ta Natalka. Niemota jakby, sierota boża. Pechowa, delikatna i płacziwa strasznie. Koszulkę mi zmoczyła łzami, które wylewała za tatusiem: „Tatusia zabili ukochanego”. A on zawsze o nią dbał, zajeżdżał przed pracą na kawę i nie chciał, aby tutaj pracowała, ale ona się uparła, bo samodzielna chciała być, a nie pieniądze od tatusia doić. Jeszcze na takiej randce nie byłem, jak słowo daję, aby pół życia dziewczyny wysłuchać i cały zapas chusteczek higienicznych na ten łzawy melodramat zużyć! Koszmar i męka!

Grigorij niezaprzeczalnie wymagał rychłego pocieszenia, więc Marzena mi-giem uzupełniła jego kubeczek winem Maurycy. Bożenna przerwała notowanie, ale nie sięgnęła po swoją porcję. Chyba podzielała moją nieufność wobec serwowanego trunku i powstrzymywała się przed konsumpcją wina Maurycy.

– Tylko ona naprawdę go kochała – kontynuował Łukasz, gdy już opróżnił kubek. – I jak ją jakieś pół roku temu narzeczony rzucił, to tatuś na pocieszenie wykupił jej wycieczkę do Portugalii. Pomyśleć, że ostrzegał ją przed tym draniem i od początku sprzeciwiał narzeczeństwu. I w ogóle, podsumowując te całodzienne monologi, to tatuś był chodzącym ideałem, aż do porzygania.

– No to mamy mniej więcej zarysowany portret Staszka – westchnęła moja mama i coś tam dwa razy w kajeciku podkreśliła.

– A my dowiedziałyśmy się, że jego żona Roksana chodzi na siłownię w poniedziałki, środy i soboty... Nie pracuje, ale z zawodu jest fryzjerką – wtrąciła Marzena. – Kiedyś pracowała, ale Staszek jej zabronił, bo chciał, aby zajęła się dziećmi i domem. Córka Melania jest teraz na Djerbie i wróci dopiero za tydzień. Malwinę wypisano ze szpitala jeszcze w ten sam dzień i wiemy, gdzie mieszka. Trzeba będzie się tam rozejrzeć. Jeszcze wiemy, że Staszek lubił czasem pójść na wódkę z jakimś Tymonem Kapustą. Nie wiadomo, czy to przyjaciel, czy jakieś biznesy razem kręcili, ale trzeba tego Tymka przesłuchać.

– Ponadto trzeba się dowiedzieć, kiedy wydadzą ciało rodzinie, bo na pogrzeb musimy się wybrać. – Zanotowała swoją wypowiedź Bożenna. – To będzie dobre miejsce, aby zasięgnąć języka i przyjrzeć się, kto rozpacza, a kto zaciera ręce.

Łukasz sprawiał wrażenie niezmiernie zachwyconego. Od razu zadeklarował się przesłuchiwać wszystkie kobiety, z wiadomych względów. Poza Malwiną, bo ona go zna i bogatego biznesmena nie uda mu się przed nią udawać, aby rzuciła mu się w ramiona. Ostatecznie, jeśli nie będzie nikogo więcej chętnego, to z tym

Kapustą na wódkę też może pójść. „Zaprawdę poświęcenie godne wiwatów i armatniego wystrzału” – pomyślałam nieco zgryźliwie. Nie poznawałam kolegi! Zapewne spory udział w ilości deklaracji ze strony Grigorija miało wino Maurycy, które w magiczny sposób wyparowało już z butelki.

Mogłam pozazdrościć wszystkim zapału, bowiem mój entuzjazm do śledztwa wystygł przed restauracją dworcową i teraz nadszedł odpowiedni moment, aby się podzielić sensacyjną informacją. Chrząknęłam znacząco, by ściągnąć na siebie uwagę.

– Widziałam dzisiaj Waldemara w towarzystwie Malwiny – walnęłam z grubej rury i tak jak się spodziewałam, wywołałam szok i niedowierzanie.

– Co takiego?! – ryknęła moja mama, choć pełne oburzenie nie przeszkodziło jej w uzupełnieniu notatnika o zapisek „Waldemar + Malwina”. Aż się chciało dopisać: „zakochana para”. – A jednak młodsza baba! Wiedziałam!

– To na pewno był mój syn?! – wykrzyknęła Marzena. – To niemożliwe! I to jeszcze z tą wstrętną Malwiną!

– Nie taką wstrętną – wtrącił nieco bełkotliwie Łukasz.

– Drugiego takiego podobnego nie spotkałam. Poza tym ponad piętnaście lat go znam i to z bliska, i z daleka się przyjrzałam – wyjaśniłam.

– Wiedziałam! – triumfalnie podkreśliła Bożenna, spoglądając gdzieś w głąb warzywnika.

Wyjątkową obojętność wobec podejrzeń o wiarołomstwo Waldemara prezentował jedynie Grigorij.

– Może to Waldemar?! Ot, zwyczajny sąsiad – odezwał się po chwili. – Sympatyczny, spokojny. Dobry ojciec, wzorowy mąż i syn, zięć. W szale zazdrości o Malwinę morduje nieznanego mu wcześniej Stanisława Migotkę!

– Jezuuuu – jęknęła przeciągle moja mama.

Marzena zerwała się z mieszaniną oburzenia i przerażenia z krzesła, które opadło na ziemię, i po chwili zamierzała nań usiąść, lecz sturlała się na trawę. Zerwałam się, by jej pomóc jednocześnie z Bożenną, pochyliłyśmy się nad leżącą i z całej siły zderzyłyśmy się głowami. Chwilę później wszyscy cali i bez poważnego uszczerbku na zdrowiu znów zasiedliśmy przy stole. Wokół zapadła cisza, a z daleka słyszeliśmy monotonny szum dochodzący z autostrady.

– Musisz się bardziej postarać – odezwałam się w stronę Łukasza. – Nie wierzę, aby Waldemar kogoś zabił. Poza tym to było spotkanie w sprawie pieniędzy. Waldemar obiecał jakąś kwotę Malwinie. Żadna randka. Tego jestem pewna. Pytanie tylko, czy znał Stanisława Migotkę? I jeśli tak, to jakie to były relacje?

– A może zlecił to morderstwo i teraz za pośrednictwem Malwiny musi zabić zapłacić? – snuł swoje wizje niezniechęcony Grigorij.

– Tak! I zapłacił jej pralką albo zmywarką! – prychnęła Marzena, która wyraźnie nabrała rumieńców. – Co dokładnie mówili i gdzie ich spotkałaś?

Zrelacjonowałam przebieg naszego „spotkania” w restauracji nieopodal dworca, nie pomijając kwestii wynajęcia pijaczyny, by odciągnął uwagę Waldemara i Malwiny. Tutaj zyskałam uznanie w postaci zgodnych, jednogłośnie wybuchów śmiechu.

– Tylko co my teraz z tym zrobimy? – zastanawiała się głośno Bożenna, pukając długopisem w notatnik. – Kto podejdzie Waldemara? Każdego z nas przecież dobrze zna.

– Musimy się bardziej niż bardziej postarać! – zapalił się Grigorij i nawet planował podnieść się do pionu z bojowo uniesioną pięścią, lecz ledwo poderwał pośladki, to zaraz opadł. – Coś się stało z moimi nogami! Chyba sobie poszły do domu. Same! Beze mnie! Możecie je przyprowadzić z powrotem?

Moje podejrzenia okazały się trafne. Wino Maurycy objawiło swoje właściwości. Odejmovalo nie tylko władzę w nogach, ale i rozum. Oby tylko czasowo, bo nie chciałam tracić takiego dobrego sąsiada i przyjaciela.

## 13. Słowo się rzekło, kurierka u płota

Tak jak podejrzewałam, Grigorij nie pojawił się nazajutrz w pracy. Ostatnim miejscem, gdzie go widziałam, była kanapa w moim salonie, gdzie donośnie pochrapywał, wprawiając w drganie cały budynek. Oczywiście nie dotarł tam samodzielnie, lecz był dostarczany etapami. Taczka do drzwi, a potem na kocu przesunęliśmy go do salonu i nastąpiła najgorsza część eskapady ratunkowej – wspólnie przeciągnęliśmy go na łóżko. W przetransportowaniu Łukasza do jego własnego domu musiałby uczestniczyć Arnold Schwarzenegger, a żadna z nas nie posiadała doń telefonu. Dlatego, pozbawione znajomych o rozrośniętych barach, wybrałyśmy najbliższe i najprostsze rozwiązanie.

Liczyłam, że wrodzona obowiązkowość zbudzi Łukasza bladym świtem. Darownie. Wino Maurycy, którego nieprzebrane zapasy odkryła w piwnicy Marzena, rozszerzało swoje właściwości powodujące błogą senność na ponad dobę.

Niestety, nieobecność Łukasza w pracy sprawiła, że wszyscy mieliśmy więcej paczek do rozwiezienia. Kierownik biegł wściekły, a pani Jola za nim z uspokajającą herbatką, bo szef po zawale nie powinien się tak denerwować.

– To niech idzie do biblioteki albo do sklepu wędkarskiego – mruknął przy rolkach Boguś, niezadowolony, że dostał część Złotoryi po Łukaszu.

Nikt nie wyjechał z bazy zadowolony ani taki w niej nie pozostał. Mój rejon znacznie się powiększył o część fabryczną miasta, co skutkowało większym zagubieniem wśród nowych ulic. Na szczęście pomagała mi nie tylko nawigacja, ale też klienci czekający na paczki. Życzliwie i chętnie udzielali wskazówek, a niektórzy nawet podjeżdżali pod busa, abym nie traciła czasu. I rzeczywiście, udawało mi się go nie stracić. Za każdym otwarciem drzwi paki z przyjemnością obserwowałam, jak ładunek się zmniejsza. Postanowiłam uczynić niemożliwe, czyli rozwieść wszystkie paczki, a potem jechać prosto do domu, bowiem zdarzył się jeszcze jeden kurierski cud: nie miałam żadnych pobrań gotówki. Późnym popołudniem dzwoniłam już do ostatniego klienta. Długo nie odbierał, ale w końcu usłyszałam zaspany głos:

– No?!

– Dzień dobry, tu kurier. Mam dla pana paczkę.

– No?!



– Jest pan w domu? Mogę podjechać?

– No!

– To jadę! – rzuciłam wesoło, bo wizja bliskiego końca pracy całkowicie mnie zaślepiała i ogłuszyła.

Kiedy dotarłam pod właściwy adres, okazało się, że wejście jest od podwórka, co głosiła wielka plastikowa tabliczka na drzwiach kamienicy. Wjechałam w podwórko i tutaj wpakowałam się w znajomy już rozpiżdziel podwórkowy. Oczywiście, ohydne garaże poraziły mnie estetycznie na dobry początek, a dalej mogło być jedynie gorzej. Dziury, dziurska, nieudolnie zasypywane gruzem, obłożony śmieciem pojemnik i stojące w różnych miejscach samochody. Gdzieniedzie ktoś próbował ratować się od brzydoty podwórka i założył niewielki ogródek wypełniony obficie zielenią i kwieciami, ale odgradzony płotem. Zaparkowałam przy śmietniku, płosząc stado poszukujących pożywienia gołębi, i wzięwszy niewielką paczkę, ruszyłam na poszukiwanie adresu. Okazało się, że wejście do właściwej kamienicy zostało ogrodzone płotem do wysokości moich ramion, ale na szczęście przy furtce znajdował się domofon. Wcisnęłam i coś piknęło od razu. Szarpnęłam, ale furtka się nie otworzyła. Po czterech takich próbach sięgnęłam po telefon, aby wyjaśnić z klientem to dziwne zachowanie domofonu. Znów długo nie odbierał, ale nie odpuściłam, więc moje natręctwo zostało nagrodzone:

– No! Włazi! – usłyszałam i połączenie zostało zakończone.

Nic z tego! Furtka stawiała opór i telefon klienta poszedł za jej przykładem. Pozwoliłam sobie na chwilę zadumy, oparta plecami o płot, i krótką kontemplację pobliskiego śmietnika. Moja determinacja ładowała się niczym bateria w telefonie, podłączona do turboładowania.

– Nie wrócę z tą paczką do bazy! – rzuciłam grupie gołębi, które już powróciły na swoje śmietnikowe stanowiska. – Przejdę góry, przejdę lasy! Płot też!

Akurat wypatrzyłam przy jednym z garaży wielki kamień, który błyskawicznie oceniłam jako przydatny do mojego pomysłu. Wsadziłam paczkę do kieszeni na nogawce spodni i ruszyłam ochoczo po moją trampolinę do celu. Fakt, że ważyła tonę i próba uniesienia jej wyzwoliła ostrzegawcze bóle w plecach, nie zniechęciły mnie. Wybrałam opcję toczenia kamienia i wypocenia się przy takim tytanicznym wysiłku, ale udało się. Chwilę później stanęłam i teraz płot znalazł się na dostępnym dla mojego planu poziomie, czyli do pasa. Na szczęście nie kończył się ostrymi szpikulcami, więc spokojnie mogłam się na nim zawiesić. Śmiało przerzuciłam nogę na drugą stronę, usiadłam okrakiem i przyszła kolej na drugą nogę. Ale coś poszło nie tak. Niespodziewanie zostałam przyblokowana przez pęknięte przesło, którego nie zauważyłam, a które objawiło się pod naciskiem

mojego tyłka. Zawisłam na spodniach niczym porzucona pacynka, dziesięć centymetrów nad ziemią! Próbowałam się uwolnić, ale materiał nie puszczał. No i wtedy otworzyły się drzwi kamienicy, a z wnętrza wyłonił się znajomy facet. Tom Hiddleston. Rycerz ze stacji benzynowej, lecz obecnie, zamiast lśniącej zbroi i potężnego miecza, trzymał worek ze śmieciami. Jęknęłam, przeklinając los, który potrafi mi tylko dokopać w tyłek!

– Nie wierzę! To znowu pani? – rzucił wesoło, podchodząc bliżej.

– Naprawdę ja! – wykrzyknęłam, siląc się na uśmiech.

– Przepraszam, że spytam, ale dlaczego pani wisi na naszym płocie?

– Bo mi pan nie otworzył drzwi!

– Ja?

– Powiedział pan: proszę włączyć!

– Kiedy? Jak? Gdzie? – wyrzucił serią jak z Kałasznikowa kolejne pytania.

– Dziesięć minut temu! Próbowałam wejść furtką, ale chyba się zatrzasknęła. Potem pan nie odbierał telefonu, więc tam stał taki kamień i... sam pan widzi! Może mi pan pomoże, bo się zawiesiłam.

– A może wezwę policję, bo to, co pani mówi, nie trzyma się kupy!

I w tym momencie, dość niekomfortowym z pozycji kobiety zawieszonyj na cudzym płocie na własnych spodniach, przypomniałam sobie, że miałam nie być grzeczną dziewczynką, na którą wszyscy będą bezkarnie krzyczeć.

– Dobra, niech pan wzywa! Pierwsze, co zrobią, to mnie stąd po dżentelmeńsku ściągną.

– Okej – powiedział Tom Hiddleston ugodowo i podszedł bliżej. – Proszę się złapać za moje ramię, podsadzę panią i może się uda.

A jakże, udało się! Na początek zostałam odurzona bliskim spotkaniem z mięśniami prężącymi się pod T-shirtem. Wzrok z moim wybawcą mieliśmy na tym samym poziomie, więc moje zielone oczy wbiły się jak wygłodniałe harpie w jego ciemne oczy. Pachniał proszkiem do prania. Delikatnie, aczkolwiek stanowczo objął mnie w pasie, uniósł w górę, przygarnął do siebie, a potem ostrożnie postawił na ziemi. Tylko z drobną niedogodnością, błahostką wręcz; na płocie pozostał fragment moich służbowych spodni. Dla atrakcyjności tego zdarzenia dodam, że brakowało mi w materiale kawałka od uda po pas. Jednym słowem, zaświeciłam facetowi po oczach różowymi majtkami. Naprawdę elegancko starał się tego nie widzieć, choć podał mi zerwany z płotu, brakujący fragment. Jednak to nie puzle, że będzie się trzymał po dopasowaniu i dociśnięciu, więc zasłoniłam się wyciągniętą naprędce paczką.

– Ma pan w domu igłę i nitkę? – spytałam od razu.

– Nie, ale mam wodę utlenioną i plastry – odparł, zerkając na mój tyłek, słabo zakryty niewielkim kartonem.

– Bardzo śmieszne!

– Chyba że lubi się pani śmiać z własnych ran. – Wzruszył ramionami. – Przy najmniej płot nie jest zardzewiała. A paczkę pani dostarczy komuś zakrwawioną.

– Rany! – jęknęłam, oglądając się za siebie. – Jestem ranna!

Omal nie zemdlałam, ale przypomniałam sobie o trzymanej paczce. Robota przede wszystkim. Zastrzyk adrenaliny podziałał jak kopniak w tyłek. Dostarczę tę paczkę nawet bez spodni, nawet zalana krwią, nawet, gdybym musiała przebiegać przez okopy pod ostrzałem artylerii i nawet przez niedostępne ogrodzenia! Dzielnie podałam facetowi paczkę, sięgnęłam po skaner i powiedziałam:

– Proszę potwierdzić odbiór.

Mężczyzna popatrzył najpierw na trzymane w dłoniach pudełko, następnie przeczytał etykietę z adresem i pokręcił przecząco głową, dorzucając pełne dezaprobaty spojrzenie.

– Przykro mi, ale nie podpiszę się za tego awanturnika i moczymordę. Pewnie pani nie wpuścił, bo leży pijany – oznajmił, spokojnie zwracając mi paczkę. – Szkoda się dla niego wykrwawiać.

Niebotycznie się zdenerwowałam zaskakującą pomyłką i moją niezręczną, absurdalną próbą przejścia na drugą stronę płotu jak ostatni złodziej. W dodatku kolejny raz skompromitowałam się przed Tomem Hiddlestonem. No może z bliska nos ma nieco inny, bardziej bokserki, ale poza tym wypisz wymaluj angielski aktor.

– A ja i tak dostarczę mu tę cholerną paczkę! – rzuciłam wściekła i ruszyłam w stronę budynku.

Dotarłam do drzwi i wcisnęłam guzik na domofonie. Cisza. Wcisnęłam ponownie, gotowa tutaj zrobić dziurę, wypalić ją do cegły! Cisza. Za mną zmateriałował się facet od płotu i bez komentarza wbił kod, który wywołał brzęczyk i drzwi stanęły otworem. Podziękowałam skinieniem głowy i pełną złą energią, negatywnych emocji i z piekącą raną, wbiegłam po schodach na drugie piętro. Zadzwoiłam do drzwi. Cisza. Załomotałam pięścią, nie żałując siły i decybeli. Coś zgrzytnęło, coś zaszeleściło, zatupało, ale wreszcie drzwi stanęły otworem, a w nich rozczochrany, nieogolony facet w samych slipach, w dodatku nie pierwszej czystości. Gigantyczna fala smrodu omal nie rzuciła mnie na przeciwległe drzwi. Nadludzkiem wysiłkiem powstrzymałam obrzydzenie i spytałam:

– Pan Dominik Mucha?

– Czego, kurwa, znowu?! – usłyszałam w odpowiedzi. – Dzwoni mi tutaj i dzwoni! Wyspać się nie da po nocce!

– To pan?

– No, ja, kurwa. Nie widać?! – rzucił bińczucznie i podrapał się po owłosionym torsie, jakby ten gest potwierdzał oczywistą oczywistość jego tożsamości.

Za swoimi plecami na półpiętrze usłyszałam wesołe prychnięcie.

– To proszę potwierdzić, bo mam dla pana paczkę! – O niczym innym w onej chwili nie marzyłam, jak zakończyć to nieszczęsne doręczenie.

– Zara! – odparł i podszedł bliżej.

Do nieziemskiego odoru z niewietrzonego i niesprzątanego wnętrza dołączył i oplótl mnie, jak morderczy bluszcz, odór alkoholu i chyba jeszcze z nutą czosnku albo cebuli. Cofnęłam się, ale wysunęłam skaner przed siebie, aby formalnościom stało się zadość. Mucha podpisał, zabrał paczkę i tak trzasnął drzwiami, że cała kamienica zadrżała w posadach. Zrobiłam błyskawiczny odwrót, marząc jedynie o natychmiastowym dostępie do świeżego powietrza i starając się zapomnieć o tych slipach i owłosionym torsie, przez które mogę mieć koszmary sennie. Zbiegałam po schodach i na półpiętrze natknęłam się na Toma Hiddlestona ze złamanym nosem. Siedział niedbale na parapecie okna, z wyciągniętymi nogami i bił mi brawo z uśmiechem. Myślę, że bardziej czerwona na twarzy już nie mogłam być. Pożegnałam go skinieniem głowy, bo głosu na pewno bym z siebie nie wydobyła. Z prędkością światła zbiegłam na dół i w dwie sekundy dopadłam furtki, łapiąc łączywie powietrze jak po przyduszeniu. Na szczęście od strony kamienicy zamontowano klamkę, z której mogłam skorzystać. Do busa towarzyszyła mi myśl, że zrobiłam z siebie koncertową kretynkę. Potem już wciskałam gaz, by jak najszybciej uciec, zapomnieć i dotrzeć do domu. Oczywiście, nie łamiąc przepisów.

A w domu, gdy mnie zobaczyła Marzena, usłyszałam zasłużenie, choć po raz pierwszy z jej ust:

– O, kurwa!

– Co ty masz z tymi spodniami? – zainteresowała się Bożenna, z niechęcią spoglądając na moje różowe majtki. – Może są jakieś spódnice kurierskie, jak w wojsku albo policji? Przecież to nie jest normalne, co ty uprawiasz!

## 14. Kto nie traktuje poważnie starszych kobiet?

Po całodobowej śpiączce winnej, spędzonej na naszej sofie w salonie, Grigorij zbudził się w zaskakująco rześkiej postaci i z niespodziewanym pytaniem:

– A właściwie to jak został zamordowany ten Migotka?

Akurat siadałyśmy z dziewczynkami do kolacji przygotowanej przez Marzenę i wszystkie zgodnie zastygłyśmy nad talerzami z wymyślnymi kanapkami, kiedy pojawił się w progu. Niestety, z powodu tajemniczej nieobecności mojej mamy, nikt nie mógł kopnięciem w kostkę powstrzymać Grigorija przed wypowiedziami na temat śledztwa przy moich bliźniaczkach. Wymowne i ciężkie milczenie również go nie powstrzymało, bowiem rozsiadł się na wolnym krześle, bezceremonialnie sięgnął po moje kanapki i kontynuował:

– Bo szukamy zabójcy, a przecież nawet nie wiemy, co mu zrobił. Może nożem go zadźgał? Może udusił? A może wałnął tępym narzędziem? Mówiłaś, że Malwina była cała we krwi?

Elwira ciężko westchnęła.

– Babciu, chyba nie zjem tych kanapek! – oznajmiła, podnosząc się z krzesła z talerzem w dłoni i dodała przez zaciśnięte zęby: – Tutaj! Idę do pokoju!

Tomira natomiast zdążyła już wciągnąć dwie kromki i sięgała po kolejne, nie spuszczaając ciekawskiego spojrzenia z Grigorija.

– Dobrze się czujesz? – spytałam zaniepokojona, ale również po to, by zmienić temat.

Marzena tymczasem postawiła przed Grigorijem kolację i zajęła krzesło po Elwirze. Mój sąsiad uśmiechnął się szeroko i z takim wyrazem szczęścia na twarzy, jakby wynalazł ważny dla ludzkości lek, cudowne panaceum na życiowe bolączki, i teraz tylko spodziewa się Nagrody Nobla.

– Fantastycznie! – wykrzyknął. – A która godzina, że już wszyscy wstaliście?

Marzena złapała się za głowę i jęknęła przeciągle.

– To jest kolacja, wujku – odpowiedziała mu Tomira i roześmiała się głośno. – Trochę sobie pospałeś.

– Całą dobę – sprecyzowałam, nalewając mu herbaty.

Chyba nam nie uwierzył, bo rozdawał uśmiechy samozadowolenia na wszystkie strony. Dopóki nie zerknął na zegar na piekarniku. Wówczas wybałuszył oczy i złapał się za głowę, palcami zgarniając włosy do tyłu.

– Nie byłem w pracy? – zdumiał się z zaskakującą beztrąską i wesołością.

Po chwili zaczął się głośno śmiać i w tej nieokielzanej wesołości walnął zniehacka pięścią w stół, aż podskoczyliśmy na krzesłach, a Marzena wycisnęła ketchup do soku pomarańczowego i na stół.

– Nie chcę cię martwić, ale kierownik się wkurzył i inni też. Jednak ogarnęliśmy wszystko – dodałam na pocieszenie, choć takowego nie potrzebował.

Zaśmiewając się w głos, sięgnął po telefon i oczy niemal wyszły mu z oczodołów.

– Czterdzieści nieodebranych połączeń! – wykrzyknął, prychając ze śmiechu, i dodał z dość jadowitym uśmiechem: – W tym dwadzieścia pięć od kierownika, a pięć od Natalii. Pewnie sobie pomyślała, że ją rzuciłem po wczorajszej... „randce”. No nic dziwnego, dziewczyno!

Tomira też się śmiała, zarażona wesołością niczym wirusem.

– Co mi się stało? Co było w tym winie? – spytał z uśmiechem.

– Bożenka zawiozła butelkę do sanepidu, aby zbadali, bo myślałyśmy, że się już nigdy nie obudzisz i będziemy cię tutaj miały na głowie i na sumieniu – zrelacjonowała Marzena. – Strasznie cię przepraszam, bo to ja przyniosłam ją z piwnicy. Jutro wszystko wyrzucę na śmietnik. A poza tym spaniem, to nie boli cię na przykład żołądek albo wątroba? Dobrze nas widzisz? Boże! Mogłam cię otruć! – jęknęła, wybuchając płaczem.

Łukasz ponownie parsknął śmiechem i zawtórowałam mu tym razem i ja, i Tomira.

– Czuję się lepiej niż znakomicie. Wyspany i taki jakby... na haju... – wyznał w przerwie pomiędzy łapaniem oddechu a wybuchem wesołości.

Podczas gdy Marzena zalewała się łzami, nękana wyrzutami sumienia, my zaś śmiewaliśmy się, spadając z krzeseł. No i na ten moment weszła moja mama. Zmierzyła nas krytycznym wzrokiem; Marzenę pochlipującą nad niezjedzoną kolacją i nas czołgających się po podłodze ze śmiechu.

– Banda wariatów! Jeszcze jednego wina nie zbadali, a wy już kolejne wyżłopałście? – spytała, siadając za stołem i obejmując płaczącą Marzenę.

– Nie zbadali? – spytała moja teściowa, pociągając nosem jak dziecko.

Powoli poważnieliśmy pod wpływem chłodnego, a nawet arktycznego spojrzenia Bożenki.

– Oczywiście, że nie! Podejrzanych substancji nie badają. Nikt nie słucha starszych kobiet. Myśleli, że zwariowałam, jak opowiedziałam, że jedna ofiara tego wina śpi w najlepsze na sofie już ponad dobę, a druga, która je wyprodukowała, nie żyje od trzynastu lat – relacjonowała z oburzeniem. – Śmiali się, że pewnie chłopak sobie wzmacniał wino spirytusem i tak się zaprawił. A babcia kopnęła w kalendarz, bo jej nie poczęstował!

– Mauryca?! Co za chamstwo! – wykrzyknęła Marzena już bez śladu łez, ale z wyraźnym oburzeniem na twarzy.

Za to Grigorij zarżał ze śmiechu wesoło i głośno, po czym z trudem starał się zachować powagę, ale daremnie.

– Przepraszam... Nie zwracajcie na mnie uwagi. Nie wiem, co się dzieje, ale tak mi się chce śmiać... – wyjaśnił, znów parszkając śmiechem.

Wstał od stołu i wyszedł z kuchni do salonu, skąd słyszałyśmy głośny, nieprzerwany rechot. Przez chwilę zgodnie patrzyłyśmy w tamtą stronę, ale ciekawość wzięła górę i Marzena rzuciła:

– Co było dalej?

– No tak się zdenerwowałam, że pojęcia nie macie! – kontynuowała moja mama, łapiąc się teatralnie za serce. – To wzięłam tę butelkę z powrotem i wychodzę. Chociaż miałam ochotę im tam porozlewać po biurkach, ale dobre wychowanie mnie powstrzymało. Przechodzę obok portierni i zaczepia mnie Rysiek Pieszczanowski. No wiesz, Krzysiu, ten wuefista z naszej szkoły. Akurat do kolegi, co na portierni pracuje, zajrzał i mnie rozpoznał, jak wychodziłam. Zaraz się rzucił do witania, całowania i obściskiwania! Wariat! Nijak uwolnić się od niego nie mogłam! Z dziesięć lat się nie widzieliśmy? Pojęcia nie mam!

Bożenna przerwała na chwilę. Sięgnęła po moją herbatę i wypila duszkiem, zanim zdążyłam zaprotestować, a Marzena podsunęła jej szklankę wody.

– I wyciągnął mnie do parku na spacer, aby dawne czasy powspominać. Tylko że on wspominał, a ja musiałam wysłuchiwać. Prawie zasnęłam na ławce, bo tak nudził... i mi ta flaszka w reklamówce wyleciała z rąk. Dalej to już ja musiałam opowiadać i wiecie co, on też wiedział lepiej! Absolutnie nie wierzył w moc wina Maurycy! Uparł się, że to niemożliwe, więc ja mu podsunęłam butelkę, bo strasznie mnie tym sceptycyzmem zdenerwował! Zaczął degustować i... wypił całość.

– Zostawiłaś go w parku?! – ryknęła Marzena ze zgrozą.

Grigorij, starając się zachować powagę, właśnie powrócił do stołu.

– Nie, no pił u mnie w samochodzie, bo przecież w parku nie można – oburzyła się moja mama i popukała palcem we własne czoło. – Dzieci biegają. Jeszcze straż miejską ktoś wezwie.

– Zaraz, zaraz... – wtrąciłam się. – Uruchomiłaś malucha? On w ogóle ma jakiś przegląd?

– Przegląd! – prychnęła Bożenna. – Nie będę zawracała ludziom głowy starym ręką! Wyjechałam tylko na chwilę, bo już miałam dość miejskich autobusów, a na taksówki mnie nie stać z nauczycielskiej emerytury! A u ciebie pusty garaż...

Złapałam się za głowę. Nasz fiat 126p koloru wiśniowego od wieków pomieszkiwał w garażu na Sudeckiej. Prawdopodobnie od momentu, gdy go tam wybudowano. Ojciec, odchodząc, pozostawił samochód, a moja mama, chociaż posiadała prawo jazdy, uruchamiała auto jedynie od święta. Czyniła to samotnie i podejrzewałam, że wspominała czasy, gdy z Krzysztofem Pawełkiem jeździli wspólnie na romantyczne wycieczki.

– Strasznie mi się podoba twoja rodzina! – rzucił rozbawiony Grigorij, omiatając zachwyconym spojrzeniem wszystkich obecnych. – Nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia, że masz taką szaloną, odlotową mamę.

Na Bożennie nie zrobił wrażenia komplement mojego sąsiada. Wręcz przeciwnie, zajmowały ją myśli, których jeszcze nie zdradziła, ale ją już rozpoznałam ten charakterystyczny wyraz twarzy i przygryzienie dolnej wargi.

– Co zrobiłaś z Ryśkiem? – dopytywała się Marzena.

Bożenna westchnęła ciężko.

– No właśnie! Nie wiem, co z nim zrobić, bo chrapie w moim samochodzie! – wyjawiała, ale bez zakłopotania.

Tego wyznania nikt się nie spodziewał, sądząc po otwartych w zdumieniu ustach.

– Trzeba go odwieźć do domu! – wtrąciła Tomira, do tej pory zachłannie słuchająca opowieści babci Bożenny.

– W tym sęk, dziecko, że nie wiem, gdzie mieszka! Nie zdążył powiedzieć. Pamiętałam, że na Zosinku, ale pod tym adresem mieszka już kto inny i nie ma pojęcia, gdzie poprzedni lokatorzy się wyprowadzili. Myślicie, że gdzie byłam tyle czasu? Krążyłam po mieście z chrapiącym na siedzeniu Ryśkiem! Pojechałam do wspólnej znajomej, takiej Gieni Ryzatej, pamiętasz Krzysiu, uczyła rosyjskiego, a potem przekwalifikowała się na niemiecki. Akurat wychodziła z walizką, spieszyła się na lotnisko, bo do syna do Anglii wylatywała. W biegu do taksówki zdążyła mi powiedzieć, że Pieszczanowscy się rozwiedli z pięć lat temu i żona wyjechała do Włoch, a on podobno mieszka na Orbitalnej. Więc jadę tam, bo to jeden blok tylko. Może ktoś go rozpozna? Zrobiłam Ryśkowi zdjęcie swoją komórką i poleciałam do pierwszej klatki. Nikt go nie znał. Może zdjęcie niewyraźne? Sama nie wiem. Z zamkniętymi oczami i otwartą buzią wyglądał jak niebosz-



czyk, ale nie mogłam wybrzydzać. Schodziłam się, że ludzkie pojęcie przechodzi, bo zupełnie zapomniałam, że tam jeszcze jeden blok stoi. I to samo. Nikt go nie zna. Może już tam nie mieszka? Na rozpytanie po wszystkich dzielnicach Le gnicy to już nie starczyłoby mi życia.

To powiedziawszy, oparła głowę na rękach i zapatrzyła się w kuchenne okno.

– Czy chcesz powiedzieć, że Rysiek jest pod moim domem? – spytałam z niedowierzaniem. – W maluchu ojca?

– Samochód jest mój! – zaprotestowała Bożenna. – Ale owszem, Rysiek jest w środku i trzeba go przenieść.

Łukasza ponownie zaatakowała niepohamowana wesołość, która udzieliła się Tomirze. Hałaśliwe śmiechy ściągnęły Elwirę. Ubrana w pidżamę oparła się o futrynę, nie żałując nam potępieńczych spojrzeń.

– Wiecie, która jest godzina? – spytała i nie czekając na odpowiedź, rzuciła: – Dwunasta w nocy! Jutro jest piątek. Nie idziecie do pracy?

Łukasz zerwał się na równe nogi.

– No tak! Nie mogę zawalić kolejnego dnia! – rzucił.

– A co z Ryśkiem? Przenocuje go pan, panie Łukaszu? – zmartwiła się Marzena.

– W moim domu nocują tylko kobiety, a Rysiek jest, jakby nie patrzeć... face-tem! – wyjaśnił Grigorij. – Zakopcie go w ogródku. Może pod gruszą nikt się nie zorientuje! – po czym wybuchnął śmiechem.

– Dziewczynki, do łóżek – zakomenderowałam. – Też idę spać.

– Ale co z Ryśkiem?! – jęknęła przejęta moja mama. – Może wjadę do garażu i tam go zostawimy?

Nie wiem, jak Bożenna przekonała Łukasza, ale Rysiek został przetransportowany na jego barkach do salonu na moją sofę. Donośne chrapanie emerytowanego wuefisty i kolejnego degustatora wina Maurycy sprawiło, że kłopoty ze snem miał nawet Grigorij i musiał bardzo żałować, że jednak nie przystał na Ryśka w garażu.

## 15. Nowa postać nabiera rumieńców

Marzyłam o piątku, o weekendzie, planując wyciszenie, prace w zaniedbanym ogrodzie i święty spokój. Intensywny tydzień w kurierce spowodował, że potrzebowałam wypoczynku, co absolutnie nie oznaczało, że chciałam to rzucić raz na zawsze. Wręcz przeciwnie, praca bardzo mi przypadła do gustu. No i coraz lepiej czułam się na swoim rejonie.

Zatem, marząc o prysznicu, weszłam do domu i z miejsca dopadło mnie głośne chrapanie Ryśka. Zaciśnięłam zęby i wściekła wyszłam do ogrodu, gdzie, jak się okazało, moje mamunki spędziły cały dzień, nie mogąc wytrzymać dźwięków wydawanych przez byłego wuefistę. Wybrałam leżak w cieniu gruszy i położyłam się, zamykając oczy.

– Kiedy mija doba? – spytałam bez powitań i grzeczności.

– Jeszcze godzina? – zastanawiała się moja mama, zerkając na swój archaiczny zegarek na lewym przegubie. – Ale nie próżnowałyśmy. Mamy nowe informacje!

– Dziewczynki spotykają się z Waldemarem – poinformowała mnie delikatnie teściowa.

Skinęłam głową. Dzwoniły do mnie zaraz po szkole, by spytać, czy nie mam nic przeciwko. Oczywiście, że nie miałam. Waldemar nie zasłużył sobie na miano ojca roku, ale jeśli już nim był, to bardzo się starał. Nie tracił głowy dla bliźniaczek, co mogło się wydawać innym ojcom córek zaskakujące i nie do pomyslenia. Jakby na to spojrzeć z dystansu, to traktował je z szacunkiem i po męsku. W przeciwieństwie do mnie, potrafił nie ulec ich słodkim minkom czy prośbom, nie głupiał na zakupach i nie selekcjonował im przyjaciół, szczególnie męskich. Nawet odczułam ulgę, że Waldemar chce utrzymywać kontakt z córkami.

– Wiem – odpowiedziałam Marzenie i dodałam ponuro: – Dzwonił też jego adwokat. Prosił o spotkanie w następnym tygodniu. Czy też powinnam mieć adwokata?

Obie ciężko westchnęły. Zrobiło się tak dziwnie smutno. Milczałyśmy chwilę, po której obie złapały mnie jednocześnie za ręce, aby dać wsparcie.

– Weź adwokatkę – odezwała się moja mama.

– Znam jedną taką... Prowadziła sprawy moich przyjaciółek – dodała teściowa.

– Zaraz... zaraz... a ty się przypadkiem nie rozwodzisz? – spytała Bożenna z gniewną miną.

– Owszem, ale nie od razu. Dam sobie jeszcze odrobinę czasu – rzekła Marzena z tajemniczym uśmiechem. – Zwłaszcza że komuś zaczęło strasznie zależeć na moim powrocie.

– No nie! – prychnęła moja mama, zrywając się z miejsca i płosząc szpaki na pobliskiej czereśni. – Spotykasz się ze swoim mężem za naszymi plecami? Od razu wiedziałam, że ta przeprowadzka była ukartowana z tym wiarołomcą Waldemarem, a twój rozwód to zwyczajny pic!

– Żaden pic! – oburzyła się Marzena ze łzami w oczach poderwała się ze swojego krzesła.

„Tak, moje sprawy naprawdę nie posiadają statusu »najważniejsze«” – pomyślałam. Podczas gdy nad moją głową rozpętała się burza, powróciłam myślami do telefonu adwokata. A więc jednak rozwód. Trzeba się oswoić, pogodzić i zapomnieć. Może wino Maurycy pozwoli mi oderwać się od mimo wszystko smutnej perspektywy? Nawet podniosłam się, aby urzeczywistnić swoje plany, gdy na horyzoncie pojawił się Łukasz. Uśmiechnięty i tryskający energią zajął wolne krzesło i zatarł dłonie z zadowolenia.

– To co tam dalej robimy?

Wszyscy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki powrócili na swoje miejsca. Nawet szpaki na czereśni.

– Przydałoby się jakieś winko... – podsunął z chytrym uśmieszkiem sąsiad, ale został całkowicie zignorowany.

Nic dziwnego. Wciąż pamiętałyśmy, jakie skutki wywołuje wino Maurycy. Zresztą jedna z ofiar domowego produktu szalonej babki wciąż chrapała na sofie w moim salonie.

– Podobno miałyście jakieś informacje... – przypomniałam.

– Tak! – zapaliła się na powrót Marzena. – Podobno Roksana Janusz-Migotka założyła Niebieską Kartę naszemu Staśkowi. Moja koleżanka prowadzi im księgowość. A i zaproponowała mi pracę.

– Roksana? – zdziwiłam się.

– Wypraszam sobie, aby go nazywać „naszym Staśkiem” – syknęła z niezadowolaniem moja mama.

– Dobrze, dobrze – przystała Marzena, machając lekceważąco ręką. – Pracę zaproponowała nie Roksana, ale moja koleżanka. Chyba się zgodzę, bo zanim do-

staniemy jakąś kasę, to z naszych dziadowskich emerytur nie pożyjemy. Poza tym trzeba pomyśleć o wakacjach dla dziewczynek.

– To Waldemar nie zostawił żadnej kasy?! – oburzyła się moja mama i od razu sobie odpowiedziała: – Najlepiej tak! Wykorzystać kobietę, zablokować jej szansę na wykształcenie i porzucić bez środków do życia! Z dzieckiem!

– Z dziećmi, mamó – poprawiłam i aby porzucić ponure dywagacje na temat mojej życiowej kondycji, sprowadziłam rozmowę na właściwe tory. – No i co z tą Roksaną?

– Właśnie! – poparł mnie Grigorij.

– Zdaje się, że Stanisław Migotka miał dwie twarze. Jedną dla rodziny, a drugą dla obcych. Podobno znęcał się nad żoną psychicznie, krytykował nieustannie, więc zrobiła sobie, co tylko można było: usta, piersi, twarz, zęby i włosy. Robił straszne awantury, ale sąsiedzi nie zgłaszali tego na policję.

– Gdzie on właściwie mieszkał? – spytałam, choć bez nadziei na odpowiedź.

– Na Wierzbiaku! – odpowiedziały zgodnie moje mamunki.

– Ja mieszkam na Wierzbiaku! – usłyszeliśmy okrzyk z wnętrza mojego domu, a po chwili ujrzeliśmy rozspanego, ale z roziskrzonym wzrokiem Ryśka.

Zaniemówiliśmy, lecz na krótkie dwie, trzy minuty. W tym czasie Rysiek zbliżył się do naszego ogrodowego stolika i bez pardonowo zajął jedno z wolnych krzesel. Rozejrzał się po naszych twarzach i obdarzył szerokim uśmiechem, jakby los się do niego uśmiechał w postaci wygranej w lotto.

– A nie na Orbitalnej? – oprzytomniała jako pierwsza moja mama.

– Na Orbitalnej?! No co ty, Bożenka?! – roześmiał się głośno. – Na Warciańskiej!

– To co mi ta... Nieważne! Dlatego nikt cię na Orbitalnej nie zna! A może to ja pokręciłam? – głośno zastanawiała się moja mama. – Tylko one nawet fonetycznie nie brzmią podobnie. Orbitalna a Warciańska?

Rysiek śmiał się głośno, niebezpiecznie przechylając się do tyłu na krześle. Przyglądaliśmy się jego zachowaniu z wyraźnym zainteresowaniem, bez uśmiechu, bo już przeżyliśmy podobny atak wesołości wczoraj, po przebudzeniu się Grigorija.

– A znałeś Staszka Migotkę? – od razu podchwyciła Marzena.

– A jakże! Kanalia i lizodup! – rzucił Rysiek i parsknął śmiechem.

Z trudem zachowałam powagę, bo ten śmiech okazał się naprawdę zaraźliwy. Za to nie wytrzymał Łukasz i teraz naszemu gościowi zawtórował rykiem.

– Ale ja się nie przedstawiłem szanownym paniom... – kurtuazyjnie zaczął Rysiek i znów parsknął śmiechem. – Zupełnie nie wiem, jak się tutaj znalazłem, bo ostatnie, co pamiętam, to popołudnie z Bożenką w jej maluchu, ale bardzo mi się tutaj podoba. Ryszard Pieszczanowski jestem!

Podszedł do nas i szarmancko pocałował w dłoń najpierw mnie, a potem moją teściową.

– Może zrobimy grilla? Strasznie zgłodniałem... – poinformował nas wesoło. – Jeżeli nie macie nic przeciwko, zapraszam do siebie.

Nie skorzystaliśmy z zaproszenia. Łukasz uruchomił mojego grilla, którego dotąd obsługiwał jedynie Waldemar. Nikogo nie dopuszczał do obsługi. Moja rola sprowadzała się do zrobienia zakupów, reszta należała do mego wspaniałego małżonka, który na nielicznych towarzyskich imprezach brylował jako niezrównany, wyjątkowy i utalentowany kucharz i gospodarz domu. Kiedy moje mamunki wyciągały wszystko, co tylko nadawało się na grilla, a potem, kiedy wciąż rozbawiony Ryszard zajął się rozpaleniem, a Łukasz zaopatrzeniem w napoje, byśmy nie musieli zaglądać do piwniczki świętej pamięci Maurycy, pomyślałam o dwulicowości Waldemara i Staszka. Czarno przedstawiało się nasze śledztwo, bo krąg nienawidzących ofiarę osób, czyli potencjalnych morderców, mógł być nie do opanowania przez naszą skromną grupę śledczą. Zresztą zaraz okazało się, że zespół detektywów niespodziewanie nam się rozrósł.

– A o co chodzi z tym Staszkiem? – powrócił do tematu Rysiek, gdy już na talerzach pojawiła się smażona kiełbasa i karkówka w towarzystwie lekkiej sałatki z pomidorów, ogórków i sałaty z mego warzywnika. Nadal z uśmiechem, ale już nie z wybuchową wesołością, przyglądał się nam ciekawie w oczekiwaniu na wyjaśnienia.

– Nie wiedziałaś, że został zamordowany? – spytała Bożenna z pełnymi ustami.

– No co wy?! Naprawdę?! A kto wreszcie go ukatrupił? – zagadnęła wesoło, jakby nie chodziło o człowieka, tylko uciążliwego dzika podżerającego marchewkę w warzywniku.

– Właśnie to próbujemy ustalić – ze szczerością wypaliła Marzena.

Udało mi się kopnąć ją w kostkę, ale za późno. Przecież Rysiek również mógł być potencjalnym mordercą. Zdaje się, że Staszek w jego opinii nie plasował się na najwyższym podium, jeśli chodzi o przyjaciół.

– To się trochę napracujecie, bo wrogów mu nie brakowało.

– Jesteśmy zainteresowani, co takiego robił ten Staszek, że się ludziom narażał? – spytał Łukasz. – Dla mnie to był spoko gość.

– Wszystkim taki się wydawał. Dzień doberek, całuje rączki, ale potem donosił o byle co. Jednego z naszych sąsiadów zadenuncjował w skarbowce. Innego w sa-  
nepidzie. Na policję dzwonił bez przerwy, że za głośno jakaś impreza, że ktoś  
stanął na jego chodniku, że dym z komina leci prosto na jego posesję, że liście od  
sąsiada wpadają na jego trawnik i gniją. A sam? Najwięcej na żonę się wydzierał.  
Na córki? Hmm... może raczej na tę starszą, Natalię, ostatnio od szmat i kurew  
wyzywał. Jak mu grzecznie zwróciłem uwagę, żeby tak się nie zachowywał, to nie  
tylko powiedział, abym spierdalał, ale żeby domu swojego pilnował, bo podpa-  
laczy i złodziei nie brakuje w tym mieście, gotowych na wszystko za marny  
grosz! Wyobrażacie sobie?!

Otóż nie wyobrażaliśmy sobie. Kręciliśmy z niedowierzaniem głowami, bo ze-  
znania Ryśka stały w ostrej sprzeczności wobec dotychczasowych informacji  
o Staszku jako dobroczyńcy i ukochanym ojcu.

– Myślisz, że któryś z sąsiadów zdolny byłby do zamordowania Staszka? – spy-  
tała Bożenna. – Podasz nam ich nazwiska?

Rysiek roześmiał się i pokręcił przecząco głową. Sięgnął po ostatni kawałek  
karkówki i nabił go sobie na widelec, by przetransportować na swój talerz.

– Nie wierzę w to. Dziesięć lat mieszkał na naszym osiedlu i dawno by go ktoś  
kropnął w nerwach. W tym i ja. Jednak... czy my znamy dobrze ludzi? Nie będę  
donosił na policję. Niech sami sobie szukają mordercy, bo mnie szczególnie na  
tym nie zależy. Jego żona to musi czuć ulgę, ale jej nawet bym nie podejrzewał.

– No właśnie! – pacnęła się otwartą dłońią w czoło moja teściowa. – Zapomnia-  
łam wam powiedzieć, że ona ma alibi. Ta Roksana. Od dwóch dni nocowała  
u swojej koleżanki, która jest koleżanką mojej znajomej Kasi z biura rachunko-  
wego. Podobno uciekła z domu i chciała się wreszcie rozwiesić. Razem z innymi  
koleżankami urządziły coś w rodzaju stypy. Z dziesięć osób może zaświadczyć,  
że nigdzie nie wychodziła aż do południa, gdy policja do niej zadzwoniła z infor-  
macją o mężu. Ta koleżanka była przy tym i twierdzi, że Roksana bardzo to prze-  
żyła.

– Mogła zlecić zabójstwo. Na pewno wie więcej. Trzeba ją wy badać – dopowie-  
działa moja mama i kierując spojrzenie w moją stronę, dodała: – Dlatego zapisa-  
łam cię na jutro na próbne zajęcia do klubu fitness „Body”, gdzie nasza Roksana  
ćwiczy. Masz takie same zajęcia co ona, więc będzie okazja poznać ją bliżej i zy-  
skać sympatię, zbliżyć się, aby zaczęła się zwierzać.

– Jutro mam wolne – jęknęłam.

– Wyśpisz się i pojedziesz – tonem znanym mi od dzieciństwa, czyli niezno-  
szącym sprzeciwu, oznajmiła Bożenna.

Uratować mnie mogło tylko wino Maurycy, które skutecznie pozwala zapomnieć o świecie, śledztwie i troskach, przynajmniej na dobę. Jednak wciąż nieznane były skutki uboczne, niewidoczne gołym okiem, i wolałam nie ryzykować.

– A ta Natalia tak pozytywnie się o ojcu wypowiada... – odezwał się w zamyśleniu Łukasz, rozlewając nam piwo do szklanek. – Dziwne, jak na takie wyzwiska, które padały pod jej adresem...? Może to chodziło o Melanię.

Rysiek pokręcił przecząco głową. Wziął kilka szybkich łyków chłodnego piwa i machnął dłonią, jakby odganiał nieobecne dzisiaj komary.

– Melania to skończona idiotka, jeśli tak można powiedzieć. Pusta dziewczyna, w którą Staszek był zapatrzony. Księżniczkę z niej zrobił i zamęczał ludzi, aby ją wielbili, a to kompletne beztalencie, tylko że fakt, bardzo piękne. Każdemu jej płytę wciskał.

– To prawda – potwierdził Grigorij. – Widziałem jej posty i relacje na insta. Żenada, ale fakt, piękna dziewczyna, zgrabna i ma w sobie to coś, co sprawia, że ogląda się ją zaślinionym i otępionym.

– Muszę to zobaczyć! – postanowiła Bożenna. – Otepienie mi raczej nie grozi.

– Sama nie wiem... W końcu pomyliłaś Orbitalną z Warciańską! – wtrąciła moja teściowa ze złośliwym uśmiechem.

Zapadł już wieczór, który trwał leniwie i przyjemnie. Wciąż siedzieliśmy, analizując naszych podejrzanych, gdy pod dom podjechał samochód mojego teścia. Zaraz też wysiadły z niego Tomira i Elwira, więc temat zabójstwa Staszka Migotki został zakończony. Marzena podniosła się energicznie z krzesła i podeszła do Romana, który machał jej przyjaźnie przy bramie. Zatrzymała się na podjeździe, nie fatygując się dalej, i cicho rozmawiała z mężem, choć od czasu do czasu śmiała się głośniej. Bożennę, która z pewnością złośliwie skomentowałaby zachowanie Marzeny, teraz zajmował Rysiek. Pochylał się poufale w jej stronę i szeptał coś do ucha.

Tymczasem moje kochane bliźniaczki wpadły do ogrodu pełne energii i radości.

– Mamo! Jedziemy z tatą do Chorwacji na dwa tygodnie! – podzieliły się radością dla siebie wiadomością. Cóż, mnie zrobiło się strasznie przykro. „Pierwsze wakacje dzieci beze mnie? Ja im nie zapewnię takich zagranicznych wyjazdów. Może nawet nie zdołam opłacić obozu w Polsce. Waldemar potrafi boleśnie uderzyć” – pomyślałam, z trudem hamując łzy.

Na szczęście zadzwonił mój telefon. Z niedowierzaniem spojrzałam na wyświetlacz: „Komisarz Kluczyk”. Dziewczynki w radosnych płasach wbiegły do domu, a ja podniosłam się od stolika, by odebrać połączenie.

– Dobry wieczór, pani Krzysztofo – usłyszałam znajomy już głos komisarza. – Przepraszam, że tak późno, ale mam taką prywatną prośbę... pytanie...

– Tak? – ponagliłam go, zaintrygowana.

– Chodzi o te pozdrowienia od Marzeny, znaczy od pani Marzeny dla mojego taty... Otóż... czy pani Marzena może podać swój numer telefonu mojemu ojcu? To jego prośba. Ja jestem tylko skromnym pośrednikiem.

– A wy z policji, to sami nie znajdziecie numerów telefonów? – spytałam zaczepnie dla żartu.

– Nie śmiałybym nadużywać swoich uprawnień.

– Zaraz zapytam i oddzwonię.

Rozłączyłam się akurat w momencie, gdy Marzena cała rozpromieniona pojawiła się przy ogrodowym stoliku. Nikt poza mną nie odnotował jej powrotu, bo wiem Łukasz na swoim telefonie właśnie prezentował posty Melanii Migotek Bożennie i Ryškowi. Przekazałam Marzenie prośbę, a ona z uśmiechem odpowiedziała, że jak najbardziej mam pozwolenie na podanie numeru jej komórki. Pozwoliłam sobie na zaciekawione uniesienie brwi, które nawet w mroku panującym teraz w ogrodzie dostrzegła moja teściowa, bo odpowiedziała zalotnie:

– Jeszcze nie wiem, jak się sytuacja rozwinie, ale trzeba być zabezpieczonym na wszystkich frontach.

Oddzwoniłam więc na linię frontu i przekazałam numer telefonu mojej teściowej.



## 16. Let's do it!

Pogoda mi sprzyjała, dopisując słońcem i delikatnym wiatrem, który romantycznie rozwiewał mi włosy. Fakt, że jechałam maluchem mojej mamy, absolutnie nie nadwyrężył mojej pewności siebie. „Tak, zrobię to!” – powtarzałam sobie przez całą Jaworzyńską. Wszystko mi sprzyjało. Nikt nie wbiegał znieścacka na ulicę i chwala Bogu, bo nie ufałam hamulcom z osiemdziesiątego piątego roku. Żadne czerwone światło mnie nie zatrzymywało. Za cud niemal gotowa jestem uznać, że dojechałam bez żadnej awarii. Zaparkowałam nieopodal kina Piast, aczkolwiek spokojnie znalazłabym i zmieściła się na miejscu dla rowerów. Z zadowoleniem poklepałam dach malucha i ruszyłam na podbój siłowni.

Doskonale zaopatrzona, profesjonalnie nastawiona i mentalnie przygotowana, przekroczyłam próg klubu fitness. „Wypoczę się, wyrzeźbię i zaprzyjaźnię z Roksana Janusz-Migotek! Będę jak Rocky” – postanowiłam ze szczerym zapałem. Poprawiłam torbę na ramieniu i weszłam. Od razu miałam przed sobą olbrzymią salę pełną urządzeń nieznanego mi przeznaczenia, na których ludzie albo coś ciągnęli, albo podnosili, ale zgodnie stękali, sapali i stroili komiczne miny z wysiłku. Tak... Nie dotarłam jeszcze do szatni, gdy napadło mnie uczucie bycia nie na miejscu. Fakt, nie mogłam narzekać na figurę, ale czy na pewno chcę zadbać o siebie w ten sposób? Tak się męczyć?

– Dzień dobry! – usłyszałam z prawej strony i zorientowałam się, że jest tu jakaś recepcja, obsługiwana przez takie laski, że dopiero wpałam w kompleksy.

– Dzień dobry... – w moim głosie nie znalazł się nawet cień pewności siebie i przebojowości, które wypełniały malucha mojej mamy w drodze do tego przybytku zdrowego trybu życia.

– Pani chyba pierwszy raz u nas – odparła druga dziewczyna, z naprawdę godną pochwałą przenikliwością.

– Jestem zapisana na zajęcia... – powiedziałam zapatrzona na kobietę, która na krzeselku jednocześnie zaciskała uda i łokcie, a za nią podnosiły się ciężary.

Na sam widok się spociłam i oczami wyobraźni widziałam, jak zamiast łupać kamień, rozwała go tymi umięśnionymi udami i gołymi rękami powala szarżującego na nią mamuta. Bardzo daleko poszłam w tych wyobrażeniach, bo nie słyszałam nawet, co do mnie mówią dziewczyny z recepcji.

– Halo! Proszę pani! Prosimy o nazwisko.

Wzięłam głęboki oddech. Dobra, dam radę. To tylko ABT, STEP i mała przebieżka na bieżni. Z kurierką dałam sobie radę, to i z jakimiś śmiesznymi zajęciami fitness tym bardziej.

– Krzysztofa Grądzińska! – rzuciłam z pozornie odzyskaną pewnością siebie.

Dotarłam do szatni, gdzie od razu namierzyłam Roksanę. Nie sposób było jej nie zauważyć; ilością wściekłego różu biła po oczach tak, że widzieli ją na pewno kosmonauci krążący po orbicie. Różowa koszulka, opaska na włosy, spodnie trzy czwarte, różowe adidas. Figurę posiadała wystrzałową i poza tym kolorem, nie przesadzała ani z makijażem, ani z rzęsami, żadnego śladu botoksu i innych stereotypowych elementów poprawiających urodę także nie dostrzegłam. Uff! Oznaczało to, że nie muszę sobie niczego wstrzykiwać ani poprawiać, aby uzyskać sympatię żony nieboszczyka Staszka.

Przebrałam się i weszłam na salę, gdzie zaczynał się już STEP. Panował tutaj tłok i zamieszanie, bowiem każda z obecnych pań szła na koniec sali po stepper. Poszłam i ja. Nie zastanawiałam się nad wyborem, bo co to za filozofia. Wypatrzyłam Roksanę i udało mi się wcisnąć obok niej, trochę na siłę, bo stała w pierwszym rzędzie, chyba najatrakcyjniejszym z racji lustra miejscu. Na salę wbiegła instruktorka, włączyła muzykę i się zaczęło. Wchodzimy, schodzimy. Wchodzimy – schodzimy! Już się zmęczyłam, bo coś mi szło nie tak. Widziałam nawet w lustrze, że nie nadążam za tempem pozostałych kobiet. Kiedy one schodzą, ja wchodzę, i na odwrót. Już zaczęłam o sobie myśleć, że brakuje mi szybkości, zwinności i rozumu, bo nie daję rady! A przecież ten stepper to prosta rzecz! Moje daremne wysiłki zauważyła sama Roksana. Zatrzymała się i odwróciła do mnie.

– Musisz sobie obniżyć stopień – rzuciła w moją stronę, ale ogłuszona muzyką i zajęta tym wskakiwaniem i zeskakiwaniem, nie bardzo zrozumiałam, o co chodzi. Wówczas Roksana podeszła bliżej i sama wyregulowała mi stepper.

– Zaczynamy zawsze od najniższego – poinformowała mnie z uśmiechem, przekrzykując muzykę.

– Jestem pierwszy raz! – odkrzyknęłam i też się wyszczerzyłam w uśmiechu. Zdaje się, że mało zachęcającym, bo Roksana więcej się mną nie interesowała.

Obniżenie stepera trochę pomogło, ale z trudem wytrwałam do końca. Opuszczałam salę na drżących kolanach i tak bardzo i intensywnie skupiałam się na dotarciu na kolejne zajęcia w pozycji pionowej, że nic innego mnie nie interesowało. Tym bardziej śledzenie, gdzie podziewa się Roksana, okazało się niemożliwe. Mijając recepcję, uśmiechnęłam się, starając się ze wszystkich sił pokazać,

jak bardzo jestem zadowolona i szczęśliwa z zajęć. Nikogo nie przekonałam, ale najwyraźniej torturowanie ludzi sprawiało im zbrodniczą satysfakcję. Podeszła do mnie jedna z dziewczyn, które kręciły się po siłowni, i oznajmiła:

– Jestem Klaudia – trenerka personalna. Zajmę się tobą. Krzysztofa, tak? Mogę mówić Krzysia? – zagadnęła z hollywoodzkim uśmiechem i obrzydliwym zapachem do swojej pracy.

– Jasne – odezwałam się i starając się nadażyć za jej tempem chodzenia, przesuwałam się po sali, co przypominało pierwsze kroki dziecka, które dopiero podniosło się z raczkowania

A przede mną tylko mała przebieżka, rozgrzewająca przed kolejnymi zajęciami o tajemniczym skrótce ABT. Klaudia wypatrzyła wolną bieżnię i wskazała mi kierunek. Mijałam tych wszystkich zajętych ludzi, stękających, sapiących i dyszących, ale niebotycznie szczęśliwych i zastanawiałam się, co nie tak jest z tą ludzkością?

Wreszcie dotarliśmy do wolnej bieżni na końcu sali. No i tutaj czekała na mnie niespodzianka. Po prawej stronie ze słuchawkami na uszach galopował Tom Hiddleston. Zawahałam się. Jeżeli teraz zacznę tutaj biegać, albo raczej czołgać się, to facet pomyśli sobie, że go śledzę, prześladowuję i rwę na wszystkie sposoby!

– Krzysiu, śmiało – zachęciła mnie trenerka, która zmaterializowała się niepotrzebnie tuż obok. – Ustawię ci na najmniejsze tempo. Wskakuj!

Weszłam z udawaną pewnością siebie, która kurczyła się tutaj jak sweter z naturalnej wełny w praniu na sześćdziesiąt stopni! Zapikało i taśma ruszyła, ja również. Klaudia poklepała mnie po plecach i zostawiła na pastwę tego diabelskiego narzędzia tortur!

– To znowu pani! – usłyszałam i obróciłam głowę w prawą stronę.

– To znowu pan! – wyrzuciłam z siebie i powróciłam do wpatrywania się w przesuwaną się taśmę. Wydawało mi się, że jeżeli przestanę na nią spoglądać, to upadnę.

– Jeżeli mogę coś poradzić, to proszę nie patrzeć w dół... – rzekł z uśmiechem, od którego topniały lody na kole podbiegunowym.

– Nie mogę. Zaraz się wywalę.

– Przecież się pani trzyma.

Biegł swobodnie obok i nawet nie spowolnił tempa podczas rozmowy. No dyszał trochę, ale naprawdę tylko trochę. A ja dyszałam przy lekkim marszu, prawie powłócząc nogami jak weteran bitwy pod Legnicą. To nawet nie były moje nogi,

tylko dwa grubo ciosane, niegiętkie kloce, które zostały mi doczepione i teraz stawiały opór!

– Nie miałam pojęcia, że bieżnia to takie straszne urządzenie, na którym będę ryzykować zdrowie i życie – wyznałam szczerze.

Roześmiał się i zwolnił sobie tempo, bo teraz szedł obok, krok w krok ze mną.

– Teraz będzie pani raźniej?

– Nie musi się pan poświęcać – mówiłam, nie odrywając wzroku od przesuwającej się taśmy. Trochę kręciło mi się w głowie, pot spływał mi po czole i oczach, ale nie zamierzałam odrywać żadnej ręki, by go otrzeć.

– Skąd pomysł, że to poświęcenie? Po prostu się zmęczyłem. Nie ma pani wody?

Woda! No tak, zapomniałam wziąć wodę! Co ze mnie za gapa!

– Cholera – zakląłam pod nosem, ale słyszalnie dla mego sąsiada z bieżni.

– Zaraz pani przyniosę – rzucił i zatrzymał swoją bieżnię.

A ja szłam i szłam, widząc jedynie przesuwaną się taśmę. Droga bez celu, przyszłości i sensu! Całe moje życie. Idę, idę, idę do przodu, a nigdzie nie dochożdę. Przynajmniej w tej wersji z Waldemarem, bo teraz ma być inaczej.

– Proszę – usłyszałam. – Zatrzymam pani bieżnię. Uwaga.

Naprawdę się zatrzymałam! Zdyszana nieziemsko, jakbym truchtem zdobywała Śnieżkę, usiadłam na boku bieżni i sięgnęłam po butelkę wody. Wszystko wyłopałam w takim tempie, którego nie powstydziliby się rekordziści w księdze Guinnessa.

– Dziękuję! – powiedziałam, z ogromną wdzięcznością spoglądając na mego wybawcę, ratownika i rycerza w jednym.

– To tylko woda, zważywszy, że jestem pani winny kawę, którą rozlałem.

– A jest tu gdzieś kawa? – spytałam z nadzieją na możliwość ucieczki.

– Znam dobre miejsce na mieście, ale tutaj nikłe szanse – odpowiedział, rozkładając zabawnie ramiona, a potem wskazał bieżnię: – Idziemy?

– Beze mnie! – zaprotestowałam. – Zaraz mam kolejne zajęcia, więc sobie odpocznę i popatrzę z przyjemnością, jak męczą się inni.

– W porządku. Zatem do zobaczenia. Idę popracować nad rzeźbą.

– No tak, zapomniałam, że zbroja rycerska sporo waży i trzeba mieć nie lada kondycję i siłę. Powodzenia! – rzuciłam, patrząc, jak rusza pomiędzy te wszystkie jęczące i hałasujące urządzenia.

Nie powiem, przyjemnie było popatrzeć, jak się męczy, i pewnie zostałabym dłużej w tym miejscu z głupim zachwytem na twarzy, gdyby tuż obok mnie nie pojawiła się Klaudia.

– Krzysiu, idziemy na kolejne zajęcia! – oznajmiła z radosnym entuzjazmem i pomogła mi podnieść się z bieżni.

To, co działo się na tym ABT, ludzkim językiem nie da się opisać! Nienadążanie okazało się najmniejszym z moich problemów. Ja po prostu nie dawałam rady wykonać dwóch ćwiczeń, a kazali mi robić po piętnaście. Muzyka mnie ogłuszała, ciało odmawiało posłuszeństwa. Brzuch, uda, pośladki! Marzenie ściennej głowy! Tuż obok mnie, bo znów się po chamsku wcisnęłam, Roksana pracowała każdą częścią swojego pięknie wyrzeźbionego ciała, a ja jedynie mózgiem, który intensywnie kombinował, jak stąd uciec! Wreszcie postanowiłam nie bawić się w królową fitness i obolała totalnie, bo bolały mnie nawet włosy na głowie i paznokcie, wyczołgałam się z sali. Trzymając się ściany, podniosłam się do pionu i marzyłam teraz, aby mnie ktoś dobił. Delikatnie zamknęłam za sobą drzwi i usiadłam pod nimi, niezdolna do dalszych ruchów. Na szczęście dziewczyny, gorliwe trenerki, w tym Klaudia, stały do mnie tyłem. Moja porażka na razie uszła powszechnej uwadze. Dyszałam cicho i stawiałam wszystko, że mam zawał, zapaść albo co innego, a ja nawet nie pożegnałam się z rodziną. Łzy same spływały mi po policzkach, albo może to pot? Trudno powiedzieć.

– Wszystko w porządku? – usłyszałam szept.

Naprawdę nie ma nikogo innego na tej wielkiej sali, w całym klubie, kto podejrze do mnie i zada mi takie pytanie, tylko znowu on?! Czy jeśli się kompromituję, to u niego zapala się jakaś lampka, że zjawia się tuż obok? Na szczęście, jeśli nawet oblał mnie rumieniec zażenowania, to i tak przeszedł niezauważony z racji całej czerwonej twarzy.

– Może mnie pan dobić? Może być miecz. Nie będę wybrzydzać – wyszeptalam.

– Przeholowała pani? – bardziej stwierdził niż spytał, bo gołym okiem było widać, że nie siedzę tutaj na podłodze, buraczana na twarzy, z grymasem bólu i zmęczenia, bo mam taki kaprys.

Skinęłam głową.

– Zanieść panią do szatni?

– Chętnie bym skorzystała, ale wtedy te harpie bez serca dla niewysportowanej ludzkości – tutaj brodą wskazałam dziewczyny w recepcji – od razu mnie wypatrzą i wszyscy też. Chcę odejść stąd samodzielnie, choć na pewno nie uda mi się z podniesionym czołem. Nawet tyłka nie podniosę...

– Rozumiem – uśmiechał się. – To jak mogę pani pomóc?

– Może pan odwrócić ich uwagę, a ja sobie na czworakach po cichu przemknę za ich plecami do szatni – wydyszałam resztą sił, bo już nawet mówienie i oddychanie wydawały się czynnościami ponad moje siły.

– Zgoda. Powodzenia. Poczekam na panią na zewnątrz – odparł i odszedł w stronę recepcji, skąd po chwili usłyszałam: – Drogie panie, czy widziałyście, że maszyna na wolny ciężar, ta do lydek, coś się zacina? Poza tym chyba jedna tutaj wystarczy, bo przy bieżni numer cztery czeka jakaś kobieta. Może też coś nie działa!

– Tak jest, szefie. Zaraz się tym zajmiemy!

– Warto też zajrzeć do pojemników na płyn dezynfekujący, czy któryś nie jest pusty...

– Oczywiście! – wykrzyknęły dziewczyny i tak szybko zniknęły zza kontuaru, że wcale nie potrzebowałam konspiracji, aby dowlec się na czworaka do szatni.

Myślę, że Ziemia zdążyła się kilka razy obrócić wokół Słońca, zanim zdołałam się przebrać. Jeszcze nigdy moje ubrania nie stawiały takiego oporu wobec próby zdjęcia i założenia ich na moje wymordowane ćwiczeniami ciało. Wreszcie, wlokąc się niczym ofiara tortur Świętej Inkwizycji, wyszłam z klubu fitness. Z rozpaczą pomyślałam o maluchu mojej mamy, który czeka na mnie i do którego, aby wsiąść i odjechać, będę musiała złamać sobie nogi. Jak nic zostawię go tutaj i dzwonię po Grigorija, aby mnie stąd wyniósł.

Jednak nigdzie nie musiałam dzwonić. Ledwie zamknęłam za sobą drzwi i oparłam się o ścianę, gdy zostałam pochwycona na ręce.

– Zawiozę panią do domu – usłyszałam.

– Czy to nie jest próba porwania i nie powinnam wgrzyźć się panu w szyję, aby się uratować? – spytałam słabym głosem, gdy szedł ze mną w stronę parkingu galerii.

Znów moje zielone oczy spotkały się z jego czarnymi oczami. I bardzo, bardzo mnie to roztopiło. Chyba mogę dać się porwać. Zostałam delikatnie wsadzona do samochodu i zapięta w pasy. Kiedy się tak nade mną nachylał, to pachniał miętowym szamponem. W przeciwieństwie do mnie, bo nie skorzystałam z klubowego prysznica. Zatem przyjemne oszołomienie jest jednostronne, bez wzajemności.

– To gdzie mam jechać? – spytał, uruchamiając silnik.

– Gdzieś, gdzie można mnie zepchnąć ze skały w przepaść...

– Tylko najpierw będę musiał panią tak wysoko wciągnąć...

– Dobra, jedźmy na Południową – odparłam zrezygnowana i rozczarowana, że jeszcze na tym świecie pożyję w męczarniach. – To osiedle Sienkiewicza, choć nie wiem, dlaczego tak się nazywa.

– Wiem, gdzie to jest.

## 17. Kto grywa na dwa fronty?

Moje przybycie na osiedle pokaznym SUV-em zobaczyli chyba wszyscy mieszkańcy, łącznie z astronautami w kosmosie, a NASA zrobiła kilka zdjęć z orbity Ziemi. Oczywiście, z racji mojej totalnej, tymczasowej i miejmy nadzieję krótkotrwałej niepełnosprawności, Leszek, tak, ma na imię Leszek, zaparkował na środku ulicy, blokując przejazd, po czym otworzył drzwi pasażera i z lekkością baletnicy oraz siłą atlety przeniósł mnie na rękach pod drzwi. Naprawdę chciałam, żeby mnie tutaj już postawił, abym o własnych nogach dotarła do wanny, ale zbyt słabo protestowałam. Coś tam niewyraźnie szmeralam, udając oburzenie, że przecież dam radę i takie tam. Ale na szczęście nie posłuchał. Noszenie na rękach ma w sobie coś zmysłowego, magicznego, a ja już wieki czegoś takiego nie czułam. Ba, nikt nigdy i nigdzie nie przeniósł mnie nawet przez próg. Zatem delectowałam się tym przyjemnym, rozkosznym i niecodziennym uczuciem, zapominając, że sama nie emanuję rozkosznym i uwodzicielskim zapachem.

– Jezuuu! Coś ty sobie znowu zrobiła?! – ryknęła Bożenna na mój widok, błyskawicznie odnajdując winnego. Na mamunię zawsze można liczyć!

– Nie marudź! – wtrąciła moja teściowa, zadowolonym wzrokiem omiatając postać Leszka, wciąż dzielnie dzierżącego mnie w ramionach. – Ale spodnie ma całe!

– Dzień dobry – zdołał wreszcie wypowiedzieć Leszek. – Gdzie odstawić ofiarę intensywnych ćwiczeń?

– Do łazienki, poproszę – powiedziałam, ze smutkiem myśląc już, że moja przyjemność zaraz się skończy.

Stało się zadość memu życzeniu, bo o niczym innym nie marzyłam, jak o zbawczej, relaksującej i regenerującej kąpeli. Postawiona przed progiem łazienki, pożegnałam się, grzecznie dziękując za podwózkę i uratowanie przed ponizającym skonaniami pod szatnią klubu fitness na oczach wysportowanej ludzkości.

– Tak łatwo się nie wywiniesz – stwierdził z ręką na klamce i zabójczym spojrzeniem, od którego tak mi już miękły kolana, że chyba nie było tam żadnego trwałego i twardego elementu. – Za te nieplanowane ćwiczenia żądam gratyfikacji!



– Okej. Też mogę cię przenieść kilka metrów, ale najpierw poćwiczę przez tydzień... – odparłam z zaskakującą dla siebie swadą.

Za rogiem, od strony kuchni, słyszałam dziwne szmery i dałabym się pokroić na kawałki, że moje mamunki nadstawiały uszu. Wiedzmy, które wprosiły się pod mój dach!

– Myślę, że zadowolę się na razie... kawą. Na wszelki wypadek... – sięgnął do kieszeni spodni i wyjął wizytówkę – zostawię swój numer telefonu. Gdy już dojdiesz do siebie, to może zdecydujesz się zadzwonić. Do zobaczenia!

I nie czekając na odpowiedź, wcisnął mi kartonik do dłoni, obrócił się na pięcie i wyszedł, pozostawiając za sobą aurę tajemniczości i męskości. Włazłam chyżo do łazienki i zamknęłam z wrażenia drzwi na skobel. Oparta o wannę starałam się głębokimi oddechami przywrócić sobie czynności życiowe. Spojrzałam na wizytówkę: „Leszek Stopyra” i numer telefonu. Nic ponadto. „Stopyra jak Stoperan” – błyskotliwie zauważyłam i wsunęłam kartonik do kieszeni leżących na podłodze dzinsów. Potem nalałam sobie wody do wanny i zanurzyłam się w pianach i zapachach, by zapomnieć o upokarzającej wizycie na siłowni. Moje zapalczywe działania, by dorównać tym, którzy już ćwiczą znacznie dłużej, wydały mi się teraz po prostu głupie. Przecież nikt mnie nie zmuszał, abym robiła z siebie koncertową idiotkę i wykonywała piętnaście powtórzeń każdego układu. Mogłam zrobić pięć. Tymczasem w jakimś bezmózgim zapale doprowadziłam się do niekomfortowej sytuacji. Obcy facet musiał mnie taszczyć do swojego samochodu. Już nie wspominając, że maluch mojej matki musi zostać ekspresowo odebrany, bo stanowi łakomy kąsek dla złodziei. A wracając do obcego faceta, choć już nie tak bardzo obcego, to... chyba dosyć tych gorących kąpielii i czas na lodowaty prysznic! Co się ze mną dzieje? Jeszcze niedawno obchodziłam piętnastą rocznicę małżeństwa, jeszcze miejsce po mężu nie wystygło, a teraz rozpałam się na widok obcego nie-obcego faceta!

A co mi tam! I tak czeka mnie tylko przykra, bolesna i traumatyczna sprawa rozwodowa! „Trzeba żyć dalej, przestać być tylko grzeczną, pokorną dziewczynką z podstawówki i brać to życie pełnymi garściami! A co!” – krzyknęłam sobie w myślach i podniosłam się zbyt gwałtownie z wanny w rewolucyjnym zapale. I już bez rewolucyjnego zapалу pośliznęłam się, złapałam za zasłonę prysznicową przy wannie, zawisłam na niej chwilę, by runąć wraz z nią na podłogę. Huk i potężne tąpnięcie na pewno odnotowano w laboratorium sejsmicznym w Tokio, tylko nie u mnie w domu. Podczas gdy omal nie połamalam sobie karku, po raz drugi narażając swoje zdrowie i życie, wszyscy spędzali czas w moim ogrodzie, racząc się dietetycznym sernikiem mojej teściowej. Ale o tym dowiedziałam się, gdy już się pozbierałam z podłogi, opatrzyłam odniesione rany, bo

drażek od zasłony uderzył mnie w czoło, ubrałam się i wyszłam w piękne popołudnie z domu.

No i zamarłam, bowiem SUV stał zaparkowany na moim podjeździe, a Leszek w towarzystwie moich mamunek i córek raczył się... winkiem. Ledwie to zobaczyłam, wystartowałam z progu, w rekordowym czasie dwóch sekund i pomimo uporczywego bólu całego ciała pokonując odległość do stołu, dopadłam do Leszka i wyrwałam mu szklankę z winem z ręki. Oczywiście wszystko wokół zostało ochlapane na czerwono, nie wyłączając osób obecnych.

– Co ty wyprawiasz?! – z pretensją wyskoczyła jako pierwsza moja mama. Zerwała się z miejsca i intensywnie mrugała oczami zalanymi winem, podczas gdy ja wzrokiem rozrzucalam błyskawice.

– Mam nadzieję, że nie wypileś tego? – spytałam Leszka, który zastygł z uniesioną ręką i otwartymi w zdumieniu ustami.

– Właśnie miałem zamiar – odparł.

– Jak mogliście mu podać wino Maurycy? – skarciłam moje mamunki, wzmacniając pretensję marsowym obliczem. – Umawialiśmy się, że nikomu go już nie podajemy! Trzeba wytłuc wszystkie butelki!

– Krzysiu... jakby ci to powiedzieć – odezwała się spokojnie Marzena, zagryzając dolną wargę. – To sok porzeczkowy i nawet nie od Maurycy, ale z osiedlowego sklepu, z kartonika, w terminie, pasteryzowany i na pewno przebadany pod każdym względem jako nadający się do spożycia.

Moje córki parsknęły śmiechem i trzymając się za brzuchy, rechotały głośno. Dołączyła do nich Marzena, a po chwili i Bożenna, opadając na krzesło i serwetką wycierając zachlapanę sokiemy oczy. Tymczasem Leszek i ja prezentowaliśmy ludzkie posągi. On zdumienia, a ja z na wpół opróżnioną szklanką soku w uniesionej dłoni wyglądałam niczym Wolność prowadząca lud na barykady. Brakowało jeszcze, abym obnażyła się od pasa w górę.

– Co tutaj tak wesoło? Piłyście wino Maurycy? – usłyszeliśmy Grigorija, który uszczęśliwił nas swoją obecnością w to piękne, słoneczne popołudnie.

– A mogę dowiedzieć się, co to za wino Maurycy? – spytał Leszek z wesołością, która musiała się dzielić każdemu od rechoczących nastolatek i ich babć.

Poddałam się. Usiadłam przy stole i oddałam szklankę Leszkowi. Westchnęłam ciężko, ale już z luzem. Moje córki, już bez zainteresowania naszym towarzystwem, zajęły się swoimi telefonami, więc liczyłam, że na tyle ich pochłoną wieści z Internetu, że nie skupią się na toczących się rozmowach.

– To takie całkiem smaczne wino, po którym się śpi dobę, a potem człowiek się budzi szczęśliwy jak jasna cholera, chce zreć nieludzko wszystko i cieszy michę

przez kolejną dobę. Totalny odlot! – wyjaśnił rzeczowo mój sąsiad i zasiadł za stołem, uprzednio przedstawiając się Leszkowi jako przyjaciel rodziny, mieszkający za ścianą.

– Same je produkujecie? – dopytywał Leszek, wyraźnie zaintrygowany.

– Ależ skąd! – prychnęła moja mama z takim zapałem, jakby ją posądzono o ukrywanie bursztynowej komnaty. – Marzena znalazła w piwnicy. Jej teściowa, Mauryca, musiała tego naprodukować. Nie wiadomo z czego, bo nawet sanepid nie chciał sprawdzić.

– I nie wiadomo, jakie ma skutki uboczne – wtrąciłam. – Dlatego bałam się, że wypijesz... i...

– I będziesz nocował jako trzeci facet w salonie na sofie – uzupełnił niewłaściwie moją wypowiedź Grigorij. – Przez całą dobę.

Ja spaślowiałam, a te wariatki krztusiły się ze śmiechu.

– Trzeci? – powtórzył Leszek i spojrzął na mnie pytająco.

Rozłożyłam ramiona, bowiem nie miałam odpowiedzi na to pytanie. W przeciwieństwie do Grigorija, którego zapal do zdradzania tajemnic nabrał rozpędu, jakby ktoś poprzecinał mu przewody hamulcowe.

– Pierwszy byłem ja, a drugi to Rysiek z Wierzbiaka. Całkiem spoko gość. Świetnie grilluje. Ty byłbyś trzeci. To już taki ciąg albo tradycja by się narodziła. Doba z głowy, chłopie, ale za to jakie samopoczucie nazajutrz!

Schowałam twarz w dłoniach, aby ją zachować przed Leszkiem. Boże, cóż ten człowiek sobie pomyśli o mnie i mojej rodzinie? Banda wariatów i wariatka w roli głównej, czyli ja! Albo banda jakichś bimbrowników, rozlewających nielegalny alkohol! Wspólna kawa stanęła pod znakiem zapytania. O ile nie pojawi się zaraz policja, by zaaresztować trucicielki z osiedla Sienkiewicza!

– Tak. Zatem całe szczęście, że to jednak nie było wino Maurycy, bowiem mam jeszcze coś do zrobienia przez tę dobę – podsumował z uśmiechem Leszek i podniósł się z miejsca. – Miło było wszystkich poznać. Do widzenia.

Podniosłam się i ja, karcącym wzrokiem omiatając całą pocieszoną, prześmieszoną i śmiejącą się trzódkę. Razem z Leszkiem podeszłam do auta.

– Dawno się tak nie ubawiłem – odparł w zamyśleniu, patrząc ponad mną na siedzących przy stole. Uśmiechnął się i wsiadł do auta. Otworzył szybę i rzekł jeszcze do mnie, zanim wyjechał na ulicę: – Do zobaczenia zatem – i po chwili namysłu dodał: – Choć kawa przy winie Maurycy wydaje się taka nudna.

Potężny gład narzutowy sturlał się z mego serca, gdy dotarło do mnie, że szansa na spotkanie z Leszkiem wciąż istnieje. Wróciłam niemal w tanecznych

pląsach, które zauważyła jedynie Marzena i mrugnęła do mnie porozumiewawczo okiem. Dziewczynki podniosły się z miejsc.

– Mamuś, my zaraz idziemy z tatą do kina – oznajmiła wesoło Elwira. – Nie masz nic przeciwko?

Nagle dopadło mnie uczucie straty, ale szybko je odpędziłam. Uśmiechnęłam się i mocno przytuliłam obie moje córki.

– Oczywiście, że nie, ale następnym razem nie chciałabym być postawiona przed faktem dokonanym – powiedziałam.

– No dobra, ale to tata... – jęknęła niezadowolona Elwira.

– Dobrze, następnym razem najpierw ustalimy to z tobą – westchnęła Tomira i jako pierwsza wysunęła się z moich ramion.

Ledwie odeszły, gdy Grigorij poprawił swoją fryzurę i powiedział wesoło ku memu zdumieniu:

– No, no, droga Krzysztofo! Jeszcze kolega sąsiad Waldemar nie zamknął dobrze drzwi, a tutaj pojawia się tajemniczy Leszek... Ktoś tutaj gra na dwa fronty?

– To Marzena! – odparła oskarżycielskim tonem Bożenna. – Roman tutaj kwiaty przysyła, na schadzki wyciąga, a ona się ze strażnikiem umówiła!

Marzena parsknęła śmiechem. Wszyscy spojrzeliśmy na moją teściową, która spokojnie rozpostarta niczym królowa na ogrodowym krześle, uśmiechała się teraz tajemniczo.

– Nie ze strażnikiem, tylko strażakiem, i to jeszcze emerytowanym. Poza tym to tylko niewinne spotkanie po latach, a nie płomienny romans, który szykuje się u naszej Krzysztofy!

– U mnie? – zdumiałam się nieszczerze.

– U mojej córki?! – oburzyła się Bożenna. – Krzysia przynajmniej wie, że się szykuje rozwód. A ty się nie określiłaś jednoznacznie! Trąci to wiarołomstwem i rozpustą!

Grigorij z zadowolenia i rozbawienia zacierał ręce, przysłuchując się naszym potyczkom słownym.

– Rozpustą?! A co jest złego w niewinnym flircie?! – spytała Marzena, domagając się odpowiedzi od Bożenny, która w oburzeniu nabrała buraczkowych rumieńców. – A może uważasz, że jesteśmy za stare na romanse, na zainteresowanie się naszymi ciałami?

– Naszymi?! – prychnęła moja mama, niemal opluwając śliną siedzącego naprzeciwko Łukasza. – Ja tutaj nie sprowadzam żadnego faceta! Nikt się moim ciałem nie interesuje. Mów za siebie! Napalona emerytka!

– Dzień dobry! Przepraszam... mam nadzieję, że nie przeszkadzam – usłyszeliśmy nieśmiały głos Ryśka.

Wszyscy roześmialiśmy się, z wyłączeniem mojej mamy, która jeszcze bardziej poczerwieniała i jako jedyna nie mogła widzieć nadejścia emerytowanego wuefisty. Podniosła się gwałtownie i obróciła.

– Czy tutaj nikt nie może przyjść normalnie, tylko albo się skrada, albo pojawia zniecka?!

## 18. Żeby wszystko było jasne

Żeby wszystko było jasne i nie padał żaden cień wątpliwości, moja mama, Bożenna Pawełek, przyzwyczajona do samotności, pogodzona ze statusem porzuconej kobiety, demonstracyjnie samotnej i samowystarczalnej, nie wyobrażała sobie życia z następnym, kolejnym czy innym mężczyzną. Krzysztof Pawełek na zawsze pozostał miłością jej życia i przekleństwem jednocześnie, na którym wieszła bez wyrzutów sumienia wszelkie pretensje, nieszczęścia i kłopoty, które nas spotykały w życiu bez mężczyzny u boku. Swoją status kobiety porzuconej, ale wyemancypowanej, prezentowała z przesadną dumą niczym narodowy sztandar, a swoje nieszczęścia kolekcjonowała jak ordery za bohaterstwo. Dlatego w onej chwili nie mogła spokojnie znieść, gdy ktoś bezczelnie podważał jej system wartości. Mogło to zrujnować jej życie nie bardziej niż odejście męża!

Wszystko wokół zamarło, a powietrze zostało wyssane z najbliższej okolicy, gdy Bożenna Pawełek wydała z siebie najpierw przeciągły syk, a potem, wypełniona oburzeniem po czubek głowy, wypaliła z zabójczą szczerością w stronę emerytowanego wuefisty:

– Rysiek, czemu ty się mnie tak uczepliłeś?!

– Ja?! Bożenka... – jęknął mężczyzna, który zdążył już zająć miejsce przy stole. Teraz zerwał się na równe nogi, kompletnie zdezorientowany.

– No ty! – wykrzyknęła moja mama, wskazując oskarżycielsko palcem. – A widzisz tu innego Ryśka?! Czy ty przypadkiem nie liczysz, że ty i ja...?

Rysiek zrobił naprawdę wielkie oczy. Na pewno poczuł się niczym uczeń mojej mamy, wywołany do odpowiedzi na temat bitwy pod Grochowem, o której nie posiadał żadnej wiedzy. Wyprężył się na baczność i wszyscy w milczeniu czekaliśmy, jak pokrętnie będzie się tłumaczył, że ten temat w podręczniku pożarł mu pies albo ojciec wyrwał, kiedy szedł do wychodka, albo porwali kosmici. Tymczasem Rysiek odsapnął i uśmiechnął się łagodnie do mojej mamy.

– Bożenka... za kogo ty mnie masz? Toż ja mam żonę!

– Nie masz żony! Rozwiodłeś się pięć lat temu! – oskarżycielsko przypomniała Bożenna i uśmiechnęła się z cichą satysfakcją, że przyłapała ucznia na kłamstwie.

– No tak – westchnął Rysiek i wywrócił oczami. – Ale ożeniłem się ponownie dwa lata temu. Z Bogusią Pasternak. Pamiętasz ją? Uczyła chemii w naszej szkole.

Moja mama zmrużyła oczy i oparła dłonie na biodrach. Cała nasza trójka obserwowała ten fascynujący dialog, zupełnie nie oddychając ani nie wydając żadnych dźwięków, by nic nam nie umknęło z kolejnych wypowiedzi bohaterów.

– I ja mam w to uwierzyć?! Wuefista z chemiczką?!

– Bożenka, jak Boga kocham! – jęknął Rysiek, wałąc się mocno i hałaśliwie pięścią w mostek, aż echo poszło po osiedlu.

– Ty łgarzu obrzydliwy! Przecież ty byłeś komunistą!

– No dobra, tutaj mnie masz, bo dalej jestem komunistą, ale z Bogusią naprawdę jesteśmy małżeństwem! – powiedział i przypomniawszy sobie, że może przecież okazać na to dowód, sięgnął do portfela, by co rychlej wyjąć zdjęcie ze ślubu. – O, proszę!

Bożenna z niechęcią ujęła w dwa palce fotografię, jakby mogła złapać jakąś śmiertelną chorobę. Przyjrzała się z bliska i z daleka i oddała zdjęcie przejętemu Ryskowi. Skinęła dostojnie głową i na powrót zajęła swoje miejsce przy stole, rzucając triumfalne spojrzenie Marzenie.

– No i właśnie... – podjął Rysiek, również siadając za stołem. – I przyszedłem w dwóch sprawach. Pierwsza, to właśnie związana z moją Bogusią. Jakbyście mogli potwierdzić, że tę jedną dobę spędziłem tutaj, a nie na romansach czy prostytutkach...

Podczas gdy zastanawialiśmy się nad formą takiego poświadczenia prawdy, Marzena zakrzętnęła się w domu i przyniosła sałatkę grecką, bagietki i mięso, by zrobić kolejnego grilla. Rysiek bez proszenia zabrał się do rozpalać, ale na tyle blisko nas, by nie tracić nic z rozmowy. W efekcie tej bliskości wszyscy zostaliśmy uwędzeni, zanim kiełbasa znalazła się na ruszcie. Ostatecznie ustaliliśmy, że Bogusia zostanie osobiście powiadomiona o wierności swego męża przez moją mamę, która przy okazji rozejrzy się po okolicy, w której mieszkał Staszek Migotka.

– No i jeszcze słuchajcie, zapomniałem o tej drugiej sprawie – przypomniał sobie Rysiek, gdy już opróżniliśmy talerze i szklanki, a wokół zapanował całkiem przyjemny przedwieczór. – Wczoraj rozpytywałem sąsiadów o Staszka.

– Mam nadzieję, że nie chlapałeś na lewo i prawo o naszym śledztwie, bo morderca nam się spłoszy – cierpko zauważyła Bożenna, powracając do swej zawsze niezadowolonej formy.

– Wykluczone, Bożenko! Pełna konspiracja i dyskrecja! – zapewnił Rysiek. – Odwiedziłem nawet wdowę, by złożyć kondolencje. Wróciła do domu i powiem wam, że żadnej żałoby tam nie widać. Z Bogusią poszliśmy, żeby nie było, że leżę do bab sam. A Roksana cała w skowronkach! Jakby jej ubył dwadzieścia lat! Nie-samowite!

– To prawda – wtrąciłam. – Potwierdzam. Dzisiaj się na nią napatrzyłam do upojenia. Wyćwiczona i zrobiona, ale i naprawdę młodo wygląda. Śmierć małżonka jej służy.

– No właśnie! Kolejny dowód, że bez faceta naprawdę można żyć! – prychnęła mama w stronę mojej teściowej.

– Żeby było jasne... – zaczęła Marzena, podnosząc się z krzesła, by sprzątnąć ze stołu. – Ja bez mężczyzny nie wyobrażam sobie życia! I nawet nie próbuj mnie nawracać na celibat czy inne takie. Umówiłam się dzisiaj z Markiem. Zupełnie niezobowiązująco. I! – Tutaj zrobiła przerwę na groźną minę dla Bożenki. – I nawet nie moralizuj! Zbieram się już, a wy pozmywajcie. Jak wrócę, to mi Bożenka przed snem wszystko streści. Pa!

To powiedziawszy, zamiotła sukienką w powietrzu i z tacą pełną brudnych naczyń zniknęła w domu. Po chwili usłyszeliśmy delikatne trąbienie samochodu, a nasza Marzenka w płaschach wybiegła na ulicę. I tyle ją widzieliśmy. Nie pozna-wałam mojej teściowej. Jakbym poznała inną kobietę, która z Marzeną Grądzińską niewiele poza wyglądem miała wspólnego. Chociaż i to chyba również je różniło. Zahukana, niewidzialna kobieta, ślepo wpatrzona w swojego męża, biegnie na randkę z jakimś Markiem i romansuje z własnym mężem. Złapałam się za obolałe czoło. W ogóle już nie nadążałam za ostatnimi wydarzeniami w życiu swoim i innych. Moją mamę aż ścisnęło gdzieś w trzewiach, by skomentować zachowanie Marzeny, ale przezornie i zapobiegawczo podałam jej szklanek piwa, które wypila na raz. Zaraz też pojawił się w jej oku dziwny błysk, ale przynajmniej nie marudziła. Grigorij począł niecierpliwie spoglądać na zegarek. „Gorączka sobotniej nocy” – pomyślałam. To chyba pierwszy sobotni wieczór, który spędza z osobami starszymi od siebie. Tylko ja nie miałam planów, więc możliwe, że zajmę się sobą i swoimi myślami.

– No i co z tą Roksaną?! – przypomniał Łukasz, po raz kolejny zaglądając w swój telefon.

– Nie powiedziała, że się cieszy, ale widać było, że rozpaczać nie zamierza – podjął przerwany wątek Rysiek. – A co do sąsiadów... To przypadkiem dowiedziałem się, że mają alibi. Ci najbardziej podejrzani, bo najbliżsi. Jeden z całą rodziną wyjechał do Chorwacji już tydzień temu. Chyba że przyjechał albo przyle-



ciał te tysiąc kilometrów, aby zamordować Staszka? Ale wątpię. Drugiego i trzeciego już przesłuchiwała policja, choć nie są podejrzani. Pytali, czy Staszek nie miał wrogów, czy w okolicy nie kręcił się ktoś podejrzany i takie tam. O alibi ich nie pytali, bo pewnie nie wiedzieli, że my ze Staszkiem mieliśmy na pieńku. Za to ja spytałem... i oczywiście dyskretnie. Jeden niestety, ale ma nogę w gipsie, więc raczej wątpliwe, aby z takim balastem ruszał mordować. W poniedziałek mają mu ten gips ściągać. Ale Bolek alibi ma słabe. W weekend co prawda byli z żoną u córki w Zielonej Górze, ale w poniedziałek rano rejestrował się w przychodni do kardiologa i wstał bardzo wcześnie. Przed ustawieniem się w ogonku mógł kropnąć Staszka.

– Będę musiała wpisać go na tablicę – orzekła Bożenna. – Męczy mnie ten Tymon Kapusta. Nic o nim nie wiemy. Kto to taki? Gdzie mieszka? Gdzie pracuje? Czy żonaty, czy dzieciaty?

– Tymon Kapusta... – powtórzył jak echo Rysiek, więc spojrzeliśmy nań z nadzieją, że coś wie. – Niestety, nic mi to nie mówi. Może zapytam Roksanę?

– Ani się waż! – zaprotestowała Bożenna. – Nabierze podejrzeń. Skąd możesz wiedzieć o Kapuście?!

– Racja – potwierdził Grigorij i podniósł się od stołu. – Proponuję spotkać się jutro albo później, bo ja już muszę lecieć!

No i znikł w ciemności ogrodu, gdzie na pewno przesadził ogrodzenie, by dotrzeć na swoją część. Ryszard również podniósł się, delikatnie odsuwając krzesło, i wymownie spojrział na moją mamę.

– Że niby teraz mam z tobą jechać? – spytała Bożenna. – Ale jak wrócę?

Wówczas przypominałam sobie o maluchu, który został pod galerią. Zerwałam się gwałtownie, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa i ponownie padłam na krzesło. Poza tym każdy z nas, z wyjątkiem Ryśka, pił alkohol!

– Maluch został pod galerią – wyznałam mojej mamie.

Machnęła ręką. Ostatecznie podjęła decyzję, że teraz pojedzie z Ryśkiem, a z powrotem jakoś sobie poradzi i maluch też będzie musiał. Cóż mi innego pozostało, jak siedzieć samej w domu? Bożenna z Ryśkiem odjechali, a ja zabrałam się za zmywanie. Cisza, jaka zapadła wokół, nieco mnie przytłaczała. Nie pamiętam, kiedy panował tu taki spokój. Pogasiłam światła i pomimo bólu w całym ciele, jeszcze wyszłam do ogrodu, aby nacieszyć się ciepłym czerwcowym wieczorem. Zabrałam ze sobą swój ulubiony pled i poduszkę. Niemal po omacku odnalazłam drogę na koniec działki, gdzie stała huśtawka, i położyłam się, moszcząc się wygodnie. Z zachwytem spoglądałam na rozgwieżdżone niebo. Urok osiedla

polegał na tym, że tutaj zawsze panował spokój, cisza i senna atmosfera. Osiedle względnego spokoju – zwykła mawiać babka Mauryca.

Pamiętam tę niesamowicie wesołą staruszkę, która swój ukochany dom zamieszkiwała od niepamiętnych czasów. Albo konkretnie od czasów, gdy znajdował się jeszcze przy Kressenweg w 1937 roku. Gdzieś na zakurzonej, zapajęcznionym strychu spoczywał rodzinny album, który lubiła przeglądać Mauryca. Pamiętam jedno ze zdjęć, gdzie dziesięcioletnia dziewczynka z długimi ciemnymi warkoczami, do której podobne stały się moje córki, opiera się o drewniany płot przed świeżo wybudowanym domem. Kąt robienia tej starej fotografii pozwala zobaczyć również inne domy na Kressenweg, a dalej – bezkresne pola. „Tak – pomyślałam sennie – babka Mauryca skrywała niejedną tajemnicę. Działanie wina własnej produkcji stanowi jedynie ułamek tych babcinych sekretów”. Zamknęłam oczy. Gdzieś z oddali dobiegał nieustający szum autostrady, który przyjemnie ukotłosał mnie do snu.

## 19. Nie taka leniwa niedziela

Do niedzielnego poranku na ogrodowej huśtawce nie miałam najmniejszego pojęcia, że mam ciało. Do tej pory wiedziałam, że je mam, bo widziałam w łustrze, dokarmiłam się, myłam i tak dalej, ale że tak boleśnie istnieje, dowiedziałam się dzisiaj. Jednym słowem, jak powiedział Sylvester Stallone w Oskarze: „Wiedziałem, ale nie miałem pojęcia!”.

Nikt mnie nie obudził w nocy, bowiem zaszyta w ciemnym zakamarku ogrodu, pozostawałam dla powracających do domu zupełnie niewidoczna. Zapewne wracali o różnych porach wieczornych, a może i nocnych w przekonaniu, że smacznie śpię w swojej sypialni. I poruszali się bezszelestnie, bezoddechowo i ostrożnie, by mnie nie zbudzić.

Tymczasem znękana nieludzkimi ćwiczeniami, obzarta smacznym grillem i przyjemnie otulona ciepłą nocą, zasnęłam na świeżym powietrzu w dość niewygodnej pozycji. Nasza huśtawka ogrodowa mieściła dwie, góra trzy osoby siedzące. Leżąc, musiałam przykurczyć nogi, wówczas i tak stopy pozostawały na zewnątrz, a kostki boleśnie tłukły o metalową konstrukcję. Sądząc po siniakach, musiałam się rzucić podczas snu. Nic dziwnego, wciąż przed oczami wyświetlał mi się senny koszmar, gdzie ścigałam mordercę Staszka po swoim rejonie kurierskim. Ciemna postać umykała w różne zakamarki dzielnicy, przedzierała się przez Czarną Wodę, która zabarwiła się na czerwono, przeskakiwała z budynku na budynek i ostatecznie pojawiła się w kolejce do przychodni kardiologicznej jako nieznany mi z widzenia Bolek, który trzymał w dłoni zakrwawiony nóż rzeźnicki. Chyba krzyczałam, chcąc ostrzec innych czekających w długiej kolejce, ale z mojej krtani nie wydobywał się żaden dźwięk.

Wreszcie obudziłam się zrana potem i ze zdartym gardłem. Czyli jednak dźwięk poszedł, ale nie we śnie. Wspierając się o konstrukcję huśtawki, powoli dźwignęłam się do pozycji siedzącej. Tak, wówczas dopadło mnie ciało, które boleśnie odczułam. A w nocy dopadły mnie komary; sądząc po liczbie bąbli na rękach i łydkach, nie oparły się okazji na bezwolną wyżerkę.

Słoneczny poranek, śpiew ptaków i bzyczenie pracowitych owadów, które nie znają niepracującej niedzieli, nie poprawiły mi samopoczucia. Spróbowałam się dźwignąć, ale nogi odmówiły funkcji filarów dla reszty ciała. Bezwładnie padłam

na ziemię i na czworakach, z bolesnym grymasem twarzy, posuwałam się w stronę domu. Ten wyjątkowo krótki dystans teraz wydawał się odległością jak stąd do Gibraltaru. Zaciskałam zęby i dalej niezmordowanie sunęłam do przodu. Na podjeździe zatrzymałam się i zdyszana oparłam się o wiśniowego malucha mojej mamy. „Zatem szczęśliwie powrócił do rodziny” – westchnęłam. Minęły chyba dwa wieki, zanim dotarłam do drzwi. Oczywiście, zamkniętych. Wspięłam się po ścianie, aby sięgnąć do dzwonka. Kiedy moje palce wymacały przycisk, nie żałowałam decybeli. W efekcie mych nieprzerwanych działań, drzwi otworzyły mi wszystkie cztery niewiasty. Czułam się jak ranny powstaniec, cudem ocalały z morderczej jatki z zaborcą na zaśnieżonym, skutym lodem polu bitwy i teraz niesiony na ramionach przejętych mym cierpieniem kobiet, by mnie wreszcie opatrzeć i złożyć na mym łożu. Na razie wylądowałam na salonowej sofie, ale nie wybrzydzałam.

– Gdzieś ty była?! – rzuciła z pretensją Bożenna. – Ależ nas przestraszyłaś! I jak ty wyglądasz?!

Elwira i Tomira wesoło komentowały mój wygląd, podczas gdy obie mamunki marszczyły nade mną z niezadowolaniem czoła.

– Umieram! – rzuciłam z jękiem, wbijając wzrok w sufit. – A potem wszyscy umrzemy z głodu...

– Zwariowałaś?! Spałaś na słońcu? – dopytywała podejrzliwie moja mama, szarpiąc mnie za ramię.

Zapewne w jej mniemaniu pobudzała mnie do przytomności, i to delikatnie. Ja poczułam potworne boleści, jakby mnie nakłuwała widłami, więc wrzasnęłam. Wszystkie podskoczyły w przestraszu.

– Nie mogę się ruszyć! – wyjaśniłam, sycząc z bólu. – Jak ja jutro pójdę do pracy?!

– Ale gdzieś ty była, na litość boską? – dopytywała teściowa. – Polazłaś w miasto i cię ktoś... pobił?

– Myślałyśmy, że już śpisz... – wtrąciła Elwira, przejęta moim wyrazem twarzy. Usiadła obok i ostrożnie przytuliła się do mojego ramienia. – Tak cicho było w domu.

– Spałam – przyznałam smutno. – Ale w ogrodzie.

– Złapałaś tego wilka, którym nas straszysz, gdy siedzimy na ziemi? – spytała Tomira z pełną buzią.

Najwyraźniej w tak zwanym międzyczasie zdążyła zwizytować kuchnię i spenetrować lodówkę, bowiem przegryzała już kawałek parówki owinięty w żółty ser.

– Nie wiem. Prawdopodobnie przećwiczyłam się wczoraj i niewygodna pozycja do spania dopełniła reszty – dywagowałam, marząc o jakiejś cudownej tabletkie przeciwbólowej. Nie miałam już jednak siły ani mówić, ani oddychać, ani patrzeć.

– Pewnie tak – potwierdziła Marzena, przyglądając mi się z zaciekawieniem. – Wszystko cię boli czy jakieś szczególne miejsce?

– Lekarka się znalazła! – prychnęła Bożenna. – Widzisz nieszczęście u mojej córki i chcesz ją dobić?!

– Daj spokój! – machnęła lekceważąco dłonią Marzena i znów zwróciła się do mnie: – Będziesz mogła usiąść do śniadania? Nie chcę ci dawać żadnej mocnej tabletki przeciwbólowej na czczo.

– Nie dam rady! – jęknęłam. – Dobijcie mnie tutaj!

Nikt już nie zajmował się mną. Po cichu, na palcach, opuściły salon. Marzena zakomenderowała, aby wszyscy się ubrali i zeszli na śniadanie, po czym sama zniknęła. Sądziłam, że teściowa swoim zwyczajem krząta się w kuchni, ale śniadanie przygotowywały dziewczynki i moja mama, narzekając na brak chleba i konieczność smażenia naleśników czy omletów. Bożenna, stroniąca od zbiorowego żywienia, wydawała moim córkom polecenia, jak mają gotować. Zupełnie jak w moim dzieciństwie. Z czystej niechęci do prac kuchennych, a i z braku talentu do przyrządzania posiłków, moja mama uczyła mnie, jak mam gotować.

Po chwili zjawiała się Marzena z białym prześcieradłem i czarnymi workami na śmieci. Zamknęła drzwi do salonu. Przełknęłam w przestרחu ślinę. „Będzie mnie dobijać, poćwiartuje i wyrzuci do śmieci. Ciekawe, czy do bio, czy do zmieszanych?” – pomyślałam w jakimś durnym przebłysku.

– Co ty będziesz robić? – spytałam drżącym głosem. – Wiesz... ja z tym dobijaniem, to żartowałam.

Uśmiechnęła się pochylona nade mną, ale nie odpowiedziała. Lekko mnie przesunęła i rozłożyła worki na sofie, aby zabezpieczyć materiał. Potem zaczęła mnie ostrożnie rozbierać do bielizny. Powinam walczyć o życie, bić, szarpać, drapać i kopać, ale wszystko mnie potwornie bolało! Mama miała rację. Teściowa wprowadziła się, aby mnie zlikwidować. Teraz Waldemar zabierze dziewczynki i dom. Pewnie pozbęda się też mojej mamy!

Nagle poczułam intensywny zapach. Ostry, ziołowy i piekący w oczy. Marzena z jakiegoś niewielkiego słoiczka wyciągnęła brunatnozieloną maź i zaczęła mnie ostrożnie nią smarować. Pewnie to jakiś nowoczesny specyfik rozpuszczający ciało! Śladu nie pozostawię po sobie. A ja, głupia, martwiłam się, że na śmietniku miejskim wzbudzę grozę swym porzuconym, rozkładającym się ciałem! Mil-

czałam, niezdolna do ruchu. Mierzyłam Marzenę morderczym spojrzeniem, ale teściowa nic sobie z tego nie robiła. Rozsmarowywała mi maź i nawet nuciła coś pod nosem. Tymczasem w miejscach już posmarowanych poczułam kojące ciepło. Na koniec zostałam szczelnie owinięta prześcieradłem niczym mumia.

– Otworzę okno, aby się przewietrzyło – odezwała się wreszcie teściowa. – Spróbuj się zdrzemnąć. Za godzinę tutaj zajrzę.

Zasnęłam chyba na dłużej niż godzinę, bowiem kiedy otworzyłam oczy, pochylały się nade mną zmartwione twarze moich córek, a za oknem słońce musiało się już przenieść na zachodnią stronę, czyli było popołudnie.

– Babciu! – wykrzyknęły mi nad uchem radosnym chórem. – Obudziła się!

Nie przeszkadzały mi wesołe pokrzykiwania. Nie przeszkadzało mi ciało! Czulałam się więcej niż świetnie! Ból odszedł. Po chwili w salonie pojawiły się mamunki. Marzena zaczęła mnie odwijać z prześcieradła i mogłam swobodnie usiąść. Nikt jednak nie ścisnął mnie z radości, bowiem niezmiernie śmiesznie i cała byłam wymazana na brunatno.

– Teraz pod prysznic i na obiad! – rozkazała Marzena, wypychając mnie z salonu.

Moja niesamowita radość z powodu odzyskanej władzy nad swoim ciałem wypełniła cały dom. Teraz pragnęłam „biegać, skakać, latać, pływać, w tańcu, w ruchu wypoczywać”!

Po obiedzie siedziałyśmy we trzy w ogrodzie. Dziewczynki, uspokojone moim stabilnym stanem zdrowia, pobiegły na spotkanie z koleżankami i kolegami z osiedla. Marzena przyniosła kawę i serniko-makowiec. Czy kiedyś jej minie zapal do kulinarnych działań? Właśnie otworzyłam usta, by spytać, co to za maść, którą mnie posmarowała, ale wyprzedziła mnie Bożenna:

– Ależ ta Bogusia się zmieniła! Rysiek tak w nią zapatrzony! Pomyśleć, że kiedy razem pracowaliśmy w szkole, to ją ten Rysiek tak wkurzał! Prostak i komunista, mówiła o nim w pokoju nauczycielskim. No i wyobraźcie sobie, że poznałam Roksanę! – wykrzyknęła i spojrzała na nas triumfującym wzrokiem. – Przyszła na chwilę. Przeprasiła za swoje gburowate zachowanie, gdy składali jej kondolencje. Taka niby smutna, ale i wesoła. Dziwne.

– Może się cieszy, że już tego Staszka nie będzie miała na głowie, ale głupio tak przy śmierci zaśmiewać się z radości – stwierdziła Marzena. – Udaje. Cały ten świat to jedno wielkie udawanie. Szczerości nie ma za grosz.

– Ot, powiedziała, co wiedziała! – prychnęła moja mama, naśladując Pawlaka z Samych swoich. Niezadowolona, że ktoś odbiera jej monopol na mądrości życiowe, z obrażoną miną odsunęła od siebie napoczęty sernik.

– Czegoś jeszcze się dowiedziałaś? – spytałam.

– Zrobili sekcję zwłok i na dniach wydadzą ciało, więc szykujemy się na pogrzeb – odpowiedziała wciąż nadąsana. – Nie mają jeszcze wyniku. Coś tam poszło nie tak albo co. Komplikacje albo bałagan. Roksanę to chyba zupełnie nie interesuje, jak zmarł Staszek. Po prostu chce już go jak najszybciej skremować i pochować. Jakby się bała, że ożyje, wstanie i wróci. Dałabym ją na podejrzaną numer jeden.

– Przecież ma alibi – przypomniała Marzena.

– Stać ją na wynajęcie mordercy – stwierdziła stanowczym głosem Bożenna.

– Raczej nie bardzo – wtrąciła Marzena. – Moja koleżanka z biura księgowego mówiła, że Staszek wydzieliał żonie pieniądze. Nie pozwalał pracować, założył konto, na które przelewał różne sumy. Nie wiem, jakie są ceny wynajęcia mordercy, ale myślę, że plasują się wyżej niż markowe ciuchy czy kosmetyki.

– Może sprzedała nerkę na czarnym rynku? – podsunęła Bożenna.

Nagle poczułam, jak bardzo nuży mnie to śledztwo. Zamknęłam oczy i wchłaniałam przyjemny, zbliżający się już wieczór. Ogarnęła mnie senność, ale wiedziałam, że tym razem nie mogę zasnąć w ogrodzie. Mamunki zażarcie dyskutowały o cenach różnych organów ludzkich.

– Co to za maść, którą mnie posmarowałaś? – spytałam znienacka, przerywając w pół słowa wypowiedź mojej mamy o handlu ludźmi na narządy.

Marzena westchnęła ciężko.

– Mikstura Maurycy... – odpowiedziała cicho, spuszczać wzrok niczym zawstydzona, cnotliwa niewiasta.

– Co?! – ryknęłyśmy jednocześnie z Bożenną.

– Wiedziałam! – wykrzyknęłam już sama.

– Wiem, co zaraz powiecie. Ale zadziałała. Też możecie pobiec do sanepidu, aby ją przebadać, ale nikt od niej jeszcze nie umarł. Mnie i mojej rodzinie zawsze pomagała na takie bóle – wyjaśniła spokojnie teściowa.

– To wiele tłumaczy, co się dzieje z twoją rodziną! – oburzyła się moja mama i jęknęła płaczliwie: – Zamroziś serce mojej córeczce! Będzie taka jak ty i ten oziębły jak ryba Waldemar!

Podniosłam się z krzesła zrezygnowana. Moja mama pochlipywała nieszczęrze, a Marzena uśmiechała się z zakłopotaniem.

– Dzisiaj jestem ci naprawdę wdzięczna, bo uratowałaś mi życie i pracę, ale już się zastanowię, co mam z tym począć. Trochę mnie przerażają te wyciągane ze strychu czy piwnicy, powiedzmy, pamiętki po Maurycy i wszystkie poniemiec-

kie czy poradzieckie znaleziska. Idę poczytać w samotności książkę i już przynajmniej dzisiaj nie słyszeć ani o Maurycy, ani o Staszku, ani o Bogusi i o kimkolwiek.

Dumna ze swej stanowczości, energicznym krokiem ruszyłam do domu. Po drodze do sypialni zajrzałam do kuchni, by cichaczem dokroić sobie wielki kawał serniko-makowca teściowej. Taka słodka rekompensata za te mordercze sobotnie ćwiczenia i niedzielne skutki.



## 20. Spokojnie, to tylko wakacje

Dwa tygodnie minęły bez większych rewelacji. Śledztwo okazało się całkiem zajmującą rozrywką, ale gdy nie postępowało z kopyta, gdy żadne koleżanki, znajomi czy inni świadomi albo nieświadomi informatorzy moich mamunek nie posuwali go do przodu, straciło na atrakcyjności. Tablica skryta za zasłoną w pokoju gościnnym zdołała się zakurzyć, bowiem Bożenna i Marzena zabrały dziewczynki i wyjechały do Boszkowa zaraz po rozdaniu świadectw. Na urlop poleciał również Grigorij, choć nie chciał zdradzać z kim i gdzie. Zyskałam spokój, ale i czas, który od razu wypełniałam pracą, by zagłuszyć natrętne myśli o rozwodzie. Szczególnie że sezon urlopowy w kurierce przekładał się na nadmiar paczek do rozwiezienia za nieobecnych kurierów. Zatem podsumowując, żadne z nas nie interesowało się już śmiercią Staszka Migotki. Nikt też nie poszedł na pogrzeb. Może poza Ryśkiem.

Za to innego, powiedzmy „pogrzebu”, nie mogłam przegapić. Waldemar wykorzystał nieobecność dziewczynek i zaskakująco szybko jak na zawalone sprawami sądy, wyznaczona została data rozprawy rozwodowej.

Lato w tym roku prezentowało się bezdeszczowo i upalnie. Lipiec rozpoczął od tak wysokich temperatur, że gdziekolwiek trafiałam, tam wysłuchiwałam litanie narzekań na pogodę, suszę, upały i globalne ocieplenie. Inne tematy zeszyły na plan dalszy. Nikt nie bulwersował się wypowiedziami polityków czy skandalami towarzyskimi celebrytów. Tylko słońcem przygrzewającym równo i bez podziału na tych z prawej czy lewej, wierzących i niewierzących. Legniczanie tłumnie oblegali jedyny czynny basen zewnętrzny, zdeptując się i podtapiając, albo chłodzili się, moczając się w prywatnych basenach w swoich ogrodach. Mnie doskwierał brak klimatyzacji w moim busie i jak się okazało nieprzepuszczające powietrza służbowe wdzianko, za które miał zostać skazany pomysłodawca i projektant, któremu nie żałowaliśmy wymyślnych tortur.

– Ja bym go ubrał w pełny strój – powiedział Boguś, wycierając chusteczką oblaną potem twarz. – Jeszcze ten zimowy i puścił na pustynię.

– Bez szklanki wody! – wtrącił Mateusz.

– I jeszcze nie pozwolic mu sikać na stojąco! – dorzuciła Brygida i mrugnęła do mnie okiem.

– A ja bym mu dał busa bez klimy, poplątane adresy i wszystkie mieszkania na ostatnim piętrze kamienic na Tarninowie! – dodał z zapalem Ząbek, czym nas zadziwił, bo bez względu na upał zwyczajnie się nie mył i śmierdziało od niego potrojnje. – I jeszcze... same telewizory do wniesienia!

– Brawo TY! – wykrzyknął Boguś i nawet chciał podejść i przybić Ząbkowi piątkę, ale powstrzymał się, by za blisko nie podchodzić do naszego kurierka smrodka.

Zapakowałam się błyskawicznie, nawet jak na spowalniającą ruchy temperaturę, by tylko nie znosić więcej narzekań. Polubiłam swoją pracę i już nie mogłam się doczekać, kiedy wyjadę na swój i dodatkowy rejon. Pozostali kurierzy przyglądali się temu bez zdumienia i komentarzy, choć wyczytywałam w ich twarzach lekką zazdrość o „początkowy entuzjazm nowicjusza”, który z biegiem czasu na pewno mija w każdej ciężkiej pracy. Na razie jednak poziom mojego zapалу trzymał się na najwyższej skali. Nawet, gdy zjeżdżałam do opustoszałego, cichego domu wieczorem zmęczona, obolała i przepocona, to dawno nie czułam się taka szczęśliwa. Może jest w tym coś, co głosi moja mama, że kobieta nie musi wisieć facetowi na szyi, by być szczęśliwa. Sama może sobie to szczęście zapewnić, wyszarpać albo wypracować. Chociaż... Wciąż woziłam ze sobą podarowany kawałek kartonika i z milion razy wybijałam na klawiaturze numer, bez połączenia, aż się go nauczyłam na pamięć. Leszek Stopyra zagnieździł się w mojej głowie, ale wciąż coś mnie powstrzymywało przed kuszącym spotkaniem.

W samochodzie pozbawionym klimatyzacji w lipcowym upale skwierczałam niczym mokry plaster boczku na rozgrzanej patelni, ale dojechałam do pierwszego punktu na moim rejonie.

Ulica Głogowska nie cieszyła się dobrą opinią wśród mieszkańców Legnicy. Ileż razy słyszałam, że na Głogowską to się nikt nocą nie zapuszcza albo że jak gdzieś stało się coś złego, to wiadomo, że tam, albo że ktoś podejrzany stamtąd pochodził. Jednym słowem wokół Głogowskiej narosło sporo negatywnych legend, równając ją z Zakaczawiem zwanym też Legnicką Dzielnicą Cudów. Jednak kiedy znalazła się w obrębie przyznanego mi rejonu i kiedy już kilkakrotnie dostarczałam tam paczki, okazała się całkiem odczarowana. Przede wszystkim mieszkańcy, nawet pomimo nieciekawego albo wręcz podejrzanego wyglądu, w rzeczywistości okazywali się niezwykle sympatyczni, weseli i przyjaźni dla kuriera. Po trzech tygodniach obylałam się z dzielnicą i co chwilę słyszałam: „Dzień dobry”.

Zdążyłam dostarczyć może z pięć paczek, gdy zadzwonił mój telefon. Akurat wspinałam się z dwudziestojednocalowym telewizorem w ciasnej klatce schodo-

wej ponemieckiej kamienicy. Zrobiłam sobie przerwę na drugim półpiętrze i odebrałam połączenie z Bożenną.

– Wiesz! Normalnie strasznie mnie denerwuje ta Marzena! – oznajmiła bez wstępów ani grzecznościowego „czy nie przeszkadzam?”. – Jak można tak żyć?! Nie wiem, czy się dziewczynki nie zdemoralizują! Przecież ona tutaj poderwała jednego takiego faceta! I ten, powiem ci w tajemnicy, młodszy od niej o dziesięć lat, Dariusz, przychodzi do nas codziennie wieczorem!

– Mamo, czy to naprawdę nie może poczekać? Jestem w pracy... Może zdzwonimy się wieczorem... – próbowałam grzecznie się wykręcić od zapowiadającej się na długą rozmowę.

– Wykluczone! Wieczorem, to ty zadzwoń do niej! Przecież ona ma jeszcze męża! Tu chodzi o twoje dzieci! Dziewczynki nie mogą czerpać z takiego wzorca! A ten Dariusz przesiaduje tu w niemych zachwycie, ślini się na te pierożki, gołąbeczki, mielone!

– Mamo... – chciałam negocjować. – Nie wszyscy chcą takiego życia jak twoje!

– A co jest złego w moim życiu?! – oburzyła się Bożenna i usłyszałam, że coś przeżuwała przez chwilę, by zaraz potem wykrzyknąć z pełnymi ustami: – Boże, jakie ona robi dobre te kotlety! Ja ci takich, córeczko, kotletów nie robiłam! Mniamm. Zmarnowałam ci dzieciństwo, zapisując na stołówkę, przepraszam! Kończę, bo jeszcze sobie dołożę, zanim ten Dariusz wszystko nam zezre!

I jak można było się domyślić, przerwała połączenie. Westchnęłam. Wcale nie myślałam o swoim dzieciństwie źle. Wręcz przeciwnie. Za to zrobiłam się głodna, bo nie dość, że nasłuchiwałam się teraz o kuchni mojej teściowej, którą zdążyłam pokochać i zapamiętać, to jeszcze na klatce schodowej rozchodził się zapach podsmażanych pierogów. Oszaleć można! Uniosłam opakowanie z telewizorem i powróciłam do wspinaczki w górę. Ślina i pot kapały ze mnie, pozostawiając mokre ślady na schodach. Wreszcie dotarłam półprzytomna na ostatnie piętro. Drzwi otworzyła mi uśmiechnięta staruszka.

– Dzień dobry, kurier – przedstawiłam się i zerknęłam na dane adresowe na paczce, choć niewiele widziałam, bo pot zalewał mi oczy, a nie miałam rąk, by sobie pomóc. – Pani Stołek?

– Proszę pani! Kołek! – poprawiła mnie wesoło.

– Przepraszam, Stołek. To znaczy Kołek!

– No właśnie Kołek! – potwierdziła starsza pani i otworzyła mi szerzej drzwi, bym mogła wejść do środka. – Pani postawi w stołowym. Wnuk przyjdzie, to podłączy!

Weszłam w sam środek jakiegoś skansenu z międzywojnia, gdzie nawet pozostał zapach tamtych czasów. Staralam się nie rozglądać ciekawie wokół i ostentacyjnie nie podziwiać tych wszystkich kredensów, stołów, krzeseł, kanap i nawet żyrandoli, do których prowadziła jeszcze gazowa rurka. Na szczęście staruszka zajęła się rozkładaniem ręcznie robionej serwetki na małym stoliczku pomiędzy oknami, gdzie zamierzała zameldować, zupełnie niepasujący do wnętrza, telewizor. Uczyniłam zadość jej życzeniu i poprosiłam o potwierdzenie, jak ostatnia idiotka rzucając:

– Pani Stołek, proszę tutaj podpisać.

Staruszka się roześmiała.

– Kołek! – poprawiła mnie ponownie, z zaraźliwą wesołością. – Ja, proszę pani, urodziłam się w trzydziestym czwartym roku. Z domu to ja Białobrzaska byłam. I wyszłam za tego Kolka, a on mnie owdowił w siedemdziesiątym dziewiątym. I ja tak jak ten Kołek zostałam!

Roześmiałyśmy się obie. O ile pani Kołek poprawiła mi humor i zbiegając ze schodów, jeszcze się śmiałam, to kolejna klientka już przez telefon zgasiła mój uśmiech:

– Nie ma mnie w domu, ale jest syn, to proszę zostawić paczkę!

– Niestety, ale nie mogę. Tutaj jest przesyłka do rąk własnych. Zatem musi być pani – odpowiedziałam grzecznie, choć z drugiej strony telefonu czułam, jak ucho mi się zamraża od Królowej Śniegu i zaraz, jak biedny Kaj, stracę serce!

– Co mi pani tutaj będzie dyktować, gdzie ja mam być! – ryknęła. – Pani jest od dostarczenia paczek, a nie od osobistych wycieczek, gdzie powinnam teraz być! Proszę zostawić paczkę mojemu synowi! Za kogo się pani ma?!

Na wszelki wypadek odsunęłam sobie telefon od ucha i odpowiedziałam:

– Za kurierkę.

– Jeżeli pani tej paczki nie zostawi, to ja złożę skargę!

– Proszę bardzo, ale powtarzam pani jeszcze raz, że to jest paczka do rąk własnych. Pani rąk własnych – naprawdę wzbiłam się na wyżyny cierpliwości i przed zamrożeniem mojego serca uratował mnie jedynie brak klimatyzacji i wszechobecny upał. – Mam jeszcze jedno pytanie: czy przełożyć dostarczenie na poniedziałek, czy odbierze ją pani dzisiaj w oddziale?

– Co za bezczelność! Będzie mi taka dyktować warunki!

– W porządku – odpowiedziałam takim tonem, jakbym tłumaczyła trzylatkowi, że nie można przechodzić przez ulicę na czerwonym świetle. – Zrozumiałam, że nie życzy sobie pani już mnie widzieć, zatem daję na odbiór własny. Pro-

sze odebrać w naszym oddziale przy ulicy Wrocławskiej do godziny osiemnastej. Miłego dnia! I nie mówię „do widzenia”, bo przecież się nie zobaczymy.

Rozłączyłam się i roześmiałam. Całe szczęście, że pozytywna energia od cudownej pani Kołek nadal działała, bo inaczej wylądowałabym na kozetce u psychoterapeuty. Teraz przeniosłam się na rejon Centrum i tutaj naprawdę moja sesja u specjalisty z każdorazowym brakiem miejsca do zaparkowania stawała się coraz bardziej realna. Piątek pracujący nie chciał się skończyć i przedłużał w nieskończoność, gdy krążyłam po ulicach, obracając głowę o trzysta sześćdziesiąt stopni w poszukiwaniu miejsca do zaparkowania. Naprawdę nie można wybudować podziemnych albo naziemnych parkingów? I szczerze chciałam się zachwycać Legnicą, ale mocno zaciśnięte zęby z bezsilności i wściekłości uniemożliwiały mi uśmiech. Tutaj dopiero się napociłam! Marzyłam już o powrocie, przysnuciu i legnięciu na swojej ogrodowej huśtawce! Dlatego zatrzymałam się przed zajęтым przez osobówkę miejscem dla dostawców i zablokowałam auto, by dostarczyć paczkę kilka kroków od rynku. Otworzyłam pakę i już wiedziałam, że nie dam rady jej ot tak zanieść. Przypomniałam sobie też jeden z punktów kodeksu Grigorija, który brzmiał: „Nigdy nie targaj ciężkich paczek, jeżeli nie masz opłaconego wniesienia”. No i oto miałam paczkę, która gabarytami może nie przerastała Śnieżki, ale aby ją umieścić w busie, potrzebowałam paleciaka. Zatem nie miałam najmniejszych szans, aby wziąć ją w jakikolwiek inny sposób. Sprawdziłam adres i zamarłam nad imieniem i nazwiskiem: Tymon Kapusta! Przeczytałam głośno, bo już mogłam nie dowierzać swemu widzeniu po dziesięciu godzinach pracy, w upale, bez klimatyzacji i już na wyczerpanych bateriach. Serce mi dopiero teraz waliło jak oszałałe. Tymon Kapusta jak nic! Z wrażenia zadzwoniłam do własnej matki, zamiast do klienta. Radość i niedowierzenie z powodu takiego zbiegu okoliczności zupełnie mnie ogłupiła.

– Dzień dobry, pan Tymon Kapusta? Tu kurierka. Mam dla pana przesyłkę – ze ściśniętym gardłem wypowiedziałam standardową formułkę.

– Jaki Tymon?! Krzyśka, co z tobą? – odezwała się zaniepokojona moja mama.

– Przepraszam cię! Pomyliłam się. Właśnie mam paczkę dla Tymona Kapusty – pochwaliłam się, skoro już rozmawiałyśmy.

– A kto to taki?! – obruszyła się Bożenna. – Jak to kolejny gach twojej teściowej, to dzwonię do Romana, niech ją natychmiast stąd zabiera!

Westchnęłam. Dwa tygodnie wakacji wystarczyły, aby zniknął wielki zapal do śledztwa i pamięć o wszystkich podejrzanym. Mama nie czekała na moje wyjaśnienia, ponieważ sama się rozłączyła, by zapewne powrócić do plażowania albo innych wczasowych rozrywek. I oto zostałam sama z adresem i telefonem do Ty-

mona Kapusty, z którym Staszek Migotka spotykał się na wódeczce. O ile dobrze pamiętałam, bo dzisiaj i o tej porze niczego nie mogłam być pewna.

– Przepraszam panią... – usłyszałam tuż obok damski głos i na chwilę oderwałam wzrok od adresu na przesyłce, by przyjrzeć się kobiecie stojącej z naburmuszonym dzieckiem za rękę. – Czy mogłaby mnie pani wypuścić? Zastawiła mi pani auto.

Uśmiechała się do mnie przepraszająco, więc mój bojowy nastrój po bezskutecznym poszukiwaniu miejsca i jeszcze dotarciu pod nieprzepisowo zajęte miejsce dla dostawców, odjechał ekspresem w nieznanym kierunku.

– Widziała pani, że to miejsce dla dostawców...

– Owszem. I z pełną premedytacją je zajęłam, bo było wolne, ale tak się spieszyłam z Pawelkiem do lekarza, że już nie myślałam. Strasznie panią przepraszam!

– Nie gniewam się. Proszę poczekać, odjadę kawałek.

Nie musiałam kruszyć kopii, ponieważ uprzejmość kobiety z dzieckiem nie powinna być napiętnowana złym humorem kuriera z powodu braku miejsc parkingowych w mieście. Co innego, gdyby ktoś z wydziału komunikacyjnego albo drogowego, czy jak tam to zwą, zajął to miejsce! Wtedy grzeczność by nie pomogła po żadnej stronie!

Ponownie spojrzałam na adres na przesyłce i już nie wahając się ani chwili, wybrałam numer Tymona Kapusty.

– Niestety, nie ma mnie teraz w domu – usłyszałam po wygłoszeniu swojej formułki. – Ale mam prośbę. Czy może mi pani dostarczyć ją do firmy? W zasadzie to kserokopiarka do biura.

Zagryzłam wargę i zapytałam:

– A pod jaki adres?

– Myrka za Dino przy Rzeczpospolitej.

Wiedziałam, że to nie mój rejon, wiedziałam, że to drugi koniec miasta, wiedziałam, co powtarzał Grigorij na temat uprzejmości robionych klientom. Wiedziałam. Ale to Tymon Kapusta. Nie mogłam postąpić inaczej, bo nie będzie lepszej okazji, by go zobaczyć i ukradkiem zrobić mu zdjęcie na tablicę.

– Zgoda. Przyjadę. Proszę wziąć kogoś do pomocy.

Piętnaście minut później podjechałam pod budynek firmy o tajemniczej nazwie Cyclox, znajdującej się w budynku na dawnym lotnisku. Ledwie przejechałam obok ciasno zaparkowanych aut. Pod gigantycznym szyldem, który zapewne w założeniach właścicieli powinien być widoczny z kosmosu, czekał mężczyzna

pałący papierosa. Zastanawiałam się, czy nie zrobić mu teraz zdjęcia, ale spod przymrużonych powiek obserwował mnie podejrzliwie, więc zaparkowałam bez wyciągania telefonu. Wyszłam zadowolona i uśmiechnięta, że zaraz pozbędę się ładunku zajmującego mi pół paki i zrobię „przypadkiem” zdjęcie Tymonowi Kapuście. Kompletnie łysy jegomość o niezyczliwym spojrzeniu wyciągnął w moją stronę wielką jak łopata do odśnieżania dłoń i przedstawił się jako właściciel Cycloxa. Otworzyłam pakę i zaprezentowałam w całej okazałości ładunek przeznaczony dla Tymona Kapusty. Wciąż czekałam na okazję, by zrobić mu zdjęcie. Ręka z trzymany telefonem już mi się tak spociła, że bałam się, że aparat zaraz wysłiźnie się na betonową nawierzchnię, więc wpadłam na kretyński pomysł.

– Przepraszam, ale w związku ze zmianą adresu muszę zrobić zdjęcie miejsca, gdzie zostawiłam taką przesyłkę – poinformowałam go i uruchomiłam aparat.

Tymon Kapusta sprytnie odsuwał się z kadru, ale ja niczym japoński turysta nie ustawałam w wysiłkach sfotografowania wszystkiego wokół. Obracałam się, kuciałam, przechylałam i wreszcie miałam jego podobiznę, choć niewątpliwie wyszłam na totalną idiotkę. Tymon Kapusta, zniecierpliwiony, wskazał na paczkę i rzucił władczy tonem:

– Proszę mi to dostarczyć do biura!

Uśmiechnęłam się oparta o jedno skrzydło drzwi busa.

– W żadnym wypadku – odpowiedziałam spokojnie, pomna przestróg Grigorija. – Zostawiam tutaj.

– Co pani sobie myśli?! – ryknął Tymon, a jego uprzejmość przez telefon uleciała niczym para wodna. – Ja mam to wnosić?!

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Moje otwarte i coraz mniej przyjazne spojrzenie kontra złośliwe świńskie oczka. Pomyślałam, że zawsze negatywni bohaterowie mają wredne świńskie oczka, ale odezwałam się jak do pozytywnej postaci.

– Może pan kogoś poprosi o pomoc? – zasugerowałam z nieco fałszywym uśmiechem.

– Kogo?!

– Jak dla mnie, to nawet księdza, ale ja to zrzucam tutaj – podsumowałam, wskakując energicznie na pakę.

Tymon Kapusta Tymonem Kapustą, ale jakąś godność trzeba zachować. Zdjęcie już miałam, więc teraz mogłam mu tę paczkę wykopać z mojego auta. Na szczęście argument siły zadziałał i zaraz pojawił się pracownik, który zawołał kolejnego, by wspólnymi siłami uwolnić mnie od konieczności użycia własnych mięśni. Tymon Kapusta podpisał dokumenty i mogłam już wracać na bazę, a po-

tem do domu. Poza prysznicem i huśtawką czekała na mnie jeszcze zapomniana tablica, na której będę mogła zawiesić kolejnego podejrzanego. W końcu o niczym innym nie marzyłam, jak o tym, by wreszcie zamieszkać we własnym domu bez moich mamunek.



## 21. Odpowiedzi na małżeńską nieobecność

„Nie daj się zatrzymać!”, „Jesteś tego warta!”, „Bądź jak Rocky!”. Mogłabym wyliczać w nieskończoność wszelkie hasła, które powinny podnieść mnie na duchu, zmienić w twardzielkę, niegrzeczną dziewczynę czy kobietę sukcesu, niezłomną i twardo stąpającą po ziemi – koniecznie w szpilkach. Mogłabym sobie wykleić cały dom takimi hasłami i powymyślać swoje własne, ale i tak by nie działały. Cały ten intratny biznes motywacyjno-wspierający nie spełnił moich oczekiwań, gdy orzeczono już na pierwszej rozprawie, bez orzekania o winie, mój, jego czy ostatni raz z przymiotnikiem „nasz” – rozwód.

Jeszcze na sali sądowej czułam się jak pozbawiony baterii robot, jak wyprana z kolorów stara sukienka. Przyszłam, odpowiadałam na pytania, wysłuchałam i wyszłam już w innym stanie cywilnym. Wsiadłam do swojego busa jako rozwódka, zapaliłam silnik jako rozwódka i odjechałam jako rozwódka. Tak po prostu. Dojechałam do swojego ulubionego miejsca za schroniskiem dla zwierząt na Ceglanej. Psy ujadły niemiłosiernie, więc zmieniając zwyczaje, bo i stan cywilny mi się zmienił, więc nie można trwać w dawnych przyzwyczajeniach, weszłam na teren schroniska. Przespacerowałam się wzdłuż boksów i tutaj odzyskałam uczucia, jakby mnie ktoś poddał elektrowstrząsom. Niechciane, porzucone, skrzywdzone zwierzaki mniej lub bardziej hałaśliwie domagały się mojej uwagi. A ja się użalam nad sobą!

– Wybrałam pani takiego spokojniejszego psa. – Jedna z opiekunek podała mi smycz, do której przywiązany był stary kundel o zrezygnowanym spojrzeniu. Wyglądał jak krówka z tymi swoimi czarno-białymi łatami i opasłym cielskiem. – Nazywa się Kumpel.

Ruszyliśmy z Kumpem w stronę Lasku Żłotoryjskiego. Spacer miał mi przynieść ulgę, zapomnienie i wyciszenie. Początkowo szliśmy udeptanymi ścieżkami, którymi pozwoliłam się prowadzić Kumplowi. Dreptał niespiesznie, nawet się na mnie nie oglądając. Ileż takich spacerów odbył? Bezskutecznych i beznadziejnych? Weszliśmy na wielką polanę, gdzie w jednym z rogów przygotowane zostało miejsce na ognisko z ławkami i stołami. Usiadłam, a Kumpel posłusznie klapnął obok i patrząc w dal przed siebie, czekał na dalszy spacer.

No i tutaj, na pustej polanie, w najmniej oczekiwanym momencie, dopadła mnie rozpacz. Walnęła mnie między oczy i właśnie teraz bliskie wydawało się porównanie do Rocky'ego, bo poczułam boksinokaut, aż spadłam z ławki do tyłu. Zawylałam głośno w swojej rozpacz, z bólu, z rozczarowania. Jak to w ogóle możliwe? Co przegapiłam w moim trwającym piętnaście lat małżeństwie, że Waldemar tak po prostu wyszedł z niego bez uczucia, bez skrępowań, bez słowa? Gdzie się podziała miłość, gdzie te wcześniejsze adoracje, wesole powroty do domu, podróże, kolacje? O co właściwie poszło? Gdybym teraz miała udzielać wywiadu dociekliwemu dziennikarzowi, to nie potrafiłabym podać przyczyny ani genezy rozpadu mojego małżeństwa. Nic. Absolutnie nic nie zapowiadało takiej katastrofy! Kurwa! To chyba ze mną coś się stało! Może sparszywiałam?!

Rozplakałam się, leżąc na trawie tuż obok obojętnego na moje szaleństwo Kumpla. Myślę, że ta psia stoicka postawa sprawiła, że się szybko ogarnęłam. Podniosłam się, otrzepałam z kurzu i trawy i powiedziałam do Kumpla:

– Dzięki! Prawdziwy z ciebie kumpel!

Z pozorów niemrawy wiekowy pies okazał się chętny do biegania i szaleństw. Wróciliśmy do schroniska zziębnięci, ale niebotycznie szczęśliwi. Opiekunka odebrała ode mnie Kumpla. Obiecałam sobie wpadać częściej, by wyprowadzać psy i zarazić tym dziewczynki.

– Na razie nie mogę wziąć do siebie żadnego psa – rzekłam z żalem opiekunce, gdy odprowadzała mnie do wyjścia.

– Mnie się pani nie musi tłumaczyć.

– Ale czuję, że muszę, bo to takie jakby nie fair w stosunku do Kumpla.

Kobieta uśmiechnęła się do mnie, prezentując bez skrępowania swoje uzębienie bez lewej górnej trójki.

– Lepiej, żeby pani przychodziła i wyprowadzała psy, niż wzięła jakiegoś z poczucia litości albo z wyrzutów sumienia, a potem się mordowała z nim, a on z panią – odpowiedziała wesoło. – To musi być świadoma i pewna decyzja na całe życie! Tutaj nie wciskamy psów na siłę każdemu, kto tylko przekroczy bramę. Do zobaczenia!

Pozegnałam się i odjechałam. Już nie musiałam kontemplować krajobrazu po nieobecnej wiosce, użalać się i zamartwiać. Przecież życie toczy się dalej! Dzisiaj wieczorem wracają moje dziewczynki i nie mogę pokazać się im w kompletnie rozsypanej wersji!

Dojechałam do domu, po drodze robiąc zakupy, aby powitać moje bliźniaczki godną kolacją. Nic dzisiaj nie musiałam. Żadnych paczek, żadnych telefonów, żadnych zobowiązań! Postanowiłam się wykapać i jeszcze zrobić się na bóstwo

dla siebie samej! Tylko już nie chciało mi się ponownie jechać do miasta na zakupy, tym razem kosmetyczne, i postanowiłam wygrzebać wszystko, co kiedyś sobie kupiłam w lepszych czasach, gdy używałam kredki do oczu, cieni i maskary. Po wzięciu prysznicą rozpoczęłam poszukiwania i rzeczy odnalezione w różnych miejscach, między innymi w starych torebkach poupychanych na dnie szafy, zrzuciłam na swoje łóżko. Całkiem pokaźny stosik się ułożył. Samych tuszów do rzęs posiadałam z dziesięć, choć wszystkie wysuszone na wiór. Postanowiłam je reanimować dla swego lepszego samopoczucia. Znalazłam nawet szetki maseczek obiecujących likwidację zmarszczek i zrogowaceń skóry i nie zawahałam się przed makijażem użyć dwóch, najbardziej kolorowych. Wklepałam je w twarz i zabrałam się za włosy. Najpierw je wysuszyłam, a potem zaczęłam prostować. Udało mi się nie spalić połowy głowy, ale moje włosy zaczęły przypominać w dotyku coś, co imitowało włosy u lalek. Zrezygnowałam z prostowania tylko dlatego, że niepokojąco zaczęła mnie swędzieć skóra na policzkach i czole. Zatem najwyższy czas zdjąć maseczkę. Powiedzmy, że się trochę udało. Skóra zrobiła się dziwnie czerwona, swędziała i pozostałości maseczki wisiały w postaci jakichś przezroczystych paprochów, jakby złuszczał mi się naskórek. Zmarszczki trudno było w takich okolicznościach dostrzec i wyczuć. Nie poddawałam się. Sięgnęłam po mydło i myjkę do naczyń. Zdejmę to z siebie i wklepię regenerujący, łagodzący podrażnienia i nawilżający krem i wszystko mi zejdzie. Nie pierwszyna!

Cóż, maseczkę udało mi się zmyć, albo raczej „zszorować”, ale czerwień przybrała na intensywności szczególnie na policzkach i czole. Dopiero teraz pomyślałam, aby zerknąć na opakowania i sprawdzić, jak długo powinnam to trzymać na twarzy. Okazało się, że zmieściłam się w czasie, ale nie w dacie przydatności, która skończyła się trzy lata temu! Omal nie dostałam ataku paniki. Jestem nie-normalna, jak mogłam od razu o tym nie pomyśleć?! Krytyka poczynań Marzeny z miksturami Maurycy przyszła mi tak łatwo. A tymczasem z własnego lenistwa oszpeciłam się na zawsze i teraz swobodnie mogę deklorować jak moja mama, że żaden facet mi do życia niepotrzebny! Tylko że na mnie już żaden nie spojrzy. Przynajmniej nie z zachwytem.

W panice zaczęłam przeszukiwać apteczkę, by zniwelować brzemiennie skutki mojego poprawiania własnej urody. Policzki i czoło ktoś przypalał żywym ogniem. Porzuciłam rewizję w apteczce na rzecz zamrażalnika. Najlepsze okazały się piersi z kurczaka i mrożona w woreczkach aronia. Położyłam się na sofie i przyłożyłam wiktuały na twarz, by już po chwili nieco odczuć ulgę. Teraz nie piekło, tylko swędziało, ale postanowiłam wytrzymać. Zamrozę cholerstwo i potem może być tylko lepiej. Chyba że cała twarz odpadnie do gołej kości. To się na-

zywa wejść w nowe życie z przytupem, ale bez twarzy! Teraz mnie to rozbawiło i rechotałam sobie pod maską z mrożonek.

– Cóż jeszcze może mnie dzisiaj spotkać?! – rzuciłam losowi, który sobie ze mnie całkiem udanie żartował. No i wypowiedziałam w złą godzinę. Do moich drzwi ktoś zadzwonił. Zerwałam się do radosnych płasów i okrzyków szczęścia, przekonana, że już moje bliźniaczki stoją u wrót naszych i jak zwykle zapomniały kluczy, przyzwyczajone, że matka zawsze jest w domu. Zrzuciłam z siebie „płaszcz Kordiana”, czyli w moim przypadku mrożoną maseczkę mięsno-owocową i w podskokach dopadłam drzwi. Otworzyłam i jęknęłam porażona widokiem, jaki mi się objawił w postaci Leszka Stopyry. Cóż, on też jęknął porażony, o ile jeszcze nie przerażony. Wtedy sobie przypomniałam, że na pewno daleko mi do topowych modelek znanych projektantów czy tysiąca najpiękniejszych kobiet świata i że w obecnym stanie mej nietuzinkowej urody stanowią ich drastyczny antonim. Zamiast zamaszystym trzaśnięciem drzwiami przed nosem Leszka zamknąć temat swego wyglądu, uciekałam w popłochu do swojego pokoju, by okryć się czymkolwiek, bowiem wystąpiłam w samej i to niezbyt atrakcyjnej bieliźnie. Tak się na tym skupiłam, że zapomniałam o kłopotach z twarzą. Może dlatego, że zimno mnie nieco zakonserwowało i znieczuliło. W końcu, ubrana w sukienkę w czerwone maki, wyszłam, by godnie powitać gościa.

Leszek zdążył już wejść, ale nadal nie zamknął ust, gdy się we mnie wpatrywał.

– Przepraszam, że spytam, ale czy to, co masz, jest zaraźliwe?

– Dlaczego tak dziwnie pytasz? – oburzyłam się.

– Bo dziwnie wyglądasz... Masz chyba ostrą reakcję alergiczną i jesteś cała spuchnięta. Dobrze ci się oddycha? – spytał, podchodząc bliżej i dotykając wierzchem dłoni mojego czoła.

– Chyba dobrze – odparłam buńczucznie, ale zerknęłam do lusterka w przedpokoju i jęknęłam rozdzierająco: – O Jezuuu!

Czerwień znów zagarnęła mi policzki i czoło. Rzeczywiście cała twarz mi spuchła i ledwie dostrzegałam swoje oczy.

– Jedziemy do lekarza! – zdecydował szybko Leszek i w porę ujął mnie za kibić, bowiem zrobiło mi się dziwnie słabo.

Dalej wypadki potoczyły się w zawrotnym tempie. Wybiegliśmy z domu, potem ja wróciłam, by zabrać torebkę i zamknąć drzwi. Wsiadłam do samochodu Leszka i łamiąc wszelkie przepisy i ograniczenia, jednocześnie cudem nie pomnażając ofiar wypadków samochodowych, dotarliśmy do szpitala. Na legnickim SOR-ze wszystkie miejsca były zajęte przez czekających na lekarską pomoc nieszczęśliwych. Wyróżniałam się na ich tle na tyle wyraźnie, że zajęto się mną

w pierwszej kolejności. Otrzymałam kroplówkę i czekałam na jej zbawcze działanie w towarzystwie zaniepokojonego Leszka. Pytania pielęgniarek i lekarza, co takiego może być przyczyną reakcji alergicznej, stanowiły dla mnie najcięższe wyzwanie. Wolałabym się przyznać do wywołania globalnego ocieplenia, kradzieży Bursztynowej Komnaty czy zamachu na Kennedy'ego, niż do poprawiania urody przeterminowanymi maseczkami i nie zeznawać w obecności faceta. Takiego faceta! Zatem grzecznie poprosiłam Leszka o przyniesienie mi kawy z automatu, a kiedy wyszedł, przyznałam się do swojej winy. Jak mogłam się spodziewać, dostarczyłam sporej dawki rozrywki całemu szpitalowi. Z innych oddziałów schodzili się, aby mnie oglądać i mogłam poczuć się jak celebrytka, którą wszyscy chcą poznać i zrobić sobie z nią selfie. Na szczęście powracający z kubkiem kawy Leszek nie został wtajemniczony w powód tak powszechnej wesołości. Mnie również by się udzieliła, lecz nagle oświecona zostałam zupełnie inną myślą, więc zerwałam się na równe nogi z potężnym rykiem, przez który na pewno kilka osób uciekło z poczekalni:

– Prostownica!

– Co takiego?! – spytali zgodnym chórem Leszek wraz z lekarzem.

– Muszę wracać! Boże! Nie wyłączyłam prostownicy! Pali się mój dom! Pali się całe miasto! – krzyczałam przerażona wizją straty jedynej cennej rzeczy w życiu moim i dziewczynek, płacząc z bezsilności uwiązana do kroplówki.

– Daj klucze! Jadę!

Jak w amoku wyciągnęłam klucze i sekundę później Leszek wybiegł, by ratować mój dobytek albo dogasić jego spopielone resztki. To była najdłuższa kroplówka mojego życia i za sprawą strasznego lęku wcale nie czułam się od niej lepiej. Wreszcie po dwóch wiekach zjawił się zziębnięty i nie mniej czerwony ode mnie Leszek. Usiadł obok mnie bez słowa, podając mi klucze.

– Wyłączyłaś – wysapał, jakby z Południowej biegił, zamiast jechać samochodem. – Chyba że masz jeszcze jedną prostownicę w innym miejscu niż łazienka?

– Nie mogłeś zadzwonić wcześniej? Odchodziłam od zmysłów – rzuciłam z wyraźną ulgą, ale i ze słuszną pretensją.

– Przecież właśnie dlatego dzisiaj do ciebie przyjechałem – odparł z uśmiechem. – Nie mam twojego numeru, a ty pewnie nie chciałaś pierwsza zadzwonić do faceta! Albo zgubiłaś wizytówkę.

– Nie zgubiłam – westchnęłam i tym razem rumieniąc się naturalnie, wyjaśniłam: – Po prostu nie miałam czasu. Taka robota i jeszcze sezon urlopowy... Ale mam go już zapisany w komórce.

– To teraz wyciągnij, proszę, telefon i zadzwoń – oznajmił i zastygł w oczekiwaniu.

– Teraz? Mam z tobą rozmawiać przez telefon, gdy siedzisz tutaj obok?

– Mogę pójść do samochodu, jeśli ci to robi jakąś różnicę – westchnął. – Po prostu będę miał twój numer.

– Spryciarz! – prychnęłam rozbawiona i wybrałam jego numer w telefonie.

Melodia z *Różowej Pantery* zabrzmiała w szpitalnym korytarzu.

– No, gołąbeczki! – usłyszeliśmy głos pielęgniarki, która zmaterializowała się przy nas. – Zabierajcie się już do domu! Kroplówka się skończyła. Tutaj jest recepta. Następni czekają! A pan! – wymierzyła palec wskazujący w pierś Leszka, wzmacniając przekaz złowrogim spojrzeniem, i rzekła groźnie: – Powinien kochać żonę taką, jaka jest, a nie podstępnie zmuszać do podejrzanych zabiegów kosmetycznych!

„I po tajemnicy!” – pomyślałam, opuszczając legnicki SOR z mocno zaskoczonym Leszkiem.

## 22. Jak wyjść z małżeństwa z twarzą?

W drodze powrotnej znów mnie dopadła, choć na szczęście krótkotrwała refleksja na temat mego skończonego małżeństwa. Leszek prowadził w skupieniu, od czasu do czasu rzucając zaniepokojone, troskliwe spojrzenia w moją stronę, które wyłapywałam, gdy wewnątrz samochodu oświetlała kolejna mijana latarnia i które błogo mnie otulały. Chłodny wieczór przyjemnie wlatywał przez lekko uchylone okno. Poczułam błogość, w której mogłabym trwać i trwać. Opustoszałe ulice miasta świadczyły, że legniczanie nie doceniają pięknych wieczorów i nie raczą się spacerami czy rozrywkowym życiem nocnym w dni powszednie. Co do weekendów, to sama nie stanowiłam przykładu rozrywkowego stylu życia i może tutaj popełniałam błąd? Przyjemnie kleiły mi się powieki i opadały, jakby ważyły tonę. Całe ciało miałam tak nieznośnie ciężkie. I nagle bardzo zachciało mi się siku! Zapewne skutek działania kroplówki. Najważniejsze, aby pomogła, ale parcie na pęcherz w samochodzie niepokojąco skojarzyło mi się z katastrofą i senność minęła jak nożem uciął. Na szczęście zatrzymaliśmy się już pod moim domem. Zapalone we wszystkich pokojach światła świadczyły, że powróciły urlopowiczki, rozświetlając pogrążone już we śnie osiedle Sienkiewicza.

– Mam cię wnieść? – spytał Leszek, wyłączając silnik.

– Jeszcze stanie się to tradycją! – zażartowałam.

– Całkiem miłą – zauważył. – Chociaż po tak długim milczeniu, braku kontaktu, może miłą tylko jednostronnie.

Kontynuowałam tę rozkoszną, romantyczną czy też dobrze zapowiadającą się rozmowę w nieskończoność. Piękny poniedziałkowy wieczór sprzyjał pozytywnemu rozwojowi naszej znajomości. Może i nawet zakończyłby się pocałunkiem, przeciw któremu nie miałabym absolutnie nic. Może i rzucilibyśmy się na siebie w namiętym szale... Ale! Pęcherz, pełny do granic elastyczności tego organu, narzucił bezlitośnie inny scenariusz tego wieczoru.

– Muszę lecieć! – rzuciłam, już wyskakując z auta, jakby mnie poparzyło siedzenie. – Dziękuję za wszystko! Odezwę się! Dobranoc!

Ostatnie słowo wypowiedziałam już przy drzwiach naszego domu i nawet dostrzegłam całkowite zmieszanie na oświetlonej samochodowym światłem twarzy

Leszka. Niestety, w tej sprawie nic nie mogłam uczynić. Jeżeli eksploduje mi pęcherz, wołałabym, aby żaden facet tego nie wiedział, nawet z daleka.

\* \* \*

Po przekroczeniu progu żwawo ruszyłam do łazienki i gdyby w tym momencie ktoś ją zajmował, z pewnością skończyłoby się to krwawą rozprawą. Na szczęście dostęp do toalety pozostał wolny. Ledwie wyszłam wypełniona małym szczęściem i ulgą, wpadłam na Bożennę.

– Matko Boska! Wszyscy święci! Coś ty sobie zrobiła?! – takim okrzykiem powitała mnie jako pierwsza moja mama, przywołując tym samym pozostałe domowniczeki.

Stałyśmy w wąskim przedpokoju, ale na tyle dobrze oświetlonym, by przerazić się moim wyglądem. Mam nadzieję, że kupione po drodze w aptecce leki zadziałają, bo w przeciwnym razie będę musiała jutro kupić czador, aby nie straszyc klientów.

– Zasnęłaś na słońcu? – spytała Tomira, oglądając mnie uważnie niczym interesujący przypadek medyczny.

– Trzeba jechać do szpitala! Dzwonię po Romka albo po Marka – rzuciła teściowa i musiałam od razu powstrzymać wybieranie przez nią numerów w telefonie.

– W porządku. Już stamtąd wracam. To uczulenie!

– Jadłaś fast-foody? – upewniła się Elwira z wyrazem obrzydzenia. – Moją koleżankę zawsze tak wysypuje na twarzy, jak tylko zje hamburgera albo kebaba!

– No przecież mogłaś rozmrozić pierogi, które ci zostawiłam! – jęknęła Marzena i natychmiast wyszła do kuchni, by mnie nakarmić czymś zdrowym i smacznym.

Chcąc już zakończyć te dywagacje na temat przyczyn mego niekorzystnego wyglądu, westchnęłam i objęłam moje bliźniaczki. Najpierw się opierały w obawie, czy to, co mam na twarzy, nie jest zaraźliwe, ale chwilę później wreszcie rodzinnie i ciepło się przywitałyśmy. Potrzebowałam tych objęć, śmiechów i ciepła. Jak bardzo potrzebowałam! Tylko takie objęcia potrafią ukoić, pokrzepić i przywrócić wiarę w siebie, że się tego życia całkowicie nie zmarnowało. Pewnie trwałabym w tych uściskach do końca świata i jeszcze jeden dzień, ale moje nastolatki zniecierpliwiły się już czułościami i energicznie wyrwały się, by pobiec na górę do swoich zawsze ważniejszych spraw.



Opadłam zmęczona na sofę w salonie, a Marzena od razu podsunęła mi talerz parujących pierogów. Moja mama usiadła obok i z lubością pociągając nosem, zaglądała mi przez ramię, dopóki też nie dostała swojego talerza. Takim aromatem trudno się oprzeć! Nawet o późnej porze i z perspektywą nocnych koszmarów i wyrzutów sumienia. Kiedy talerze, już opróżnione i umyte, odpoczywały w kuchennej szafce, powrócił temat mojego wyglądu.

– To może teraz nam powiesz, coś ty sobie zrobiła? – Bożenna jako pierwsza powróciła do przerwane go wątku. – I gdzie byłaś do tej pory?

Zafundowała mi jeszcze karcące spojrzenie, które błyskawicznie teleportowało mnie do dzieciństwa albo wczesnej młodości, gdzie pytania „dokąd idziesz?” i „gdzie byłaś?” występują w każdym zestawie infiltracyjnym troskliwej matki.

– W sumie to nic mi nie jest – wydałam z siebie ciężkie westchnienie. – Tylko się dzisiaj rozwiodłam albo ze mną się rozwiedziono i usiłowałam ratować twarz.

Jeżeli było jakieś powietrze w salonie, to zostało ono błyskawicznie wysane wraz ze wszystkimi dźwiękami. Zamarłyśmy, jakby słowo „rozwód”, rozbrzmiewające echem pośród czterech ścian, mogło nam ściągnąć na karki rakietę samonaprowadzającą.

– Co?! – wykrzyknęła Bożenna i dodała w oburzeniu: – Rozwiodłaś się bez nas?!

Teraz już wiem, że na pewno istnieją takie sytuacje, słowa czy pytania, wobec których człowiek staje kompletnie zdezorientowany i może załamać ręce z braku dostępnych odpowiedzi. I ten moment właśnie nastąpił.

– A to przepraszam, że was nie zaprosiłam – odparłam, ze skrucłą przykładając teatralnie dłoń do piersi. – W sumie to był nudny spektakl. Bez widowni i grali sami amatorzy. Krótko i bez sensacji. Nuda. Nie macie czego żałować!

– I porałaś sobie twarz w rozpacz? – zamartwiała się Marzena, stojąc nad nami ze złożonymi jak na pogrzebie dłońmi i takim też wyrazem twarzy, idealnie wpasowującym się w grobową wiadomość.

– Co za głupie pytanie?! – ofuknęła ją Bożenna. – A czy z małżeństwa wychodzi się z twarzą?!

– Nie wiem – odpowiedziałyśmy jednocześnie z teściową.

– Boże, dziecko! Co ty opowiadasz? Rozwiodłaś się za naszymi plecami i jeszcze zniszczyłaś sobie twarz, jakby Waldemar był coś więcej wart niż... niż... No sama nie wiem! – oznajmiła, objęła mnie i przytuliła do swej matczynej piersi.

– Tak wyszło, ale nie z mojej winy. Mam was przepraszać? – spytałam ze ściśniętym gardłem i lekko przyduszona mocnym uściskiem.

Marzena ukłękła przy mnie i również zamierzała przyłączyć się do objęć. Jednak moja mamusia absolutnie nie mogła na to pozwolić.

– Gdzie mi tutaj do mojej córki z litością?! Udawaną zresztą! To twój synalek doprowadził do takiego stanu! Możesz mu jutro zdać relację, to się ucieszy! Bydlę skończone, trzeba to powiedzieć niekulturalnie. I jeszcze ten rozwód za plecami i pospieszny, jakby mu ostatni pociąg odjeżdżał do wolności!

Teściowa podniosła się z kłęczek, podeszła do komody, by podać nam pudełko chusteczek higienicznych, choć to moja mama obficie wylewała łzy, a nie ja.

– Znajdzie sobie następnego i lepszego! – odparła Marzena ze stoickim spokojem, gładząc mnie po głowie. – Na pewno lepszego niż ten mój ślepy syn. Bo w tych okolicznościach trudno powiedzieć coś dobrego o moim jedynaku! Zgadzą się na bydlę skończone i baran totalny, i osioł... Nie obrażając zwierząt!

Bożenna wypuściła mnie z objęć, niemal odpychając, i w pasji, w zdenerwowaniu zerwała się z sofy, by przybrać bojową postawę.

– Już ty się lepiej nie odzywaj z tymi swoimi dobrymi radami! Nie dość, że sama się obstawia facetami, to jeszcze będzie stręczyć mojej córce!

Marzena tymczasem zapobiegawczo cofnęła się do stołu i kokieteryjnie się wyginając, odpowiedziała z szelmowskim uśmiechem:

– Dobrze! Zrobi, jak zechce. Ja jestem za nowym facetem, w którego męskich ramionach zapomni o byłym mężu. Ty chcesz, aby żyła w celibacie, abstynencji, wolności, samotności. Wybór należy do Krzysi.

Bożenna się rozkręcała w obronie swojej córki i swoich racji. Jej twarz konkurencyjnie do mojej zabarwiła się na meksykańską czerwień albo indiańskie lato. W opozycji do żywej furii siedziała oaza spokoju stoików, przyglądająca się teraz z największą uwagą swym pomalowanym na burgundzką czerwień paznokciom. Nagle poczułam, że ta kłótnia mnie przerasta i zupełnie nie chcę w tym uczestniczyć. Zmęczona niezmiernie dźwignęłam się z sofy i sama siebie zadziwiłam, powracając do zapomnianego przez moje mamunki śledztwa. W końcu jego powodzenie nie pozostawało bez wpływu na moje dalsze życie; obiecały się wyprowadzić. Nie do wiary, ale morderca Staszka Migotki był bardziej potrzebny mnie niż komukolwiek innemu na świecie! Wyjęłam z komody wydrukowane zdjęcie Tymona Kapusty wraz z innymi papierami, które przygotowałam, nie próżnując w weekend, i położyłam na stole pomiędzy dwie spierające się o moje życie harpie!

– To jest Tymon Kapusta! – rzuciłam. – Pamiętacie jeszcze, że prowadzimy śledztwo? Przemyślałam jeszcze co nieco przez weekend i przeczytałam dwa kryminały. Musimy dowiedzieć się, kto odniósł korzyść ze śmierci Staszka. W Inter-

niecie sporo znalazłam o tym, jakim był wspinałym obywatelem miasta. Ufundował kilka laptopów do pracowni informatycznych w szkołach, dla miasta złote klucze, które wiszą teraz w ratuszu. Chyba tylko lwa nie udało mu się do nich dorzucić. Ile się udzielał, to głowa mała. Koncerty sponsorował, młode talenty wspierał. Wszędzie go było pełno, ale tak dyskretnie. Dziwne wydaje się, skąd brał na to pieniądze? Ta jego hurtownia materiałów tekstylnych, to nie mógł być jego jedyny interes. Pojawiali się tam jacyś klienci, ale bez szału. Ja idę teraz spać, bo jutro zasuwam do roboty. Wszystko wam wydrukowałam.

Ziwnęłam przeciągle, dając do zrozumienia, że senność uniemożliwia mi dalsze dyskusje. Bożenna i Marzena wpatrywały się we mnie pełne zdumienia, jakbym im opowiedziała nieprawdopodobną historię, że podczas ich nieobecności dom lewitował, bo mieszkali ze mną kosmici, na których nie działała grawitacja, a żywiliśmy się czystą energią z kosmosu. Dopiero gdy dotarłam do progu salonu i odwróciłam się, by zobaczyć ich reakcję, rzuciły się na wydrukowane kartki i z przejęciem przeglądały je i czytały. Uśmiechnęłam się w pełni usatysfakcjonowana. Jeszcze tylko wizyta w łazience, gdzie mój pęcherz ponownie znajdzie ulgę, i wklepanie sobie w twarz zleconej przez lekarza maści. Potem już tylko błogi, zasłużony, choć krótki sen i perspektywa świętego spokoju, gdy znaleziony przez dwie legnickie panny Marple morderca Staszka Migotki znajdzie się wreszcie w więzieniu.

## 23. Pierwsza wojna o serwis

Dość szybko okazało się, że mój sposób na odciążenie uwagi od mojej osoby poskutkował. Bożenna i Marzena nazajutrz odsypiały pracowitą noc, więc wyszłam do pracy bez wiszących mi na ramieniu mamunek, wciskających śniadanie, kontrolujących stan garderoby i życzących miłego dnia. Pograżony w ciszy i spokojnym śnie dom dawał nadzieję, że wkrótce stanie się tak na czas nieokreślony.

Dodatkową radość sprawiało mi spoglądanie w samochodowe lusterko. Moja twarz odzyskała świeżość i naturalne kolory. Nawet nieskromnie pomyślałam o sobie, że jestem zabójczo piękna. Oczywiście w kontekście wczorajszej kosmetycznej przygody.

Skoro z ramion spadł mi taki ciężar, mogłam się oddać bardziej prozaicznym myślom w drodze do pracy, jak na przykład zakup zmywarki czy telewizora w tym miesiącu. Optymistyczny nastrój nieco psuły skradające się niczym tajemniczy Don Pedro z Krainy Deszczowców koszty działalności gospodarczej. Wszystkie te podatki, faktury, paliwo, ZUS-y sprawiały, że kręciło mi się w głowie i pojawiał się zefirek zniechęcenia. Jak powiadał doświadczony Łukasz: „Ktoś, kto pracuje całe życie na etacie, nigdy nie zrozumie kogoś na własnej działalności. Trzeba to przeżyć”. Zamierzałam przeżyć jak jasna cholera!

Grigorij zjawił się w pracy przede mną, choć jeszcze nie wszystkim udało się dotrzeć na czas. Razem z Albertem i Andrzejem popijali kawę, siedząc na paletach, i zaśmiewali się w głos. Poczułam ukłucie zazdrości. Mój sąsiad i dotychczasowy przyjaciel, chyba jedyny, jakiego posiadałam, ostatnio odsunął się ode mnie. Coraz rzadziej miewaliśmy okazję do rozmowy i choć mieszkaliśmy prawie razem, to do pracy wyjeżdżaliśmy osobno. Nawet na bazie trzymał się z innymi, rzadko do mnie zagadując. A tygodniowy wyjazd Łukasza do Grecji totalnie mnie zaskoczył, bo dowiedziałam się o nim od Grzeška, zupełnie przypadkiem.

– Cześć! – rzuciłam wszystkim i stanęłam przy nich nieco zakłopotana, bo w ogóle przestali rozmawiać, gdy pojawiłam się w progu.

– Cześć! – usłyszałam od każdego i znów zapadła niezręczna cisza.

– Coś się stało? – zapytałam wprost.

– Nie, nie. Dlaczego?

Jakoś nie brzmiali przekonująco i nawet zamierzałam podręczyć ich jeszcze pytaniami, ale pojawiła się Brygida i pozostali kurierzy wraz z magazynierami, którzy wtaczali kosze z paczkami. Robotę czas zacząć, bo jak lubił powtarzać nasz kierownik: „Ludzie czekają na paczki, a one same się nie rozwiozą!”. Przy rolkach przyglądałam się ostentacyjnie Grigorijowi, zaniepokojona jego zaskakującym milczeniem. Obiecałam sobie, że dzisiaj po pracy odwiedzę go w domu i poważnie porozmawiamy. Zresztą musiałam się wygadać komuś życzliwemu, bo świat mi się przecież zawalił na głowę!

W biurze czekał kierownik Bączek i z ponurą miną zaprosił mnie do swojego pokoju. Zaniepokojona po czubek głowy usiadłam na wskazanym władczym gestem krzesle, pospiesznie analizując ostatnie dni pracy, co mogło pójść nie tak, że się tutaj znalazłam.

– Strasznie nie lubię chamstwa! – zaczął, spoglądając na plakat Michaela Jacksona, który zdobił jedną ze ścian nad biurowymi szafkami. – Brzydzę się wrzaskami i ludźmi, którzy w kulturalny sposób nie potrafią wyrazić swoich myśli.

Król popu, pochwycony przez autora zdjęcia w jednej z charakterystycznych dla siebie tanecznych póz, nie odpowiedział. Ja również milczałam. Z zewnątrz dolatywały do nas niewyraźne głosy toczącej się przez telefon rozmowy pani Joli, która inaczej nie rozmawiała, jak używając głośnika. Jakby się brzydziła przykładając słuchawkę do ucha. Gdzieś w pomieszczeniu bzyczała też mucha, objając się o szybę.

– No brzydzę się chamstwem jak mało kto! – podjął ponownie kierownik i nadal wpatrywał się w Michaela. Też tam spojrzałam odruchowo i mimowolnie. – Kolejna skarga na kuriera!

Serce zostało pobudzone do intensywniejszego przepompowywania krwi niczym elektrowstrząsem. W gabinecie szefa nagle zrobiło się ciasno i duszno. Widmo utraty pracy zamajaczyło na horyzoncie mojego życia po rozwodzie, z dwójką dzieci na utrzymaniu. A Michael Jackson milczał, więc ja zdecydowałam się spytać:

– Wylatuję?

– Co?! – ryknął Bączek, obracając się w moją stronę i wbrew głoszonym minutę wcześniej zasadom, nie pożałował decybeli. – A skąd ja wezmę kuriera na Legnicę?! Żadne „wylatuję”! Nie będę słuchał rozwrzeszczanych bab, do których nie docierają żadne argumenty! Sam byłem kurierem i nie dam pomiatać moimi kurierami! Tu pracują ludzie niekiedy po studiach! Nawrzeszczała mi tutaj jedna

lalunia, bo nie dostała paczki do rąk własnych, a była we Wrocławiu na zakupach! I musiała się pofatygować do oddziału. Kurierka ją zwymyślała!

– Co... co takiego? Nie... ja... – jękałam się, wypełniona oburzeniem.

– Wiem, wiem – odparł Bączek, przerywając moje męczarnie, i machnął lekceważąco dłonią. – Wracaj, dziewczyno, do pracy! Lubisz to miasto jako jedna z ostatnich! A tej rozwrzeszczanej laluni, napuchniętej od botoksu, powiedziałem jak Michael Jackson: *I'm starting with the man in the mirror!*

Podniosłam się z krzesła nieco pokrzepiona, choć nadal zdezorientowana. Już z dłonią na klamce, spytałam:

– Przepraszam, ale uczyłam się niemieckiego, więc...

– *Take a look at yourself and then make a change* – odparł po angielsku i przetłumaczył: – Czyli... przyjrzyj się sobie, a potem dokonaj zmian. Zaczynamy od człowieka w lustrze.

Tak. I tą głęboką refleksją króla popu zaczęłam mój kolejny, ciężki dzień pracy.

\* \* \*

A po powrocie nie czekał na mnie zasłużony odpoczynek... Ledwie otworzyłam drzwi, dopadł mnie taki gwar głosów, że zwątpiłam, czy w zmęczeniu nie trafiłam pod inny adres. Niestety, to wciąż była ulica Południowa. Ale mój dom zmienił się w sztab albo centrum dowodzenia. Przy rozłożonym stole, nad licznymi papierami, pośród obcej mi zastawy stołowej, siedziało ośmioro ludzi, w tym czwórka zupełnie mi nieznanych. Marzena nakładała na talerze ziemniaki, Bożenna wrzucała kotlet schabowy, a Grigorij obsługiwał półmiski z surówkami. Zupę w antycznej wazie właśnie wynosił z salonu Rysiek. Mojej obecności w progu nikt nie zauważył przez dłuższą chwilę. Dopiero wracający z kuchni Rysiek popchnął mnie delikatnie w stronę stołu i odsunął po dżentelmeńsku jedno z wolnych krzeseł obok Grigorija.

– Dzień dobry – rzuciłam nieśmiało.

Rozmowy ucichły jedynie na chwilę. Marzena podbiegła do mnie i wciskając mi talerz z ziemniakami i kotлетem, przedstawiła pospiesznie:

– Pozwól, Krzysiu, to Bogusia, żona Ryśka. Tuż obok Gienia i jej partner Ernest oraz moja koleżanka z biura, Tereska. A to, moi drodzy, moja była synowa, Krzysztofa, która prawie odkryła zwłoki Staszka Migotki – podsumowała z uśmiechem.

– Całe szczęście, że nie przyłapałaś mordercy na gorącym uczynku – jęknęła teatralnie Tereska.

– To moja córka! – wtrąciła Bożenna z niezadowoleniem, że sama nie wpadła na pomysł z prezentacją.

Uśmiechnęłam się grzecznie, skinęłam głową i omal nie wstałam, by dygnąć jak przystało na grzeczną dziewczynkę. Pomiędzy Marzeną a Bożenną znów zaiskrzyło, ale na szczęście mój sąsiad z przesadną głośnością spytał:

– Buraczki czy kiszona kapusta?! Jest jeszcze mizeria, ale chyba w tamtej części stołu, koło Ryśka. Co chcesz?

– Nie wiem, co tutaj się dzieje...

– Twoja mama zorganizowała spotkanie w sprawie śledztwa, a że połączone z obiadem, to dopiero niedawno się dowiedziałem. Proponuję jednak mizериę, pani Bogusia zachwalała.

– A gdzie dziewczynki?

– U koleżanek. Dlatego właśnie możemy się spotkać – wyjaśnił i ponownie podsunął mi półmisek z buraczkami. – Spróbuj. Pyszne.

Zerknęłam niepewnie na buraczki, a potem na swój talerz. Zupełnie mi obcy wzór w zielone tulipany dookoła i kolor taki... stary? W ogóle nie przypominałam sobie, abym cokolwiek takiego posiadała. Rozejrzałam się wokół. Półmiski też posiadały taki wzór. Niektóre wstydliwie ukrywały swoje pęknięcia i wyszczerbienia pod potrawami. Dziwnie niepokoił mnie brak mojego serwisu obiadowego, więc wykorzystałam moment, gdy tym razem teściowa wynosiła brudne naczynia do kuchni, by wyjść tuż za nią. Od razu dopadłam jeden z pustych talerzy i obróciłam go na drugą stronę. Na spodzie umieszczona została zielona pieczętka: Heinrich Hirschberg Burgstraße 58 Liegnitz. Aż mnie dreszcz przeszedł po plecach.

– Skąd masz ten serwis? – zapytałam wprost, machając dla uwidocznienia talerzykiem w zielone wzory.

– Ze strychu – wzruszyła ramionami i kontynuowała ładowanie naczyń do zlewozmywaka. – Ale spokojnie, umyłam dobrze przed użyciem. I nawet wyparzyłam.

Dobre miałam przeczucia. Znowu Mauryca! Nawet nie miałam pojęcia, co jeszcze skrywają zakurzone, drewniane kufry. Odwlekanie w czasie wizytacji strychu i piwnicy przysparza coraz nowych niespodzianek i kto wie, czy nie kłopotów.

– To bardzo dobry, choć stary serwis – zagadywała mnie teściowa, zaniepokojona moim gniewnym obliczem, które mogło zapowiadać wybuch trzeciej wojny światowej. – Mauryca go uwielbiała. Gdy się tutaj wprowadzali w latach trzydziestych, jej ojciec kupił go żonie, w sklepie Heinricha Hirschberga przy Burgstraße

58, to jest dzisiejsza Grodzka. Popatrz, jak pięknie się zachował. To dziedzictwo rodziny.

Powstrzymałam uniesieniem ręki ten hymn pochwalny na temat rodziny, z której, jakby nie patrzeć, zostałam wypisana. Chociaż do Maurycy, która, jak wiedziałam, była autochtonką, żadnych pretensji nie zgłaszałam. Jednak nie o to mi chodziło, gdy spytałam o serwis.

– Po co szłaś na strych po rzeczy Maurycy, kiedy mam swój serwis, który kupiliśmy sobie z Waldemarem jakieś dziesięć lat temu? – zapytałam bardziej precyzyjnie.

– Nie znalazłam tego serwisu – odpowiedziała zaskoczona Marzena. – Gdzie jest?

– W kredensie – wyjaśniłam i zaraz urwałam, bowiem w międzyczasie dotarłam do kredensu, lecz półki, na których zawsze czekał na rodzinne uroczystości mój serwis obiadowy, straszły, wręcz porażały pustką.

– Kurwa! – wyrwało mi się i potężna fala gniewu uderzyła mnie po raz pierwszy. – Serwis też mi zabrał?! Mój serwis?! Już on mnie popamięta! Wyrwę mu go z gardła!

Zatrzasnęłam tak głośno drzwiczki, że huk musiały odnotować czujniki monitoringu geodynamicznego Polski i pełna słusznej furii, zdolnej zmieść z powierzchni ziemi połowę męskiej populacji, wybiegłam z kuchni.

Kiedy to sobie obiecałam nie być już grzeczną dziewczynką?! I co?! Miałam zmienić swoje życie! A tymczasem na rozprawie siedziałam jak głupia krowa, cielę malowane, niedojda życiowa, która nawet, jeśli dostała prawa wyborcze, wywalczone przez światło emancypantki, ma prawo wyboru, głosu i sprzeciwu, to zupełnie niepotrzebnie, bo można ją ograbić ze wszystkiego! Przypomniałam sobie tę upokarzającą rozprawę, na której zupełnie nie byłam w stanie powiedzieć słowa i ten drań, którego miałam kiedyś za miłość mego życia, to podle wykorzystał! I jeszcze serwis mi ukradł! A podziału majątku jeszcze nie ma!

Wbiegłam do salonu i rozognionym wzrokiem powiodłam po zgromadzonych, których w połowie tylko znałam. Bożenna zerwała się na równe nogi, gdy tylko mnie zobaczyła w progu z wyrazem żądy mordy. W tle tuż za mną ujrzała Marzenę ze ścierką, dającą tajemne znaki.

– Gdzie on mieszka?! – ryknęłam nieludzko. – Zabiję go!

Wszyscy zamarli. Gieni sztucce wypadły z rąk na talerz z nieprzyjemnym dźwiękiem. Ktoś pokaszliwał, bo w momencie mego wtargnięcia brał łyk wody i się omal nie zachłysnął.



– Jezusie, kto?! Staszek? – zapytała przerażona Bogusia, łapiąc Ryśka za dłoń. – Nikt jej nie powiedział, że nie żyje?

– Nie! Waldek! – wbiłam wzrok w trzy osoby, które mogły znać dokładny adres. Niestety, na dziewczynki liczyć nie mogłam i nie zamierzałam wciągać dzieci w pierwszą wojnę światową o serwis obiadowy Grądyńskich.

– Ale co się stało, na miłość boską? Krzysiu? – Bożenna podbiegła do mnie, by błyskawicznie załagodzić mój wybuch. Teraz sobie uświadomiłam, że wychowała mnie na grzeczną dziewczynkę, a jednocześnie chciała, abym nie wisała na ramieniu facetowi. Czy to nie sprzeczność? Później to sobie przemyśl!

– Serwis obiadowy jej zabrał – wyjaśniła za mnie teściowa.

– Bydle! – solidaryzowała się ze mną Tereska, podrywając się z miejsca. – Też chcę go dopaść!

Grigorij dusił się ze śmiechu, więc zmierzylam go bardzo, bardzo złym wzrokiem, który w oka mgnieniu zgasił dobry humor mego sąsiada. Sprawa przybrała poważne rozmiary i o ile stratę zmywarki, pralki i nawet telewizora jakoś przeżyłam, to serwisu francuskiego, który osobiście wybierałam, kupowałam i z najwyższą delikatnością transportowałam z Warszawy ze sklepu z zagraniczną porcelaną, nigdy!

– Jakie zabrał?! Przecież twój serwis jest u mnie – rzuciła beztrąsko i bagatelizująco moja mama. – Fakt, nie oddałam ci go od dwóch lat, bo zapomniałam zupełnie. No a dzisiaj nie zdążyłabym przywieźć. Pamiętasz, jak odchodziłam na emeryturę...

Cały impet uszedł ze mnie jak z przebitej gwoździem dętki. Ciężko opadłam na swoje krzesło. Z rezygnacją spojrzałam na zimne już ziemniaki i kotlet. „Chyba się nie nadaję na wojowniczkę” – pomyślałam, machinalnie sięgając po widelec. Na szczęście, mój własny.

– Wiesz, ale jakbyś potrzebowała pomocy w mordowaniu byłego... – wyszeptwała konspiracyjnie ponad stołem Tereska i dokończyła wymownym mrugnięciem.

Uśmiechnęłam się z wdzięcznością.

– Dobrze, to teraz wszystko sprzątamy i zabieramy się do pracy! – zakomenderowała moja mama, klaszcząc w dłonie.

– O co chodzi z tym Waldkiem? – spytał Grigorij, wyszkrobując resztki buraczków ze swojego talerza tak intensywnie, że zielone tulipany ze wzoru mogły poczuć się zagrożone. – Skąd u ciebie taka chęć mordu?

– Wiesz... tak bardzo chciałam go udusić... – przyznałam się ze wstydem. – Myślę, choć oczywiście mogę się mylić, że morderca raczej nie wpadł w furję

o szóstej rano. To nie był afekt. Musiał to zaplanować. Wiedzieć, że właśnie tego dnia Staszek będzie w hurtowni wcześniej albo nawet go tam zwabić.

– Mógł się z nim umówić i wtedy w czasie rozmowy zdenerwować, wpaść w furję i rąbnąć gościa – odparł Łukasz, podając jednocześnie swój pusty talerz mojej mamie, która kończyła sprzątanie stołu.

– Właśnie, wciąż nie wiemy, jak zginął.

– Może się dzisiaj dowiemy – westchnął i wskazał głową zgromadzonych przy stole ludzi.

## 24. Emerytki nigdy nie zasypiają gruszek w popiele

Przez krótką chwilę mojej konsumpcji wysłuchałam relacji z pogrzebu Staszka, w którym uczestniczyli Rysiek i jego żona. Nikt poza Natalią nie wylewał łez ani nie rozpaczał. Zarówno Roksana, jak i Melania i jej mąż (uwaga, że posiadała męża, została błyskawicznie odnotowana przez Bożennę) zachowali kamienne twarze. W tym momencie Marzena ubolewała nad faktem, że już nie robi się zdjęć na pogrzebach, bo przynajmniej teraz wiedzielibyśmy, kto przyszedł. Od razu rozpętała się dyskusja na ten temat, w której każda z obecnych osób koniecznie musiała podzielić się swoją opinią i doświadczeniami z pogrzebów w dawnych czasach.

Grigorij zasnął na sofie, choć nawet nie próbował żadnego alkoholu. Mnie udało się uniknąć podobnego losu z nudów i zmęczenia, bo w porę opuściłam dyskretnie salon. Po obiedzie wyszłam do ogrodu, zupełnie niezainteresowana uczestnictwem w naradzie. Mój niespodziewany wybuch nieco mnie zaskoczył i teraz dopadł mnie wstyd. Jaka cienka jest granica pomiędzy zwykłym, nudnym i uczciwym życiem a morderczym, przestępczym końcem? Może ktoś, komu Staszek Migotka się naraził, też nie wytrzymał? Z przyjemnością, w ramach rekonwalescencji po niedawnym wybuchu agresji, wchłaniałam energetyzujące zapachy, dźwięki i kolory lata. Zerwałam sobie jedno jabłko, usiadłam na huśtawce i sięgnęłam po telefon. Akurat w tym momencie zadzwoniła Elwira.

– Mamo, jesteśmy u Kasi. Tutaj na Liliowej. Wiesz której...

– Wiem, córeczko. Kiedy wracacie?

– No właśnie. Czy możemy zostać na noc? Zrobimy sobie nockę filmową, taką dziewczyńską!

W tle usłyszałam zbiorowy krzyk „pliiiiiz”. Westchnęłam. Kiedyś ze mną oglądały najpierw bajki, potem filmy. Leżałyśmy w łóżku w sypialni i robiłyśmy sobie długie seanse, zjadając różne przysmaki.

– Znów mnie stawiacie przed faktem dokonanym – przypomniałam.

Elwira chciała coś odpowiedzieć, lecz telefon siostry przejęła Tomira:

– Spokojnie, mamó, nie denerwuj się. Przyjdź i sprawdź, że nic nam nie będzie. Nawet chciałam, abyś nam przyniosła pidżamy i szczoteczki do zębów. Dobrze?

Cóż było czynić? Zgodziłam się. Wróciłam do wypełnionego głosami domu. Na chwilę zerknęłam do salonu. Grigorij drzemał w najlepsze. Tablica ze zdjęciami podejrzanych była w użyciu. Bożenna przeglądała i uzupełniała notatki, a Marzena wносиła ciasto z kuchni. Zdążyłam tylko szepnąć mojej teściowej, że nie muszą się spieszyć i wyganiać gości przed północą, bo dziewczynki nocują kilka ulic dalej. Od razu dobra nowina została doniesiona wraz z popisowym ciastem Marzeny.

Spakowałam pidżamy i szczoteczki oraz dorzuciłam czystą bieliznę. Z ogrodu zerwałam kilka soczystych jabłek i cukinię dla pani Beatki, mamy Kasi, którą znałam z wywiadówek. Doskonale utkwiała mi w pamięci jej nienachalna elegancja i zapomniana w dzisiejszych czasach kultura osobista oraz uprzejmość i poprawność językowa, z jaką zwracała się do wszystkich. Oczywiście, niektórzy powtarzali za plecami, że „zadziera nosa” czy „nosi się taka, bo ma kasę”. Mnie zawsze wydawała się niczym piękny egzotyczny kwiat pośród kwiecia monotonnej łąki. Po odbiór zamówionych rzeczy moje dziewczyny wydelegowały właśnie panią Beatę, więc podziwiałam, z jaką gracją stąpa ze schodów i niczym eteryczna postać dochodzi do furtki. „Poziom nieosiągalny dla mnie” – pomyślałam z lekkim ukłuciem zazdrości. Na tle hałaśliwie rozbrzmiewającej w ogrodzie dyskotekowej muzyki, próbowałyśmy zamienić parę niezobowiązujących zdań. Niestety, ostatecznie poddałyśmy się. Wszelka konwersacja, mniej lub bardziej elegancka, nie była możliwa w promieniu dziesięciu kilometrów.

– Pani Krzysztofo! Proszę się nie martwić! – wykrzyczała na pożegnanie pani Beata, uśmiechając się przeprasząco. – Będę zaglądać do naszych dziewcząt. Zapewniam panią, że wrócą po południu! Po obiedzie! Osobiście dopilnuję! Dobranoc!

– Dziękuję! Dobranoc! – ryknęłam również i pomachałam mamie Kasi na pożegnanie.

Wracając, postanowiłam nadłożyć nieco drogi, by przedłużyć przyjemny spacer opustoszałymi uliczkami osiedla. Po chwili znów odezwał się mój telefon. Przekonana, że to ponownie dziewczynki, bo coś zapomniały, odebrałam bez spoglądania na wyświetlacz.

– Co tam? – spytałam z uśmiechem.

– Dobry wieczór – przyjemnie brzmiący głos Leszka zaskoczył mnie i aż przystanąłam na środku ulicy. – Postanowiłem jednak zadzwonić, bowiem zoriento-

wałem się, że hołdujesz dziewiętnastowiecznym wzorcom, że to mężczyzna musi pierwszy odezwać się do kobiety.

– Cześć – odpowiedziałam wesoło, a w środku zrobiło mi się tak jakoś błogo i cudownie, jakbym się delikatnie uniosła nad ziemię. – Moje szczęście, że jesteś taki domyślny.

– Przepraszam, że tak zapytam wprost, ale jak dzisiaj wyglądasz? Oczywiście chodzi mi o twarz.

– Znakomicie. Te maści działały cuda. Odzyskałam swoją twarz. Muszę ci oddać pieniądze za leki.

– To bardzo się cieszę – odparł i dodał po chwili z udawaną powagą: – Szczególnie z tej kasy, bo właśnie zjadam ostatnią bułkę i nie stać mnie na kolejną. Jutro rozpocznie się głódówka! Dlatego koniecznie musimy się spotkać, byś mogła oddać mi pieniądze! – żartował.

Roześmiałam się. Ostatnio niczego tak nie ceniłam w ludziach, jak poczucia humoru i skłonności do żartu. Po odpornym na uśmiech Waldemarze, zawsze poważnym i jedynie służbowo wesołym, gdy gdzieś byliśmy w towarzystwie, rozmowa z Leszkiem stanowiła bardzo przyjemną odmianę. Odzyskiwałam dawną swobodę w zwyczajnej konwersacji.

– No i jeszcze postawić kawę – przypomniałam.

– Strasznie dużo wisi nad tobą długów.

– Spokojnie, powinnam dostać jakiś kredyt – zapewniłam.

Wspaniale się spacerowało w piękny, ciepły wieczór i rozmawiało z Leszkiem. Nawet się nie zorientowałam, że znalazłam się na drugim końcu osiedla. Dopiero gdy już się pożegnaliśmy i rozłączyliśmy, rozejrzałam się zdezorientowana. Moja komórka pokazywała północ, więc najwyższy czas pomaszerować do spania. Tym razem zdecydowałam się pobiec. W końcu jeszcze przed ciążą uprawiałam jogging i nawet gdzieś na dnie szuflady komody spoczywają medale pamiątkowe z półmaratonów czy biegów charytatywnych. I tak zmotywowana posiadając kolekcję dowodów na dawną aktywność ruchową, wystartowałam mężnie przed siebie. Asfalt tak pięknie uciekał mi pod stopami. Zupełnie inaczej niż mordercza bieżnia. A chwilę później wraz z asfaltem zaczęły uciekać zapał, energia oraz oddech i zostałam sama z zadyszką i przekonaniem, że jogging to zamierzchłe czasy i bezpieczniej do nich nie wracać.

W dalszej drodze, odbywanej już wolnym spacerkiem, dopadła mnie refleksja, że lepiej się nie zużywać. Trwać spokojnie, oszczędzając energię niczym zółw, który w ten sposób żyje ponad sto lat. A ile taki skoczny zając pożyje? Zapewne pogłębiłabym tę złotą myśl i całkiem prawdopodobne, że powstałaby potężna fi-

lozofia, przyciągająca niezmiernie rzesze zwolenników, lecz z daleka dojrzałam mój rozświetlony dom. Najwyraźniej narada śledcza wciąż trwała. Zupełnie niepotrzebnie weszłam do domu ostrożnie i konspiracyjnie, bowiem towarzystwo tak zawzięcie dyskutowało, że nawet, gdyby przez salon przejechał liczny gang motocyklowy albo karawana TIR-ów, nikt by tego nie dostrzegł. Przez chwilę niezauważona przez nikogo przyglądałam się rozemocjonowanej grupie i dopadła mnie refleksja, że gdyby tak jak emerytowani amatorscy śledczy pracowała polska policja, to przestępczość musiałaby przenieść się do innego kraju, a policjanci zamieniliby się w zombie bez snu i odpoczynku, ale przynajmniej z godziwym posiłkiem. Na sofie piętrzyły się różne papiery, co świadczyło, że Grigorij kontynuował spanie już u siebie. Powoli, niezauważenie dotarłam do swojej sypialni.

\* \* \*

Zbyt śmiało i lekkomyślnie zakładałam, że moje mamunki, umęczone debatami śledczymi do późnych godzin nocnych, pozwolą mi w samotności zjeść śniadanie i w spokoju wyjść do pracy. Ledwie wyszłam z sypialni, gdy mnie obiadły jak wygłodniałe szpaki wczesne czereśnie. Aż się martwiłam, jakież to nowe pomysły na moje zaangażowanie w śledztwo mi przekażą. Byleby nie siłownia, bo za żadne skarby, szantaże ni nawet zastraszanie tam nie pójde.

– Malwiną się nie martw – zakomunikowała mi moja mama, siadając przy stole naprzeciwko i sięgając po przygotowane przeze mnie kanapki do pracy. – Okazało się, że starała się o pracę w firmie Waldemara, ale potem podkupił ją Sebastian Gałucha z innej firmy budowlanej i teraz tam pokazuje dekolty.

Ze zdumieniem obserwowałam, jak odwija papier z kanapek i po prostu bez pozwolenia, bez pytania i bezczelnie jedną nadgryza. Wciągnęłam powietrze z głośnym sykiem. Marzena również dostrzegła ten gest Bożenny i bezceremonialnie wyrwała jej moją kanapkę. Przez chwilę przyglądała się nadgryzieniu i w końcu z powrotem oddała mojej oburzonej mamie.

– Zrobię ci coś lepszego! Naleśniki – dodała na pocieszenie Marzena i od razu zakręciła się przy lodówce i kuchence.

– Też zjem! – ochoczo zgłosiła się Bożenna, lecz po chwili dodała ze smutkiem: – Ale chyba nie powinnam. Wczoraj przesadziłam z sernikiem i karpatką! Á propos, zostały jakieś kawalki?

– Jeszcze cztery dla dziewczynek, ale jak chcesz, to weź. Upiekę świeże. Ja muszę się za siebie wziąć od poniedziałku. Zero słodczy i idę na ćwiczenia, no i może zacznę biegać po południu – oznajmiła Marzena, spoglądając z wyrzutem

na pierwszego smażonego naleśnika, jakby był winien stanowi jej figury, zdrowia i wagi.

– Kurczę, to ja też muszę – rzekła Bożenna, stając tuż obok mojej teściowej i gładząc się po biodrach.

– Wcale nie musisz! To ja muszę – odpowiedziała Marzena z tajemniczym uśmiechem, zrzucając z pretensją kolejnego naleśnika z patelni na talerz.

– Ależ oczywiście, że muszę! – zaperzyła się moja mama, tym razem biorąc się pod boki. – Bo co będę tak stała z boku i obojętnie patrzyła, jak piękniejesz?

– Przepraszam, że przeszkadzam – wtrąciłam, nerwowo spoglądając na wyświetlacz komórki, gdzie nieubłagany czas posuwał się do przodu i straszyl spóźnieniem się do pracy. – Nie chciałabym przerywać tak pasjonującej wymiany zdań na temat figur, więc zanim przejdziecie do diet, to czy coś chcielibyście mi powiedzieć?

Marzena odpowiedziała wzruszeniem ramion i nawet na moment nie odewrwała wzroku od patelni. Stos naleśników na talerzu obok kuchenki niebezpiecznie rósł w zaskakującym i imponującym tempie.

– Nic! Nic takiego nie mamy! – z żalem odpowiedziała moja mama, powracając do stołu i chowając twarz w dłoniach. – To znaczy informacji całkiem sporo, nawet z przeszłości, ale sprawca nam się nie wyklarował. Lista nam się powiększyła o zięcia Staszka – Rafała Stankowskiego, ale to facet koszmarnie bogaty, jeszcze bardziej wpatrzony w Melanię niż jej tatuś. Żadnych konfliktów z ofiarą. Wręcz przeciwnie. Nie miał żadnego motywu; ani zemsta, ani miłość, ani zazdrość, ani pieniądze. Chyba że z nudów albo z głupoty, ale ktoś, kto dochodzi do takiej fortuny, raczej nie jest głupkiem. W skrócie, to ci powiem, że Roksana miała alibi, Natalia też i Melania, i Rafał także. Został ten Tymon i jutro się nim zajmę ja! Osobiście.

– Jak?! – przestraszyłam się, że aby uzyskać jakieś spodziewane rezultaty w prowadzonym amatorsko, ale z zapałem śledztwie, podda Kapustę wymyślnym torturom.

– Zwyczajnie! Ernest, ten, który wczoraj przyszedł z Gienią Ryzatą... Ten wysoki brunet z wąsami, kojarzysz? – spytała, na co pokręciłam przecząco głową. – No tak, bo on nie pracował w naszej szkole! W ogóle to on jest hydraulikiem, ale bardzo biegłym w Internecie. Amatorsko uwielbia jakieś tam programy, aplikacje... Nawet nie pytaj, bo nie kojarzę. W każdym razie on nam wydrukował sporo rzeczy z Internetu na temat podejrzanych. To znaczy najwięcej jest o Melanii, bo ta to sobie nie żałuje...

– Do brzegu – mruknęła teściowa znad naleśników, powstrzymując Bożennę w słownej galopadzie.

– No to ten Ernest... – zastanawiała się moja mama, bowiem ciężko powracała do właściwego wątku. – No popatrz! Gienia Ryzata! Takiego młodszego sobie wyrwała, harpia jedna! I otóż ten Ernest wszedł na stronę firmy Tymona Kapusty i znalazł ogłoszenie o pracy!

Wcale nie poczułam się mniej zaniepokojona. Wręcz przeciwnie. Tymczasem Marzena sprawnie zawijała naleśniki z dżemem i pakowała do pojemników dla jednostki wojskowej, bowiem takiej ilości na pewno nie przejadłabym samotnie nawet przez miesiąc. Podniosłam się, aby wyjść już z domu do pracy. Nie uśmiechała mi się perspektywa wizyty w pokoju kierownika. Być może Michael Jackson ostro sprzeciwiał się niepunktualności i wówczas nic mnie nie uratuje przed zwolnieniem. Jednak musiałam zapytać:

– Co to za praca?

– Sprzątaczką! – rzuciła triumfalnie moja mama i spojrzała na Marzenę w poszukiwaniu aprobaty.

Teściowa westchnęła i wywróciła oczyma.

– Mamo, ale ty nienawidzisz sprzątać! – przypomniałam o wyznawanej przez moją rodzicielkę filozofii.

– To będę sprzątała z nienawiścią – odparła, wzruszając ramionami, i dodała z zapalem: – Wreszcie mam jakieś sensowne zadanie!

A mnie nogi zmiękły, lecz nie miałam czasu na głęboką analizę ani tej decyzji, ani pomysłu w ogóle. I tak mogłam być pewna, że skoro Bożenna coś postanowiła, to próba odciążenia jej od realizacji zadziała odwrotnie. Marzena podała mi wielką torbę z pojemnikami pełnymi naleśników. Aż się ugięłam od ciężaru. Spojrzałam na nią w zdumieniu i spytałam:

– Mam nie wracać przez miesiąc?

– Poczęstujesz wszystkich.

– Musiałabym też częstować wszystkich klientów i spotkanych po drodze mieszkańców miasta – odpowiedziałam, niechętnie dźwigając torbę. – Mamo, a ty się zastanów, czy to dobry pomysł.

– Innego nie ma – odparła i obracając się na pięcie, opuściła nasze towarzystwo.

Marzena ciężko westchnęła, dodała jeszcze wzruszenie ramionami i również wyszła. Co miałam począć? Też westchnęłam i wyszłam bez komentarza, bez sprzeciwu i bez słowa prosto na zalany deszczem świat. Wsiadłam do swego bia-



tego mechanicznego rumaka, bez problemu uruchomiłam silnik i bez przeszkód odjechałam do pracy.

## 25. Misja specjalna nie wszystkim opłacalna

Legnica w deszczu, nawet w środku zielonego lata, nie prezentowała się najlepiej. Nierówności na jezdniach wypełniły gigantyczne kałuże, które należało omijać lub rozjeżdżać z przesadną ostrożnością. Do tego wysuszona przez upały ziemia nie wchłaniała tak szybko wody, a studzienki ewidentnie buntowały się przed przyjmowaniem apokaliptycznych ilości opadów. W takich ponurych i pochmurnych okolicznościach krajobrazu daremnie można było wypatrywać zadowolonego przechodnia. Z jednej strony czekała go perspektywa kąpieli w stojącej wszędzie brunatnej wodzie, a z drugiej przysznic efektownie lany spod rozpędzonych samochodowych kół. No i jeszcze nieustannie padający deszcz, przed którym bez powodzenia próbowano się chronić pod parasolkami. Tutaj ostatnią nadzieję odbierał porywisty wiatr.

Szalejąca na zewnątrz ulewa nie sprzyjała ogólnej wesołości również na magazynie. Wszystkich bez wyjątku dotknęła niczym zakaźna choroba – meteoropatia. Kurierzy z ponurymi minami snuli się niczym zombie, od niechcenia rzucając półsłówkami i unikając siebie nawzajem. Mnie także wybuchy radości nie towarzyszyły, gdy niemrawo wtoczyłam się na magazyn z torbą naleśników od Marzeny. Nie pocieszył mnie nawet fakt, że przynajmniej nie przemokłam, bowiem nasze kurierskie stroje na tym polu nie zawodziły. Bez nadziei, bez humoru i bez zbędnych słów zaczęłam wyciągać pełne pojemniki, rozdając jedzenie każdemu obecnemu. Początkowo naleśniki Marzeny zostały przyjęte z podejrzliwością, ale ostatecznie okazały się potrzebnym ratunkiem. Ledwie pierwszy kęs sprawiał, że dokonywała się w nas wewnętrzna i zewnętrzna przemiana. Przede wszystkim na twarzach pojawiał się uśmiech. Z początku nieśmiały i niepewny, a później już szeroki i promienny. Potem szczere zadowolenie rozgrzewało nas od środka, jakby ktoś włączył i podkreślił na maksimum ogrzewanie. Wszystkie naleśniki zniknęły w odmętach naszych układów pokarmowych, a wokół jakby ktoś zapalił słońce. Tak się rozjaśniło od tych zadowolonych kurierskich twarzy.

Atmosfera na magazynie zdumiewająco się poprawiła. Przy rolkach sypały się żarty i co raz ktoś wybuchał śmiechem. Przyglądałam się temu z zadowoleniem, ale nie opuszczała mnie natrętna myśl, że być może Marzena znów skorzystała z jakiegoś tajemnego składnika albo przepisu babki Maurycy. Zdecydowanie po-

winnam wybrać się wreszcie na strych i dokładnie przyjrzeć się składowanym tam rzeczom. A po powrocie przycisnąć teściową, żeby się dowiedzieć, co takiego dodała do naleśników? Kolejne „przyciśnięcie” obiecałam w myślach Grigorijowi, który znów mnie unikał. Być może tym razem ze wstydu, że kolejny raz spał na mojej sofie? Pojęcia nie miałam i dlatego postanowiłam dzisiaj wreszcie wyjaśnić z sąsiadem przyczynę jego uników.

W obdarowaniu kulinarnym szczęściem nie wypadło pominąć biura, więc i tam dotarły magiczne naleśniki Marzeny. Raczej bez nadziei na czarodziejskie metamorfozy. Tutaj nawet w pogodne dni humor nie dopisywał nikomu, więc tym bardziej nikt nie spodziewał się, że dżdżysta aura zadziała odwrotnie. A jednak po jakimś czasie na magazyn wkroczył lekkim krokiem kierownik Bączek, nucąc pod nosem *Billie Jean* Michaela Jacksona i z figlarnym uśmiechem oddał mi puste pojemniki. Potem obrócił się i ku totalnemu zaskoczeniu wszystkich, wykonał coś w stylu moonwalk i tym samym lekkim krokiem wrócił do biura.

Po tym pokazie postanowiłam wdrapać się na ten strych zaraz po pracy!

Kiedy się rozjeżdżaliśmy na swoje rejony, sypały się żarty i wesołe pozdrowienia. Nikt już nie zauważał niesprzyjającej kurierowi aury, a przecież deszcz nadal padał i jakby z większą zawziętością. Mnie też bardzo chciało się dzisiaj pracować, ale możliwe, że z innych powodów. Sięgnęłam po telefon, aby rozpocząć ten roboczy dzień.

– Dzień dobry! – rzuciłam wesoło do pierwszego klienta i grzecznie się przedstawiłam.

– I czego pani ode mnie chce? – wybełkotał zaspanym głosem, najwyraźniej wyrwany ze snu mężczyzna.

– Mam dla pana paczkę – odparłam.

– Jaką paczkę? – padło kolejne uwielbiane przez kurierów pytanie, ale tym bardziej pobudzające mnie do wesołości.

– Normalną paczkę.

– I co tam jest? – kontynuował swoje przesłuchanie, przeciągle ziewając.

– Nie wiem. Dzisiaj jeszcze nie sprawdzałam – zażartowałam. – Za dużo mam na pace.

– No dobra! – rzekł łaskawie facet. – Proszę przywieźć. Czekam.

Uśmiechnęłam się i rozłączyłam, zanim pozwoliłabym sobie na żartobliwą odpowiedź: „Tak, łaskawy panie, zaraz twój wierny sługa dostarczy ci paczkę”. Obym nie zapomniała, gdy będę mu oddawała w poddańczych ukłonach jego przesyłkę, pocałować go w stopy z wdzięczności, że zapewnił mi pracę i zarobek!

Wciąż w doskonałym humorze wykonałam kolejne telefony i na koniec stwierdziłam, że dzisiaj na moim rejonie chyba wszyscy spali.

Włączyłam silnik i ruszyłam pod pierwszy adres na Głogowskiej.

– Legnico! Jadę z paczkami! – rzuciłam wesoło przed siebie.

Włączyłam radio i liczyłam, że mój poranny optymizm utrzyma dobra muzyka, ale pomiędzy ponurymi wiadomościami i reklamami leków na hemoroidy puszczali taką „muzyczną sieczkę”, że w trosce o swe zdrowie psychiczne, błyskawicznie wyłączyłam odbiornik. Kiedyś zafascynowana słuchałam angielskich piosenek i nie znałam języka. Teraz żałuję, że słuchałam i że znam angielski, przynajmniej na tyle, aby zrozumieć, że niektóre teksty są o niczym. „Chyba że śpiewa Michael Jackson” – pomyślałam, przypominając sobie z uśmiechem popis Bączka na magazynie.

\* \* \*

Popołudnie zamierzałam spędzić z moimi córkami, ale one oczywiście planowały w zupełnym oderwaniu od moich planów. Po obiedzie wybierały się z koleżankami do kina, a potem na przedwyjazdowe zakupy. Przecież w bardziej niż najbliższej perspektywie wyjeżdżały do Chorwacji z Waldemarem, co wciąż budziło u mnie głęboko skrywany sprzeciw i smutek. Oczywiście, że się zgodziłam, bo wyrazy szczęścia na ich twarzach, gdy mi o tym opowiadały, nawet mnie się udzieliły, choć ja akurat zostawałam w Legnicy. Nie miałam zamiaru psuć radości ukochanym córeczkom, ale moja została popsuta w drodze powrotnej z pracy. Taki los matki nastoletnich córek!

Deszcz nie odpuszczał nawet po południu. Wciąż niepokojąco zalewał ulice i wraz z wiatrem nękał mieszkańców. Jechałam powoli, nie spiesząc się do domu pozbawionego Elwiry i Tomiry, za to okupowanego przez moje mamunki, przed którymi przez deszcz nie miałam nawet ucieczki do ogrodu. Z ciężkim westchnieniem przekroczyłam próg, lecz tuż za nim, na ścianie z kluczami, czekała na mnie wielka kartka, gdzie ręka mojej mamy skreśliła krótkie informacje o domowych nieobecnościach:

„Pojechałam do pracy u Tymona. Marzena na randkę z ojcem komisarza K. Mama”.

„Każdy ma jakieś życie, tylko nie ja” – pomyślałam w krótkiej zadumie. Nawet Grigorij jeszcze nie wrócił do domu, co odnotowałam, wjeżdżając na swój podjazd. Wspomniałam też Kumpla, ale deszcz zniechęcał mnie do jakiegokolwiek aktywności. Powlokłam się do kuchni, licząc, że pozostawiony dla mnie obiad przywróci dobry humor i energię. No i się nie zawiodłam na makaronowej zapie-

kance z lososiem przygotowanej przez Marzenę. Przy pełnym żołądku życie odzyskało kolory, blask i sens, więc bez zastanowienia wybrałam numer Leszka.

– No, nie wierzę! – wykrzyknął radośnie. – Nie wybrałaś omyłkowo mojego telefonu? Chyba że masz dla mnie jakąś paczkę? Tylko nic nie zamawiałem.

– Rzeczywiście, pomyliłam się, ale skoro już się odezwałeś... Jak tam twoja głódówka? Gdybyś jednak nie miał co jeść, mam naleśniki i jeszcze zapiekankę makaronową z lososiem.

– Zapraszasz mnie na obiad? Domowy? – zastanawiał się głośno. – Szkoda. Dzisiaj jestem w Poznaniu. Tkwię tutaj do jutra. Jedna sucha bułka musi mi wystarczyć.

– Naprawdę jest mi przykro – żartowałam. – Może zrobię ci przelew?

– Pożyczę od kolegów. Nie nadwyrężaj się i nie zamartwiaj, bo już nie dam rady podrzucić cię na SOR. A jak w pracy?

– Nieustające pasmo sukcesów – odparłam wesoło. – Naprawdę polubiłam kurierkę. Ciężko, ale mnie taka praca w terenie, pośród ludzi, codziennie innych, najbardziej pasuje. Jak mogłam tyle przesiedzieć w domu i być szczęśliwa?!

– A ja twierdzę, że ludzie są coraz gorsi, coraz bardziej wredni i roszczeniowi. I głupi, to najbardziej przerażające. Staram się codziennie zakładać różowe okulary, ale... chyba się starzeję – ostatnie zdanie zabrzmiało znacznie weselej.

– Ejże! To ile ty masz lat?! – rzuciłam zadziornie.

– Czasami wydaje mi się, że sto! – roześmiał się zaraźliwie, a ja wyobraziłam sobie, jak stoi z telefonem przy uchu, w niebieskiej koszuli z podwiniętymi rękawami, wysoki, smukły i spogląda gdzieś z wysokości na ten pokręcony świat. I ciepło rozlało mi się po ciele, gdy dopadło mnie wspomnienie tych ramion, które niosły mnie przez nieskończenie długą chwilę.

– Czyli to taki entuzjizm nowicjusza z mojej strony... – westchnęłam. – Albo naiwność?

– Albo dziecięca radość... I nie trać tego. A poza tym zmieniła ci się perspektywa.

No i tak sobie wesoło gawędziliśmy przez telefon, dopóki z dołu nie usłyszałam głośnego:

– Halo! Jest tu kto?!

Bożenna Pawełek powróciła z misji specjalnej. Niechętnie pożegnałam się z Leszkiem i zesłałam na dół, wiedzona ciekawością, z jakim rezultatem przybyła agentka specjalna.

– Jest jeszcze ta zapiekanka z łososiem? – rzuciła Bożenna, ściągając przemożony płaszcz i zdejmując czerwone kalosze w białe kropki, pożyczone od Tomiry.

Nie czekając na odpowiedź, minęła mnie w progu, lekko potrącając, i dobiegła do piekarnika. Chwilę później, z wyrazem niebotycznego szczęścia, żarłocznie pochłaniała potrawę prosto z naczynia żaroodpornego. Zamurowało mnie w progu i to nie z powodu zaskakującego braku kultury jedzenia u mojej mamy. Moją uwagę przyciągał okrutnie bijący po oczach pomarańczowy sweterek, na który patrzyło się boleśnie dla oczu. Na szczęście, w przerwie pomiędzy kolejnymi łapczywymi kęsami, ściągnęła to coś, więc odetchnęłam z ulgą dla mych oczu.

– Pomyśleć, że tylko myśl o tej zapiekance utrzymywała mnie w tej okropnej robocie – mówiła z pełnymi ustami Bożenna. – Nie mów tego Marzenie. Jeszcze jej woda sodowa uderzy do głowy i pomyśli, że jest we wszystkim lepsza!

Cała moja mama. Broń Boże pochwalić, bo woda sodowa tylko czeka, aby namieszać wszystkim w głowach od zwykłego komplementu albo jednorazowej pochwały.

– Jak ci poszło u Tymona Kapusty? – spytałam, biorąc drugą łyżkę i dołączając się do konsumpcji.

– Zwolnili mnie! – rzuciła z oburzeniem. – Rozumiesz?! Nauczycielkę z czterdziestoletnim stażem!

– Przecież nie zatrudniałaś się tam jako nauczycielka.

– No fakt, ale mógł docenić.

– Mamo, przecież nawet nie złożyłaś CV!

– Nieważne, i tak się cieszę, że już tam nie pracuję. Strasznie się spociłam w tej peruce i w swetrze.

– Miałaś perukę?!

Cóż, nie doceniłam mojej zasadniczej mamunki. Okazało się, że Bożenna Pawełek przygotowała się do swojej misji specjalnej wyjątkowo profesjonalnie. Przede wszystkim postawiła na solidny kamuflaż. Wybrała się do lumpeksu, zakupiła perukę à la trwała z lat osiemdziesiątych, nylonowy fartuch i płócienne kaptcie z dziurą na palcach. Ponadto w tym samym lumpeksie znalazła eksplodujący rażącym pomarańczem sweterek i spódnice w kratkę do połowy łydki. Nie zapomniała o makijażu, gdzie dominowały niebieskie cienie do powiek i czerwone rumieńce na policzkach. Wszystko to wskazywało dobitnie, że wizja sprzątaczkki Bożenny zatrzymała się na latach wczesnej młodości, bowiem ja osobiście takiego image'u u żadnej współcześnie sprzątającej osoby nie widziałam.

Zatem tak dość ekscentrycznie ubrana pojawiła się w siedzibie firmy, gdy akur rat opuszczał ją Tymon Kapusta. Sekretarka, okropne babsko pokrzykujące nieustannie na Bożennę, wprowadziła nowo zatrudnioną w jej obowiązki. Zaczęła od gigantycznej hali o rozmiarach Madison Square Garden, gdzie na specjalnej maszynie moja mama miała się zająć powierzchnią płaską. Oczywiście pamiętając, by nic nie uszkodzić. Jako że jedyny pojazd, jaki w życiu prowadziła, parkował w garażu na Sudeckiej od trzydziestu lat, Bożenna na początku dość sceptycznie odniosła się do maszyny. Jednak ledwie zajęła miejsce za kierownicą, poczuła to coś, co musi czuć każdy motocyklista, gdy rusza w podróż – wiatr we włosach. Porzucając wszelką wątpliwość, wcisnęła pedał gazu i włosy zostały z tyłu wraz z krzyzącą za nią sekretarką. Jazda na maszynie bardzo się spodobała mojej mamie. Gorzej z zadowoleniem obecnych przy sprzątaniu hali pracownikami. Uciekali z krzykiem, gdy tylko się zbliżała, i dziwacznie machali rękoma. Bożenna w trakcie sprzątania zupełnie nie oglądała się za siebie, mknąc naprzód z zapalem i samozadowoleniem, ale gdy zawróciła, ujrzała prawdziwe pobjowisko. Porozrzucane kartony i skrzynki tonęły w wielkiej pianie, sięgającej ramion dorosłego człowieka, ludzie się ślizgali, próbując zachować równowagę i ratując towar przed zbliżającą się na powrocie maszyną. Widząc takie zamieszanie na swojej drodze, Bożenna zbyt gwałtownie wcisnęła hamulec i zaczęła się kręcić szaleńczo w kółko, aż zrobiło się jej niedobrze.

Jak znalazła się na mokrej podłodze, nie pamięta. Maszyna nadal się kręciła, ale z niepokojącym rykiem, a ludzie odciągali moją mamę jak najdalej od niej. Ktoś próbował zatrzymać mechanicznego potwora, ale ostatecznie się poddał. Wreszcie wszyscy uciekli z hali, i oczywiście Bożenna również. Czowała się jak po kręceniu westernu, jakby odgrywała scenę ucieczki przed Indianami na galopującym rumaku albo brała udział w okielznaniu byka na rodeo. Zaraz z hali wpadła wprost na rozszerzoną do granic czerwoności sekretarkę. Para i wściekłość buchały z kobiety takie, jak z hutniczego pieca przekraczającego normy temperatury i ciśnienia. Momentalnie ubrania na wszystkich wokół wyschły z głośnym sykiem. Rzuciła w Bożennę rozmokniętą peruką i wrzeszcząc coś o odszkodowaniu za poniesione straty, wyrzuciła na bruk.

– Normalnie jak w dziewiętnastym wieku – podsumowała moja mama, wkładając do zlewu wyskrobane z resztek zapiekanki naczynie.

– Martwię się tym odszkodowaniem – westchnęłam.

– Nikt mnie nie znajdzie i nie rozpozna – odpowiedziała z triumfalnym uśmiechem. – Tak to jest, jak chce się przyoszczędzić i mieć za psi grosz pracownika. Przecież mogłam się zabić na tej maszynie-potworze! To ja ich mogę podać o odszkodowanie, bo bez przeszkolenia ta hiena wsadziła mnie na coś takiego!

Trudno odmówić racji takiemu argumentowi.

– Hiena? Kto jest hieną? – usłyszałyśmy od progu głos Marzeny, a gdy weszła do kuchni, jęknęła w przerażeniu: – Bożenka! Jak ty wyglądasz?! Płakałaś? Złapali cię, kiedy przeszukiwałaś biurko Kapusty?!

– Chcieli mnie zabić! – rzuciła moja mama buńczucznie, ale gdy zza pleców teściowej wyłonił się starszy mężczyzna, zasłoniła sobie usta dłonią.

– Dzień dobry – powiedział z uprzejmym uśmiechem, tak ludząco podobnym do syna.

Moja mama zerwała się z miejsca i bez słowa wybiegła z kuchni do swojego i Marzeny pokoju. Podniosłam się również, ale po to, by przywitać się z Markiem Kluczykiem.

– Mareczku, w szafce po lewej jest wino, więc jak mógłbyś otworzyć, to byłabym wdzięczna, a my zobaczymy, co się stało z Bożenką. Korkociąg jest w szufladzie – zakomenderowała Marzena i obie poszłyśmy do pokoju śladem mojej mamy.

Zastałyśmy ją zawzięcie szarpiącą się z kraciastą spódnicą i jednocześnie próbującą rozczesać ciasno spięte włosy i zmyć rozmazany makijaż.

– Co się stało?! – spytała bezceremonialnie moja teściowa.

– Nic. Mogłaś nas uprzedzić, że przyprowadzisz swojego gacha do domu – syknęła ze złością Bożenna. – Ja walczę o życie na misji specjalnej, a ty...!

– To nie mój gach, a przyjaciel – wyjaśniła Marzena z obrażoną miną. – Poza tym ja też wyciągałam cenne informacje.

– Ciekawe jakie?! – prychnęła Bożenna. – Numer kołnierzyka koszuli, by mu sprezentować nową, czy stan jego konta, aby się na nim uwiesić?

– Czy ty mi przypadkiem nie zazdrościsz? – spytała bezceremonialnie Marzena.

– Czegóż niby?!

– Powodzenia.

– Normalnie oszalałaś! Jakiego powodzenia? – zdenerwowała się moja mama. – Ja ciężko pracuję i omal mnie nie zabiła jedna hiena, a ty zupełnie beztrudno prowadzasz się po mieście z facetem.

Wywróciłam oczyma, ale żadna z mamunek tego nie zauważyła. Przez chwilę przyglądałam się obu, jakby siedziały w piaskownicy i kłóciły się, której mama kupiła ładniejsze wiaderko. Normalnie dziecinada. Szukałam pospiesznie jakiegoś słowa, które mogłabym wtrącić i rozbić atmosferę piekielnej awantury. Na szczęście zrobiła to Marzena.



– Staszek Migotka chciał, by Natalia wyszła za Tymona Kapustę! – łupnęła sensacją między oczy moja teściowa. – A ona się z kimś spotykała!

– Też mi sensacja – prychnęła Bożenna. – Z Grigorijem przecież.

– Wcześniej. Przed Łukaszem. Ten co ją niby rzucił pół roku temu. Staszek parł zawzięcie na ten ślub z Kapustą i podobno pozbył się tamtego narzeczonego w ohydny sposób. Jeszcze nie wiem jaki, ale myślę, że trzeba tego faceta znaleźć i powiesić na naszej tablicy.

– Coraz mniej podoba mi się ten Staszek – westchnęła moja mama, wciąż nie mogąc rozpiąć zamka przy spódnicy. – Niech mu ziemia lekka będzie, ale zaraz dojdzie do sytuacji, że pogratulujemy zabójcy. A tego bym jednak sobie nie życzyła.

– Ja też – wtrąciłam, starając się pomóc z zamkiem, ale gdy i moje wysiłki zawiodły, zdecydowałam: – To trzeba uciąć. Po jaką cholere ci ten straszny łąch?

– Marzena, co tak stoisz jak słup? Podaj nożyczki! Są w szafce na dole w przyborniku na pierdoły do szycia – zakomenderowała Bożenna i teściowa od razu dopadła szafki, po czym zamarła, wpatrując się w jej wnętrze.

– Kurwa! – wykrzyknęła po chwili i przerażony wzrok wbiła w moją mamę. – Gdzie jest wino Maurycy?!

Ręce i szczęki opadły nam jednocześnie.

– A skąd mogłam wiedzieć, że to Maurycy? – spytała Bożenna. – Miało zwyczajne naklejki. Kto normalny trzyma wino w szafce na przybory do szycia?!

– Ja! – ryknęła Marzena z ogromnym żalem, roniąc łzy. – Bałam się, że Krzysia wszystkie wyrzuci, więc chciałam ocalić dwie butelki przed zniszczeniem. Zaklepałam inną naklejką i trzymałam na czarnej godzinę! A ty je jednak zniszczyłaś! Mogłam się domyślić, że działacie razem!

Bożenna spojrzała zaskoczona na mnie, a potem znów na rozpaczającą na klęczkach przy szafce Marzenę.

– Nie wyrzuciłam – odpowiedziała spokojnie. – Zaniósłam do kuchni, do szafki.

W lot wpadłyśmy na tę samą myśl i niemal tratując się nawzajem, dobiegłyśmy do kuchni. Z głową na stole głośno chrapał Marek Kluczyk. Jeszcze w dłoni na stole trzymał niedopitą szklankę wina.

– Boże! – jęknęłam, łapiąc się za głowę. – Pójdziemy do więzienia!

– To już trzeci – wyszeptwała Marzena i osunęła się bezwładnie na podłogę.

– Nigdzie nie pójdziemy! – zdroworozsądkowo zareagowała moja mama, podchodząc bliżej do śpiącego. – Jak każdy chłop! Zobaczysz alkohol, to bodaj kropelkę

musi spróbować! Dużo tego nie wypił, to może nie prześpi doby! I od razu go siekło! Dziwne...

Przyjrzała się butelce pod światło, po czym wyciągnęła Markowi szklanke z dłoni i pochyliła się nad mężczyzną, by powonieniem potwierdzić swoje przypuszczenia. Następnie odwróciła się i energicznie potrząsnęła mną za ramiona, przerywając tym samym potworne wizje wspólnej celi z moimi mamunkami przez dwadzieścia pięć lat jak nic!

– Cuć Marzenę – rozkazała, wskazując na teściową leżącą na progu kuchni. – Trzeba go przenieść na sofę. A to wino wreszcie raz na zawsze wylać! Chyba że jeszcze gdzieś zbunkrowała z sentymentu do przodkini!

Chwyliła za otwartą butelkę i od razu całą zawartość wylała do zlewu. Marzena z naszą pomocą odzyskała pionową postawę, ale o kontakcie z nią mowy nie było. Niczym automat wykonywała nasze polecenia i wspólnymi siłami przeniosłyśmy kolejnego degustatora wina Maurycy na sofę. Kiedy Marek głośno pochrapywał w moim salonie, wróciłyśmy we trzy do kuchni, aby się zastanowić nad wersją wydarzeń dla jego syna. Mnie i Marzenie z nerwów trzęsły się ręce i plątały myśli, ale Bożenna niczym dzielny kapitan na statku szarpanym przez sztorm, przedstawiała spokojnie swój plan.

## 26. Co komu pisane, a co kto w lustrze widzi?

– Witam, piękne panie! – wesoło powitał nas rano Marek Kluczyk i energicznie zacierając dłonie, rozglądał się ciekawie wokół. – No i co tam mamy dzisiaj na śniadanie?

Znana nam już wesołość jako skutek uboczny wina Maurycy, nikogo nie zaskoczyła ani nie obraziła. U Marzeny spowodowała eksplozję wyrzutów sumienia i ulgi zarazem. Wystrzeliła z krzesła, jakby się pod nią zapaliło, i rzuciła się na szyję swojemu przyjacielowi, a potem do lodówki, aby przygotować posiłek, po którym nikt by z żadnymi pretensjami nie wyskoczył, o sędzie nie wspominając. Bożenna natomiast zachowała wczorajszy spokój i bez nerwów wyciągnęła z szafki dodatkowy talerz dla gościa.

– Mówiłam, że nie prześpi całej doby, bo wyzłopał za mało – szepnęła konspiracyjnie w moją stronę.

Mnie z kolei dręczył niepokój za każdym razem, gdy wino Maurycy pojawiało się na scenie. Przecież Trunek Dobowego Zapomnienia nie został przebadany i nie znamy długofalowych skutków jego konsumpcji. „Może po kilku miesiącach zabija w męczarniach?” – wzdrygnęłam się na tę myśl.

Na pewno żadnego niepokoju nie czuł nasz niespodziewany gość. Marek znakomicie odnalazł się w naszym towarzystwie, jakby wpadł właśnie z towarzyską wizytą do starych znajomych. Ochoczo zasiadł do stołu, z niecierpliwością wodząc wzrokiem za krzątającą się przy kuchence Marzeną i strzelał dowcipem jak z radzieckiej katuszy.

– O! Ma pani dla mnie paczkę? – rzucił z uśmiechem w moją stronę, wskazując na logo firmy kurierskiej na koszulce. – Mogę zapłacić kartą?

– Ależ urocza łąka panią pokryła! – zwrócił się do mojej mamy, mając na myśli kwiecisty szlafrok, w który się zawinęła o poranku, i dodał, tocząc wzrokiem wokół: – Tyle kwiatów, że tylko rwać!

Samotnie zaśmiewał się ze swoich „świetnych” dowcipów. Marzena, ze wszystkich sił starając się być uprzejma, wykrzywiła się w czymś, co na upartej mogło przypominać uśmiech. Najwyraźniej, aby uciszyć wyrzuty sumienia, gotowa była nawet gwiazdę albo szpagat zaprezentować. Mnie to wesołe paplanie Marka kojarzyło się z kiepskim stand-upem, na który dostałam bilet od naj-

większego wroga. Natomiast emerytowane ciało pedagogiczne, odziane w łąkę, prezentowało marsową i śmiertelnie poważną minę!

– Wyzłopał pan nam całe wino, sam, i zasnął na stole! – podsumowała bezlitośnie dla dobrego humoru Bożenna. – Sprawił nam pan niemały kłopot swoją słabością i skłonnością do alkoholu. Szczególnie że w takim stanie mogły pana zobaczyć moje niepełnoletnie wnuczki.

Marek daremnie próbował powstrzymać uśmiech. Aczkolwiek sprawę potraktował poważnie. Podniósł się uroczyście z ręką na piersi, lecz wbrew własnym wysiłkom parszkając śmiechem, co jeszcze bardziej wprawiało go w zakłopotanie.

– Bardzo panie przepraszam! – rzucił może i ze skruchą, ale także z szerokim uśmiechem. – Nigdy mi się to nie zdarza. Ogromnie przepraszam. Głowę bym dał, że kapkę spróbowałem, czy dobre. Jeszcze raz przepraszam! Zaraz zamówię taksówkę i wrócę do domu. Wino oczywiście odkupię...

Podniosłam się również, bo nie mogłam patrzeć spokojnie na męki starszego pana, szarpanego z jednej strony wyrzutami sumienia, a z drugiej nieznanymi sobie skutkami degustacji wina Maurycy.

– Podwiozę pana – oznajmiłam uprzejmie. – Jadę już do pracy. Proszę zjeść śniadanie, a ja poczekam w samochodzie.

Marzena błyskawicznie nałożyła na talerz kopę jajecznicy z podsmażoną cebulką i kiełbasą oraz dwie bułki z żółtym serem. Dostawiła sałatkę z pomidorami i ogórkami, marynowane grzybki, a potem jeszcze ciepłą fasolkę w sosie pomidorowym. „Aż tyle czasu nie mam” – westchnęłam w myślach, z rozpaczą spoglądając na zastawiony po magnacku stół. Tymczasem Marek, już nie bawiąc się w wersalskie maniery, przystąpił do natychmiastowej konsumpcji. Wszystkie trzy uśmiechnęłyśmy się mimowolnie. To także dobrze nam znany objaw.

Moja teściowa usiadła przy stole i z zachwytem przyglądała się, jak Marek pochłania kolejne porcje jedzenia, a moja mama podreptała za mną do wyjścia. Tuż za progiem ujęła mnie delikatnie za łokieć i poprowadziła niczym niegrzeczną dziewczynkę, przyłapaną na pokazywaniu języka przy tablicy, w sam środek jego warzywnika. Zajęłyśmy pozycje na ścieżce pomiędzy pomidorami a ogórkami i tutaj nastąpiło niespodziewane uświadomienie córki przez matkę. O parę lat za późno, ale rada okazała się stosowna do wieku.

– Dziecko! – rozpoczęła Bożenna konspiracyjnie, rozglądając się wokół. – Może i ja tak plotę bez sensu, że bez faceta da się żyć, ale ty mnie nie słuchaj! Siebie posłuchaj!

No teraz to dopiero nadstawiałam uszu! Szpaki i wróble na drzewach nawet przestały hałasować, by im nic nie umknęło z arcyciekawej rozmowy. Żaden

owad nie śmiał się poruszyć.

– Ale...! – zaczęłam zdezorientowana.

– Przede wszystkim nie ciągnij żałoby po tym nieszczęsnym Waldemarze, jak ja przez całe życie po twoim, pożał się Boże, ojcu! – mówiła z przejęciem i autentycznymi wypiekami na twarzy. – Korzystaj z życia i nie oglądaj się za tym patafianem! Nawet minuty szkoda! A teraz narwijmy trochę pomidorów na sałatkę, bo Marzena nabierze podejrzeń, że coś knujemy.

Z przejęcia rwałam nawet niedojrzałe owoce i obiecałam sobie sprawdzić w Internecie, co to za „patafian”.

\* \* \*

Po całym dniu pracy, gdzie jak grzyby po wczorajszym deszczu rozmnożyli się klienci z pretensjami i nieuprzejmością, potrzebowałam wyciszenia i Kumpla. Zwłaszcza że nazajutrz bladym świtem moje córeczki wyjeżdżały do Chorwacji i dzisiaj, zamiast pożegnać się ze mną, robiły pożegnalną imprezę dla koleżanek na Liliowej. Aby uniknąć pocieszania ze strony obu mamunek, opóźniałam powrót do nieodzyskanego jeszcze domu. Na Grigorija nie mogłam liczyć do wieczora, bo wiedziałam, że zastępował Alberta w Głogowie, rozwożąc niedoreczone w ciągu dnia paczki.

Podjechałam pod schronisko i wyciągnęłam kupiony wcześniej worek suchej karmy. Kumpel w swoim stylu, zupełnie beznamiętnie, zareagował na perspektywę spaceru. Dzisiaj nie uspokajałam myśli. Ku własnemu zdumieniu ogarnęła mnie jakaś błogość, radość i nieobecność myśli o Waldemarze czy nawet własnym małżeństwie. Szwendalam się spacerowymi, ocienionymi przez stare buki ścieżkami, niemal podskakując jak beztraska dziewczynka. I chyba udało mi się zaskoczyć Kumpla, bo dał się ponieść i zaszczekał radośnie.

Przy torach zwolniłam zdyszana, a gdy dotarłam do pierwszych domów osiedla Białe Sady, zawróciłam do Lasku Złotoryjskiego. W wolniejszym tempie dopadły mnie myśli o wyjeździe bliźniaczek, ale na krótko, bowiem w zamyśleniu wszłam na niepilnowany już przez nikogo teren ponemieckiego, a później radzieckiego szpitala, który niszczał tutaj od lat dziewięćdziesiątych. Wszędzie czyhały na mnie kratery studzienek pozbawione klap i zabezpieczeń i szerokie rowy, gdzie prawdopodobnie wykopywano miedziane kable. Rozbite szkło w różnych kolorach, cegły i straszące oczodoły opustoszałego budynku oraz całe otoczenie dawały ponury obraz totalnego zaniedbania i zniszczenia, który usiłowały zakryć rozłożyste rosnące drzewa i krzewy. A dawną świetność szpitala można było podziwiać z żalem na starych fotografiach. Intensywnie skupiałam

się na drodze pod stopami, aby przypadkiem nie załapać się na dziurę w ziemi i w konsekwencji jakieś złamanie. Wreszcie wyszłam przez powalone betonowe ogrodzenie i wróciłam na bezpieczne ścieżki.

Spokój Kumpla i mnie się udzielił. Nie mogłam bez końca rozpamiętywać swojego małżeństwa i dręczyć się myślami, co poszło nie tak? Już dawno szło nie tak, tylko próbowałam tego nie widzieć. A dosyć tego! Fakt, poczułam się niekomfortowo, ale musiałam przyznać mojej mamie zupełną rację. „Porady nie od parady” – stwierdziłam wesoło i potarosałam Kumpla za uchem. W ramach poprawy samopoczucia zrobiłam krótkie podsumowanie swoich ostatnich osiągnięć, gdzie na pierwszym miejscu uplasowała się praca, z której jeszcze mnie nie zwolnili i nie zamordowali. To w sumie skromnie, ale się rozkręczę!

Odprowadziłam Kumpla do schroniska i wracałam już w znacznie lepszym nastroju, zdolna dokonać rzeczy niemożliwych. Będę jak Rocky! I chyba pod wpływem tego hasła albo zwyczajnego zaćmienia umysłu, wybrałam numer do Leszka:

– Wracam na siłownię! Chcę być taka jak Rocky! – rzuciłam z zapalem do słuchawki.

Odpowiedziało mi milczenie, więc zwątpiłam, czy dobrze wybrałam. Pomyłki telefoniczne zdarzały mi się częściej niż chwile samotności.

– Ale w sensie wyglądu? – usłyszałam wreszcie rozbawiony głos Leszka.

– A da się pominąć ten aspekt?

– Owszem. Wtedy nie musisz wracać na siłownię. Poza tym Rocky zaczynał, o ile pamiętam, tłukąc tusze świńskie w chłodni i biegał po mieście. No i jeszcze słynne schody. Nie przypominam sobie, aby w Legnicy takowe były. Mogę ci poradzić jedynie bieganie po klatkach schodowych.

– Nie, już rezygnuję. Nie chcę się tak spocić. Poza tym po klatkach schodowych biegam zawodowo – przypomniałam.

– Uff! Od razu mi ulżyło, bo już sobie nawet wyobraziłem ciebie z taką muskulaturą kulturystyczną!

Roześmiałam się. Też nie chciałabym się oglądać w takiej wersji.

– Tak sobie przypominałem, że wiesz mi kawę... A może teraz?

– W żadnym wypadku! – zaprotestowałam, choć z ogromnym żalem. – Właśnie wracam z pracy i jestem jeszcze gorzej przepecona niż Rocky! A później mam jedną sprawę do załatwienia. To może jutro? Wieczorem zapraszam na spacer po okolicy i kulinarne sponiewieranie z kawą na wynos i hot-dogiem ze stacji... Nie jest to może kolacja marzeń, ale sam widziałeś, że w domu panuje nieopisany tłok.

– Przyjadę z hot-dogami i kawą! – ucieszył się Leszek. – Strasznie mi się spodobało to kulinarne poniewieranie!

\* \* \*

Ku mojemu zaskoczeniu w domu panowała grobowa cisza. Na wszelki wypadek nie roztrząsałam takiego stanu rzeczy i nie wydzwaniałam zaniepokojona, gdzie też podziewają się mamunki. Posiadałam swój plan na dzisiejszy wieczór. Zwłaszcza że mogłam go rozpocząć wcześniej, bowiem na podjeździe sąsiada zaparkowane było jego auto. Powstrzymałam się jednak, słusznie nie narażając Łukasza na dość nieprzyjemne wonie, które mi towarzyszyły po całym upalnym dniu biegania, dźwigania i jeżdżenia bez klimatyzacji. Szybki prysznic rozprawił się z tamtą mną i po kilkunastu minutach, pełna gnieżdżących się od tygodni wątpliwości i pytań, dziarsko pchnęłam furtkę sąsiada.

Coś musiało być na rzeczy z tym Rockym, bowiem potraktowana z siłą furtka urwała się z zawiasu i zawisa dziwacznie i z jękiem. Jęknęłam również, ale z kłopotania. Próbowałam podnieść porzewiałe żelastwo, ale tutaj już mnie opuściła siła słynnego włoskiego ogiera. Nawet coś łupnęło niebezpiecznie w plecach, więc porzuciłam chaotyczną naprawę. Niechaj sobie leży! Mnie nie powstrzyma przed rozmową i dociekaniem prawdy o ostatnim zachowaniu Grigorija. Wydobędę z niego, o co chodzi, nawet gdybym musiała wyrwać mu z ramion rozneglizowane kobiety i pojedynkować się na pistolety!

Wcisnęłam dzwonek, który zabrzmiał w całym domu dość złowieszczo. Cisza. Znów wcisnęłam dzwonek i nie pożałowałam pięści, łomocząc w drzwi. Otworzył, nieprzekonująco udając rozespanie. Wepchnęłam się do środka bez pardonu i po drodze już w kuchni uruchomiłam ekspres do kawy.

– Od razu mi powiesz, dlaczego mnie unikasz, czy po wymyślnych torturach? – zapytałam, dorzucając stanowczy wyraz twarzy. – I nie czaruj, ale wal między oczy.

Niedbale zajął miejsce przy stole i chwilę w milczeniu czekaliśmy, aż maszyna zrobi swoje. Wreszcie pełne parującej kawy kubki trzymaliśmy w dłoniach i wówczas Łukasz wydobyl z piersi potężne westchnienie, wy dostał się z głębokiej zadumy, a potem rzekł:

– Bo mnie już to śledztwo nudzi!

Przyznam, że odetchnąłam z ulgą. Obawiałam się, że rozpaczliwie brakuje mu Waldemara i przez tę nieobecność nie może na mnie patrzeć. Albo przeraźliwie boi się, że samotna sąsiadka rzuci się na niego, by upolować kolejnego męża.

Albo coś w tym stylu, bowiem wyobraźnia się u mnie rozszalała, lecz nie przewidywała kompletnego znużenia śledztwem.

– Toż to straszna robota, harówka bez końca, mordęga zupełna! – wyliczał zniesmaczony. – Wolę trzysta razy busem bez klimy Ziemię objechać z niedoręczonymi paczkami!

– Też mam dość, ale nie mogłeś po ludzku mi powiedzieć? – rzuciłam z pretensją.

– No fakt! Ale widziałem, jak ci zależy, jak jesteś osobiście zmotywowana, więc... no nie mogłem ci w oczy patrzeć, że się tak objam. I jeszcze ta Natalia! – dodał, odgarniając włosy do tyłu. – Nudna jak flaki z olejem. Przyczepiła się do mnie i siły nie mam. Po cmentarzach biega jak opętana, ze zniczami nowymi, jakby na wszystkich grobach zapalała, a nie u ojca. Pojęcia nie mam, czy tak się żalobę przeżywa? A wczoraj to mi awanturę zrobiła, bo kupiłem zielone znicze, a ona chciała niebieskie! „A co to za różnica?“, pytam. To ona z tymi maślanymi oczyma, ze łzami i cichym jękiem, od którego pękają granitowe płyty nagrobne, mówi, że tatuś taki kolor lubił! Ale sam widziałem, że z zielonymi też latała. Wybac, przyjaźń przyjaźnią, ale ja wysiadam. To wariactwo, a ja prosty facet jestem. Mnie to przerasta! Kobieta, kolacja i do łóżka, a nie po cmentarzach z niebieskimi zniczami łązić! Bez komplikacji żyję i tak mi pisane!

– I kto tu jest bardziej nudny? – wtrąciłam sarkastycznie.

Grigorij odstawił zamasyżycie i głośno kubek, aż resztką kawy wylała się na blat.

– Ejże! Wolę być taki nudny! – zachnął się. – Płaski, nieczuły, ale niczego nie obiecuję! Ale nie będę się już mordował tym śledztwem i tą Natalią. Źle mi z tym, jak się kobieta tak mnie uczepi. Wybac, ale tutaj cię zostawiam. Naprawdę przepaszam.

Położył rękę na sercu i dodał zboląłą minę dla wzmocnienia przekazu.

– W porządku – uśmiechnęłam się bez cienia żalu i pretensji. – Mam to już przerobione, że faceci zostawiają.

Niespodziewanie Grigorij zrobił się czerwony na twarzy ze zdenerwowania. Podniósł się, ale po chwili opadł z powrotem na krzesło i machnął dłonią.

– W dupie go miej! Waldemara, rzecz jasna! – rzucił z zapalem. – Taka jest moja przyjacielska rada.

Przeleciała mi przez głowę myśl, że to już trzecia rada w tym dniu, a jeszcze się nie skończył.

– Może to zaskakujące i dziwne, ale naprawdę mam – przyznałam wesoło. – Zupełnie siebie nie poznaję. Jakby te piętnaście lat, to była taka umowa na czas



określony i się właśnie skończyła, a teraz każdy idzie w swoją stronę. Zmywarki bardziej mi brakuje i komputera. Coś ze mną nie tak?

– Jesteś facetem takim jak ja! – ucieszył się.

– Wiedziałam! Nawet imię mam takie pofacetowskie albo odfacetowskie.

– I zawód męski!

– Wszystko wskazuje, że powinnam być facetem, a w lustrze wciąż widzę kobietą twarz – błysnęłam refleksją i parsknęłam śmiechem.

– Bo jak mówi nasz kierownik: „Świat trzeba zmieniać od człowieka w lustrze”! – podsumował żartobliwie, a potem przypomniał sobie: – Jakie wymyślne tortury miałaś na myśli?

## 27. Ile można się dowiedzieć przez spóźnionego TIR-a?

Moje ukochane córeczki wyjeżdżały z Waldemarem do Chorwacji! Po raz pierwszy od ich urodzenia wakacje spędzałyśmy osobno. Fakt, że też po raz pierwszy pracowałam w tym czasie, wcale mnie nie pocieszał.

Wszystkie wstałyśmy bladym świtem, bowiem Waldemar planował bardzo wczesny wyjazd bez noclegu po drodze. Poza tym dziewczynki z pakowaniem czekały do ostatniej chwili i teraz chaotycznie wrzucały rzeczy do walizek, nieustannie czegoś poszukując. Marzena szykowała prowiant na podróż, zupełnie nieświadoma, jakie straszne uczucia w jedynaku może wzbudzić konsumpcja w audi a8 long! Bożenna donosiła a to szczoteczki, a to bluzki do spakowania i nie żałowała rad w stylu „nie pływajcie daleko od brzegu”, „nie jedźcie po knajpach byle czego”, „nie rozmawiajcie z obcymi”. Jednym słowem: „bądźcie grzecznymi dziewczynkami”. A mnie lzy cisnęły się do oczu, ale zawzięcie powtarzałam sobie, że muszę być już nie tylko jak Rocky, ale w tym wypadku także okazać kamienną twarz jego radzieckiego przeciwnika. Szczególnie że czekało mnie spotkanie z Waldemarem, przed którym wystąpienie z napuchniętą od płaczu twarzą i pociągającym, zasmarkanym nosem, uznane byłoby przezeń jako triumfalne zwycięstwo!

Tomira i Elwira, moje małe córeczki, pakowały się samodzielnie. Przyglądałam się temu ze smutkiem, oparta o futrynę ich pokoju. „Kiedy tak wyrosły, wydorosłały?” – zadawałam sobie w myślach pytania, z których na chwilę wyrwał mnie dźwięk przychodzącego SMS-a. Dość zaskakującego na tak wczesną porę, więc postanowiłam odczytać od razu. „TIR utknął w gigantycznym korku. Przyjedźcie do pracy na dziesiątą”, pisał kierownik Bączek. Uśmiechnęłam się z zadowoleniem, że znajdę jeszcze chwilę na krótką drzemkę i schowałam telefon do kieszeni, na powrót przypatrując się w zadumie moim córkom.

Pomimo radości z wyjazdu, której wcześniej nie ukrywały, teraz panowała ponura atmosfera rozstania. Pierwsza nie wytrzymała Elwira. Porzuciła swoją walizkę i podbiegła, by mnie mocno objąć.

– Mamo, nie martw się. Przecież wrócimy do ciebie – odparła, zgadując moje myśli. – To tylko wakacje. Spędzimy je z tatą i znów będziemy razem.

Tomira stała na środku pokoju i nie kryła rozbawienia.

– A ty co sobie pomyślałaś? – spytała, biorąc się pod boki i zabawnie przechylając głowę. – Że ojciec nas porywa? No, weź!

– Jest mi po prostu smutno się z wami rozstawać – odparłam szczerze.

– Ale to tylko dziesięć dni! – prychnęła Tomira. – Co będzie, jak wyjedziemy na studia do Barcelony?

– Będziecie studiować w Barcelonie?! – podchwyciłam przerażona i z zawałem serca tuż za progiem.

– Ja mam taki zamiar! – odpowiedziała Elwira, wypuszczając mnie z objęć. – A mam z tobą zostać na zawsze, mam? Nigdzie nie wyjadę, nie wyjadę za męża, nie spotkam nikogo. Cały czas będziemy razem!

Roześmiałam się z tego szalonego i zabawnego pomysłu moich dowcipnych córeczek.

– Wariatki! – rzuciłam już odprężona i w lepszym nastroju. – Pojadę za wami do Barcelony!

– I co? Zamieszkaś z nami? To już nasza tradycja rodzinna? – spytała Tomira. – Tak jak teraz nasze babcie z tobą.

– O nie! – wykrzyknęła Elwira.

Również miałam ochotę tak wykrzyknąć, ale się powstrzymałam w ostatniej chwili, bowiem tuż obok mnie stała moja mama.

Waldemar, nie zwracając sobie głowy martwieniem się o sen sąsiadów, dwukrotnym trąbieniem oznajmił swe przybycie. Pospiesznie zbiegłyśmy na dół, dźwigając ciężkie walizki. Na dole już czekała Marzena z prowiantem w torbie, której rozmiary sugerowały, że w Chorwacji panuje straszny głód. Wyściskałyśmy się przed domem i tylko zimne spojrzenie byłego męża powstrzymało mnie przed obfitym wylewaniem łez. A mina, z jaką przyjmował od Marzeny torbę z jedzeniem na drogę, poprawiła mi humor na cały dzień.

Kiedy moje córeczki pomknęły już a8 long w stronę chorwackich plaż, wróciłyśmy do środka w ponurych nastrojach. Niechętnie spojrzałam na zegarek. Piąta czterdzieści. Powrót do łóżka niebywale kusił, ale... Tuż za progiem dopadły mnie słowa Tomiry o wspólnym zamieszkaniu w ramach tradycji rodzinnej. Zerknęłam na wchodzące przede mną dwie starsze kobiety i błyskawicznie zrezygnowałam z drzemki przed pracą.

– Dobra! – rzuciłam z mocnym postanowieniem wyprowadzenia mamunek z mojego domu. – Mamy dziesięć dni na zamknięcie tego śledztwa!

– Dziesięć dni?! – prychnęła moja mama, bez życia opadając na krzesło w kuchni. – Ja już zwątpiłam, czy doczekam jego końca, a mam zamiar dożyć setki.

– Normalnie takie śledztwa trwają latami... – wtrąciła teściowa, krzątając się na powrót przy lodówce. – I to zajmują się nim profesjonaliści, a nie amatorsko emerytki.

– Moja córka nie jest emerytką – zauważyła cierpko moja mama i rzuciła niezyczliwe spojrzenie w stronę Marzeny. – Gdyby nie twój synalek, byłaby porządną kobietą.

– Czy coś sugerujesz, mamó? – tym razem ja złapałam się pod boki i w takiej pozycji wyczekiwałam odpowiedzi, dodając groźną mimikę.

– Nie miałam nic złego na myśli – wycofała się, pokorniejac. – Po prostu poniosło mnie, jak go zobaczyłam przy tym wycackanym samochodziku! Takiego wycackanego i zadowolonego! Miałam ochotę rzucić w niego pomidorem, ale akurat żadnego zepsutego nie było... Zresztą szkoda warzywa!

Objęłam Bożennę z uśmiechem, bowiem jej rewolucyjność mnie rozczuliła.

– Dobra! – moja mama wyrwała się z objęć i zatarła dłonie. – Bierzemy się do roboty!

– Myślałam, że najpierw zjemy śniadanie – oznajmiła Marzena. – Zaraz coś przygotuję.

– A ja myślałam, że już nic w lodówce nie zostało po tym, jak postanowiłaś nakarmić Chorwację i wszystkie kraje po drodze – wtrąciłam z rozbawieniem.

– Na skromne kanapki zawsze starczy! – prychnęła teściowa i powróciła do przygotowań.

W tym czasie Bożenna zdążyła przynieść tablicę z podejrzanymi, a na stół wjechały kanapki, którym słowo „skromne” zdecydowanie ubliżało.

– Bierzmy się za podsumowanie – zakomenderowała Bożenna z odzyskanym zapalem. – Materiału mamy sporo, ale sprawcy nadal brak. I tak bym stawiała na najbliższą rodzinę. Tylko która z tych trzech? Chyba że jeszcze Malwina?

Sięgnęłam po jedną z dworskich kanapek. Marzena postawiła przed nami po kubku kawy i również zajęła miejsce przy stole. Jedząc i pijąc, zgodnie wpatrywałyśmy się w przypięte zdjęcia i opisy na tablicy.

– A może ma jakąś inną pozamałżeńską córkę i to ona go kropnęła? – podesunęłam, a obie mamunki spojrzały na mnie zaskoczone.

– To Natalia jest pozamałżeńską – wyjaśniła moja mama, sięgając do własnych notatek. – Nie wiedziałas? No, tak! Harujesz całymi dniami, a potem nie intere-

sujesz się postęпами! Staszek wykradł ją własnej matce. To znaczy jej matce. Okropna historia. Podobno chciała popełnić samobójstwo jeszcze w ciąży, bo obiecał ożenić się z nią, ale nie dotrzymał słowa. Męskie obietnice, psia mać! Miał rzucić żonę dla niej. Znany scenariusz! Po porodzie dziewczyna się rozpiła. Niektórzy twierdzą, że Staszek bardzo jej w tym staczaniu się pomógł, aby zyskać argumenty w sądzie. Dziecko zabrał i wiesz, co zrobił?

Nie wiem, do jakiego stopnia mogłam wybałuszyć oczy i otworzyć buzię ze zdziwienia, ale o kilka milimetrów jeszcze się udało.

– Co takiego? – spytałam, bowiem wyraz twarzy Bożenny świadczył, że tego ode mnie oczekuje. Zupełnie jak w szkole, gdy na wybrzmiałe pytanie nauczyciela o datę bitwy pod Olszynką Grochowską, czeka się na uczniowską odpowiedź i las rąk ochotników.

– Wysterylizował się! – rzuciła triumfalnie moja mama. – Aby go już żadna kobieta nie usiłowała złapać na dziecko! Takie historie, córeczko.

Fakt ów świadczył, że nie uczestniczyłam aktywnie w śledztwie, a moje mamunki nie próżnowały. Jednak po takiej informacji nadal nie czułam potrzeby, aby być na bieżąco. Cudze historie, brudne mniej lub bardziej, nie interesowały mnie i budziły wewnętrzny sprzeciw.

– Rany! – jęknęłam, z obrzydzeniem odsuwając od siebie kubek z kawą. – Skąd o tym wiecie? To legalne?

– Legalne, ale nie sterylizował się w Legnicy – wtrąciła Marzena, bowiem Bożenna pochłaniała zachłannie kanapkę. – Moja znajoma z biura rachunkowego dowiedziała się od znajomej pielęgniarki przypadkiem, bo kiedyś Staszek rwał ją po pijaku w tej knajpie, gdzie z Tymonem Kapustą się spotykali. Na chama i musiał go od niej odciągać kolega. Wówczas Staszek wyrwał się i krzyczał do niego, że on się nie boi żadnych bab, bo go żadna... ku... na dziecko już nie naciągnie! Już nie ma takiej opcji! Wrócili do stolika i tamten spytał cicho, co ma na myśli? A ta Zośka, pielęgniarka, strasznie ciekawska, niby przypadkiem przechodziła niedaleko stolika i usłyszała, że się wysterylizował na amen!

– Ale skąd wy wiedziałyście, że ta znajoma wie o tej sterylizacji? – spytałam szczerze zaintrygowana.

– Na zdjęciu Staszka rozpoznała – wyjaśniła spokojnie Marzena. – Po prostu wszystkie moje koleżanki z biura dostały zdjęcia Staszka i innych, aby pytać dalej po swoich znajomych, czy ich znają i mogą powiedzieć coś ciekawego. No i trafiła się Zośka.

– Właśnie sobie przypomniałam, że miałam cię spytać. Poleciał na Zośkę w twoim wieku? – sceptycznie zauważyła Bożenna. – Musiał być bardzo pijany

albo coś z nim było nie tak...

– No co ty! Ona ma trzydzieści lat! – oburzyła się teściowa. – To córka mojej koleżanki. Zresztą znacie ją, Tereski Broniak!

– Tej Tereski?! – upewniła się moja mama. – A nie wnuczka przypadkiem?! Bo ta Tereska nieco starsza od ciebie!

– W życiu! – zaperzyła się Marzena. – Córka! Jesteś ode mnie młodsza trzy lata i raptem wszyscy są dla ciebie staruszkami!

Złapałam się za głowę, uświadamiając sobie, jakie rozmiary przyjęło amatorskie śledztwo. Oczywiście duszy widziałam rzeszę rozplotkowanych starszych pań, krążących po Legnicy, nagabujących każdego napotkanego na swej drodze mieszkańca i które przekazują sobie zdjęcia i wysłuchują kolejnych plotek. W tym mieście chyba tylko ja pozostałam niedoinformowana w kwestii morderstwa Staszka Migotki.

– Ja tej kawy nie wypiję przez tę sterylizację – stwierdziła moja mama, z niesmakiem odsuwając kubek. – Ale śniadania nie odpuszczę.

– Natalia o tym wiedziała? – powróciłam do tematu młodszej córki nieboszczyka.

– Tego nie wiemy – wtrąciła teściowa. – A Łukasz się nie dowiedział. Tak sobie myślimy, że może Natalia wie i dlatego tak rozpacza, bo jest przekonana, że jej życie uratował. Bardzo kochała ojca. Codziennie na cmentarz biega, płacze w pracy...

– Właśnie! – przypomniałam sobie. – Á propos cmentarza! Łukasz rezygnuje z pomocy przy śledztwie. Strasznie się go Natalia uczepliła, a on przecież od zawsze wolny ptak. Nie jest w stanie się poświęcić dla dobra sprawy.

– Czyli zostaliśmy we trzy – cierpko zauważyła moja mama.

Przełknęłam tę nieprecyzyjną liczbę amatorskich śledczych w imię dobra sprawy. Powtarzałam sobie, że moje zaangażowanie przyspieszy wyprowadzkę mamunek. No i przede wszystkim zakończy niestosowne grzebanie w cudzych sprawach.

– No a matka Natalii? Co się z nią dzieje? Może chciała się zemścić? – spytałam. – Miała najlepszy motyw.

– Zamknięta w psychiatryku – odpowiedziała Bożenna ze smutkiem. – Żelazne alibi. Z nikim nie rozmawia, tępo wpatruje się w ścianę, więc zlecenie zabójstwa też nie wchodzi w grę w jej przypadku.

– To może jakiś mściwy brat albo siostra? Może ojciec z komandoską przeszłością? – podsuwałam kolejne tropy, ale moje mamunki okazały się doskonale przy-

gotowane:

– Niestety, Krzysiu. Ukochana jedynaczka. Poza tym rodzice utrzymują kontakt i odwiedzają córkę. Zupełnie nieszkodliwi, spokojni ludzie, bez żądzы zemsty. Coś z tą dziewczyną musiało być wcześniej na rzeczy, bo pobyty w szpitalach były częste jeszcze przed urodzeniem Natalii – poinformowała fatalistycznie Bożenna.

– To ja już naprawdę nie wiem! – rzuciłam z rozpaczą, dostrzegając brak nadziei i motywacji również u moich mamunek. Zaraz też dopadła mnie złowieszcza myśl, że zostaną ze mną na zawsze albo przynajmniej do mojej emerytury! – Coś trzeba wymyślić! – wykrzyknęłam z zapalem, ale nikt mi nie zawtórował.

– Na razie, to muszę ciasto dla Romka wymyślić – westchnęła Marzena i zaczęła sprzątać ze stołu. – Imieniny robi dla pracowników.

## 28. Czy mleko się wylało?

Dzisiaj upał przeszedł samego siebie. Spływałam potem, jakby mnie ktoś nieustannie, notorycznie i złośliwie oblewał wiadrem gorącej wody. Termometr w moim busie na szczęście popełnił samobójstwo chyba wraz z klimatyzacją już dawno temu, zatrzymując się na wskazaniu 0,0 stopni Celsjusza. Świetnie! Mój bus wymagał ucywilizowania i gwałtownego skoku w dwudziesty pierwszy wiek, ale niestety na razie nie stać mnie było nawet na pralkę, a cóż dopiero na klimatyzację. „Najważniejsze, że jedzie i pracuje” – powtarzał Grigorij, gdy wyrwało mi się kiedyś narzekanie, i dodał, że w kurierce o sprawny samochód modlimy się częściej niż o deszcz w takie lato!

„Wytrzymam” – powtarzałam ze zmniejszającym się z każdą godziną przekonaniem. Wypiłam już hektolitry wody i z milion razy odwiedziłam toalety na stacjach benzynowych i w zaprzyjaźnionych biurach czy sklepach. Traciłam zapach, energię i skupienie, choć niektórzy klienci potrafili sprawić, że ciśnienie skakało ze wzburzenia albo rozbawiali mnie do łez. Totalny wachlarz emocji i doświadczeń w trzydziestostopniowym upale! Wszystkim dał się we znaki, a dzisiaj jeszcze pozbawiał rozumu i ubrań.

– Szanowna pani, przepraszam za ten niecodzienny anturaż – usłyszałam w jednym z mieszkań, gdzie na ostatnim piętrze poniemieckiej kamienicy poczułam, co to znaczy piekielny skwar.

Drzwi otworzyła mi ubrana w seksowny i kusy szlafrok blondynka, próbując jednocześnie okryć wielki biust i uda kawałkiem przezroczystego materiału. Aby skrócić wizytę i jej bezskuteczne zabiegi, wyciągnęłam przed siebie paczkę, patrząc na świeżo odmalowane ściany klatki schodowej.

– Ale... ale czekam... czekam na... – rozglądała się niepewnie i nagle wykrzyknęła entuzjastycznie: – Na teściową! Tak! Niespodziewana wizyta!

Zastygłam z paczką w wyciągniętej ręce i chyba też zaintrygowana uniosła mi się brew do góry. Już chciałam odpowiedzieć, że ja na wizytę teściowej to bym się raczej ubrała, a nie rozebrała, ale w ostatniej chwili powstrzymałam się przed komentarzem. Tymczasem kobieta wyrwała mi paczkę z rąk i nie zamykając drzwi, w radosnych płasach i z głośnym chichotem zniknęła we wnętrzu swego miesz-



kania. „Niechaj spadnie temperatura, bo wszyscy oszalejemy!” – zamarzyłam, schodząc w dół.

No i przyszła kolej na przedostatni adres, gdzie przed dotarciem fantazjowałam o kąpeli w zimnym Bałtyku albo chociaż na Kormoranie, czując, że docieram do granicy wytrzymałości.

– A co tam jest? – padło moje ulubione pytanie, gdy przedstawiłam się klientowi i uszczęśliwiłam informacją, że oto stoję pod jego drzwiami z paczką w ręku.

– Niespodzianka! – rzuciłam, wykrzesując z siebie resztki wesołości, bo czasem już brakuje odpowiedzi, choć i my, kurierzy, nie jesteśmy wolni od zadawania tego rodzaju pytań.

– Też mi niespodzianka – prychnął i się rozłączył ku memu zaskoczeniu.

Po chwili drzwi stanęły otworem i zostałam porażona widokiem, którego nie da się odzobaczyć. Na zawsze w mej pamięci pozostaną te wielkie, obwisłe i owłosione męskie piersi, opadające na potężny brzuch. Gdzieś tam poniżej powinny być slipy, tudzież majtki albo gacie, ale niczego takiego nie odnotowałam.

– To duże? – spytał nagi facet, któremu daleko było do Brada Pitta, a najbliższe do King Konga. – Pewnie żona zamówiła. Jej tylko dać wyplątę!

Wskazałam na pace busa dość dużą paczkę, której waga zwalniała mnie z obowiązku wniesienia jej. Jednak naprawdę żałowałam, że nie mogę tego zrobić, bo wówczas nie ściągnęłoby mego wzroku miejsce poniżej brzucha faceta. Pośladki „podziwiałam” z zapartym tchem, gdy klient ruszył po przesyłkę. I również ów widok pozostanie na długo w mej pamięci. Być może zniknie po kilku sesjach psychoterapeutycznych. Z ulgą pożegnałam się i odjechałam, nie żałując gazu.

Właściwie nie musiałam się spieszyć do domu, ale dzisiejszy dzień sprawił, że dociskałam gaz, by jak najszybciej wziąć zimny prysznic. Przejeżdżając mostem na Kaczawie, kusiło mnie, by zjechać na wodospad i wskoczyć do rzeki w ubraniu. Jednak stan wody w rzece martwił wszystkich mieszkańców, więc nijak w tym płytkim strumieniu nie udałoby się ochłodzić nawet ratlerkowi. Drugi powód mego szybkiego powrotu stanowiła perspektywa przyspieszenia śledztwa. Uzgodniłyśmy rano, że we wszystko zostaną rzetelnie i ze szczegółami wprowadzona i może w trakcie relacjonowania śledztwa przez moje mamunki wpadnę na jakiś pomysł albo coś mi zaświta. Najwyraźniej pokładały we mnie wielkie nadzieje, bowiem czekał na mnie pyszny obiad z kotлетem schabowym w roli głównej i stos papierzysek do przejrzenia. Na widok tego ostatniego, pierwsze przestało smakować. Jednak mnie zajmował jeden cel.

– Mam nadzieję, że jest woda w kranie, i to bardzo zimna! – wykrzyknęłam zamiast powitania i zamknęłam się w łazience, nie czekając na odpowiedź.

Chyba całe wieki stałam pod prysznicem i dopiero, gdy świat znów wydawał mi się wspaniałym miejscem, zakręciłam kurek. Teraz mogłam się zmierzyć z kotлетem schabowym i górą papierzysek. Mamunki czekały na mnie z niecierpliwością. Lecz ledwie sięgnęłam po pierwszą wydrukowaną kartkę, gdy usłyszałyśmy dzwonek do drzwi. Marzena pobiegła otworzyć i po chwili z przedpokoju wydała z siebie przeciągły pisk, potem chrumknięcie, a na koniec wrzasnęła:

– Policja!!!

Zerwałyśmy się z Bożenną na równe nogi, by błyskawicznie sprzątnąć wszystko i ukryć pod kapą na sofie. Niestety, nasz popłoch i pośpiech spowodowały jeszcze większy bałagan. Kartki wyleciały mi z rąk, rozsypały się na panelach i sprawiły, że ślizgałyśmy się po nich. Bożenna złapała tablicę ze zdjęciami i daremnie usiłowała wypchnąć wszystko za okno, ale uniemożliwiły to stojące na parapecie doniczki. Miotła się więc chaotycznie po salonie, ślizgając na kartkach, które ja na klęczkach zbierałam. No i w tym momencie usłyszałyśmy, jak Marzena czyni hałaśliwe wysiłki, aby zatrzymać kogoś w przedpokoju.

– Fantastycznie, że pan przyszedł, komisarzy! – krzyczała, jakby policjant nie spodziewanie ogłuchł. – A proszę zdjąć buty, bo wypastowałam podłogi, a z dworu to się kurzy! O, dziękuję! Zaraz znajdę jakieś męskie kapcie! Nie, no trzeba, bo od podłogi to jednak ciągnie! I marynarkę może pan zdjąć, bo tak gorąco dzisiaj! Straszny upał, nieprawdaż? Ja zaraz znajdę wieszak, aby się na haczyku nie wypaczyła! Miałam tutaj gdzieś wieszak po babce Maurycy, ponieemiecki! Pół Legnicy chyba ma takie wieszaki! A pan ma?! No szkoda! Mogłabym dać, ale nie mam więcej!

Wysiłki mojej teściowej, aby opóźnić zdemaskowanie, zasługiwały na najwyższe odznaczenie państwowe. Podczas gdy my z mamą szalałyśmy po pokoju, upychając wszystko, gdzie się dało, Marzena różnymi sposobami broniła dostępu do salonu, plotąc coraz większe dyrdymały. Jeszcze chwila i położyłaby się na progu niczym Rejtan, uniemożliwiając wejście.

– Pani Marzeno, czy mogę już wreszcie wejść, bo ze spodni i koszuli nie zrezygnuję – usłyszałyśmy zniecierpliwiony głos Sylwestra Kluczyka.

– Ale właściwie po co pan chce wejść? – spytała Bożenna, wzbijając się na wyżyny gościnności i pojawiając się w progu. – Aresztuje pan moją córkę?!

Nerwowo rozglądałam się wokół. Wszystko zgrabnie ukryłyśmy przed oczyma, ale ewidentnie w krajobrazie znajdowały się podejrzane krzywizny i wyrzuczenia. Zwłaszcza pod kapą na sofie. Na wszelki wypadek, by komisarz się

nie zdecydował usiąść w tym miejscu, oklapłam na mebel w nonszalanckiej pozycji.

– Jestem tutaj prywatnie z misją – rzekł, wreszcie przekroczywszy próg salonu z potężnym bukietem czerwonych róż.

– Czyli to nie aresztowanie, tylko oświadczyń?! – ryknęła Bożenna w oburzeniu.

– Co?! Nie... – Komisarz bez wprawy manewrował bukietem, skacząc wzrokiem od jednej do drugiej i do trzeciej. Jakby nie mógł się zdecydować, której wręczyć kwiaty. – Nie!

– To teraz policja przychodzi na przesłuchania z kwiatami? To ma zmiękczyć przesłuchiwanego? – drążyła moja mama.

– W głowie się nie mieści, co też ludzie nie wymyślą! – jęknęła Marzena i szybko usiadła obok mnie na sofie, w miejscu, gdzie zauważyła lekkie wyrzucenie od ukrytych materiałów.

– Drogie panie... Nie wiem, skąd takie teorie? Przysłał mnie ojciec, bo wstyd mu strasznie. Podobno się upił i zasnął na stole... – mówił z nutką podejrzliwości. – Dla mnie to zupełnie nie do pojęcia, więc przyszedłem przeprosić w jego imieniu. Sam też się zjawi, ale nie wie, czy może osobiście.

Marzena już się uśmiechała szeroko, chcąc zapewnić, że każdy może się tutaj zjawić o każdej porze każdego dnia, a nawet nocy. Jednak moja mama wyprzedziła uległą teściową.

– Drogi panie! – wykrzyknęła. – To jest niebywale, co zrobił! Żadna z nas się nie spodziewała.

– Ależ mamó! – wtrąciłam w obawie, że zbyt ostre potraktowanie komisarza i jego ojca może spowodować głębsze analizy powodu niecodziennego zachowania i wówczas wino Maurycy wypłynie na wierzch niczym oliwa, co zawsze sprawiedliwa. – Zdarza się. Może w stresie pierwszej wizyty.

Podniosłam się, aby dyskretnie domknąć szufladę w komodzie, z której wystawało coś papierowego.

– Tak, tak! – potwierdziła ochoczo Marzena i zerwała się z sofy, by odebrać bukiet z rąk coraz bardziej zaciekawionego komisarza.

No i tu nastąpiła prawdziwa katastrofa. Niecodzienne zbiegi okoliczności zadziałały na naszą niekorzyść. Teściowa, zrywając się gwałtownie, zahaczyła bransoletką o nitkę wystającą z pikowanego wzoru kapy. Normalnie, w codziennych okolicznościach, nawet byśmy tej wystającej nici nie zobaczyły, a szanse na trafienie w nią zapięciem biżuterii równały się szansie trafienia w lotto. Jednak nie dzisiaj! Marzena jednym machnięciem ręki zerwała kapę z sofy i tym samym

obnażyła skrywaną dotąd przez nas prawdę. Wydruki rozsypały się efektownie po podłodze, a zza kanapy zerkał w naszą stronę brzeg tablicy z podejrzanymi.

Wciągnęłam z sykiem powietrze. Komisarz uśmiechnął się, podał bukiet oszłamionej Marzenie i sięgnął po jedną z kartek.

– Ciekawe... ciekawe – mówił i nawet nie zdołałyśmy obronić przed nim naszej tablicy. – Podejrzałem, że coś tutaj się dzieje... Ale że tak grubo? No, no!

Przyglądał się z uznaniem i uśmiechem każdemu detalowi na tablicy, po czym odstawił ją na miejsce za sofą.

– Teraz nas pan zaaresztuje? – spytała Marzena zduszonym głosem, zasłaniając się bukietem.

– Za co? – roześmiał się, przyglądając nam z lekkim politowaniem.

– No... za to śledztwo... – Wskazała dłonią Bożenna, czyniąc zamaszty gest nad całym bałaganem.

– A może planujecie kolejne zabójstwa? Kolejnych członków rodziny ofiary? – spytał, mrużąc podejrzliwie oczy.

– Co takiego?! – wykrzyknęłyśmy jednocześnie. Nasze oburzenie wypełniło szczerlnie pokój i wprawiło w niebezpieczne drżenie szyby w oknach.

– Tak to wygląda – rzekł z rozbawieniem i wzruszył ramionami. – Mam pytanie. Czy mój ojciec też w tym uczestniczy?

– W żadnym wypadku! – zapewniła Bożenna.

– W takim razie już się pożegnaj – oznajmił i ruszył w stronę wyjścia, gdzie dodał głośno: – Chyba wybiorę się do okulisty. Słabo widzę. Za słabo jak na gli-niarza. Do widzenia!

– Do widzenia! – rzuciłam z Bożenną, a gdy drzwi za komisarzem się zamknęły, moja teściowa, cała w pąsach, rzekła cicho:

– Ależ z nas świnię! Nawet wody ani kawy mu nie zaproponowałyśmy!

– Gorzej! – wtrąciła moja mama. – Kretynki z nas skończone i tępe! Miałyśmy taką okazję porozmawiać z nim o śledztwie! Może by się czymś zdradził, coś nieświadomie wyznał, podpowiedział! Pomógł nawet nieświadomie albo i świadomie! A my co?!

– Mogę go dogonić – nieśmiało zaproponowałam.

– Teraz już za późno! Właściwy moment minął i taka okazja przeszła nam koło nosa! Dlatego trzeba łapać byka za rogi, kiedy tylko się pojawia! A nie ukrywać pod kapą! – prychnęła na koniec i obrażona albo zezłoszczona wyszła z domu, trzaskając drzwiami.

– A bałagan to się sam posprząta – dodała teściowa i również wyszła, by zamknąć się w swoim pokoju.

Chcąc nie chcąc, zagłębiłam się w to śledztwo, zbierając cały materiał z podłogi, sofy i komody.

## 29. Randka po ciemku

Stres wyłączył baterie i zasilanie moim mamunkom. Całodniowy upał zapewne również przyczynił się do dość wczesnego położenia się do łóżek. Wykzystałam to i oczywiście niezbyt wnikliwie zapoznawałam się z materiałem śledczym. Łukasz miał rację, nasze amatorskie śledztwo stało się zbyt nużące. Nie poczułam ani odrobiny adrenaliny czy nawet ciekawości, więc wszystko równo poskładałam i zajęłam się ciekawszą prozą życia. Zadzwoeniłam do moich córek, które zajęte kolejnymi atrakcjami serwowanymi hojnie przez tatusia, poświęciły mi chwilę, by obiecać, że zadzwonią jutro, bo... i tutaj już nie dosłyszałam, bo się rozłączyły, wesoło się śmiejąc. Zajrzałam do sąsiada, ale Grigorij znów nocował poza domem. Nic innego mi nie pozostało, jak solidnie przygotować się do randki, czyli poczynić wysiłki w kwestii urody, by bardziej przypominać atrakcyjną, wolną i pociągającą czterdziestolatkę. Wszelkie niedociągnięcia na tym polu musiała maskować późna pora i bezgwiezdna noc. Ta ostatnia niestety zawiodła, bo czarne niebo upstrzone było niezliczoną ilością gwiazd! Szlag!

Leszek przyjechał po dwudziestej drugiej, gdy w oczekiwaniu już zasypiałam na ogrodowej huśtawce. Szczęśliwie oboje nie mieliśmy ochoty na imprezowe wyprawy do miasta albo, nie daj Boże o tej porze, na kolację. Trafił mi się na randce wielbiciel ruchu, więc wybraliśmy się na spacer. Zresztą sama zdecydowałam się na taką opcję w obawie, że zaproponuje mi jogging. Zaskakująco energicznie przystał też na kawę i hot-doga, co zakiełkowało podejrzeniem, że wciąż pozostaje u niego żywe wspomnienie taszczenia mych zwłok z siłowni. Poza tym w trakcie biegania kiepsko się rozmawia. Zwłaszcza gdy biega się z nieruchawą amatorką, która sapaniem z wysiłku zagłuszyłaby nawet ruch na autostradzie.

Leszek zaparkował cicho przed moim domem. Równie bezszelestnie wysłałam mu naprzeciw, aby nie okazało się, że któraś z mamunek cierpi na bezsenność i wieczór spędzimy w towarzystwie emerytki. Wpadliśmy na siebie tuż przy furtce, którą próbował otworzyć łokciem.

– Dobry wieczór! – rzekł z uśmiechem Lokiego, który skradł wiele serc kobiet oglądających *Thora* i *Avengersów*.

– Cześć! – odpowiedziałam.

Podał mi kubek z kawą i jednego hot-doga.

– Proszę! To zamiast kwiatów – rzucił z rozbawieniem. – Jeszcze przed kasą, obserwując kręcące się na podgrzewaczu parówki, miałem wątpliwość. Obawiałem się, że taka kulinarna petarda to fatalny pomysł o tej porze, ale sama chciała...

Z rozkoszą wgryzłam się w bułkę z parówką. Pomimo ostatnich kulinarnych popisów Marzeny, tęskniłam za fast-foodowym jedzeniem, które dla mnie zawsze miało zapach wolności i niezależności.

– Nie mam pretensji – odparłam z pełnymi ustami. – Choć liczyłam na wcześniejszą porę.

Ruszyliśmy wolno w stronę Jaworzyńskiej.

– Niestety, ten tydzień mam dość zagmatwany zawodowo – wyjaśnił, też podgryzając hot-doga. – Ale na co dzień również nie najlepiej stoję z czasem wolnym. Tylko wieczory mam luźne. To problem?

– Nie, pod warunkiem, że nie jesteś seryjnym mordercą.

– Zapewnienie, że nie jestem, chyba cię nie przekona. Każdy seryjny morderca by zaprzeczył.

– A rodzina co na to? – rzuciłam niby od niechcienia, ale lepiej wiedzieć, zanim wypaczeruje się za daleko.

– Od jakiegoś czasu moją rodziną jest praca – odpowiedział bez pretensji i podejrzeń. – Wcześniej tak nie było. Po rozwodzie, na którym wszystko straciłem, zacząłem od nowa. Budowanie życia po czterdziestce wymaga wielu wyrzeczeń i pochłaniania mnóstwo czasu.

„Co ty nie powiesz?” – omal nie wyrwało mi się solidarnie. Na szczęście uratował mnie przeżuwany hot-dog. A i tak zrobiło się tak nieznośnie przygnębiająco. Fakt, dręczyła mnie ciekawość, ale obawiałam się, że wieczór zostanie popsuty przez skisłą przeszłość moją i Leszka. Zagłębimy się w poważne zwierzenia i czar pryśnie.

– Czym ty się właściwie zajmujesz? – spytałam. – Bo co robię w życiu ja, to już wiesz.

– Forsujesz płoty na terenie prywatnym i siebie na siłowni? – przypomniał żartobliwie.

– Tak!

Noc tak ciepła i romantycznie gwieździsta aż prosiła, by jak najdłużej podziwiać to piękno, zanim nieubłagane przyjdzie jesień i zima. Zanim zapłaczymy się w szaliki, schowamy w ciepłych kurtkach i czapkach. Zatem szliśmy obok siebie wokół osiedla, popijając kawę z jednorazowych kubków, czując jeszcze na

podniebieniu smak hot-doga z pobliskiej stacji i rozmawiając o obejrzanych filmach, o mojej pracy. Po drugim okrążeniu zdecydowaliśmy się przejść wzdłuż obwodnicy w stronę lotniska. Jednak brak kondycji przeważał nad atrakcyjnością rozmowy, więc zatrzymałam się na przystanku donikąd i usiadłam na ławeczce. Leszek opadł tuż obok. Przez chwilę w milczeniu kontemplowaliśmy ugory przed nami – ostatnie kawałki dzikiej przyrody wokół lotniska. Lada moment zostaną zagospodarowane halami produkcyjnymi, które jak grzyby po deszczu rozrosły się ostatnio aż pod Gniewomierz. Pobliska Legnicka Specjalna Strefa Ekonomiczna jarzyła się w oddali światłami niczym tętniące życiem miasto bardziej niż sama Legnica.

– Może wrócimy? – spytał Leszek, wyciągając nogi i opierając się o wewnętrzną szybę przystanku.

– Jeszcze nie. Posiedzimy tutaj.

– Zmęczyłaś się – rzucił, spoglądając na mnie z rozbawieniem.

– Ależ skąd! – fuknęłam i na chwilę przestałam oddychać, aby starczo nie sapać. – Tylko nie proponuj mi siłowni. Błagam! Nigdy już tam nie wrócę! Nie wiem, co ludzie w tym widzą? Oj, przepraszam! – Złapałam się za usta, ale dwie sekundy za późno. Na szczęście nikt się nie obrażał.

– W porządku – uśmiechnął się, co zdołałam wylapać, gdy wyprostował się i znalazł w świetle latarni. – Sam się nad tym zastanawiam.

– Jak to? Przecież ćwiczysz.

– Ale nie mam fioła na tym punkcie – wyjaśnił.

– Fioła? Co za staroświeckie określenie: „mieć fioła”? Wieki nie słyszałam, aby ktoś tak mówił – żartowałam. – Zaimponowałeś mi.

– Czyli staroświeckość bardziej ci pasuje – podjął. – Zatem zaplanowane przeze mnie na kolejne spotkania z tobą: skok na bungee w pięćdziesięciometrową przepaść, bieganie po rozżarzonych węglach na karaibskiej plaży, pływanie nago w rzece pełnej piranii, ściganie się kładami nad przepaściami po krętej drodze albo jazda konno na jakiejś dowolnie wybranej „esce” pod prąd...

– Dobrze! Już starczy! Wyobraźni, aby mnie zabić, to ci nie brakuje – roześmiałam się. – Ale nie musisz się tak wysilać.

– Przecież właśnie się nie wysilam – odpowiedział, zataczając ręką szeroki łuk, aby zaprezentować nasze otoczenie.

– No tak. Randka na przystanku – westchnęłam z udawaną pretensją. – W dodatku nieczynnym.



– Po ciemku – uszczegółowił. – Ale za to kupiłem kawę i hot-dogi, żeby nie wyjść na najgorszego sknerę.

– Drugi punkt dla ciebie. Zaraz też dostanę fioła na twoim punkcie.

Roześmialiśmy się i wesoła atmosfera nas nie opuszczała, gdy zdecydowaliśmy już wracać. Rozpoczął się kolejny dzień, choć jeszcze nie świtało, gdy dotarliśmy pod samochód Leszka, zaparkowany na ulicy. Zmęczenie i senność dopadły nas jednakowo, bo już po drodze ukradkiem ziewaliśmy. Zapikał otwarty samochód i Leszek otworzył drzwi, ale po chwili ponownie odwrócił się w moją stronę.

– Mam pytanie – powiedział poważnie, aż mnie ścięło z żartobliwego nastroju.

– Tak?

Podszedł bardzo blisko i ujął mnie za obie dłonie. Oczywiście patrzył prosto w oczy, a mnie wyobraźnia podsuwała tylko jeden scenariusz i to raczej dla desperatki: zaraz się oświadczy! Skąd taki pomysł w mojej głowie? Może dlatego, że przed Waldemarem nikt mego serca nie szturmował.

– Zanim cię pocałuję i zanim rozstąpi się pod nami ziemia i pochłonie nas, samochód i połowę osiedla, a my tego nawet nie zauważymy – mówił cicho, nie przestając mnie świdrować wzrokiem. – Czy jest jakiś mąż, facet, konkubent, który stoi nam na drodze?

Czy ktoś rozpałił obok mnie wielkie ognisko, od którego nabrałam buraczkowych rumieńców, dostałam uderzeń gorąca i przyspieszyło mi serce?

– Nie ma – odparłam i nawet chciałam dodać, że właśnie się ze mną rozwiedziono, ale na szczęście nie mogłam nic więcej powiedzieć.

Ziemia nie rozstąpiła się, ale ja na długo uniosłam się ponad nią.

## 30. W upale o nieboszczyku

Lato miało się znakomicie! Globalne ocieplenie również. Po jednodniowym i całodziennym deszczu nie pozostał najdrobniejszy ślad wilgoci. Trawa się delikatnie zazieleniła, ale zaraz przybrała słomianą barwę. Wymagające rośliny i warzywa w moim ogrodzie znów należało podlewać, czym uatrakcyjniałam sobie wieczory.

Z upalnego lata najbardziej zadowoleni musieli być wielbicieli polskiego morza i jezior. Tłumnie wylegali na plaże, wreszcie bez odwiecznych obaw, że nie będzie pogody. Tym razem tak zwana „pogoda” występowała w niebezpiecznym nadmiarze i jak zapewniali synoptycy, meteorolodzy i piękne pogodynki, potrwa do końca sierpnia. Przedsiębiorcy nad morzem podwajali zyski, a wczasowicze powiększali ryzyko poparzeń i raka skóry.

Legnica, szczycąca się mianem najcieplejszego miasta w Polsce, nie odbiegała od reszty kraju. Topili się w upale wszyscy mieszkańcy, ograniczali spacery za dnia po ulicach pozbawionych zbawczego cienia drzew. Odrobinę wytchnienia zapewniał park miejski, ale nie przeżywał ataku tłumów. Kto mógł, uciekał do klimatyzowanych biur, sklepów i mieszkań. No i do samochodów również. Pod warunkiem, że taki luksus posiadały. Mnie takie szczęście nie spotkało.

Kurierzy przed upałem uciec nie mogli. Nawet na magazynie klimatyzacja pracowała, z trudem obniżając temperaturę. To chwilowe wytchnienie nie uciszało narzekania na wszechpanujący upał, który wraz ze służbowym wdziękiem wypacał z nas energię do pracy i życia. Żałowałam, że nie namówiłam Marzeny na produkcję naleśników, ale pochłaniały ją przygotowania do imienin Romana i zbieranie informacji do śledztwa. Mnie natomiast pochłaniały myśli krążące wokół Leszka i naszych późnowieczornych spotkań. Trzy dni z rzędu przychodziłam do pracy półprzytomna z niewyspania, ale pełna zapału i wewnętrznego ognia, więc ten na zewnątrz mniej mi przeszkadzał. W przeciwieństwie do innych.

– Wiecie... – odezwał się Albert. – Chciałbym się zatrudnić w chłodni. Może być mięsna z wiszącymi tuszami...

Siedzieliśmy na magazynie, czekając na przyjazd TIR-a, który dzisiaj również utknął w korku na autostradzie, i racząc się rozmową.

– A ja... to bym tak na urlop pojechał na Spitsbergen – rozmarzył się Andrzej.

– Przecież niedawno wróciłeś z urlopu! – zdumiał się Grzesiek, odrywając się na dwie sekundy od trzymanego w dłoniach telefonu.

– Taki urlop z żoną! – prychnął z niezadowoleniem Andrzej. – Gdyby ktoś mądry, komu powinni wręczyć Oscara, nie wymyślił baru na plaży, to umarłbym z wycieńczenia, odwodnienia i nudy! Skonałbym w męczarniach na leżaku.

– Poleżałbym z zimnym drinkiem przy basenie – wtrącił Grigorij, również pochłonięty własnym telefonem.

Bogus ochoczo potwierdził, lecz Andrzej w odpowiedzi wydał z siebie tak ciężkie westchnienie, jakby dostał pralkę do wniesienia na dziesiąte piętro z zepsutą windą.

– Też bym się wybrał w zimniejsze kraje, ale teraz takich coraz mniej. Globalne ocieplenie – dodał ponuro Mateusz.

– Okropnie narzekacie – upomniała wszystkich Brygida. – Mnie żadne zimne kraje nie kręcą. Do Włoch, Hiszpanii... bym się wybrała.

– Trzeba było lecieć z nami do Grecji – stwierdził Łukasz.

– Tak! – roześmiał się Ząbek, nieco od nas oddalony, by nie dobić naszych ponowień. – Wszyscy byśmy poleciali, a Bączek by chodził po mieście jak Michael Jackson w Billie Jean i szukał kolejnych kurierów.

Parsknęliśmy śmiechem.

– Mogłaś przynieść te naleśniki – zwrócił się do mnie Bogus, który z nabożnością rozpakowywał właśnie swoje drugie albo i trzecie śniadanie z aluminiowej folii.

– Jeszcze zimnego browara, co nie, chłopaki? – rzuciła zaczepnie Brygida.

– O tak! – odpowiedzieli wspólnym głosem.

– No widzisz, siostrzo? – zapytała Brygida, puszczając do mnie oko. – Faceci są łatwi w obsłudze.

W ten sposób sprowokowała dyskusję o piwach, która rozpętała się pośród braci kurierskiej. Od razu podzielili się na przeciwników i zwolenników trunku, głośno wykrzykując swoje argumenty. A ja skorzystałam, że Brygida usiadła obok mnie, w oddaleniu od pozostałych kurierów, i spytałam wprost:

– Znałaś dobrze tego Staszka?

– Tego trupa? – upewniła się, zaskoczona pytaniem i uśmiechnęła się tajemniczo. – Męczyci cię ten Staszek? Dręczy w koszmarach czy straszy na jawie?

– Ależ skąd! Po prostu to moje pierwsze morderstwo w życiu, o które się niemal otarłam – wyjaśniłam niewinnie.

– Myślałam o tym i powiem, że miałas sporo szczęścia, że przyjechałaś później. Kto wie, czy i tobie by się nie dostało.

Wzdrygnęłam się na tę myśl.

– Gdyby nie postój na kawę, to na pewno wpadłabym w sam środek akcji – przyznałam.

– Jak w filmie...

– No właśnie – podchwyciłam niewinnie. – A co z kamerami z hurtowni i naszymi?

Brygida roześmiała się i klepnęła w oba kolana.

– Nasze nie działają od śmierci Michaela Jacksona. Bączek w rozpaczy zdemolował swoje biuro, powyrywał wszystkie kable i połączenia z kamerami na zewnątrz nie udało się odzyskać. Bał się przyznać w centrali, aby nie ponosić kosztów, i cisza. A w hurtowni? Tutaj prawdziwa zagadka. Żadnej na zewnątrz nie ma. To znaczy taka atrapa jest, ale właściciel chyba miał jakąś szpiegowską, bo lubił nagrywać.

– Skąd wiesz?

– Bo to taki typ faceta, że wszystko lubił mieć pod kontrolą, więc co? Swoją firmę by odpuścił? Założę się, że umieścił ją gdzieś w ukryciu. Gliny pewnie ją znalazły, ale telefonu już nie. A tam, chwalił się, że ma wszystko.

– Myślisz, że to któryś z niezadowolonych klientów? – wysunęłam nieśmiało przypuszczenie.

– Kobieto! Przecież to hurtownia tkanin i dodatków krawieckich, a nie nocny klub czy kasyno – wesoło wyjaśniła Brygida. – Kto tym krawiectwem czy rękodziełem się zajmuje? Patole, pseudokibice czy nerwusy? No, proszę cię!

– Racja – przyznałam, klepiąc się w czoło otwartą dłonią. – A rodzina?

Brygida zamyśliła się na chwilę, przyglądając się zawzięcie dyskutującym kolegom. Temat piwa okazał się bardzo absorbujący. Niektórym zaschło w gardle i postanowili tymczasowo ratować się wodą, której rozpoczęta zgrzewka pojawiła się na magazynie.

– Tutaj to bym już nie była taka pewna... – odezwała się po chwili. – Fakt, o żonie i córkach piał hymny pochwalne. Razem na wczasy, kolacje i inne pierdsrety. A tak naprawdę to musiał być tyran i kanalia zwyczajna.

– Dlaczego?

– Wiesz, nie znałam go najlepiej, ale była taka sytuacja. Mieliśmy dla niego paczkę, a on poleciał wcześniej do domu. Grzesiu miał ten rejon, ale sobie wykombinował, że zostawi ją do doręczenia w poniedziałek. A ten nie! Zrobił awan-

ture, że paczka ma być dzisiaj do domu, bo tam jakaś ważna kamera na rodzinny wyjazd! Piątek po południu, a Grzesiek miał jechać na ślub siostry do Malborka, więc mnie poprosił. Pojechałam. Z daleka słyszę awanturę. Darł się niezmiernie, że haruje na jej kosmetyczki i fryzjerów. Od nierobów, to chyba było najłagodniejsze określenie, wyzywał. Zadzwoiłam. Otworzył z pianą na ustach i taką złą mgłą w oczach. Nawet mnie nie poznał. Wziął paczkę i jak się drzwi zamknęły, to zapadła zupełna cisza. Musiał mnie widzieć, że nie odeszłam od razu, i obserwować przez kamerę. Bał się, że doniosę.

– Jego żona założyła Niebieską Kartę, podobno... – przypomniałam sobie.

Brygida zacisnęła szczęki i dłonie w pięści.

– Mądra kobieta! Pewnie o kilka lat za późno. Strasznie mnie wkurza, że kobiety pozwalają się tak traktować!

Może to bardzo egoistyczne, ale poczułam niewypowiedzianą ulgę, że Walde-  
mar nigdy na mnie nie podniósł ręki ani głosu. Na żadną z nas. Jeszcze moment i zadzwoniłabym do niego, by wyznać, jakim cudownym był mężem. Na szczęście Opatrzność czuwa nad idiotkami, bo zadzwonił Leszek. Odeszłam od Brygidy w kąt magazynu, by nikt nie przeszkadzał mi w rozmowie.

– Wieczór aktualny? – spytał, a mnie ten głos roztopiał organy wewnętrzne.

– Oczywiście. Tylko tym razem ja kupuję hot-dogi – zaznaczyłam.

– Stracę wszystkie zniżki na stacji – rzucił z udawaną pretensją.

– A ja przestanę mieścić się w roboczy strój.

– Znam świetny klub fitness!

– Wykluczone!

Od strony biura pojawiła się pani Jola i nie żałując decybeli, poinformowała, że wreszcie dotarł TIR. Zakończyłam rozmowę, aczkolwiek niechętnie. „Na szczęście wieczór jest mój” – pomyślałam z rozmarzeniem, wracając do pracy.

## 31. Teściowa w autobusie

– Dziewczyny! – usłyszałyśmy od progu okrzyk Marzeny, tuż po trzaśnięciu drzwiami. – Narada wojenna!

Teściowa wbiegła do salonu w takim stanie, że zupełnie nie mogliśmy jej rozpoznać. Z włosami w totalnym nieładzie, z rozmazanym makijażem i jakimś obłędem w oczach nie mogłaby startować na miss emerytek, a gdyby nam przypadkiem ją pokazano na policyjnym posterunku, zaprzeczyłybyśmy, że ją znamy. Całkowitym zaskoczeniem jednak była obecność męskich spodni dresowych zamiast eleganckiej jedwabnej spódnicy, w której wychodziła z domu. Czarne dresy ostro kontrastowały z szykownymi lakierowanymi czółenkami.

Marzena oklapła z rezygnacją na krzesło przy stole. Wraz z mamą wpatrywałyśmy się w nią w milczeniu i oczekiwaniu na jakiekolwiek wyjaśnienia. Tymczasem teściowa oparła łokcie na stole i ukryła twarz w dłoniach.

– Co się stało? Napadli cię i okradli ze spódnicy? – pierwsza nie wytrzymała Bożenna. – To jakaś najnowsza, wyjątkowa kolekcja Diora czy jak, że ktoś cię tak pazernie złupił?

– Muszę wrócić do pracy – odpowiedziała Marzena, podnosząc głowę. – Ta moja przyjaciółka mnie zatrudni. Inaczej was zrujnuję!

Zaszlochała tak przeciągle, że nawet Bożenna ukradkiem otarła łzę.

– Do pracy? – zdumiałam się. – Po co?

– To ty kiedyś pracowałaś? – wystrzeliła z pytaniem autentycznie zaskoczona Bożenna, a zmierzona morderczym spojrzeniem teściowej, dodała tytułem wyjaśnienia: – Myślałam, że Romek cię utrzymywał!

Marzena na chwilę przerwała spektakularny szloch i prychnęła z pretensją:

– Nic o mnie nie wiecie! Pracowałam przez trzydzieści pięć lat jako księgowa i poszłam na zasłużoną emeryturę! W jednym zakładzie pracy!

Rzeczywiście, nic takiego o niej nie wiedziałyśmy. Zresztą, któż się interesuje życiem zawodowym swojej teściowej, niechaj podniesie rękę albo rzuci ten biblijny kamień. No, ja na pewno nie. Dlatego, gdyby oznajmiła w owej chwili, że od dzieciństwa kibicuje drużynie futbolowej z Manchesteru czy Belfastu albo

oglądała Ziemię z kosmosu razem z Gagarinem, to szok byłby porównywalny z tym po informacji, że Marzena kiedykolwiek pracowała.

– To po cholerę chcesz wracać do pracy? Mnie jest dobrze na emeryturze!

– Bo mnie już na nic nie będzie stać! – jęknęła. – Będę zrujnowana, niewyplacalna! A Roman nie da mi złamanego grosza!

– Nic nie rozumiem – niecierpliwiła się moja mama. – Po jaką cholerę kupowałaś taką drogą spódnicę?!

– To nie spódnica!

– Dowiemy się wreszcie, co się stało? – spytałam, kładąc na stole pudełko z chusteczkami higienicznymi.

W tym momencie w salonie pojawił się Grigorij. Nawet nie usłyszałyśmy, kiedy wszedł, więc podskoczyłam w przestrachu, gdy się zbliżył do stołu.

– Zniszczyłam autobus miejski! – wyjawiła wreszcie Marzena i znów zaszlochała żałością.

Spojrzałam na nią, potem na sąsiada, który dla odmiany śmiał się w najlepszej na mojej sofie.

– Przecież ty nie jeździsz autobusami! Co on ci zrobił?! – ciekawiła się moja mama. – Miałaś tylko z Łukaszem zawieźć ciasto dla Romana!

– Ale musiałam wejść do autobusu! – jęknęła Marzena, szlochając, i załzawionymi oczyma patrzyła na nas, jakbyśmy nie pojmowali takiej oczywistości. – Taką masakrę zrobiłam! Boże kochany! Dobrze, że nikt nie zginął! Spódnicę mi facet rozerwał i życie uratował! Matko jedyna!

Łukasz tak się śmiał, że aż spadł z sofy i teraz tarzał się po dywanie. Spoglądałam ogłupiała to na niego, to na teściową, to na również zdezorientowaną moją mamę.

– Albo coś ze mną nie tak – oznajmiła Bożenna. – Albo ty zwariowałaś, albo on? Mam nadzieję, że nic od Maurycy znów nie piliście? Jakiegoś szaleju albo co?

– Zwariowałaś?! – obroniła się dzielnie moja teściowa. – Niczego nie piłam! Wypraszam sobie! Wiesz, ile taki autobus może kosztować?!

– Nie mam pojęcia! Jeszcze żadnego nie kupiłam. – obruszyła się Bożenna.

– Teraz bym się czegoś napiła! Może tego wina zapomnienia...

– W żadnym wypadku! – zaprotestowałam i zwróciłam się do zaśmiewającego się na moim dywanie Grigorija. – Może ty nam powiesz, co się stało?

No i opowiedział, choć chwilę trwało, zanim się uspokoił od napadów niepohamowanego śmiechu. Otóż na początku wszystko szło zgodnie z planem. Marzena kompletnie i elegancko ubrana, z blachą swego popisowego dzieła cukier-

niczego, wyruszyła z Łukaszem do centrum, gdzie miała dostarczyć ciasto na planowane imieniny męża. Jako że wypadały w sierpniu, a teść wtedy zamykał swoją firmę na cały miesiąc, wysyłając wszystkich pracowników na urlop, więc zdecydował się celebrować wcześniej w wynajętej restauracji Maskarada w rynku. Marzena i Łukasz dość długo krążyli wokół celu, aby znaleźć miejsce do zaparkowania. Daremnie. Wyglądało to tak, jakby na przedwczesne imieniny Romana Grądzińskiego przybyło pół Legnicy i jeszcze ludzie z okolic. Wreszcie, aby się nie spóźnić, bo przy drugim okrążeniu wpakowali się w korek, Łukasz postanowił wypuścić Marzenę tuż przy katedrze, zatrzymując się nieprzepisowo na pasach. Teściowa szybko wysiadła z auta z blachą ciasta, a on odjechał równie błyskawicznie, aby nie załapać się na mandat. No i od tego momentu opowieść przejęła Marzena.

Do restauracji prawie biegła i już słyszała w torebce, jak wydzwania Roman. Od razu zidentyfikowała, że to mąż, bowiem tylko jemu w telefonie dedykowana została ścieżka dźwiękowa z filmu *Czarne chmury*. W lot pojęła, że solenizant się niecierpliwi, więc przyspieszyła kroku. Dawała z siebie wszystko, ale w przemyku pomiędzy katedrą a Galerią Sztuki minęła znajomą dziewczynę. To znaczy jeszcze nie wiedziała, kogo mija, dopiero gdy minęła, to usiłowała sobie przypomnieć, skąd ją zna. Drobna brunetka, z włosami w kitkę, w kwiecistej sukience co prawda nie rozpoznała Marzeny, ale znajoma musiała być. Tego teściowa była pewna. Dziewczyna ewidentnie się spieszyła i na twarzy prezentowała ogromne zdenerwowanie. Marzena siłą rozpędu i dręczona pytaniem do swej pamięci: „Skąd ja znam to dziewczę?”, prawie dotarła do restauracji. I wówczas, gdy drzwi otworzyła wychodząca ze środka para, grzmotnęła nią, niczym elektrowstrząsem, poszukiwana odpowiedź. Przypomniała sobie, co to za dziewczyna. Natalia Migotka! Niewiele myśląc, Marzena obróciła się na pięcie i zrobiła w tył zwrot. Aby dogonić młodszą od siebie dziewczynę, którą minęła jakiś czas temu, biegła z powrotem. Nawet przez chwilę pomyślała, żeby to ciasto porzucić jako zbędny balast, ale nie po to całą noc piekła, aby wylądowało niezjedzone na ulicy! Co to to nie! W ekspresowym tempie dobiegła na plac Słowiański, zdyszana tak przerażająco, że zbliżała się niebezpiecznie do zawału. W torebce nieustannie wydzwaniał Roman, a melodia z filmu *Czarne chmury* brzmiała coraz głośniejsze, gdy połączenie nie zostało od razu odebrane. Marzena, pozbawiona wolnej ręki, nie mogła wyłączyć komórki. Zresztą czasu również nie miała. Uważnie rozejrzała się w poszukiwaniu Natalii. Przeskanowała wszystko wokół niczym Terminator. W oddali zobaczyła majtający czarny kucyk, jak przecina plac i idzie w stronę przystanku autobusowego po drugiej stronie. Zatem mocniej ścisnęła blachę i też tam ruszyła.



Pokonała schody w dół przejścia podziemnego, modląc się do wszystkich świętych o niepoplątanie nóg. Gorzej poszło ze schodami w górę, bo już nie tylko nogi się buntowały, ale głowa od ciśnienia omal nie eksplodowała. Huczało, plamy się coraz pojawiały w oczach i niebezpiecznie pulsowało. Marzena przypomniała sobie, że ostatni raz biegła tak za Waldemarem, gdy jako trzylatek wyrwał się jej i gnał w stronę ruchliwej ulicy, a ona pobiła rekord świata w biegach na krótki dystans w szpilkach. Teraz też dawała z siebie wszystko, ale jako starsza pani. Znów uruchomiła opcję wzywania boskiej Opatrzności na pomoc, by dotrzeć na przystanek, gdzie Natalia czekała na autobus, który w każdej chwili mógł nadjechać. No i nadjechał, ale moja teściowa wsiadła niemal w ostatniej sekundzie. Celowo dobiegła na koniec, aby śledzona jej nie zauważyła, bo w środku siedziało niewielu pasażerów. Ledwie się drzwi zamknęły, autobus ruszył, ale po chwili zahamował, bo jeszcze jakaś spóźniona pasażerka dobiegała, a kierowca trafił się wyjątkowo uprzejmy. Tylko że Marzena nie zdążyła usiąść, gdy zahamował. Jakieś prawo fizyki zadziało. Być może zasada Newtona albo siła, albo zasada bezwładności, choć Marzena nie miała czasu rozstrzygać dylematów fizyki, bo-wiem ostro ruszyła ze swoim ciastem do przodu. Zupełnie niezamierzenie, ale ciało, a głównie nogi ją zdradziły i same rzuciły się do galopu przez pusty autobus w stronę kierowcy. Nie zawodziły natomiast ręce, bo kurczowo i dzielnie dzierżyły blachę z ciastem tuż przed biegnącą emerytką, która dawała złudzenie, że oto z opuszczonymi rogami szarżuje rozjuszony byk wprost na czerwoną płachtę torreadora! Olé!

Po drodze dostrzegła Natalię siedzącą tuż obok wysokiego młodzieńca, z którym cicho, aczkolwiek w zdenerwowaniu rozmawiała. Policzyła też pozostałych pasażerów, raptem ośmiu, i zauważyła, że dziecko w wózku wyciągało do niej rączki. Jak Marzena to odnotowała w ciągu zaledwie kilku sekund, trudno znaleźć wytłumaczenie. Opowiadała, że odniosła wrażenie, jakby wszystko odbywało się w zwolnionym tempie, choć szarżowała niemal z prędkością światła.

Na szczęście w połowie autobusu jakiś przytomny, ostatni mijany pasażer, odważył się zatrzymać galopującą Marzenę. Uchylił się przed ciosem blachą, energicznie pochwylił teściową za jedwabną spódnice, której niestety nie zaprojektowano z materiału odpornego na gwałtowne ataki i zerwany element garderoby pozostał ratownikowi w dłoniach, a ratowana, już w samych majtkach, ale może z mniejszym impetem, wpadła na barierkę oddzielającą kierowcę od pasażera. Cudem się nie złamała w pół, czego nie można powiedzieć o barierce. No i na koniec wielki finał! Marzena blachą uszkodziła szybę i całą zawartość wyrzuciła na kierowcę. A wszystko to przy nieustannie pobrzmiwającej z torebki melodii *Czarne chmury*.

– Roman to się do mnie do końca życia nie odezwie! – zakończyła ze smutkiem, choć my z mamą zaśmiewaliśmy się z jej opowieści. – I rozładował mi baterię tym wydzwanianiem, więc zadzwoniłam do mojej byłej kancelarii podatkowej, bo ten stacjonarny znam na pamięć, i to jeszcze z telefonu pożyczonego od kierowcy. Na szczęście chłop nie miał żalu. Życzliwi ludzie w tym autobusie. Matka od tego dziecka wyciągnęła mokre chusteczki i pomogła doczyścić kierowcę. Jedna pani, ta, co wbiegła do autobusu po mnie, dała mi spodnie, które kupiła dla męża, i mogłam chociaż godnie zeznawać, jak przyjechała policja.

– A Natalia? – podchwyciła Bożenna, starając się dość nieudolnie zachować powagę. – I ten chłopak?

– Siedzieli jak wszyscy w autobusie, bo drzwi się jeszcze zacięły, ale później, gdy starszy pan siedzący z tyłu powiedział, że zadzwonił po policję, która zaraz będzie, to właściwie razem uciekli i jak ten chłopak się obrócił, to zapamiętałam jego twarz! – triumfalnie oświadczyła moja teściowa.

– Mogłaś zrobić zdjęcie... – narzekała moja mama. – Przecież nie narysujesz nam portretu pamięciowego.

– Zrobiłam! Jeszcze byliśmy w autobusie, kiedy dzwoniłam z telefonu kierowcy i niby coś pisałam, numer wybierałam bez okularów, więc oddalałam od siebie, a im prawie pod nosem i cyk! – wykrzyknęła radośnie, promieniejąc sukcesem swej szpiegowskiej misji. – Wysłałam SMS-em!

– Gdzie? – spytaliśmy jednocześnie.

Entuzjazm i radość wyparowały z Marzeny błyskawicznie.

– Jedyne numery komórkowe, które znam na pamięć, to do Romana i Waldka... – powiedziała zmartwionym głosem. – Na wszelki wypadek wysłałam do obu, ale jeden się do mnie nie odezwie, a do drugiego ja się nie odezwę.

– Ja pierdziele! – wykrzyknęła Bożenna. – Mata Hari z gołym tyłkiem najpierw rozwala autobus, robi zdjęcie podejrzanym, a potem... Szkoda gadać! Tak się zdenerwowałam, że bez wina Maurycy tego wszystkiego nie zniosę! I mnie nawet nie powstrzymujcie!

– A ty skąd się tam wzięłaś? – spytałam Łukasza, gdy moja mama wyszła z pokoju, a teściowa pobiegła za nią, by ją powstrzymać jak przed samobójczym skokiem w przepaść.

– Zostawiłem Marzenę i odjechałem – zaczął opowieść Grigorij. – Ale musiałem zawrócić, bo dalej znów jakiś korek zatrzymał ruch. Wracam tą samą drogą i widzę, jak Marzena biegnie z tym ciastem przez przejście dla pieszych. Myślałem, że czegoś zapomniała z samochodu i wróciła, więc trąbię, ale gdzie tam! Leci głucha na wszystko! Żebyś ty to widziała, to byś się posikała ze śmiechu. Lu-

dzie się za nią oglądali. Chwilę też patrzyłem, ale z tyłu już zaczęli trąbić, więc postanowiłem okrążyć plac Słowiański i złapać ją po drugiej stronie, bo domyśliłem się, że pędzi pod przejście podziemne. Dotarłem tam na ten cały armagedon. Tyle że później, bo Natalii już nie było i policja przyjechała.

Od strony kuchni, gdzie było wejście do piwnicy, dochodziły nas niepokojące odgłosy.

## 32. Cmentarny spokój

Wydawałoby się, że od ostatniego wyczynu Marzeny w autobusie i Bożenny w firmie Tymona Kapusty nastąpi względny spokój. Liczyłam, że skłonność do szalonych eskapad i odkryta na emeryturze żądza przygody nieco zelżeje i straci na impecie. Ze zgrozą uświadomiłam sobie i im, że unieruchomienie którejkolwiek po wypadku skazałoby nas na opiekę, co zabiera czas i pieniądze. Nie z egoizmu, ale musimy wszystkie uważać na siebie i własne zdrowie.

Przed wszystkim odzyskałyśmy zdjęcia, które teściowa wysłała do Romana i Waldemara. Łukasz zadzwonił do byłego sąsiada od razu i opowiadając zgrabną historię, jak to kumpel zrobił zdjęcie jednej dziewczynie, co go zdradza, i nieopatrznie przesłał na inny telefon. Celowo gmatwał historię w miarę opowiadania, aby Waldemar się zniecierpliwił i nie analizując szczegółów, zakończył rozmowę i przesłał zdjęcia. Grigorij przyniósł nam fotografię w wersji wydrukowanej. Kierowca autobusu musiał dysponować dobrej jakości telefonem, a moja teściowa zdolnością robienia zdjęć w trudnych warunkach. Natalia i jej brodaty towarzysz wyszli bardzo wyraźnie.

– Teraz pytanie, kto to jest... – westchnęłam, przyglądając się mężczyźnie. – I jak go znaleźć?

– Może to jakiś znajomy przypadkowo spotkany w autobusie – zbagatelizowała Bożenna, którą uwierały pochlebstwa dla Marzeny za dobre zdjęcia. – Wyszła, zobaczyła, rozpoznała i usiadła, aby pogadać o szkolnych czasach.

– Tobie wszystko się kojarzy ze szkołą! – prychnęła teściowa. – Nie wyglądało to na przypadek. Wiem, co mówię!

– Akurat! Leciłaś z ciastem, więc co tam możesz wiedzieć!

– Wiem! – rzuciła stanowczo teściowa i obrażona opuściła salon.

Bez słowa również wyszła Bożenna. Dla odmiany odjechała maluchem. Grigorij podniósł się z krzesła.

– Ja już jestem w tym pogubiony jak Bączek w tekstach Michaela Jacksona! – rzekł, łapiąc się teatralnie za głowę. – Idę w miasto!

Zostałam sama na placu boju, ze zdjęciem autobusowej pary w dłoni. Przez chwilę przyglądałam się wyrazowi twarzy Natalii. Wyraźnie poirytowana marsz-

czyła czoło i w oczach również dostrzegłam złowrogie błyski. Nie wyglądała na delikatną sierotę ze stacji benzynowej, wymagającą nieustannie opieki męskiego ramienia. Młody mężczyzna miał zrezygnowany wzrok, jakby pokornie wysłuchiwał wymówek i utyskiwań apodyktycznej żony. Kaptur na głowie i broda nieco ukrywały rysy, jednak tak to wszystko widziałam. Oczywiście, amatorskim okiem, ale mimo wszystko wyćwiczonym w wychwytywaniu nastrojów wypisanych na twarzy. Waldemar przeważnie prezentował kamienną twarz, ale potrafiłam odgadnąć, w jakim wraca nastroju. Od tego zależał dalszy ciąg naszego wspólnego dnia. Jaka ulga, że przestałam być jego niewolnicą. Poprawka! Że zrezygnował ze mnie.

Wyszłam do ogrodu. Upał nieco zelżał, ale ziemia i roślinność błagały o deszcz. Po wieczornym podlewaniu nie został najwilgotniejszy ślad. Ruszyłam pomiędzy grządki, aby zerwać pomidory i ogórki. W tym roku nie uda mi się przygotować słoików na zimę. Może z innych, dokupionych warzyw, ale ogórków wyrosło niewiele i od razu je przejadałyśmy. Tak, ten rok wszystkim pokazał środkowy palec.

Do nocnego spotkania z Leszkiem zostało tak wiele czasu, że nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Aby zabić myśli krążące tylko wokół legnickiego Toma Hiddlestona, pojechałam do Kumpla. Zdaje się, że uzależniłam się od spacerów ze schroniskowym kundlem. Zapakowałam jego ulubione przegrzki i w parę minut obwodnicą dotarłam na Ceglaną.

\* \* \*

Ledwie wróciłam i zdążyłam umyć ręce przed przygotowaną przez Marzenę kolacją, gdy drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem. W progu pojawiła się niczym zwiastun złych wiadomości, mocno zdyszana i czerwona na twarzy Bożenna.

– Zmierzcie mi ciśnienie, bo mam wylew! – ryknęła od progu.

Marzena, upuszczając naczynie żaroodporne z naszą kolacją, wydała z siebie krzyk. Nawet nie spojrzała na rozciapcianą na podłodze zapiekankę i błyskawicznie pobiegła do wspólnego pokoju mamunek po ciśnieniomierz. Tymczasem ja zaprowadziłam mamę do salonu i ostrożnie posadziłam na sofie. Szczerze zaniepokoiłam się jej niezdrowym i nienaturalnym wyglądem, wskazującym albo na silne wzburzenie, albo na przegrzanie. Wzięłam ze stołu gazetkę promocyjną i rozpoczęłam intensywne wachlowanie. Marzena właśnie dotarła z ciśnieniomierzem, ale na szczęście okazało się, że ciśnienie Bożenny jest tylko lekko podwyższone, bez ryzyka wylewu. Wszystkie odetchnęłyśmy z ulgą.

– Ależ mnie przestraszyłaś! – rzuciła Marzena z wyrzutem i spoglądając niepewnie na aparat ciśnieniowy, dodała: – Sama powinnam sobie teraz zmierzyć ciśnienie.

– Akurat! – prychnęła Bożenna. – Pewnie skrycie się cieszyłaś, że mój koniec jest bliski! Nikt by cię już stąd nie wygonił i siedziałabyś mojej córce na głowie, sprowadzając coraz to nowych gachów!

Teściowa zerwała sobie z ręki opaskę od aparatu, którą zdążyła nałożyć, ale po chwili uspokojona, uśmiechnęła się szelmowsko.

– Oczywiście! – rzuciła, wywracając oczyma. – Dlaczego od razu na to nie wpadłam, trując cię przypadkiem!

– Poczekaj, poczekaj... – podchwyciła moja mama. – A może ty nas naprawdę trujesz. Tylko tak długofalowo działa twoja trucizna. Jak wino Maurycy! W końcu to twoja babka.

Też zamarłam w oczekiwaniu na odpowiedź. Wino Maurycy uruchamiało system alarmowy w mojej głowie. Wątpliwości i obawy powróciły i rozgościły się wygodnie, ale nie chciałam dolewać oliwy do ognia.

– Detektyw Bożenna Pawełek na tropie! – parsknęła teściowa. – Strasznie mnie, Bożenko, rozczarowujesz... Ile by się człowiek nie starał, to ty się okropnie życia trzymasz!

Bożenna wciągnęła głęboko powietrze i przez kilka sekund trzymała w płucach.

– A trzymam się! I tylko dlatego, że są większe więdźmy od ciebie i to one mnie wykończą! Ja ci tej satysfakcji nie dam!

Postanowiłam powstrzymać zmierzającą donikąd awanturę mamunek, która poza zmarnowaniem wieczoru, nie wniesie nic do prowadzonego śledztwa. „Ostatnio nabrałam wprawy w rozbrajaniu rodzinnych konfliktów. Może powinienam zmienić pracę na negocjatora?” – pomyślałam, unosząc w górę dłoń.

– Dobrze już! – wtrąciłam pospiesznie, aby nikt nie rozpoczął monologu. – Może wreszcie usłyszymy, mamo, co się właściwie stało, że wróciłaś w takim stanie?

– Właśnie! – krzyknęła Bożenna z jadowitym uśmieszkiem, odzyskując główną rolę do Oscara, i rzuciła na zachętę: – Poszłam na cmentarz do Staszka!

Emerytowana nauczycielka historii potrafi budować napięcie. Odezwała się dopiero po dłuższej chwili naszego pełnego napięcia wyczekiwania.

– Na pogrzebie nie byliśmy, to pomyślałam, pójdę na grób Staszka. Znicz mu zapalę. Na spokojnie pokontempluję, może mnie zainspiruje tak po dawnej zna-

jomości do jakichś sensownych wniosków...

– I kto tu jest nienormalny?! – wtrąciła cierpko teściowa. – Zaraz powiesz, że do ciebie przemówił i powiedział, kto jest mordercą! Zapiekanki tylko szkoda...

– To ty jesteś stuknięta z tą swoją obsesją gotowania! – przypomniała jadowi cie Bożenna.

– Mamo! – rzuciłam, błagalnie składając dłonie. – Do brzegu...

– Dobrze, dziecko. Znalazłam grób w grobonecie i idę ze zniczem, szukać właściwej alejki. No i dotarłam. Grób świeży, pełno kwiatów już nieświeżych, a przed tym wszystkim na wędkarskim krzeselku siedzi jakaś wielka, ubrana na czarno kobieta. Od tyłu zaszałam, więc w pierwszej chwili pomyślałam, że Rokšana rozpacza tutaj po śmierci męża, ale coś mi z tuszą nie pasowało. Podchodzę, zapalam znicz i stawiam. „Dzień dobry” kulturalnie mówię. Odwraca się gwałtownie w moją stronę, aż omal nie rypnęła z krzeselka. Gęba pomarszczona i taka... nieprzyjazna. Domyślam się, że to matka Staszka. Burkliwie pyta, skąd znałam jej ukochanego syna? Przedstawiam się więc grzecznie, w ukłonach prawie, że uczyłam Staszka w podstawówce. Podnosi się powoli z krzeselka, łapie za leżącą obok kulę, by się podeprzeć, i przygląda mi się uważnie. Ale tak..., wiecie, świdruje mnie oczyma, jakby prześwietlała rentgenem albo podczerwienią. Jeszcze czekam, bo może zaraz wyleci wynik tego skanu i dowiem się, że mam cukrzycę albo wątrobę zatłuszczoną i nerki mi nie domagają! Duszno mi się zrobiło momentalnie! A ta nagle jak na mnie nie ryknie na cały cementarz: „Znam cię, ty! Pamiętam, szantrapo! Mojego Staszka chciałaś posadzić w ósmej klasie z matematyki!”. Tu zamierzałam ostro zaprotestować, bo żadną matematyką nigdy się nie skalałam. Jednak starej wiedźmie nie zależało ani na sprostowaniach, ani na wyjaśnieniach. Darła się jeszcze, że życie chłopakowi, jej jedynakowi, chciałam zmarnować! Że zamordowałam Stasia i jestem winna! Ona mnie odda w ręce policji! Straszne zamieszanie się zrobiło. Aż się teraz trzęsę! Krzysiu, podasz mi wody?

Posłusznie pobiegłam do kuchni, ale zapomniałam o porzuconej na podłodze zapiekance i wlałam stopą w sam środek kolorowej brei. Omal się nie pośliznęłam. Na szczęście, w ostatniej chwili łapiąc się blatu, uratowałam się przed upadkiem. Jednak nadwyrężyłam sobie lewy nadgarstek, który musiał dźwignąć cały lecący ku ziemi ciężar ciała. Rozmasowałam sobie dłoń, wytarłam kłapka ręcznikiem papierowym i już biegłam z powrotem ze szklanką wody. Bożenna nadpiła łyk, a potem wypięła wszystko.

– Dziękuję – westchnęła z ulgą i oddała pustą szklankę. – Trzymała mnie za rebkę. Przybiegł jakiś facet i mnie odciąga, a wiedźma zamachnęła się kulą, by

mnie uderzyć, ale się uchyliłam i ten facet w łeb dostał! Na sąsiedni grób poleciał, wszystko poprzewracał. Ale ta baba-jaga drze się na mnie, że zdziurą jestem, co uwodziła Staszka i wstydu nie mam, aby na grób przychodzić. No, szaleństwo, mówię wam! Uciekłam zdenerwowana, bo by mnie tam zatłukła na śmierć. A za mną biegnie ten facet. Myślałam, że też ucieka, ale on podbiega i mnie przeprosza. Bardzo przeprosza za ciotkę Stasię, bo ona czasami taka wybuchowa jest. Nerwy ma zszargane przez śmierć syna. A to złota kobieta i w syna zapatrzona jak w święty obraz. No przeproszał, aż na mdłości zbierało. Odprowadził mnie do drugiej bramy cmentarza i wręczył wizytówkę, gdybym przypadkiem jakiejś pomocy potrzebowała. I wtedy też dowiedziałam się, że razem ze Staszkiem Migotką, kuzynem, prowadzili bardzo dochodowy interes. I też ma nerwy zszargane, bo policja biuro hurtowni zamknęła, a tam leżą ważne papiery. Chińczycy się wycofują, bo to jakiś chiński biznes. Export–import, kto to wie co?! Może i bym sprytnie spytała, ale niespodziewanie dopadła nas ta stara wiedźma i przez plecy potraktowała mnie zwiędłym bukietem. Tym razem zostałam lafiryndą bez serca i z gołą dupą, co Stasia uwiodła i po pieniądze na skrobankę przyszła! Uciekłam stamtąd, bo ludzie mnie wszędzie znają i zaraz ktoś znajomy się przypałęta. No, co ja przeżyłam! Ledwie tutaj dojechałam. Cud, że kogoś autem nie zaabiłam!

– Fiu, fiu... Niespodziewanie zaskakująca biografia – zauważyła z przekąsem Marzena.

– Moja?! – podchwyciła Bożenna i cisnęła z oczu błyskawicami niczym Zeus Gromowładny. – Chyba nie myślisz, że...

– Mamo, nikt tak nie myśli! – od razu zareagowałam.

– Może ten wspólnik go kropnął, by przejąć interes – głośno myślała Marzena.  
– Pokłócili się o jakieś papiery, szarpali i... Chciał pewnie te papiery zabrać, ale Malwina nadjechała, a potem Krzysia, więc uciekł. I teraz mu zależy, aby tam wrócić! Coś w tym jest, że morderca wraca na miejsce zbrodni!

– Wydawał się załamany – mama broniła kuzyna Staszka. – Opowiadał, że interes dobrze szedł. Mieli podział zadań, więc nie wiedział wszystkiego. A teraz... zbankrutuje. Chyba od tego uderzenia przez łeb mu się coś poprzestawiało w głowie, że tak się zwierzał obcej babie.

– Masz tę wizytówkę? – spytałam, a Bożenna od razu sięgnęła do kieszeni sukienki, by wyjąć mały zadrukowany kartonik.

– Stefan Migotka? – przeczytała na głos Marzena, zaglądająca mi przez ramię.  
– To kuzyn od strony ojca.

– Śledzimy go?! – zapaliła się Bożenna.



– W żadnym razie! Już starczy! – zaprotestowałam stanowczo. – Same widziacie, że to się robi coraz bardziej niebezpieczne! Na dzisiaj dosyć! Muszę się zastanowić, co robić.

– Najpierw zamówimy pizzę, bo zapiekanek szlag trafił – podsunęła Marzena i tak też uczyniliśmy.

Nieludzko objedzona na wieczór, przyłożyłam na chwilę głowę do poduszki. Wciąż powtarzałam sobie, że na minutkę, bo w nocy mam przecież randkę z Leszkiem. Pizza zrobiła swoje. Ogarnął mnie iście cmentarny spokój i obudziłam się dopiero nad ranem z odcisniętym telefonem na policzku. Poza tym czekały na mnie cztery nieodebrane połączenia od „Leszek Stopyra”. No i randkę szlag trafił, jak zapiekanek Marzeny.

### 33. Dzień totalnego zakręcenia

Tuż przed moim wyjściem do pracy niebo postanowiło chlusnąć na ziemię trochę deszczu. W efekcie tego gwałtownego postanowienia dotarłam do busa totalnie mokra. Ubranie oczywiście stawilo opór wilgoci, ale włosy wisiały mi w ciemnych mokrych strąkach, a maskara okazała się niewodoodporna. W dodatku odcisk na policzku nadal miał się dobrze, więc zamiast na bazę, powinnam udać się na plan filmowy jakiegoś thrillera. I tutaj okazało się, że można połączyć oba warianty.

Na magazynie czekała na nas niezwykle podniecona pani Jola. Z wypiekami na twarzy, żywiołowo gestykulując, spacerowała wzdłuż wejścia. Stukała hałaśliwie obcasami po betonowej posadzce, co nie powinno dziać się w tym miejscu ze względów bhp. Nikt jednak nie ośmielił się zwrócić uwagi pani Joli.

– Słuchajcie! – zaczęła, gdy doliczyła się już pełnej załogi. – Pamiętajcie, że na początku września są urodziny naszego kierownika. Tym razem okrągłe! I tutaj postawiłam na coś spektakularnego! Niespodzianka na miarę naszego szefa!

– Aż drzę z niepokoju – wyszeptała w moją stronę Brygida.

Tymczasem pani Jola budowała napięcie, spacerując nadal i milcząc z tajemniczym uśmiechem.

– Zaprezentujemy mu taniec! – wykrzyknęła entuzjastycznie i klasnęła w dłonie. – Nasz taniec! Kurierski!

– Coooo?! – ryknął Boguś, który najwyraźniej nie widział się ani na siłowni, ani w tańcu. – A nie możemy się złożyć jak co roku na jakieś kwiaty albo wiertarkę?!

Staliśmy w autentycznym szoku i nikt nie mógł z siebie wydobyć słowa. Skwapliwie wykorzystwała to pani Jola, która kontynuowała z entuzjastycznym zapalem:

– Już rozmawiałam wstępnie z instruktorką tańca. Nauczy nas kilku kroków i powinniśmy sobie poradzić do września! Wiecie, to ma być ten taniec z *Thrillera!*

– Kiedy? Kiedy niby mamy tutaj ćwiczyć? – zbuntował się Grigorij, ale reszta była mu milcząco wdzięczna za ten głos. – Paczek jest tyle, że wracamy coraz później i to jeszcze zmęczeni jak konie po westernie!

– We wtorki na godzinę przed pracą... – oznajmiła pani Jola, zupełnie niezniechęcona. – Za to, jakim jest dla nas wspaniałym szefem, możecie chyba poświęcić te sześćdziesiąt minut! Zaczynamy za dwa tygodnie, bo instruktorka wtedy wraca z Bułgarii. Miłego dnia!

No i odstukała obcasami do wyjścia, pozostawiając nas w stanie totalnego wzburzenia, niedowierzania i zdenerwowania. Na efekty takiej kumulacji emocji nie musieliśmy długo czekać. Przy rolkach myliły się nam paczki. Potem wyjeżdżaliśmy, wciąż żywo komentując pomysł pani Joli. Jedni ruszali z piskiem opon, wznosząc obłoki kurzu. Inni szarpali samochodem tak, jakby po raz pierwszy wsiedli za kółko. Mnie również udzieliła się ogólna atmosfera, choć nie podzielałam zdania innych, że to głupi pomysł. Fakt, nikomu nie spieszyło się do wcześniejszego rozpoczęcia dnia pracy. Dlatego postanowiłam sprawdzić w Internecie, co to za kroki, bo może wcale nie okażą się tak trudne, jak je kurjerzy malują.

Rozpoczęłam pracę lekko uspokojona i wybrałam pierwszy telefon. Na dobry początek okazał się to życzliwy i wesoły klient, więc ośmieliłam się wierzyć, że tylko takich dzisiaj spotkam. Udało się do połowy dnia, kiedy tuż przed przerwą wybiegł z bramy na św. Wojciecha jakiś mężczyzna i wydierał się na mnie, że czeka od rana, a ja dopiero teraz łaskawie się zjawiam. Oczywiście, nie przebierał w słowach, a gdy już pokwitował swoją paczkę, to dorzucił mnóstwo przekleństw pod moim adresem, po czym zniknął w swojej bramie. Westchnęłam i wybrałam numer do Leszka. Musiałam jakoś ratować mój dobry humor.

– Cześć! – rzuciłam do słuchawki, gdy wybrzmiał już ten magiczny głos w słowach „Słucham cię...”.

– To my się jeszcze znamy? – spytał z rozbawieniem i od razu humor powrócił.  
– Tylko błagam! Nie przepraszaj mnie i nie tłumacz się. Mam złamane, skopane i sponiewierane serce! Właśnie stoję w Castoramie i wybieram najmocniejszą linę, by skończyć ze swoim życiem!

– Kurczę... a nie możesz wybrać czegoś mniej spektakularnego? – podjęłam żartobliwy ton.

– Kombinerki?

– Nie! Może przedawkowanie tabletek nasennych?

– Co ty wiesz o umieraniu?! – ironizował.

– Są gorsze tragedie – wtrąciłam i opowiedziałam pokrótce o pomysle pani Joli.

– No, tak. Wygrałaś! Masz gorzej! A tymczasem do później, bo już muszę kończyć! Pa!

Rozłączył się, zanim zdążyłam odpowiedzieć, więc zastygłam z telefonem przy uchu. Trudno. Ja też muszę wracać do pracy. Sięgnęłam po listę z kolejnymi adresami.

– Dzień dobry, tutaj kurierka. Mam dla pani paczkę – rzuciłam z większym entuzjazmem niż na początku dnia.

– Ojej... – usłyszałam zakłopotany kobiecy głos. – Ale mnie teraz nie ma w domu... a te książki są mi tak potrzebne.

– To może odbierze pani do siedemnastej w oddziale? – zaproponowałam, wywracając oczami, bo ileż można dzisiaj słuchać tego samego zdania?

– Oj, nie, bo to daleko – westchnęła, ale po chwili dodała z radością: – Wie pani co? Proszę ją dostarczyć do szkoły. Ja jestem nauczycielką. To blisko mojego domu, na Senatorskiej. Szkoła co prawda zamknięta, ale tam portierka przyjmie. Uprzedzę ją telefonicznie. A później sobie odbiorę. Możemy to tak załatwić? Senatorska.

– Oczywiście, wiem, gdzie to jest – odpowiedziałam. – To też mój rejon.

– To ogólniak na Senatorskiej. Nie sprawi to pani problemu? – spytała uprzejmie.

– Proszę pani, spokojnie, jestem z Legnicy i wiem, gdzie jest ogólniak na Senatorskiej. Będzie dostarczone. Do widzenia.

– Dziękuję. Proszę pamiętać, Senatorska.

– Oczywiście.

Rozłączyłam się z ulgą. Od razu widać, że to nauczycielka, bo ma skłonność do powtarzania tego samego, aby się uczniom utrwaliło. „Jednak wypaczona zawodo, bo nawet nie kojarzy, że mówi do dorosłej osoby” – pomyślałam zniecierpliwiona.

– Dzień dobry! – usłyszałam w otwartym oknie. – Ma pani dla mnie paczkę.

Aż się chce powiedzieć: „Naprawdę?”. Jednak uśmiechnęłam się szeroko i dopytałam o szczegóły.

Tego dnia jeszcze odbierałam telefony od mamuni i od teściowej naprzemienne, które koniecznie w czasie mojej pracy musiały mi streścić swój dzień, aktywnie spędzony na spotkaniach ze znajomymi. Każda z innymi, rzecz jasna. Westchnęłam, słuchając ich i spoglądając na zegarek, a potem na dwie ostatnie paczki z książkami owinięte czerwoną folią i z czarnym logo wydawnictwa. Tak, najcięższe paczuszki na sam koniec i zapewne jeszcze czwarte piętro! Złapałam paki pod pachy i z zaciśniętymi zębami ruszyłam do szkoły „Uczniak” na Sejmowej. Portier na dole, zapytany o numer pokoju, udzielił odpowiedzi, udając, że

paczek nie dostrzeża. Potem błyskawicznie jego uwagę pochłonęło puste biurko. Jeszcze, nie daj Boże, poprosiłabym o pomoc. A mnie wystarczyło jedno spojrzenie i wiedziałam, że w życiu bym tego nie uczyniła temu człowiekowi, który wiekowo zrównuje się z najstarszym dębem w Polsce.

Na szczęście okazało się, że paczki trzeba zanieść na drugie piętro i szczęśliwie była winda. Nigdy nie myślałam, że to powiem, ale Kocham windy! Wpadłam do pokoju, gdzie powitały mnie życzliwie trzy kobiety i błyskawicznie uwolniły od ciężarów.

– Może szklankę wody? – zapytały dobrodusznie.

Odmówiłam tylko dlatego, że nie miały takiej ilości wody, abym wzięła prysznic, którego po całym dniu potrzebowałam bardziej niż szklanki orzeźwiającego napoju.

– Następnym razem proszę zostawić na dole, na portierni. My odbierzemy.

– Oczywiście, będę pamiętać – odpowiedziałam z ogromną wdzięcznością i już w doskonałym humorze opuściłam gościnne progi szkoły „Uczniak”.

Dzień pracy skończył się bez żadnej paczki na pace. Teraz pozostawało mi tylko pojechać do bazy, a potem już do domu i niech mnie ktokolwiek powstrzyma przed prysznicem i beztroskim wpatrywaniem się w zieleń mojego ogrodu! Dotarłam do bazy szczęśliwa, wypełniona wizjami błogiego lenistwa. I co usłyszałam?

– Słuchaj, nie dostarczyłaś jednej paczki – surowym głosem oznajmiła pani Jola.

– Niemożliwe. Nie mam nic na pace. Wszystko dostarczyłam.

– Możliwe, bo była tu jakaś pani nauczycielka i pytała, gdzie jest jej paczka? Bardzo uprzejma i jak tylko dowiedziała się, że jeszcze nie przyjechałaś i nie ma tu jej paczki, to stwierdziła, że poczeka. No i właśnie odjechała.

– Przecież nie mam żadnej paczki – tłumaczyłam się jak dziecko, ale coś mi zaświtało.

– Może zgubiłaś albo ci ukradli? – podsunęła kasjerka.

Już widziałam siebie, jak wracam do miasta i odwiedzam punkt po punkcie, tymi samymi trasami, aby gdzieś odnaleźć zagubioną paczkę, która czeka na mnie na ulicy. Zmęczenie sprawiło, że odpowiedziałam ostro:

– To mnie zabijcie, zaaresztujcie za tę paczkę! Nie ma i już!

*Because I'm bad, I'm bad – shamone*

*You know I'm bad, I'm bad – you know it<sup>3</sup>.*

Zabrział złowrogo refren znanej piosenki Michaela Jacksona i w drzwiach pojawił się kierownik. Najwyraźniej zwabiły go nasze krzyki.

– Jaki to adres?! – spytał krótko, ze zmarszczonym czołem.

– Jagiellońska – odpowiedziała pani Jola, zerkając do notatek.

– To ta nauczycielka! – błyskawicznie sobie przypomniałam i pacnęłam się otwartą dłonią w czoło. – Chciała paczkę z książkami do szkoły na Senatorskiej.

– No i? – dopytywał kierownik, machając zachęcająco rękoma, aby moje zwoje mózgowo pracowały znacznie szybciej.

– No i nie byłam.

– A co się stało z tymi książkami?

Opadłam na krzesło, bowiem przytłoczył mnie ciężar mojej głupoty. Tak to jest, jak się robi milion rzeczy jednocześnie i odbiera durnowate telefony w czasie pracy!

– I ja te ciężkie paki dźwigałam nadaremno! – wyrzuciłam z rozpaczą. Nie popatrzyłam, że te same paczki z książkami mają różnych adresatów i zaniosiłam do „Uczniaka” paczkę nauczycielki z ogólniaka. I jeszcze mi się rymuje!

– To gdzie ta paczka? – przypomniał o swym istnieniu i problemie kierownik.

Trochę nam zajęło odnalezienie kontaktu do pani nauczycielki, ale wkrótce mogłam do niej zadzwonić.

– Dzień dobry, tu kurierka, rozmawialiśmy rano – zaczęłam ostrożnie. – Pamięta pani?

– No, tak. Coś się stało? – zaniepokoiła się kobieta, ale bardzo spokojnie i grzecznie mówiła dalej: – Syn mi już odebrał paczkę z „Uczniaka”. Panie z sekretariatu właśnie dzwoniły, że tam pani u nich zostawiła. A ja się tak zakręciłam, jak to mówią moi uczniowie, i przyjechałam do oddziału, zamiast do pani zadzwonić. Co ja mam dzisiaj za dzień?

Odetchnęłam z ulgą, ale musiałam jeszcze coś powiedzieć:

– Ja panią strasznie przepraszam i chciałam zapewnić, że nie jestem takim tłuściem i wiem, gdzie jest Senatorska w Legnicy.

Po drugiej stronie odpowiedział mi gromki śmiech. Nauczycielka długo się śmiała do telefonu, a wokół mnie również wszyscy dusili się ze śmiechu. Wobec tego i ja się zaczęłam śmiać.

Kiedy się już rozłączyłam, pomyślałam, że ile by te nauczycielki nie powtarzały, to uczeń i tak nie może zapamiętać. Mroki średniowiecza, normalnie, i nikt nie chce słuchać.

## 34. Spacer z Sylwestrem

Ledwie wyjechałam z bazy, napędzana myślą o nocnym spotkaniu z Leszkiem, gdy zadzwonił telefon. Zatrzymałam się tuż za bramą, by nie blokować wyjazdu innym spieszącym się do domu kurierom. Z niedowierzaniem spojrzałam na wyświetlacz. Komisarz Sylwester Kluczyk. Czegóż może jeszcze ode mnie chcieć? Może jednak zdenerwował się na prowadzone przez nas śledztwo, które tak niefortunnie odkrył pod kapą? Albo właśnie awansowałam ze świadka na główną podejrzaną? Policja to jednak policja i nieco zadrżałam w niepewności. Podobno tylko człowiek uczciwy boi się policji, ale czy można wierzyć stereotypom i ludowemu bajaniu? Nie mogłam dłużej trzymać się w niepewności, więc odebrałam połączenie.

– Słucham – odezwałam się ze ściśniętym gardłem.

– Dzień dobry, pani Krzysztofo – zaczął dziwnym głosem. – Da się pani zaprosić dzisiaj na spacer?

No całkiem mocno mnie zaskoczył, ale nie dałam po sobie poznać, rzucając z udawaną beztroską:

– Właśnie wyjeżdżam z bazy...

– Wiem.

– Zatem... może za godzinę? – zaproponowałam, zaskoczona wiedzą komisarza o mojej lokalizacji. Może jako podejrzaną założyli mi GPS albo podsłuch?

– Wolałbym teraz. Tu w bok Wrocławskiej przed wiaduktem jest takie fantastyczne odludzie...

Zawahałam się, do szczytu zdeorientowana, ale spytałam już kompletnie przytomnie:

– Zmienił się pan w przestępcę? Teraz chce mnie pan zabić na odludziu?

– Cóż, zdziwi się pani, ale nie. Nie jest to również randka. Ot, zwykły spacer w celu uporządkowania myśli. Zaryzykuje pani?

– Testuje pan mój poziom odwagi czy skłonność do podjęcia ryzyka?

– Ani jedno, ani drugie.

– Ależ mnie pan zaskoczył! – wyznałam szczerze. – To znaczy, że nie muszę biec do fryzjera ani kupować nowej sukienki? – próbowałam żartem zasłonić

swój niepokój.

– Przykro mi, że panią rozczarowałem. Może pani powiedzieć mamom dla poczucia bezpieczeństwa. Przespacerujemy się wzdłuż nasypu i po osiedlu Ptasim.

– Moja mama i tak twierdzi, że nikt nie słucha starszych kobiet...

– To jak będzie z naszym spacerem? – powrócił do tematu. – Ja już jestem na miejscu.

– Dobrze – odparłam już bez dłuższego namysłu. – Czuję się wystarczająco zastrygowana, aby pójść z panem na to odludzie.

– Wysyłam pani pinezkę, aby pani tutaj trafiła. Do zobaczenia.

Chwilę później przesłałam pinezkę dalej, bez żadnego dodatkowego wyjaśnienia i na wszelki wypadek do mamunek, do Łukasza, a po chwilowym zastanowieniu jeszcze do Leszka. Potem wyciszyłam telefon i pojechałam według wskazówek nawigacji. Komisarz rzeczywiście już na mnie czekał. Wysiadł z ciemnego, wysłużonego audi i uśmiechnął się przyjaźnie, co wcale mnie nie rozluźniło, a kolana ledwie utrzymywały mnie w pionowej pozycji, tak były miękkie. Nic dziwnego, że potknęłam się na prostej drodze i wyłożyłam efektownie jak żaba prosto w kałużę. Komisarz z zaskakującą zręcznością dobiegł do mnie i podniósł za pasek od spodni, po czym przesunął na suchą część drogi. Nie ukrywał przy tym wesołości, nawet gdy go zmierzyłam karcącym spojrzeniem. Na szczęście strój okazał się nieprzemakalny, lecz tak ubrudzony nie zapewniał komfortu żadnej rozmowy. Całe szczęście, że nie wylądowałam w kałuży twarzą, bo na żadne pogaduszki, nawet na odludziu, nie dałabym się namówić.

– Chodźmy na początek wzdłuż nasypu – zaproponował Sylwester Kluczyk, z trudem powstrzymując wesołość.

– Zdaję się na pana.

Podejrzewałam, że istnieją w Legnicy takie miejsca, które sprawiają wrażenie końca świata. Miejsca, gdzie prawie wcale nie zapuszczają się miejskie służby, które omijają turyści, gdzie gubią się mieszkańcy z innych dzielnic i nawet ptaki nie szukają tam miejsc na gniazda. Ustronia, gdzie zamieszkują ludzie pragnący świętego spokoju od zgiełku miasta; i to miasto o nich też zapomniało. Zestarzeli się tutaj i odizolowali od cywilizacji wyłączonymi latarniami, których awarii nawet nikt nie zgłasza, i wiekową zielenią, która potrafi ukryć i zaciemnić drogę do zapomnianych domów. I oto znalazłam się w takiej dzielnicy i spacerowałam pośród tak różnych architektonicznie domów przyciągających uwagę, że nie mogłam się skupić na rozmowie. Co chwilę odwracałam głowę z ciekawością, by przyjrzeć się każdemu z osobna. Pośród ponemieckich domów znalazło się kilka



podobnych do tych z naszego osiedla i kilka identycznych jak na Czarnym Dworze, po którym jeździłam z paczkami.

– Powiem otwarcie – odezwał się komisarz po chwili milczącego spaceru. – Wiem, że prowadzicie swoje śledztwo. Zanim nastąpiło to niefortunne zdemaskowanie, domyślałem się.

– Aresztuje nas pan? To jest karalne? – dopytywałam zaniepokojona.

– W takiej wersji czy formie, jaką wy reprezentujecie, trudno dopatrzeć się znamion przestępstwa. Mnie to jest całkiem na rękę.

– Jak to? – zdumiałam się.

– Cóż, utknąłem w martwym punkcie, ale to nie znaczy, że marny ze mnie śledczy. Po prostu potrzebuję świeżych informacji i źródeł.

Zatrzymałam się zaskoczona. Ulica Sokolska, którą do tej pory spacerowaliśmy, skręcała w prawo do nasypu kolejowego. Na wprost mieliśmy zarośnięte ugory, ciągnące się aż po Piekary A. Właśnie dotarliśmy do kilku wolnostojących garaży, które prezentowały lepszy stan niż te z legnickich podwórek. Przed jednym z nich przy otwartej masce samochodu pochylali się dwaj rozebrani do pasa mężczyźni. Na moment oderwali się od swojego brudnego zajęcia i ze zdumieniem przyglądali się dziwadłom, które chciały się tutaj zapuścić.

– Mamy być informatorami? – spytałam, zwracając w stronę osiedla.

– Nie.

– Tajnymi współpracownikami?

– To nie te czasy – roześmiał się.

– To znaczy kapusiami?

Westchnął.

– Tym bardziej nie. Bardzo nie lubię tego słowa. Po prostu wysłucham w charakterze powiedzmy konsultanta tego, co macie do powiedzenia. Powiem wprost: nie pogardzę żadną informacją, nawet plotką.

– Wolno tak panu?

– Niczym nie ryzykuję, pani Krzysztofo. Mogę iść na emeryturę, ale po pierwsze bardzo lubię swoją pracę, po drugie lubię wygrywać i sięganie po niekonwencjonalne metody i takie amatorskie spojrzenia wcale mi nie przeszkadza w drodze do celu.

Tym razem ja westchnęłam.

– Właściwie to my nic nie mamy i nie mam nic do opowiadania. Odnoszę wrażenie, że też drepczemy w miejscu. Przede wszystkim nie mamy najważniejszej informacji: jak zginął Staszek Migotka? Są już wyniki sekcji?

Obawiałam się, że teraz zacznę kręcić, robić uniki, wymawiać się dobrem śledztwa i tajemnicą służbową, wykręcać od odpowiedzi, lecz odrzekł spokojnie:

– Tak wstępnie, to uderzenie w głowę. Prawdopodobnie upadając do tyłu, uderzył w ten żeliwny kaloryfer, który miał w biurze. Być może doszło do szarpnięcia. Ktoś zabrał jego telefon. Mamy odcisk palca, dość rozmazany, ale niestety takich linii papilarnych nie ma w naszych bazach. To ktoś nienotowany.

Słuchałam oniemiała, z opuszczoną do ziemi szczęką. Naprawdę to usłyszałam od komisarza Sylwestra Kluczyka, czy mi się to śni? Nie miałam wyjścia i idąc Jaskółczą, Żurawią i Łabędzią, streściłam nasze, a właściwie mamunek postępy w śledztwie. Opowiedziałam, co wiemy o poszczególnych członkach rodziny, o Tymonie Kapuście, o Natalii, że nie jest ślubną córką i biega na cmentarz w rozpacz po stracie ojca niemal codziennie, i o jej matce zamkniętej w szpitalu psychiatrycznym. Wszystko, co pamiętałam i co wiedziałam. Komisarz słuchał w skupieniu, ale żadną mimiką nie zdradził, czy moje informacje robią na nim wrażenie. Wreszcie dotarliśmy do naszych samochodów.

– A pani? Ma pani jakieś przeczucia czy podejrzenia? – spytał mnie już przy busie komisarz.

Zastanowiłam się przez chwilę z ręką na kłamce. Czy wszystko opowiedziałam? Może coś mi umknęło. Zresztą, najwięcej wiedzą moje mamunki. Może to z nimi powinien się spotkać komisarz? Nie, postanowiłam. To policja ma prowadzić śledztwo i znaleźć mordercę, a nie dwie emerytki, których muszę się koniecznie pozbyć z domu.

– Nie – odpowiedziałam po dłuższej chwili. – Nie wiem. Chyba nikt go nie lubił, no może poza mamą Stanisławą i Natalią, ale ona jest jakaś dziwna. Sama nie wiem, w jakim sensie. Zresztą wszyscy powinni być podejrzani, ale zupełnie nie wiem, kto bardziej.

– Ktoś z kręgu waszych podejrzanych, który pokrywa się z moim, zna mordercę – rzucił na odchodne.

– A co z kamerami? – spytałam, przypominając sobie o rozmowie z Brygidą.

– Z hurtowni zniszczone, a te wasze nie działają – odparł ponuro.

Wcale mnie to nie dziwiło. Gdyby Michael Jackson nie zszedł z tego świata, monitoring naszej bazy miałby się doskonale.

– Staszek Migotka podobno lubił wszystko nagrywać, mieć kontrolę. Podobno też mógł umieścić kamerę w najmniej widocznym, nierzucającym się w oczy miejscu. A jego telefon?

– Zniknął, ale nie logował się nigdzie, więc pewnie zniszczony – odpowiedział smutno. – Poszukamy tej kamery. Coś jeszcze?

– Tak, Natalia spotkała się z pewnym mężczyzną, ale to może nie mieć znaczenia. Prześlę panu ich wspólne zdjęcie z autobusu. I Migotka miał współnika od chińskiego interesu, Stefana Migotkę.

– To akurat wiemy. I uprzedzam pani kolejne domniemanie, że nie jest to żadna chińska mafia, a współnik ma żelazne alibi i brak motywu.

– Szkoda – westchnęłam, otwierając drzwi.

– To byłoby zbyt proste.

– Czy mam to wszystko, o czym rozmawialiśmy, zachować w tajemnicy? – zatrzymałam komisarza jeszcze tym pytaniem.

– A czy my w ogóle rozmawialiśmy? – odparł z uśmiechem i podszedł do swojego wysłużonego audi.

Komisarz Sylwester Kluczyk odjechał jako pierwszy, a ja postanowiłam najpierw zadzwonić do którejś z mamunek, bo nie mogłam wytrzymać, by się nie podzielić uzyskanymi informacjami. Sięgnęłam po telefon do bocznej kieszeni i jęknęłam. Oto otrzymałam kolejny dowód na niezawodną nieprzemakalność materiału moich spodni, dzięki któremu wewnątrz kieszeni doskonale zachował się kawałek kałuży, a w niej pływał sobie mój telefon. Oczywiście nienadający się do użycia. Zakląłam głośno. Kolejny wydatek na długiej liście. Wściekła rzuciłam telefon na siedzenie pasażera i włączyłam silnik. Naprawdę sprawię sobie spódnice, bo ze spodniami w tej pracy od początku mam tylko problemy!

Ledwie udało mi się ruszyć, gdy przede mną z ulicy Wrocławskiej wjechały z impetem dwa auta. Ciemne volvo Leszka i wiśniowy maluch mojej mamy. Zatrzymali się przed moim busem, wzbudzając tumany kurzu. Z malucha wysiedli Grigorij i Bożenna, a z tylnego siedzenia wygramoliła się Marzena z Markiem. Leszek dobiegł do mnie pierwszy i otworzył drzwi od strony pasażera. Zdyszana mama dopadła drzwi od strony kierowcy i kiedy stanęły otworem, ryknęła nienależnie i po raz pierwszy w życiu przeklinając:

– Co ty, kurwa, wyprawiasz?!

Jakby dla podkreślenia demonicznego wydźwięku tego pytania, górą przetoczył się hałaśliwy pociąg towarowy, uniemożliwiając jakiegokolwiek wyjaśnienia z mojej strony. Usiłując przekrzyczeć decybele bombardujące nas po uszach, ustaliliśmy, że wszystko powiem w domu, gdy tam dotrzemy.

## 35. Zielone znicze kontra oczy zielone

Nie od razu nastąpiło wyjaśnienie, bowiem, gdy tylko przekroczyliśmy próg mego domu, Bożenna wybuchnęła głośnym płaczem. Niepokój o mnie i prześladowająca ją podczas prowadzenia malucha wizja moich rozszarpywanych, zakrwawionych zwłok oraz stres ostatnich tygodni sprawiły, że z trudem się uspokajała. Siedziała skulona na sofie i mamrotała coś o młodych bykach, które mogły mnie przecież rozszarpać. Wystraszyłam się, że dostała pomieszania zmysłów i też się rozplakałam. Grigorij podsunął mojej mamie szklanekę wina, które wypila jednym haustem, a potem oklapła na sofę, głośno chrapiąc. Leszek przeniósł ją do pokoju mamunek. Zostaliśmy w piątkę, ale tylko faceci pozostawali w stabilnym stanie psychicznym, bowiem Marzena też zaczęła płakać i wspominać jakieś młode byki. To mnie nieco oprzytomniło i spytałam, o co chodzi z tymi bykami i dlaczego miałam się ich tak wystrzegać, a one mnie rozszarpywać na strzępy? Marzena mi nie odpowiedziała. Sięgnęła po butelkę czerwonego wina i poszła do pokoju mamunek. Przez moment zaniepokoiłam się, czy to aby nie wino Maurycy, ale machnęłam ręką. Jeśli im pomoże, to czemu nie? Wyjaśnienia usłyszałam od Łukasza i Marka, którzy wspólnie jechali maluchem mojej mamy i słuchali tego samego radia. Leszek od razu zaprzeczył, że o żadnych bykach nie słyszał i nic nie wie.

– Kiedy po ciebie pędziliśmy... – zaczął Łukasz, nieco rozbawiony. – Boże! Nigdy tej jazdy nie zapomnę i nie dam się zamknąć w takiej puszcze! A twoja matka gnała, bijąc rekordy prędkości maluchem. Zatem jedziemy i w radiu opowiadają, że z zagrody pod Legnicą uciekły młode byki. Ze dwadzieścia sztuk. Jakaś zorganizowana ucieczka młodych byków. Znaleźli ze dwanaście błakających się po okolicy, wpadających na samochody, atakujących ludzi pod supermarketem na Jaworzyńskiej. Jednak ośmiu do tej pory nie znaleźli. Ostrzegali, aby się do zwierząt nie zbliżać i koniecznie powiadomić policję. Zbiegowie prawdopodobnie ukrywają się w lesie wokół Huty Miedzi. No i twoja mama tak dodała gazu i zakręty brała, że śmierć mi w oczy zaglądała na każdym! Strasznie ją te byki rozsierzdziły. „Młode byki! Młode byki ją rozszarpały!”, krzyczała w szale troski, że bębenki w uszach nam pękały.

Leszek i Marek dusili się ze śmiechu. Skarciłam ich wzrokiem, bowiem chodziło o stabilność psychiczną mojej mamy.

– A tak w ogóle, to dlaczego wszyscy się tam zjawiliście?! – rzuciłam z pretensją.

Tym razem oni mieli prawo do pretensji.

– Wysłałaś nam pinezkę, a potem kaplica – wyjaśnił Grigorij, a pozostali potwierdzili skinieniem głów. – Dzwoniliśmy do ciebie z milion razy, a potem do siebie nawzajem. Tak ustaliliśmy, że skoro wysłałaś pinezkę, a nigdy tego nie robiłaś, to oznacza, że znalazłaś się w niebezpieczeństwie i ruszyliśmy na pomoc.

– Czyli do tego miejsca, gdzie wskazałaś – dodał Marek. – Dzwoniłem też do syna, ale on przeważnie ma wyłączony telefon.

– Mój wpadł do kałuży – poinformowałam smutno, prezentując zepsuty aparat, wyciągnięty z mokrej wciąż kieszeni.

– Co tam robiłaś? I po cholerę wysyłałaś pinezkę? – spytał Leszek.

Nabrałam powietrza, aby odpowiedzieć zgodnie z prawdą, ale w porę się powstrzymałam. Przecież rozmowy z komisarzem nie było. A w głowie daremnie szukałam sensownego wyjaśnienia. Pod wpływem ich wyczekujących spojrzeń trudno było mi naprędce wymyślić kłamstwo. Jednak się udało.

– Wstyd się przyznać, ale... – zaczęłam nieśmiało – została mi jedna paczka i to nie z mojego terenu, którą zeskanowałam przez pomyłkę. Musiałam ją dostarczyć. Szukałam w nawigacji i pewnie mi się sama ta pinezka wysłała. A potem od razu wpadłam do kałuży i... Strasznie mi przykro.

Łukasz podniósł się z krzesła.

– Powiedz to swojej mamie i teściowej – rzekł na odchodne. – Omal nie umarły ze strachu.

Zrobiło mi się wstyd. Chyba obraziłam go tym kłamstwem, które odkrył. Marek i Leszek również się podnieśli z krzeseł.

– Najważniejsze, że wszystko dobrze się skończyło – podsumował Kluczyk. – Jutro zajrzę z samego rana. Do widzenia!

– Do widzenia – odpowiedziałam smutno.

– Zrozumiem, jak nie będziesz mogła wyrwać się w nocy na spacer i hot-doga – powiedział Leszek, obejmując mnie w pasie. – Lecę już, bo i tak wybiegłem w trakcie ważnego spotkania.

– Przepraszam... – rzekłam z niekłamaną skruchą.

– W porządku – odparł bez pretensji i przytulił mnie mocno. – Muszę się przyzwycząić, że z tobą wszystko idzie na opak i niestereotypowo. Daj znać, czy mam

przyjechać. Możemy posiedzieć dzisiaj w ogrodzie.

Kiedy Leszek wychodził, przypomniałam sobie, że straciłam telefon, więc wybiegłam za nim.

– A jak mam dać znać, kiedy nie mam jak zadzwonić? – rzuciłam.

Odwrócił się z tym swoim czarującym uśmiechem i uwodzicielskim spojrzeniem.

– Jakimś pozatelefonicznym sposobem. Może wystawisz doniczkę za okno albo rozpalisz ognisko w ogrodzie? – roześmiał się, a potem dodał: – Przyjadę o północy. Najwyżej mnie pogonisz.

Odjechał, a mnie coś zatrzymało w miejscu. Jakaś nie do końca sprecyzowana myśl. Gapiłam się na bramę wjazdową i wiśniowego malucha mojej mamy. Znaki poza telefonem, które zapewnią kontakt bez namierzania telefonu, rozmów, wiadomości, e-maili. Już wiedziałam, co powinnam dalej robić. Wpadłam do pokoju mamunek. Chrapały zgodnym rytmem. Przynajmniej w takim stanie się zgadzały. Na stoliku nocnym Marzeny stała do połowy opróżniona butelka wina. Kusilo mnie, aby spróbować, czy to nie wino Maurycy, ale postanowiłam pozostawić sprawę swojemu biegowi. Pamiętam Maurycę i jednego mogłam być pewna: nikomu nie zrobiłaby krzywdy. Zwariowana, wesoła i dobra kobieta nie wyprodukowałaby niczego, co pozbawiałoby bliźnich zdrowia, albo i życia. Po cichu zamknęłam drzwi sypialni mamunek, potem dom i poszłam do sąsiada.

\* \* \*

Siedzieliśmy w ogrodzie i próbowaliśmy skupić myśli, podsumować ostatnie wydarzenia. Dwa domki dalej na ogrodzie impreza trwała w najlepsze, a nawet przybierała na intensywności głosów, śmiechów i muzyki.

– Coś mi tutaj nie pasuje... – powiedziałam, mając na myśli dziwne zachowanie Natalii ze zniczami, o którym mi jeszcze raz powiedział Łukasz.

Zanim rozpoczęła się impreza u sąsiadów, zdążyłam też opowiedzieć, co się wydarzyło po wysłaniu pinezki. Przed przyjacielem nie zamierzałam ukrywać rozmowy z komisarzem. Zacytowałam słowa Sylwestra Kluczyka, które uruchomiły mi alarm w głowie i wspomnienie opowieści Grigorija o Natalii, która biegnie na cmentarz z różnymi kolorami zniczy: „Ktoś z kręgu waszych podejrzanych, który pokrywa się z moim, zna mordercę”.

– A co, jeśli Natalia zna mordercę i go ukrywa? Wie, że wciąż namierzają telefony i całą elektronikę, więc tymi kolorami zniczy kontaktuje się z nim? Gdzie in-

dziej, jak nie na cmentarzu, można się spotkać bez podejrzeń, podsłuchów i kamer? – zadawałam pytania.

– Á propos telefonów! Mam dla ciebie tymczasowo swój stary telefon. – Sięgnął do kieszeni i podał mi smartfon. – Bez tego ani rusz, zanim nie kupisz sobie nowego. Przełóż sobie swoją kartę i podładuj.

– Dzięki! – odparłam z radością, że o mnie pomyślał.

– A wracając do tematu... Wtedy w autobusie Natalia też miała znicze – przypomniał Łukasz. – Tak powiedziała Marzena. Może spotkała tam wtedy mordercę...

– Przypadek i zbiegi okoliczności rządzą światem – podsumowałam filozoficznie i zamyśliłam się.

Grigorij uśmiechał się, również pogrążony we własnych myślach.

I nagle przecięły ryk, prawdopodobnie męskiego śmiechu sprawił, że podskoczyłam w przestkach. Łukasz roześmiał się i nawet coś chciał powiedzieć, lecz tym razem muzyka została podgłośniona do maksimum. *Oczy zielone* rozbrzmiały na całe osiedle, nie wyłączając okolicznych wiosek. I żeby śpiewał tylko Zenon Martyniuk, to na upartego dałoby się wytrzymać, lecz dołączyły do jego wokalu ambitne głosy naszych rozbawionych sąsiadów. Niektórzy ewidentnie nie nadążali za oryginałem, ale dawali z siebie maksimum, jeśli chodzi o decybele.

Złapałam się za uszy, a mój przyjacielo-sąsiad śmiał się w głos. Niestety, ale nie podzielałam tej wesołości.

– Może wejdziemy do domu?! – wykrzyczałam w jego stronę, choć byłam pewna, że mnie nie słyszy, lecz czyta z ruchu warg.

– Mam lepszy pomysł! – wrzasnęła. – Idź do siebie, przygotuj dobrą kolację, a ja zaraz wrócę!

Zerwał się z krzesła i wbiegł do domu, by po chwili, ściskając dwie butelki wódki, ruszyć z szelmowskim uśmiechem w stronę wszechpanującej muzyki i zwierzęcych porykiwań.

Jakieś dziesięć utworów disco polo później Grigorij pojawił się w drzwiach, przytrzymując futrynę drzwi do kuchni. Mętym wzrokiem obrzucił moją postać przy kuchennym blacie i bełkotliwie wyznał:

– Załatwione!

Przewidując podsunęłam mu krzesło, na które opadł natychmiast. Opadając nieposłusznie głowę oparł o ścianę. Tym razem ja się roześmiałam. Rzeczywi-

ście, od strony naszych rozrywkowych sąsiadów nie słyszałam żadnych hałasów. Zupełna, zaskakująca i błoga cisza!

– Bez urznięcia się w trupa nie dało się ich uciszyć? – zagadnęłam, nie mogąc powstrzymać rozbawienia. Szczególnie że nigdy nie widziałam Grigorija tak pijanego. Tymczasem gibał się niepewnie na moim krześle, starając się opanować ze wszystkich sił bezlitosną grawitację i ewidentny stan upojenia alkoholowego.

– Zastosowałam taką argumentację! – rzekł podniesionym głosem i udawanie poważnym tonem. – Niestety... – Tu uniósł w górę palec wskazujący i wydał z siebie potężne beknięcie. – Ups! Przepra... szam!

Usiadłam za stołem i ze szczerym rozbawieniem obserwowałam swojego przyjaciela.

– Czyli towarzystwo odporne na rozsądną argumentację? – powróciłam do przerwane go wątku.

Podsunałam talerz spaghetti w stronę Łukasza, ale obrzucił potrawę takim pełnym pogardy spojrzeniem, że się wycofałam z mojej propozycji kulinarnej. Dla wzmocnienia niechęci zasłonił sobie demonstracyjnie usta dłonią i wywrócił oczyma. Normalnie miałam prawo się poczuć urażona, ale to nie była normalna sytuacja i to nie był normalny stan Grigorija.

– Wybacz, ale nic już nie przełknę! – wykrzyczał z pretensją. – Nażarłem się ogórków kiszonych, bo... gdzieś słyszałem, że dobrze działają przy... – Tu wystąpił mu na twarzy grymas, który mógł być mieszaniną obrzydzenia i niedowierzania. – Piciu! A oni tam tych ogórków mają na kopy, chyba jeszcze poniemieckie też!

– Wybacz, ale możesz mówić ciszej? – wtrąciłam.

– Tak! – ryknął, aż bębniaki w uszach mi omal nie eksplodowały. – Mogę wszystko!

– Jezuuuu! – jęknęłam, mimowolnie zatykając sobie uszy.

– No, nie potrafię! Coś mi po tych ogórkach się stało! – wykrzyczał, ale z przepraszącą miną.

– Chyba po alkoholu! Ileś ty wypił?! – wykrzyczałam z zatkanymi uszami.

– Nie wiem! Ale oni wypili więcej! I posnęli jak dzieci! A ja tymczasem! Wszystko wyłączyłem! Zgodnie z planem! Dwie flaszki na to poszły! – wykrzyknął ostatnie zdanie na stojąco i z uniesioną ku sufitowi dłonią. Od razu skojarzył mi się z niepokonanym wodzem, który właśnie ogłasza narodowi swoje kolejne zwycięstwo. Brakowało orkiestry, wrzawy rozradowanego tłumu, gorących oklasków i czerwonego dywanu.



– Jak ty jutro będziesz się czuł? – zmartwiłam się, choć zabrzmiało to jak pretensja.

– Nieważne! Dam radę! Tylko tymi ogórkami mi się tak dziwnie odbija!

Tu nastąpiło ponownie głośne i efektowne beknięcie.

– Przepraszam! No samo wychodzi jakoś! – wykrzyczał, bezradnie rozkładając ręce. – Nie masz czegoś słodkiego?!

– Gdybyś nie był facetem, to pomyślałabym, że jesteś w ciąży – odparłam rozbawiona. – Najpierw kwaśne, potem słodkie...

– Masz?! – ryknął, domykając pytanie beknięciem. – Dla zneutralizowania tych okropnych ogórków!!!

– Rany boskie! Co tutaj się wyprawia? Czemu tak ryczycie po nocy?! – to dla odmiany wykrzyczała moja teściowa, która niczym zjawę z horrorów pojawiła się w powłóczystej białej szacie i z rozczochranymi tlenionymi włosami, ale w pełnym makijażu.

Jako że stała za Grigorijem, więc, aby dojrzeć nowego uczestnika naszych rozmów, musiał się obrócić. Uczynił to dość gwałtownie, co przypłacił upadkiem, bo nogi mu się poplątały w półobrocie. Jednak gdy podniósł wzrok na ową zjawę, chciał wydać okrzyk przerażenia, lecz wyszło mu tak hałaśliwe i efektowne beknięcie, że moja teściowa poczuła prawdziwy wiatr we włosach.

– Rany boskie! – złapała się za głowę i cofnęła w głąb korytarza. – Coś ty żarł?!

– Gdybym powiedział i tak by pani nie uwierzyła! – ryknął. – Ale za to zapewnięm spokój na naszym osiedlu!

Od razu zapalił się do wyjaśniania, jak to poskromił hałaśliwych sąsiadów i ich gości. Nie mogłam do tego dopuścić. Czułam się potwornie zmęczona, a czekało mnie jeszcze spotkanie z Leszkiem. Zatem wzięłam dosłownie sprawy w swoje ręce i wyprowadziłam, pomimo protestów ze strony Grigorija i teściowej, mówcę bohatera osiedla. Tuż za swoim progiem samodzielnie dotarł do łóżka, na które opadł bezwładnie i pożegnał mnie głośnym... pierdnięciem.

Parsknęłam śmiechem i spokojnie wróciłam do siebie. Na szczęście mamunki spały snem sprawiedliwych, acz bardzo głośnym, więc mogłam jeszcze porozmawiać, zanim nadejdzie północ.

## 36. Być jak Rocky?

Najwyraźniej myślenie mi nie służy albo zwyczajnie nuży, bowiem zupełnie niespodziewanie przysnęłam na huśtawce w ogrodzie. Kolejny raz omal nie przespałam randki. Na szczęście Leszek wyszedł z inicjatywą, aczkolwiek nie wyszło mu to na dobre. Owszem, zjawił się o północy i nie doczekawszy się mnie, wszedł do ogrodu. Od razu wypatrzył, a może bardziej usłyszał chrapanie śpiącej królowny, więc zakradł się, by pocałunkiem, niczym w bajce, obudzić. Pocałunek i w moim przypadku okazał się skuteczny, ale dalej sytuacja pogalopowała w niebajkowym kierunku. Niespodziewanie wyrwana ze snu, w przestkach, zerwałam się do postawy na baczność. Wciąż nachylony nade mną Leszek otrzymał potężny cios moją głową w swoją szczękę. Z jękiem zatoczył się do tyłu na płot sąsiada i chyba przeklinał. Bardziej mogłam się domyślić, bo z bólu bełkotał wściekle i niewyraźnie. Poza tym serce mi waliło strasznie i zagłuszało wszelkie odgłosy, a w słabym świetle latarni z ulicy, które wpadało mi do ogrodu, niewiele widziałam. Udało mi się otrząsnąć z szoku i ostrożnie podeszłam bliżej, aby ocenić szkody, jakie wyrządziłam. Czoło mnie bolało i chyba ugryzłam się też lekko w język podczas uderzenia, bo czułam metaliczny smak w ustach. Leszek powoli, wspierając się na sztachecie płotu, podnosił się z trawy. Obficie krwawił z nosa i usiłował dłonią zatamować krew, która już paskudnie zaplamiała koszulę. Niewiele myśląc, błyskawicznie ściągnęłam koszulkę i podałam Leszkowi. Przyłożył do twarzy, lekko się krzywiąc, co dostrzegłam nawet z dala od latarni. Od razu pomyślałam, że nie był to dobry pomysł, żeby podsunąć ledwie poznanemu facetowi swoją być może przepoconą koszulkę. W sumie pomysł sikania do znicza również nie plasował się na najwyższych pozycjach. Trudno. Na szczęście nie była to służbowa koszulka po całym dniu pracy.

– Chodźmy do domu – zaproponowałam ostrożnie.

W jasnym świetle łazienki okazało się, że trafiłam w nos, ale na szczęście go nie zламаłam. Leszek odzyskał dobry humor. Jednym pociągnięciem zdjął poplamioną koszulę, a ja odkręciłam zimną wodę, z trudem skupiając się na kranie. Obok mnie stał mężczyzna, który nie unikał siłowni! Ta zimna woda potrzebna była bardziej mnie niż koszuli, ale zabrałam się ostro za przepierkę.

– Dobrze, że wycieczka na SOR nie będzie konieczna – odrzekł z uśmiechem, na szczęście kompletnym. Ze zgrozą pomyślałam o stratach w uzębieniu, na odrobienie których musiałabym nie mieć zmywarki ani prakki przez dwa lata co najmniej.

Rozwiesiłam koszulę. Leszek skorzystał z wolnej umywalki, aby opłukać twarz zimną wodą, a ja poczłapałam po jakieś mrożonki dla mnie na głowę i jemu na nos. Wygrzebałam dwie mieszanki warzywne i wróciłam do łazienki.

– Chcesz włoską czy chińską? – spytałam, przyglądając się kolorowym opakowaniom.

– Lodowatą! – zaznaczył.

Podaliśmy mu włoską i po chwili staliśmy naprzeciw siebie z opakowaniami mrożonek na twarzach. Nie ma to jak udana, oryginalna randka!

– Chodźmy do salonu – zasugerowałam po chwili straszego milczenia i wyszłam z łazienki.

Mijaliśmy drzwi wejściowe, gdy Leszek się zatrzymał w bladym świetle holu.

– Poczekaj, mam kawę i hot-dogi w samochodzie – przypomniał sobie i prawie zrobił w tył zwrot, lecz go powstrzymałam.

– Daj spokój! Podarujmy sobie dzisiejszą romantyczną kolację. Od tych hot-dogów tyłek mi już rośnie! – wtrąciłam żartobliwie i podreptałam do salonu.

Po chwili zorientowałam się, że dotarłam tu samotnie. Odwróciłam się, lecz Leszek tkwił w holu i intensywnie wpatrywał się w... mój zadek. W dodatku nie kryjąc oszołomienia! Nawet spod mojej mrożonki dostrzegłam, że chyba doznał jakiegoś szoku. „Mieszanka włoska pomieszała mu w głowie?” – przeleciało mi głupawo przez myśl. Leszek, najwyraźniej mocno grzmotnięty widokiem, wypuścił z rąk swoją mrożonkę, którą w ostatniej chwili pochwycił, kiedy pikowała w dół. Podeszedł bliżej i już patrząc mi w oczy, odezwał się dziwnym głosem.

– Przepraszam, że zapytam...

Niepokoilo mnie to dziwne spojrzenie. Można zrobić wrażenie na facecie, ale to akurat najwyraźniej nie zaliczało się do pozytywnych.

– Co się stało? – spytałam wreszcie, by przyspieszyć wypowiedź.

Leszek przełknął ślinę i zadał wreszcie swoje pytanie:

– Czy ty powiększałaś sobie pośladki?

– Co takiego?! – ryknęłam w słusznym oburzeniu i niedowierzaniu.

– Bo chyba ktoś spartaczył robotę... – kontynuował Leszek, robiąc coraz większe oczy, gdy się obróciłam bokiem. – Albo zapomniał, że masz dwa póldupki...

No, tego to już było aż nadto! Skandaliczne wypowiedzi Leszka musiały być natychmiastowo zweryfikowane. Wykonałam półobrót, by naocznie przekonać się, że... miał rację. Prawy pośladek dość śmiało napierał na materiał lnianych spodni i zdawał się rosnąć w oczach, zagrażając całości materiału.

– Co to? – jęknęłam przerażona.

– Nie wiem, ale wygląda na spartaczoną robotę chirurga plastycznego, w dodatku ślepego na jedno oko – odparł, nie przestając wpatrywać się w mój tyłek. Aczkolwiek z całą pewnością nie potwierdzałam, że jest mój. Ja takiego w życiu nie miałam!

– Przecież niczego takiego nie robiłam! – zaprotestowałam płaczliwie. – Rozumiesz?! Co to jest?

– Ściągaj spodnie! – zakomenderował Leszek. – Pokaż! Może coś cię ugryzło?

Posłusznie i energicznie starałam się ściągnąć spodnie, ale się przyblokowały na tym spuchniętym nieziemsko pośladku.

– Gdzie są nożyczki? Trzeba rozciąć materiał!

– W szufladzie komody. – Wskazałam dłonią miejsce. Leszek po chwili ostrożnie ciął nogawkę, ale w końcu zniecierpliwiony, jednym szarpnięciem rozerwał materiał aż do pasa.

– Jezusie kochany! – usłyszeliśmy od progu salonu. – Co tu się wyprawia?!

Myślę, że Mel Brooks albo Woody Allen, albo inny komediowy, uwielbiający parodie i absurdy reżyser z miejsca zaangażowałby nas do swych kolejnych produkcji. A scenę, jaką w tym momencie zatrzymaliśmy w kadrze, mimowolnie powstrzymując ruchy, przeniósłby żywcem do scenariusza. Otóż w progu salonu tłoczyły się moje dwie mamunki w zbyt zwiewnych i nazbyt kusych jak na emerytki koszulkach nocnych, z wyrazem przerażenia na wysmarowanych maseczkami twarzach. Na środku salonu klęczał przede mną Leszek z czerwonym nochem, pozbawiony koszuli, ale niezdrowo wpatrzony w mój wielki półdupek. No i jeszcze do tej przeświecanej grupy zaliczałam się ja, w staniku i z gołym, spuchniętym pośladkiem przed spuchniętym nosem Leszka. W sumie trudno określić wymiar owej sceny... Czy bardziej śmieszna, czy tragiczna? Mamunki zdecydowały, że raczej tragiczna, bo na przemian jęczały, w przerażeniu przyglądając się bliżej moim nienaturalnym kształtom poniżej pasa.

– Co się stało?! Coś ty sobie zrobiła? Ludzie! Jezusie! O rany! Trzeba jechać do szpitala, bo to rośnie! – padały okrzyki. – Coś musiało cię ugryźć! Nie czułaś?! Masz uczulenie! Możesz dostać wstrząsu!

W głowie mi się zaczęło kręcić od wodospadu słów i apokaliptycznych wizji, które mamunki wyrzucały z siebie niczym pociski z katuszy.

– Chyba jednak SOR jest nam przeznaczony – zawyrokował smutno Leszek. – Jedziemy. Możesz dostać wstrząsu, jeśli to uczulenie!

– Potraficie człowieka pocieszyć – prychnęłam niezadowolona, ale serce mi zaczęło przyspieszać ze strachu.

– Jedziemy! – zakomenderowała Bożenna. – Nie ma na co czekać!

– Możesz chodzić czy cię zanieść? – spytał przejęty Leszek.

No i tutaj trochę naciągnęłam sytuację, bowiem zrobiłam krok, udając, że sprawia mi przejmujący ból. Po prostu takich ramion się nie odmawia! Zwłaszcza pozbawionych koszuli!

A kiedy Leszek pochwycił mnie w owe ramiona, własny tyłek zszedł na plan dalszy i mógł sobie rosnąć do upojenia! Ze stanu błogości brutalnie wyrwał mnie mamunki, które zgodnie ruszyły za nami w swych peniuarach i maseczkach.

– Ejże! A wy dokąd?! – spytałam.

– Nie zostawię córki w takim stanie!

– A ja byłej synowej!

Leszek zatrzymał się w progu drzwi frontowych ze mną na rękach.

– Chyba nie macie zamiaru tak pojechać, strasząc wszystkich po drodze?! – zaprotestowałam.

Spojrzały na siebie zaskoczone, ale momentalnie pojęły, o co mam pretensje. Lotem błyskawicy pobiegły do łazienki i w mgnieniu oka zmyły maseczki. Kiedy Leszek ostrożnie kładł mnie na tylne siedzenie, mamunki dobiegły w stanie nadającym się do społecznej prezentacji, czyli bez maseczek, w adidasach, choć nadal w szlafrokach, ale tym razem bardziej maskujących. Przyglądając się temu, doszłam do wniosku, że robienie wrażenia na facetach na pewno jest tradycją rodzinną. Leszek też na chwilę zamarł, ale oprzytomniał i usadowił mamunki w samochodzie. Z przodu usiadła teściowa, z tyłu, podtrzymując moją głowę na kolanach, moja mama.

Myszę, że pracujący na SOR-ze niejedno w swej karierze zawodowej widzieli, doświadczyli i wysłuchali, by się uodpornić na przedziwne zjawiska i przypadki. A jednak wejście naszej czwórki wzbudziło niemałe zamieszanie. Szczęki do ziemi opadły wszystkim, nie wyłączając oczekujących na przyjęcie pacjentów. Wszyscy się rozstąpili niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem, przyklejając w przestraszu do ścian. Oto półnagi facet z wielkim, sinym, obitym nochałem szarżuje od wejścia, trzymając w ramionach półnagą kobietę z nienaturalnie wyeksponowanym pośladkiem i efektownym guzem na czole. Za nimi dobiegają dwie starsze panie w misiowych szlafrokach i adidasach, z rozwianym włosom

i bojowym okrzykiem, wprawiającym w drżenie cały szpital: „Ratunkuuuu! Pomocyyyy! Ratujcie moją córkę! Ratujcie moją synową!”. Zamknęłam oczy, modląc się o jakiś kataklizm, który pozostawi mnie samą na świecie. Niestety, kataklizmy rządzą się własnymi prawami i następują w najmniej oczekiwanych momentach. To nie był ten.

Chyba że za kataklizm można uznać pojawienie się tej samej pielęgniarki i tego samego lekarza, którzy ratowali mnie z mojej kosmetycznej przygody.

Na miejscu otrzymałam zastrzyk i chwilę trwało, zanim zaczął działać. Mamunki usnęły malowniczo w poczekalni, a pielęgniarka, wykorzystując chwilowe wyjście Leszka po kawę, odbyła ze mną krótką rozmowę, czy ja niczego nie eksperymentuję na sobie, byle tylko zadowolić męża? Usłyszałam również konspiracyjnym szeptem podaną prawdę, że żaden, nawet tak przystojny mężczyzna, nie jest wart naszego zdrowia i życia. Cóż... Tu mogłam polemizować, ale zgodziłam się z nią dla spokoju i powstrzymania dalszych rad. Tymczasem Leszek wrócił z dwoma kubkami kawy z automatu i obie mimowolnie westchnęłyśmy na jego widok. Taaaa...

Wracaliśmy dopiero nad ranem, totalnie zmęczeni i senni. Pośladek pozostał jeszcze nienaturalnie powiększony, ale dało się nań patrzeć bez zgrozy. By zakryć brak garderoby, otrzymałam szpitalne zielone spodnie, zdolne ukryć drużynę wojskową. Nie wybrzydzałam.

Pod domem zmęczone i śpiące mamunki pospiesznie wysiadły, nawet się nie oglądając, czy również wracam, pobiegły do swoich łóżek. Pozostaliśmy z Leszkiem sami. Senność mi odeszła, ale puściły nerwy i wybuchnęłam niespodziewanym płaczem.

– Czemu mi się wciąż coś pechowego przydarza?! Chciałam być jak Rocky, a jestem Frankiem Drebinem albo inspektorem Clouseau! – wyrzuciłam z siebie. – I nic się już z tym nie da zrobić!

Leszek gwałtownie podskoczył na siedzeniu i pacnął się dłonią w czoło, po czym wyskoczył z samochodu. Chyba spodziewałam się pocieszenia innego rodzaju... Tymczasem usłyszałam otwieranie się bagażnika i jakieś hałasy, jakby przewracane metalowe rzeczy i nawet pomyślałam, że doprowadzony do ostateczności Leszek wyciąga jakieś narzędzie zbrodni, by mnie zgładzić ostatecznie. Jak pech, to pech! Czemu nie?! Jedno jest pewne: mamunki w śledztwie w sprawie tego zabójstwa nie odpuszczą. Tylko czy to dla mnie jakieś pocieszenie?

Nie zdążyłam się porządnie zmartwić, gdy Leszek wrócił i na siedzeniu kierowcy postawił wielką torbę. Zapalił światło na podsufitce i włączył odtwarzacz

MP3. Z głośników popłynęła znana mi i wszystkim fanom muzyka z filmów o Rockym.

– Á propos Rocky’ego! Zupełnie zapomniałem, że to dla ciebie kupiłem! – oznajmił radośnie i niczym Święty Mikołaj z tajemniczym uśmiechem sięgnął do torby.

Po kolei w moje ręce trafiały następne przedmioty.

– Oto kubek z Rockym, abyś piła z nim kawę, poduszka, aby ci towarzyszył w sypialni podczas snu, ręcznik, aby towarzyszył w łazience, kubek termiczny, abyś zabierała go do pracy, koszulka, abyś go zawsze miała blisko siebie! Brakuje tylko tych wieprzowych tusz i rękawic bokserskich...

– Leszek... ale... – Patrzyłam na te wszystkie przedmioty całkowicie oszołomiona. – Nie wiem, co mam powiedzieć...

– Mam nadzieję, że poprzestaniesz na „dziękuję”, a nie roztrzaskasz mi twarzę jak Rocky właśnie – roześmiał się tak zaraźliwie, że dołączyłam do niego. Nasz głośny śmiech o poranku niósł się po pogrążonych jeszcze we śnie uliczkach osiedla.

A potem... Cóż... Aby nie zakłócać trwającej jeszcze ciszy nocnej, pojechaliśmy nad Kaczawę i tutaj przekonałam się, że Leszek nie ma paranoicznego stosunku do swojego samochodu. A mnie strasznie poniosła niegrzeczność.

## 37. Musztarda przed czy po obiedzie?

„Kiedy się pracuje, wolne soboty mają w sobie coś magicznego” – myślałam, nie spiesząc się z powrotem do domu. Pośpiech traci na znaczeniu. Wszystko wokół nabiera wyrazistości. Zupełnie jakbym przez cały tydzień siedziała w pędzącym pociągu, a krajobraz i ludzie mijali za szybą w charakterze rozmazanych poziomych linii. Dopiero w weekend świat przestaje tak szaleńczo pędzić i Ziemia zatrzymuje się w półobrocie. Wcześniej, zanim poszłam do pracy, wiodąc żywot gospodyni domowej, sobota i niedziela były dla mnie kolejnymi powszednimi dniami. A teraz? No, a dzisiaj?!

Wokół panował taki spokój, ale nie cisza, bowiem ptaki już wesoło się krzątały, radośnie podśpiewując. Słońce już dawno wstało i stopniowo, powoli podgrzewało świat do wysokich temperatur. Wygodnie usadowiłam się na huśtawce, ząpominając, że gdzieś tu może się czaić kolejny owadzi wróg, który tylko czeka, by mi zniekształcić figurę. Cóż, w sumie nie mogę mieć za złe przyrodzie. Może powinnam nadstawić drugi pośladek? Czasem trzeba dostać kopniaka w tyłek, aby popchnąć sprawę do przodu. Obok huśtawki postawiłam swoją torbę podarunków. Jeden z nich w postaci koszulki z Rockym nosiłam już na sobie. Oczywiście, do gustownych zielonych spodni szpitalnych. Roześmiałam się na wspomnienie mego niespodziewanego szaleństwa i rozmarzyłam się.

– No wreszcie! – powitała mnie naburmuszona mama, gdy w końcu zdecydowałam się wejść do domu z zamiarem spania do południa. – Gdzieś ty była?! – Zupełnie jakbym się przeniosła w czasie o dwadzieścia parę lat i spóźniona o pięć minut po ustalonej godzinie zjawiła się w rodzinnym domu.

W progu Bożennie towarzyszyła Marzena, ale z mniej stanowczą miną. Uśmiechnęłam się. Zdażyły się przebrać, a w całym domu pachniało jajecznicą i arachidowym szamponem.

– Bzyknęłaś się! – wykrzyknęła niespodziewanie i radośnie Marzena.

Bożenna obróciła się, by zmierzyć moją teściową karcącym spojrzeniem.

– No chyba nie myślisz, że wróci do twojego synalka! – prychnęła. – *To se ne wrati!* To już musztarda po obiedzie!

– Nawet tak nie pomyślałam – odpowiedziała Marzena, wzruszając ramionami i prześwietlając mnie wzrokiem. – Strasznie mi się ten Leszek podoba,



Krzysiu. No i teraz to raczej musztarda przed obiadem – dodała wesoło, puszczając w moją stronę oko.

Naprawdę się zaczerwieniłam, ale również roześmiałam. Marzena poszła do kuchni, a my za nią. Bożenna prychnęła niezadowolona.

– Też coś! Podoba się jej Leszek! Tylko czasem nie bierz się za odbijanie! – ostrzegła moja mama, po belfersku grożąc palcem wskazującym. – Dosyć masz swoich gachów!

– Bożenko, przestań zazdrościć i sama się umawiaj na randki! – rzuciła moja teściowa obrócona tyłem do nas, a przodem do kuchenki. – To odmładza, uszczęśliwia i...

– Tylko nie kończ! – przerwała moja mama. – Zaraz zadzwonię do Romana i niechaj cię siłą zabiera z powrotem do domu! Kto mu tam teraz gotuje, prasuje, sprząta?

Usiadłam za stołem i oparłam łokcie na blacie, a brodę na dłoniach, by z ogromnym zadowoleniem przyglądać się moim spierającym się na nowo mamunkom. Tuż przede mną Marzena postawiła talerz parującej aromatycznej jajecznicy i sałatkę grecką oraz grzanki. Czy naprawdę chcę, aby się wyprowadzały?

– Nie wierzę! – obruszyła się teściowa i również usiadła do stołu. – I to mówi wyzwolona Bożenna Pawełek! Mnie chce wcisnąć w chomąto! Poza tym Roman się do mnie nie odzywa od czasu swoich nieszczęsnych imienin. A jak dostanie rachunek za autobus, to pewnie złoży pozew o rozwód.

– Czarne *chmury* już nie nadciągną – wtrąciłam wesoło.

– Oby dla żadnej z nas – wypowiedziała życzenie Bożenna i też się uśmiechnęła. Naprawdę wspaniała odmiana od zawsze wrogo zaciśniętych ust i podejrzliwego spojrzenia nauczycielki niedowierzającej w przygotowanie uczniów do sprawdzianu.

W sam środek sielskiej atmosfery rodzinnej wpadł zziązany Łukasz. Bez pytania dopadł do lodówki i złapał pęto kielbasy, ugryzł i usiadł na czwartym krześle przy stole.

– Potrzebuję wina Maurycy! – rzucił, żując kawał podwawelskiej.

– Oszalałeś?! – ryknęłam oburzona. – Kogo chcesz otruć?!

– A ty skąd masz takie spodnie? – spytał znienacka, zauważywszy moje szpitalne wdzianko. – O, i nowa koszulka!

– Coś ją w tyłek użarło – poinformowała moja mama, zbierając nasze brudne talerze. – Chcesz jajecznicy?

– O tak! – ochoczo zgodził się Grigorij i z zadowoleniem zatarł dłonie wolne już od pochłoniętej błyskawicznie kiełbasy.

– Zaraz zrobię. – Podniosła się Marzena, ale Bożenna powstrzymała ją, kładąc dłoń na jej ramieniu.

– Ja zrobię tym razem! – zakomunikowała i po chwili dyskretnie pociągnęła nosem: – Czujecie, że coś tu śmierdzi?

Rzeczywiście, coś śmierdziało bardzo brzydko i przyszło z sąsiadem. Czyżby się nie mył? A może to z lodówki doleciało, gdy ją otworzył?

– Użarło? I co? Byłaś w szpitalu? – zachłannie interesował się Łukasz, mniej wrażliwy na zapachy.

Marzena skwapliwie streściła mu wczorajszą noc i poranek na SOR-ze.

– No właśnie! – wykrzyknął na koniec. – Szerszeń cię użarł i masz szczęście, że żyjesz! Zaległy się u mnie na strychu!

– Jezu! To trzeba straż pożarną wzywać! Za tydzień wracają dziewczynki! – panikowała moja mama, porzucając przygotowywanie jajecznicy i na powrót sadowiąc się przy stole.

Marzena wyrwała oczyma i zastąpiła ją przy kuchence. Teraz i ona pociągnęła nosem, by natychmiast skrzywić się z obrzydzeniem. Obwąchała swoje ręce, a potem jajka na patelni. Sądząc po jej minie, nie stanowiły źródła nieznanego smrodu.

– E, tam! – Machnął bagatelizująco dłonią Łukasz. – Zaraz straż! Straszny wypadek, karambol jest na autostradzie, to mają co chłopaki robić! Mam lepszy pomysł i dlatego tutaj przyszedłem. Wleję im tam wina Maurycy! Pochleją, prześpią dobę, a ja je wywiozę busem do lasu!

– Chyba się przyzgam – stwierdziłam, zatykając sobie nos.

– Dam radę! – zapewnił Grigorij, poprawiając sobie włosy opadające na oczy. – Tylko potrzebuję tego wina!

– Mnie też jest niedobrze – przyznała moja mama z wyraźnym obrzydzeniem. – Co tu tak śmierdzi? Te jajka zbuki jakies?

– Jajka świeże – zapewniła teściowa i podała jajecznicę Łukaszowi. – Pójdę po wino.

– To my je jeszcze mamy? – spytałam, wychodząc z kuchni za Marzeną. Jeszcze chwila i oddam zjedzone z apetytem śniadanie wprost na podłogę.

– Jedz, chłopcze, ja też poszukam tego wina – usłyszałyśmy za plecami i po chwili dołączyła do nas Bożenna. Wszystkie zamknęłyśmy się w pokoju mamunek.

– Co mu się stało, że się nie myje? – spytała wprost moja mama, podczas gdy Marzena przeszukiwała szafę.

Wzruszyłam ramionami.

– Może się jednak tą Natalią przejął? Może kłopoty w pracy? A może...? – podsuwała hipotezy Bożenna, podchodząc do otwartego okna i z lubością wciągając świeże letnie powietrze.

Marzena triumfująco zaprezentowała nam przed oczyma butelkę wina Maurycy.

– W gównno wlał – odpowiedziała beztrąsko.

– Co takiego?!

– Zobaczyłam, że ma na podeszwie buta przyklejone liście i coś jeszcze... Damy mu wino i się go pozbądźmy, zanim nam zasmrodzi dom! – postanowiła, wychodząc z pokoju.

– Gównno to na szczęście! – przypomniała sobie moja mama.

– Dla jednych szczęście, a dla drugich porządne sprzątanie – podsumowałam i też wróciłyśmy do kuchni.

\* \* \*

Minął tydzień równie intensywny w pracy, jak i w życiu prywatnym. Dziewczynki dzwoniły częściej i jak się okazało, nie bezinteresownie. Waldemar postanowił przedłużyć pobyt w Chorwacji o tydzień. Tym razem wybierali się na zachodnie wybrzeże i moje bliźniaczki szczebiotały coś o wyprawie do Triestu, a może i do Wenecji. Podział majątku jeszcze nie nastąpił, ale aby Waldemara nie było stać na rozpieszczanie moich córek i denerwowanie mnie takimi kosztownymi gestami, postanowiłam oskubać go z kasy! I zmywarki, i pralki mu nie podaruję! Osobiście mi przywiezie je z powrotem i wtaszczy bez wyręczania się tragarzami! Ogarnęła mnie złość, zazdrość i chęć zemsty! Oczywiście z tęsknoty za córkami.

Na szczęście, gdy spotykałam się z Leszkiem, Waldemar i jego rozszarpane zwłoki ułożone na palce znikwały błyskawicznie. Dzisiaj na zakończenie weekendu cieszyłam się szczególnie, bo Leszek zapowiedział, że skończy pracę wcześniej, by mnie zabrać w jedno mało romantyczne miejsce. Tak intensywnie o tym myślałam, że co chwilę przegapiałam swoje paczki na rolkach, co od razu zauważył stojący na końcu Mateusz:

– Ejże, śpiąca królewno! – krzyknął w moją stronę, skupiając na sobie nie tylko moje spojrzenie. – Zmieniłaś rejon?

– Dlaczego? – spytałam zdezorientowana.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem i przerwali pracę, z czego skwapliwie skorzystał Grzesiek, sięgając po telefon i od razu nawiązując kontakt przez komunikatory.

– Nieprzytomna czy niewyspana? – dopytywał Albert, świdrując mnie wielkimi oczyma.

– Zakochana! – wydał mnie bezczelnie Grigorij.

Wokół rozległo się wycie kilku męskich głosów jednocześnie. „Uuuuuu” wypełniło echem cały magazyn. A mnie znów zdradziło moje ciało i poczerwieniałam od włosów po czubki palców u nóg.

– To tak jak nasz Bączek – westchnęła Brygida. – Mam nadzieję, siostrzo, że nie w naszym kierowniku, bo będę cię musiała zabić.

– Broń Boże! – zaprotestowałam przesadnie.

– Skąd wiesz, że się zakochał? – zainteresował się Boguś.

– Nie słyszysz, jak w jego biurze wyje Michael Jackson The way you make me feel? Chyba w pętli – wyjaśniła Brygida.

– A co to oznacza? – dopytywał się Andrzej ze zmartwioną miną.

– Dla nas? Nie wiem – odpowiedziała ze wzruszeniem ramion. – Ale dla zaparzonej w niego pani Joli chyba złamane serce...

Tymczasem Grzesiek włączył na swoim telefonie inną piosenkę Michaela Jacksona Give in to me i poinformował mrukliwie:

– Tę puszcza znacznie częściej.

– Sorki, ale nie rozumiem, o czym wy tutaj mówicie? Chyba jestem za stary – zdenerwował się Andrzej. – To jakiś szyfr?

– Do tej pory Bączek słuchał piosenek Michaela o tym, jaki to świat jest popaprany, politycy i takie tam o ziemi, ginących gatunkach. I nagle trach! Same romantyczne teksty. „Ulegnij mi”, tak w wolnym tłumaczeniu, czy „Zwalasz mnie z nóg, ślicznotko..., przygotowiesz o dreszcze, jak chodzisz na obcasach” czy jakoś tam – wyjaśniła Brygida osobom nieznanym angielskiego. – I lepiej wracajmy do paczek, bo jak nam się tutaj zjawi i zacznie wyć albo tańczyć, to nie wyjeździemy do wieczora.

– Rany! – jęknął Boguś. – I tak śnią mi się po nocach koszmary związane z tym tańcem z Thrillera.

– Nie tylko tobie... – westchnął Ząbek. – Mam nadzieję, że jak Jolka ma złamane serce, to odpuści nam tę niespodziankę.

Nikt nie odpowiedział. Wszyscy zgodnie zabraliśmy się do pracy, a Grzesiek wyłączył tło muzyczne, aby również nie przyciągnęło na magazyn kierownika ani Joli.

Tuż za bramą wyjazdową bazy odezwał się mój telefon. Zjechałam na pobocze i ku memu zaskoczeniu, wyświetlał się Sylwester Kluczyk. Odebrałam, pełna złych przeczuć.

– Dzień dobry. Znów łapię panią, gdy wyjeżdża pani z bazy... – usłyszałam i od razu z niepokojem rozejrzałam się wokół, czy gdzieś nie stoi w pobliżu, by prowadzić obserwację.

– Dzień dobry, jeżeli znów chce mnie pan wyciągnąć na spacer na odludzie, to już musztarda po obiedzie – odpowiedziałam z uśmiechem satysfakcji. – Mogę zostawić w podejrzanej okolicy samochodu załadowanego paczkami.

Komisarz roześmiał się głośno.

– A pani rejon kurierski, to nie jest podejrzana okolica? Dobrze, że nie zna pani statystyk policyjnych... – stwierdził i dodał poważnie: – Najdalej wczoraj jakiś złodziej zaatakował tam nożem policjanta.

– Przykro mi – odpowiedziałam szczerze. – Jednak nie mam wyjścia i nie wszyscy są przestępcami. A paczki muszą być doręczone. I dzwoni pan do mnie, aby mnie powstrzymać?

– Nie. Oczywiście, że nie. Chciałbym przyjechać do pań. Zamykamy sprawę Stanisława Migotki – rzucił, a mnie zaparło dech z wrażenia. – Może być dzisiaj wieczorem?

– Kto jest mordercą?! Wiecie już?

– Hmm... Tutaj zamilknę, by utrzymać napięcie. To jak?

– Zaraz oddzwonię do pana – odpowiedziałam i rozłączyłam się.

Oto stanęłam przed nie lada wyborem. Niczym słynny osiołek z bajki Aleksandra Fredry albo jak przed ostatnim pytaniem za milion, gdzie zostały tylko dwie decydujące odpowiedzi. A Hubert Urbański spokojnie pyta: Krzysztofo, jaka jest twoja ostateczna odpowiedź: nieromantyczna randka z Leszkiem czy zakończenie śledztwa mamunek? Dokonałam wyboru – ostatecznie dzwoniąc do Leszka, a potem definitywnie oddzwaniając do komisarza.

## 38. Mamy to!

Wracając do domu, czułam się niezwykle lekko. Delektowałam się wizją pakujących się mamunek, a potem projekcją, jak wspólnie z Grigorijem albo Leszkiem pomagamy im przenieść wielkie walizki do taksówek. Już radowałam się tym rozstaniem, zapewne jednostronnie łzawym, pełnym pytań, czy na pewno? czy jeszcze mogą zostać? A ja spokojnie odpowiadam, że przecież się umawialiśmy. Marzyłam dalej o tym, jak słyszę trzask drzwiczek taksówek i pisk opon, gdy gwałtownie ruszają, a ja wchodzę niespiesznie do pustego domu i z rozkoszą napawam się ciszą i nieobecnością mamunek. Potem mogłam tylko się już cieszyć spotkaniami z Leszkiem i swoim odzyskanym życiem. Nowym życiem i nową sobą!

Tak mnie te projekcje pochłonęły, że omal nie przejechałam na czerwonym świetle na skrzyżowaniu Nowodworskiej z Jaworzyńską. Wówczas oprzytomniałam i już bez emocji dotarłam na swoją ulicę. W domu panowała atmosfera podniecenia. Wiadomo, wszystkie chciałyśmy wiedzieć wszystko. Tygodnie pracy śledczej miały być wreszcie zwieńczone sukcesem. No, może nie do końca naszym prywatnym, jednak finał był pozytywnie wyczekiwany. Ponadto dawało się wyczuć coś smacznego do konsumpcji. Dlatego błyskawicznie się przebrałam, wzięłam wymarzony przez cały dzień prysznic i zesłam na dół bez zbędnej zwłoki. Oczywiście czekał na mnie pyszny obiad z dwóch dań w postaci ogórkowej i zrazików wołowych w sosie z kluskami śląskimi. Z żalem pomyślałam o odchodzących na zawsze wspaniałych obiadkach Marzeny, ale błyskawicznie się zdyscyplinowałam, by nie pękać i być jak Rocky. Do przodu, niezłomnie do celu, wbrew przeciwnościom! Na wszelki wypadek, by wzmocnić się w postanowieniach, założyłam koszulkę z Rockym i postawiłam na stole kubek, również z jego wizerunkiem.

Sylwester Kluczyk zjawił się w chwili, gdy kończyłam wylizywać swój talerz.

– Dzień dobry – powitał nas z uśmiechem, wyciągnął butelkę wina i postawił na stół. – To od ojca. Podobno był winien butelkę czerwonego wina. Kazał kupić najlepsze francuskie, więc proszę bardzo.

– Proszę podziękować w naszym imieniu, ale aż takiego żalu nie mamy – odpowiedziała zarumieniona Marzena.

Bożenna wzruszyła ramionami, powstrzymując się od komentarzy. Wszystkie czekałyśmy w podnieceniu, aby wreszcie dowiedzieć się, kto zabił Staszka Migotkę. Zaprosiłyśmy komisarza do salonu, nawet nie proponując nic do picia. I tu wreszcie opowiedział nam, co i jak nastąpiło w ostatnich tygodniach.

\* \* \*

Otóż Stanisław Migotka prezentował w życiu jakby dwie twarze i potrafił się świetnie maskować. Na zewnątrz wspaniały facet, filantrop, dusza człowiek, ale kobiet, mówiąc w skrócie, nie szanował. Świetnie zamaskowany szowinista. Szczególnie dla swojej najbliższej rodziny. A i Malwina, która zapatrzona była w swego szefa jak w obrazek, nie miała z nim lekko. Przy obcych nie okazywał jej negatywnych emocji, ale gdy tylko byli sami...

Dwudziesty pierwszy wiek wcale nie przeszkadzał Staszкови w pielęgnowaniu dziewiętnastowiecznych przekonań o miejscu kobiety i kojarzonych małżeństwach dzieci, które traktowało się jako trampolinę do lepszego życia, intratnych kontraktów czy podwyższenia swego statusu majątkowego. Wymyślił sobie, że Melania wyjdzie za mąż za jednego z jego znajomych, bogatego Pavlo z Niemiec, właściciela sieci restauracji w Dreźnie i taką też otworzą wspólnie w Legnicy wraz z hotelem. Starsza córka nie sprzeciwiała się absolutnie, skupiona na sobie, zajęta swoją influencerską działalnością. Marząc o karierze piosenkarki, wyszłaby za mąż i nawet tego nie odnotowała. Pavlo widziała kilka razy i choć wcale się nie podobał kobietom, to Melanię ujął spełnianiem jej zakupowych marzeń i wynajęciem studia, gdzie mogła nagrywać swoje piosenki. Nieważne, że była pozbawiona talentu. W końcu „śpiewać każdy może”.

Problem dla Staszka stanowiła Natalia. Od małego buntowała się i sprzeciwiała rodzicom. Roksana odpuszczała sobie awantury, kary czy nawet upominanie. Po pierwsze to nie było jej dziecko. Po drugie z satysfakcją obserwowała, jak Staszek się piekli, jak bywa bezradny i bezsilny wobec młodszej córki. Roksana tak nie potrafiła, choć traktował ją coraz gorzej. Natalia dobrze się uczyła i posiadała plany kontynuowania nauki na studiach, ale Staszek nie wyobrażał sobie, że córka mu się wymknie, że straci nad nią całkowitą kontrolę. Wymyślił małżeństwo ze swoim współnikiem – Tymonem, który właśnie odziedziczył po rodzicach potężną firmę ochroniarsko-sprzątającą w Krakowie. Mógł przywiązać do siebie współnika i zatrzymać córkę w domu.

– Niezbadane są ścieżki myślenia chorych umysłów... – wtrąciła w zamyśleniu moja mama i wszyscy zgodnie pokiwaliśmy głowami.

Tymon Kapusta jako kandydat na męża posiadał dla Natalii jedną zasadniczą wadę: nie był Albinem Pietruszyńskim, którego kochała do szaleństwa, ze wzajemnością i od liceum.

Właściwie nie było to planowane zabójstwo. Zupełny przypadek, albo raczej wypadek. Natalia chciała się uwolnić od ojca tyrana, który całe życie dyktował jej, co ma robić, i zawsze krytykował, niezadowolony z jej poczynań. Każdy poznany chłopak był zniechęcany, lżony i uciekał w podskokach. Z Albinem było inaczej. Zakochał się w Natalii i pozostawał odporny na chamskie uwagi, obraźliwe teksty Staszka czy próby przekupstwa. Kiedy dziewczyna wyprowadziła się z domu najpierw do koleżanki, a w dalszej perspektywie planowała zamieszkać z narzeczonym, Staszka najpierw ogarnął go szal, a potem wpadł na pewien pomysł. Postanowił, że Malwina, odpowiednio wynagrodzona, przeprowadzi taki test wierności na młodym chłopaku. Prześpi się z nim, porobi zdjęcia, które później tatuś przedstawi córce. No i Malwina ruszyła do boju. Jednak chłopak opierał się jej wdziękom, zatem postanowiła użyć tabletki gwałtu. Na szczęście Albin zauważył, jak wrzucała ją do drinka, i zamienił szklanki. W przypiływie narkotycznej szczerości Malwina wyznała całkiem sporo. Albin przejrzał nawet jej telefon i tam zobaczył kilka ciekawych zdjęć, które postanowił skonfrontować ze Staszkiem. Jednak nie powiadamiając Natalii, bo fotografie do pokazywania dziewczynie się nie nadawały. Chłopak chciał jedynie, aby Migotka przestał bruździć i pozwolił im normalnie żyć. Nic ponadto. Tylko że Staszek w ogóle nie był zainteresowany spotkaniem. Wówczas Albin wysłał mu kilka zdjęć bladym świtem po nieprzespanej nocy, spędzonej na rozmyślaniach i planach.

– Zabił go! – niespodziewanie wykrzyknęła moja mama. – Taki młody chłopak!

– Młody niemłody, ale morderca! – wtrąciła Marzena.

Komisarz uśmiechnął się tajemniczo, a potem westchnął.

– Nic mu nie będzie, ale sporo namieszał nieracjonalnym zachowaniem – odpowiedział ku zbiorowemu zdumieniu.

– To kto w takim razie? Ta Malwina? – spytałam.

– Otóż nie, moje drogie panie. Otrzymaliśmy wczoraj już komplet wyników badań i sekcji zwłok oraz raport biegłego.

– Jak to wczoraj?! – oburzyła się Bożenna. – Przecież Staszek już na cmentarzu. Po pogrzebie wykopaliście denata czy rodzina pochowała go na niby, a potem policjanci podrzucili pociętego truposza do trumny?

– Najlepiej prześlą kurierem za potwierdzeniem odbioru – dodałam szyderczo.  
– Nic z tego nie rozumiem.



– Ja również – oznajmiła Marzena i nie wiem, kiedy zdołała przynieść korkociąg, wino i szkło, ale teraz każdemu podała napełniony kieliszek.

Kolejny tajemniczy uśmiech komisarza wskazywał, że sprawa nie jest taka prosta.

– Drogie panie. To tylko w filmach raport z sekcji zwłok czy wyniki różnych badań otrzymuje się od razu albo po znajomości z patologiem nazajutrz – odpowiedział Kluczyk, ze smutkiem rozkładając bezradnie ręce. – W rzeczywistości trochę musimy poczekać. Jest to rozciągnięte w czasie, zwłaszcza gdy istnieje podejrzenie morderstwa.

– Kurczę! I co z tymi wynikami? – zapytała zniecierpliwiona Bożenna, wychylając jednym haustem wino z kieliszka.

– Śmiertelne uderzenie w tył głowy.

– Czyli jednak morderstwo? – wtrąciła Marzena.

– Co to oznacza? – rzuciłam, jednocześnie głośno sobie odpowiadając: – Że ktoś go uderzył czy sam się przewrócił i uderzył w tył głowy o ten stary kaloryfer tak niefortunnie, że zginął?

– Dokładnie tak.

– Stał było tyle krwi? – przypomniałam sobie. – Kto to zrobił? Bo na pewno pan wie, ale trzyma nas w napięciu, nerwach i niepewności!

– Bez udziału osób trzecich – spokojnie odparł komisarz.

– Jak to możliwe?! Pośliznął się na skórce od banana?

– Zgubił go paskudny nawyk bujania się na krześle przy biurku.

– Co takiego?! – ryknęłyśmy jednocześnie.

– Malwina potwierdziła i inni zresztą też, że Stanisław Migotka zwykł bujać się na krześle, gdy był zdenerwowany. Tym razem przewrócił się do tyłu i śmiertelnie uderzył w kaloryfer. Śmierć na miejscu.

– Paskudny uczniowski zwyczaj! – wtrąciła zdenerwowana Bożenna. – Ile razy ja sobie zdarłam gardło, powtarzając: „nie bujaj się na krześle”! A Staszka pamiętam tylko z...

– No, ale nie widzieliście tego przewróconego krzesła? Nie domyśliliście się od razu, że to wypadek? – dopytywała pospiesznie Marzena, by moja mama nie skończyła wypowiedzi.

– To krzesło spokojnie stało przy biurku. Znaleźliśmy tę ukrytą kamerę, o której pani wspominała – wyjaśnił Kluczyk. – Migotka umieścił ją na drzewie w dobrej odległości, ale to najwyższej jakości sprzęt z kartą pamięci i jednoczesną rejestracją nagrań w chmurze. Kamera ustawiona była tak, że przez okno podglądała

niemal całe biuro. Poza tym denat miał doskonale zakodowany komputer domowy i informatyk dopiero niedawno się z tym uporał. Na firmowym laptopie nic nie trzymał. Na nagraniu z kamery zobaczyliśmy, jak do biura wchodzi najpierw Migotka, zasiada za biurkiem, włącza komputer i nagle znika z pola widzenia kamery.

– Wtedy upadł? – upewniłam się.

– Przez kolejne ujęcia już się nie pojawił, więc zapewne tak – kontynuował komisarz. – Jakies pół godziny później wbiega do biura Albin, chwilę stoi, a potem też znika z pola widzenia. Pięć minut mija i chłopak wybiega zszokowany za hurtownię w stronę torów. Siedem minut później wchodzi do biura Malwina, potem również z niego wybiega, zatrzymuje się na rampie i ostrożnie wraca. Ponownie wybiega, ale tym razem już z telefonem w dłoni, który pospiesznie ukrywa w kieszeni. Dosłownie sekundę, dwie później zjawia się tam pani.

Bożenna wydała okrzyk przerażenia, a mnie ciarki przeszły po plecach.

– Boże! Mogła cię zabić w amoku! – jęknęła Marzena. – Albo zrzucić wszystko na ciebie!

– Zabrała telefon? Po co? – spytałam, ignorując panikę mamunek, aby powstrzymać je w rozwijaniu morderczych wizji ze mną w roli ofiary.

– Myślała, że szefa zamordował Albin i uciekł z miejsca zbrodni. Wpadła tam i na biurku leżał telefon. Koniecznie chciała go zniszczyć, aby wreszcie się uwolnić od szantażującego ją Stanisława Migotki. W sumie trzymali się trochę w szańchu, bo on miał coś na nią i ona na niego.

– A Albin? – przypomniała Marzena.

– Wszedł, aby porozmawiać i zobaczył Migotkę leżącą w kałuży krwi. Aby się do niego dostać i zbadać puls, podniósł krzesło i postawił przy biurku. Kiedy uznał, że to trup, przestraszył się i uciekł. On sądził, że to zrobiła Malwina i wszystko zrzuci na niego. Natomiast ona była przekonana, że to Albin.

– A właśnie! Czy to ten chłopak z autobusu? – przypomniałam sobie.

– Tak. Dziękuję za zdjęcie.

– Szkoda tylko autobusu – westchnęła Marzena i wychyliła swój kieliszek wina.

– Natalia też myślała na początku, że to Albin przyczynił się do śmierci jej ojca, bo nie odzywał się ani w tym dniu, ani następnym – wyjaśniał komisarz. – W ogóle mieli opracowany jeszcze przed śmiercią Migotki sposób i miejsce spotkań. Od trzech miesięcy, aby nie drażnić ojca, nie kontaktowali się ze sobą przez telefon, tylko spotykali się na cmentarzu przy grobie dziadka Albina o szesnastej trzydzieści w nieparzyste dni. Mieli swój kod porozumiewania się poza innymi komunikatorami. Kolory zniczy, zakopywanie kartek, układ kwiatów na po-

mniku. Ten sposób rozmowy kontynuowali też po śmierci Migotki. Dlatego trudno było powiązać Albina z Natalią. Dziewczyna dopiero po trzech dniach od śmierci ojca spotkała się z narzeczonym, który pierwszą noc odsypiał, a później szedł na nockę i znów odsypiał. Czekał na przyjazd policji. Zupełnie nie wiedział, co zrobić, i tylko się zadreżał myślami. Kiedy się wreszcie spotkał z narzeczoną, wspólnie doszli do wniosku, że nie mogą się ujawniać, bo Albin jak nic będzie podejrzany.

– A Malwina? Nic wam nie powiedziała, że go znała i że mógł być mordercą? – spytała Bożenna.

– Pani Malwina milczała przed policją, ale Natalię przestraszyła, że wszystko opowie. Była przekonana, że to Albin zabił Migotkę i chciała jeszcze coś dla siebie ugrać. Dlatego dla kamuflażu Natalia zaczęła spotykać się z Łukaszem i pracować nad legendą, jak bardzo brakuje jej ojca, by odsunąć od siebie wszelkie podejrzenia i uwagę. W rzeczywistości bardzo nienawidziła ojca za to, co zrobił z jej matką, chciała się od niego uwolnić. Albin postanowił się ukrywać na wszelki wypadek. W pracy wziął urlop.

– To dlaczego przestał się ukrywać i pojawił się w autobusie? – zainteresowała się Marzena.

– Bo Łukasz przestał spotykać się z Natalią i zaczęli podejrzewać, że coś wie – wyjaśnił komisarz. – Trochę to dziwne zachowanie, ale wierzcie mi, że ludzie, którzy nie parają się mordowaniem na co dzień, spokojni i uczciwi, nie wiedzą, jak mają się zachować w niektórych sytuacjach. Popołniają błędy. Na szczęście oboje okazali się niewinni, bo to całkiem dobrzy i zakochani w sobie ludzie. Naprawdę z ciężkim sercem się takich zamyka w więzieniach. Nawet przy moim stażu i doświadczeniu.

– Głupi wypadek – podsumowałam w zamyśleniu.

Wciąż nie mogłam uwierzyć w koniec całej historii. Wypadek na krześle z perelowskim kaloryferem w tle! Całkowicie zaskakujący finał dla wszystkich, nie wyłączając samego Staszka.

– No i zagadka rozwiązana – westchnęła moja teściowa. – Czas się pakować, Bożenko.

– Chyba nie myślałaś, że zostawię córkę z takiej sytuacji, gdy nie ma środków do życia i męża! – prychnęła Bożenna.

Powoli przeniosłam wzrok w jej kierunku, by obdarzyć ją naprawdę morderczym spojrzeniem. W tym momencie komisarz Sylwester Kluczyk miałby uzasadnienie, żeby nawet założyć mi kajdanki.

– Mamo... – zaczęłam, siłąc się na spokój. – Mam z czego żyć i nie potrzebuję męża. Nie mam tylko pralki i zmywarki, ale z tym się uporam przy najbliższym przelewie. Zatem naprawdę nic... nic nie stoi na przeszkodzie, abyście obie powróciły do swojego życia, dając mnie żyć swoim.

– Piękniej by pani tego nie ujęła – podsumował komisarz, podnosząc się z sofy i ruszając do wyjścia. – Dziękuję za pomoc. Do widzenia paniom.

Ledwie zniknął w drzwiach wyjściowych, gdy wykrzyknęłam radośnie:

– Mamunki! Pakujemy walizki!!!

I chyba udało mi się wykonać słynny *moonwalk*, czyli księżycowy chód Michaela Jacksona. Kierownik Bączek byłby ze mnie dumny.

## 39. Ostatnia prosta przed tunelem

Nareszcie pogoda pozwoliła wszystkim nieco odetchnąć. Temperatura osiągnęła znośną wysokość, pozwalając cieszyć się latem, słońcem i ciepłem bez narzekań, poparzeń czy udarów słonecznych. Ptaki na moich drzewach chyba zwołały jakiś sejmik, bo zajęły wszystkie gałęzie sosny i żywo oraz hałaśliwie debatowały. Czekałam na Leszka na ogrodowej huśtawce i przysłuchiwałam się tym ptasim rozmowom. Przynajmniej skutecznie zagłuszały wątpliwości przed wyjazdem. Czy to nie za szybko zgodziłam się na weekend w Karkonoszach sam na sam? Jak na zawołanie odpowiedziało mi wspomnienie pewnej nocy nad Kaczawą. Zapłonęłam żywym ogniem pożądania i gigantycznym zapalem do planowanego wyjazdu. „Ciekawe, czy uda mi się zobaczyć góry, czy tylko hotelowy pokój? – uśmiechałam się do swoich myśli. – A może jednak warto pomyśleć, co dalej, czy nie za szybko wszystko się dzieje?” – odezwała się dawna ja. I zaraz wpadła odpowiedź niegrzecznej dziewczyny: – „A po jaką cholere teraz myśleć? Weekend z Tomem Hiddlestonem! Pokażcie mi taką, która zrezygnuje?!”.

Fakt. Akurat na pośpiech nie mogłam narzekać, bowiem wiernie towarzyszył mi ostatnio w życiu i zapewnił pozytywne rezultaty.

Tomira i Elwira wracały w poniedziałek. Strasznie się stęskniłam za moimi ukochanymi córkami i nie mogłam się na nie doczekać. Zgodnie z umową mamunki się wyprowadziły. Bez cienia żalu z mojej strony. Na ich perspektywę wolałam nie spoglądać, aby znów nie zdawać testu na asertywność. Jeszcze w ostatnim dniu swego pobytu zwołały naradę i poinformowały o rezultacie śledztwa najbardziej zaangażowanych. Grigorij zjawił się dopiero nazajutrz, bowiem nie tylko szerszenie uspił winem Maurycy, ale i siebie, co w efekcie sprawiło, że obudził się w tym samym momencie co owady i stracił możliwość wywiezienia ich do lasu. Zatem pojawienie się straży pożarnej stało się koniecznością, szczególnie że zgodnie odmówiliśmy sąsiadowi kolejnej butelki.

Ostatni tydzień przyniósł największą sensację w pracy. Ledwie stanęliśmy przy rolkach, gdy pojawił się na magazynie kierownik Bączek. Niespotykana na co dzień elegancja w jego ubiorze od razu włączyła w kurierskich głowach system ostrzegawczy: Coś się kroci! Tymczasem wierny fan króla popu uwolnił nas od spędzającej sen z powiek kurierskich niespodzianki pani Joli. Niespodziewa-

nie ogłosił, że od jutra odchodzi z pracy. Krótko, bez przemowy, bez pożegnań i bez żalu z naszej strony opuścił magazyn, a my powróciliśmy do sortowania paczek. Jeszcze długo słyszeliśmy dochodzące z biura głośne pochlipywanie pani Joli oraz piosenkę Michaela Jacksona *A place with no name*. Cokolwiek to znaczy... Paczki muszą zostać rozwieszane, więc wzięliśmy się a chyżo do pracy.

Z rozmyślań wyrwał mnie donośny klakson samochodu. Przy mojej furtce zaparkował znajomy czarny SUV, więc energicznie podskoczyłam z huśtawki i radośnie pomachałam Leszkowi.

– Hej! Gotowa?! – wykrzyknął w moją stronę przez otwartą szybę od strony kierowcy.

„Jak jasna cholera!” – chciałam odpowiedzieć, ale zachowałam się powściągliwie i skinęłam skromnie głową.

– Zaraz przyjdę! – krzyknęłam i pobiegłam do domu po walizkę.

Stanęłam w progu i tutaj dopadła mnie myśl, że powinnam wziąć jakąś elegancką sukienkę, bo nie samymi górami człowiek będzie żył. Kolacja, tańce się trafiają i wówczas wyskoczę przygotowana. Zatem pobiegłam do pokoju po małą czarną i szpilki. Wróciłam i wcisnęłam je do walizki. Jeszcze coś mnie dręczyło... Ładowarka do telefonu? Jest! Przespacerowałam się po pokojach i kuchni, dokładnie sprawdzając, czy wszystko jest wyłączone.

Dziewczynki poza domem, mamunki na swoich miejscach również poza moim domem, więc wszystko pozostanie bez kontroli. Prąd, gaz i woda wyłączone. Sprawdziłam z milion setny raz! Ale mnie jeszcze coś męczyło i nie pozwalało wreszcie zamknąć drzwi wejściowych od zewnętrznej strony. Żelazko! Ileż ono mnie nerwów kosztuje! Nie, no nic nie prasowałam, ale sprawdzę! Wyłączone.

Już chyba wszystko sprawdziłam poza fundamentami, piwnicą i strychem, więc ugniatać w środku może mnie już tylko sumienie, ale i ono powinno sobie odpuścić. W razie przypomnienia sobie, co tutaj jest nie tak, zawsze mogę liczyć na Grigorija, który posiadał zapasowe klucze i w każdej chwili mógł sprawdzić, wyłączyć, ugasić albo zwyczajnie uspokoić. Złapałam za walizkę, wyszłam i zamknęłam dom. Niemal unosząc się w powietrzu, biegłam do auta. Leszek wyszedł mi naprzeciw. Ależ on się prezentował w turystycznym wydaniu! Omal nie zapłonęłam przy furtce, paląc całe osiedle. Czarny T-shirt nienachalnie opinający rzeźbę klatki piersiowej, bojówki w kolorze khaki i piaskowe trapery scalały się w obietnicę przygody. Leszek uśmiechnął się, świadomy, jakie wywarł na mnie wrażenie. Jednym ruchem złapał mnie w pasie, przyciągnął i tak pocałował, że miałam ochotę wciągnąć go do domu już-teraz-natychmiast. Tymczasem deli-

katnie mnie odsunął, spokojnie przejął walizkę i zamknął ją w bagażniku. Wsiadliśmy z rozognionymi spojrzeniami i chyba nie tylko. Cud, że samochód nie eksplodował.

– To jedziemy! – rzucił radośnie Leszek i włączył silnik. – Po drodze nie musimy się zatrzymywać, bo już zajechałem na stację, zatankowałem i mamy pełen bak. Możemy pojechać nawet do Zakopanego!

No i wtedy włączyła mi się czerwona lampka. Hałaśliwy alarm rozdzwonił się szaleńczo w mojej głowie i połączenia nerwowe przekazywały do mózgu ostrzegawczy komunikat gdzieś z dolnych partii ciała. W onej chwili, gdy auto delikatnie ruszyło, dokonałam odkrycia, coś mnie tak uwierało i czym się gdzieś głęboko niepokoiłam przed wyjściem. Gwałtownie otworzyłam drzwi SUV-a i kaskadersko wyskoczyłam na ulicę. Bez słowa wyjaśnienia, bo nigdy bym się na takie tłumaczenie nie zdobyła, nawet pod wpływem tortur, galopowałam już do domu. Błyskawicznie otworzyłam drzwi i skierowałam się do... toalety. Może i bak samochodowy był pełny, ale mój pęcherz na pewno nie może!

Nigdy nie wiadomo, czy nie zdarzy się nam w trasie jakiś zakorkowany tunel, a ja nie mam zamiaru dopuścić, aby moja prąca, paląca i niecierpiąca zwłoki potrzeba fizjologiczna stanęła mi bezczelnie na drodze do szczęścia!

1 Nie jesteś sama / Jestem tu z Tobą / Chociaż jesteś tak daleko / Jestem tu i będę.

2 Bo to jest dreszczowiec!

3 Bo jestem zły, jestem zły – daj spokój Wiesz, że jestem zły, jestem zły – wiesz to.